



Ciemna strona miłości

Monika A. Oleksa

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**



Monika A. Oleksa

Ciemna strona miłości

Wydawnictwo Zysk i S-ka

Wszystkim mądrym kobietom, które codziennie biorą swoje życie na ramiona i niosą je pomimo przeciwności, a w szczególności Iryskowi, Paulinie, Dorocie i Marzenie. Dziękuję za Waszą nieustanną obecność w moim życiu i za Przyjaźń, którą mi podarowałyście

oraz Marcinowi — za wszystko

Marii i Franciszkowi Sawickim chciałabym złożyć serdeczne podziękowania za ich wielką życzliwość, otwarcie oraz idealne warunki do pracy nad książką, które znalazłam w pełnym rodzinnego ciepła Domu Wypoczynkowym „Maria” w Dąbkach.

Marysiu, dziękuję za całe dobro, które od Ciebie dostaję, i Twoją wiarę we mnie. Cieszę się, że jesteś w moim życiu.

Rozdział I

LIST

1

Stukot szpilek niósł się głośnym echem po schodach przedwojennej klatki schodowej. Schody były marmurowe, a klatka pamiętała jeszcze czasy sanacyjnej świetności. W czasach PRL-u blask marmuru ustąpił wprawdzie pospolitej szarzyźnie, ale nawet pomimo upływu lat stare mury wciąż prezentowały się nienagannie.

Małgorzata poprawiła torbę na ramieniu i odgarnęła z twarzy niesforne jasne włosy. Nigdy nie dawały się ułożyć, ale teraz były wprost nieznośne. Zauważyła, że im jest starsza, tym więcej rzeczy zaczyna ją irytować.

Gdzieś na górze zaszczekał pies. Kobieta się uśmiechnęła. Głos Saby poznałaby wszędzie. Była pewna, że bokserka stoi już przy drzwiach i merda swoim krótkim ogonkiem. Suczka wyczuwała zapach Małgosi z dużej odległości, potrafiła rozpoznać go już w chwili, gdy kobieta parkowała samochód. Małgorzacie przez całe życie towarzyszyły psy, do dziś jednak nie potrafiła zrozumieć fenomenu psiego węchu.

Gdy weszła do mieszkania, powitał ją zimny nos Saby i donośny krzyk córki:

— Mamooo! Gdzie jest moja sukienka w groszki?!

Małgorzata zatrzasnęła za sobą drzwi, postawiła torebkę na szafce, pod lustrem, a siatkę z ulgą rzuciła na podłogę. I to ma być ten wymarzony urlop i spokój?

— No, nareszcie jesteś — usłyszała głos męża wyłaniającego się z kuchni. — Już myśleliśmy, że zamieszkasz w tym biurze. Nie wiesz może, gdzie jest mój granatowy podkoszulek? Nigdzie nie mogę go znaleźć.

— Dzień dobry. Nie mogłam wyrwać się wcześniej, wiesz dobrze, jak bardzo wymagający jest Gordon, zwłaszcza przed urlopem. — Podeszła do męża i pocałowała go w szorstki policzek. — Mógłbyś się ogolić. Drapiesz! — Uśmiechnęła się do niego figlarnie, a potem popatrzyła w lustro i zaczęła poprawiać rozczochrane wiatrem włosy.

— Wiem, jak wymagający jest pan Gordon, i dziwię się, że w ogóle puścił cię na urlop. Przecież oni się tam zapłaczą bez ciebie. Te cholerne jankesy widzą cię częściej niż ja czy Sylwia.

— No właśnie. Cześć, mamó. — Poczowała na policzku mokry pocałunek córki i mocny zapach swojej ulubionej wody toaletowej. — Nie wiesz, gdzie jest moja sukienka w groszki? Wszędzie jej szukam, chyba zapadła się pod ziemię.

— Nie wiesz, kto używał mojego davidoffa? I tak zostały już tam same resztki — odpowiedziała.

— Tata kupi ci nowy flakonik. Wspomniał coś o tym przy obiedzie.

— Zaraz, zaraz, czy ja mam w tym domu coś do powiedzenia?

— Obawiam się, że nie, kochanie.

Małgorzata spojrzała na męża z łagodną czułością i sięgnęła po siatkę z zakupami porzuconą na podłodze w przedpokoju.

— Saba, zabieraj ten nos z siatki! Już!

Pies zamerdał wesoło ogonem i szczeknął radośnie.

— Sylwia, twoja sukienka w groszki jest w pawlaczu. W przedpokoju. O ile sobie przypominam, rok temu cisnęłaś ją w kąt ze słowami, że nigdy w życiu nie włożysz już czegoś podobnego. Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę zmianę poglądów?

— Oj mamó, tylko krowa nie zmienia poglądów. Ja się po prostu za nią stęskniłam. To wszystko.

Małgorzata pokręciła głową. Trudno było jej się z tym pogodzić, ale jej maleńka dziewczynka powoli stawała się kobietą. Rozpieszczona jedynaczka była już nastolatką, równie kapryśną, jak w wieku dziecięcym.

Patrzyła z miłością na córkę, która wspinała się teraz na krzesło, aby dobrać się do pawlacza. Sylwia tak bardzo przypominała Małgosi ją samą z czasów młodości. Miała takie same jasne, proste i cienkie włosy i wielkie, błękitne oczy. Kiedy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się rozkoszne dołeczki. Zachwycały każdego. Te dołeczki pokochał Marek, kiedy ujrzał Małgosię po raz pierwszy, i w tych dołeczkach zakochali się już oboje po narodzinach upragnionej dziewczynki. Jedna tylko część ciała Sylwii nie została odziedziczona po mamie. Był to mały, zadarty nosek, który Sylwia miała po Marku. Nos Małgorzaty był duży i garbaty. Nie lubiła go i tym bardziej cieszyła się, że natura oszczędziła tego Sylwii. Zawsze jednak chciała mieć córkę podobną do siebie. Taką ją sobie wymarzyła i taką miała.

— Małgosiu, błagam. Gdzie jest mój granatowy podkoszulek?

Marek miał tak nieszczęśliwą minę, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Czy możecie mi powiedzieć, jak to jest? Podobno przebywam w tym domu najrzadziej, a znam lokalizację każdej najdrobniejszej rzeczy.

— Jesteś w tym najlepsza. — Tym razem oboje patrzyli na nią, uśmiechając się szeroko.

— Twój granatowy podkoszulek był w pokoju Sylwii. Wydaje mi się, że w tej chwili znajduje się w jej plecaku.

— Mamó! Jak mogłaś?! — Sylwia wyciągnęła sukienkę z pawlacza, zrzucając przy tym stos niepotrzebnych i zapomnianych rzeczy.

— Czy mogę wiedzieć, co mój ulubiony podkoszulek robi w twoim plecaku?

Marek pomógł córce zejść z krzesła i teraz wpatrywał się w nią pytająco.

— Podobno w granacie mi do twarzy.

— Mnie też.

— Tato, proszę cię, zapomnij o nim. Wyobraź sobie, że go nigdy nie było.

— Jeśli się w niego ubierzesz, to będzie nieco trudne. — Mamo, ratuj!

— Uprasuję ci biały, kochanie. — Małgorzata pogładziła męża po policzku, a Marek rozłożył tylko ręce w geście bezradności.

— Sylwia, kończ się pakować. Jeśli chcecie zajechać przed nocą, musicie się pośpieszyć. Zrobię wam kanapki na drogę.

Małgorzata kopnęła na bok zrzucone z pawlacza rzeczy i skierowała się do kuchni.

Było to pomieszczenie, w którym czuła się najlepiej. Tutaj zawsze panowała atmosfera domowego ciepła i unosił się zapach rodzinnych posiłków. Kuchnia była obszerna, lecz ciemna. Jedyne okno wychodziło na podwórze, prawdziwą przedwojenną „studnię”.

Najważniejszą rolę w kuchni odgrywał stół. Był duży, drewniany i gromadził całą rodzinę Dobrowolskich przy wspólnych posiłkach. Małgorzata uwielbiała te chwile spędzane z Markiem i Sylwią. Szczególny urok miały niedzielne obiady. Nikt nigdzie się nie śpieszył i mogli tak siedzieć, żartować i toczyć zażarte dyskusje.

Powoli zaczęła wyjmować z siatki zrobione po drodze zakupy. Półtora bochenka chleba, duże opakowanie ramy, wędlina, ogórki. Nie zauważyła, kiedy do kuchni wszedł Marek.

Podszedł do niej powoli i objął jej wciąż jeszcze szczupłą talię.

— Małgosiu — wyszeptał, mruczając jej do ucha — postaram się wrócić jak najszybciej. Czy możesz sobie wyobrazić, że dzisiejszą noc będziemy mieli tylko dla siebie?

Odchyliła głowę i pozwoliła, żeby całował jej kark.

— Prawie nie mogę w to uwierzyć. Proszę cię, tylko się nie śpiesz. Czasami jeździsz jak wariat.

— Bądź spokojna, będę jechał powoli. Aha, przyszedł list do ciebie. Leży na twoim biurku.

— List? — Odwróciła się i spojrzała na męża pytająco.

— Z Zakopanego.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a podłoga wiruje pod nogami.

List z Zakopanego. Od Teresy. Co tam się mogło, na Boga, stać? Tak dawno nie miała od niej żadnej wiadomości, aż tu nagle list.

— Małgosiu, dobrze się czujesz? — Marek był tuż obok. Spróbowała się uśmiechnąć.

— Nic mi nie jest. To ta pogoda. Upał jest nie do zniesienia.

— Może zostać z tobą?

— Nie, nic mi nie jest. Jedźcie już. Kozłowski pewnie od dawna na was czekają.

Pokiwał głową, ale Małgorzata wiedziała, że nie do końca jej uwierzył. Niepokoił się o nią. Ostatnio trochę chorowała i te kłopoty z sercem...

— Nic mi nie będzie, kochanie. Położę się za chwilę. Odwieź Sylwię i wracaj do mnie. Może... zjedlibyśmy kolację przy świecach? — Jej oczy załśniły, lecz trwało to tylko chwilę.

— Pomyślmy — pocałował ją w policzek. — Zrób kanapki, a ja pogonię Sylwię.

Już wychodził z kuchni, kiedy coś go zatrzymało. Odwrócił się i spytał konspiracyjnym szeptem:

— Powiedz mi, po co jej ten podkoszulek.

Uśmiechnęła się łagodnie i odpowiedziała równie cicho:

— W granatowym naprawdę jej do twarzy.

— I to ma być powód, aby zabierać ojcu ulubioną koszulkę?

Mężczyźni! Nigdy nic nie rozumieją.

— Kochanie, Marta Kozłowska zaprosiła nad Zegrze siostrzeńca. Ten młodzieniec ma dziewiętnaście lat. Myślę, że to jest powód zawłaszczenia podkoszulka i odkopania zesłorocznej sukienki.

— Sylwia i chłopcy? — Marek pokręcił z niedowierzaniem głową. — Przecież ona...

— Ona ma już piętnaście lat. A my musimy się z tym pogodzić, skarbie.

— Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. — Podrapał się po zarośniętym policzku, popatrzył przez chwilę na żonę, a potem wyszedł z kuchni.

Małgorzata westchnęła i zabrała się do robienia kanapek.

W całym domu panowała cisza. Aż trudno było w to uwierzyć. Żadnych krzyków, żadnej dzikiej muzyki, je dynie ciche pochrapywanie Saby. Chwile takie jak ta były w tym domu rzadkością.

Małgorzata nastawiła cichutko wieżę i usiadła przy biurku. Długo obracała w dłoniach białą kopertę, zwlekając z jej otwarciem.

W końcu jednak i tak musiała to zrobić. W kopercie była pojedyncza kartka, zapisana dużymi, nierównymi literami. Małgorzata wpatrywała się w nie tak, jakby chciała wyuczyć się ich na pamięć. Nie mogła uwierzyć w to, co pisała Teresa.

Małgosiu,

umieram. Kilka miesięcy temu wykryto u mnie raka piersi. Ignorowałam tę chorobę wiele lat. Nie chciałam dopuścić do jej istnienia. Ale ona sama wybrała. Ja stałam się ofiarą.

Teraz boję się już nie o siebie, tylko o Agnieszkę. Ja miałam czas, żeby się z tym pogodzić. Ona zostanie zupełnie sama.

Nie wiem, czy zdążę podziękować ci osobiście za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Masz wspaniałą córkę. Agnieszka wniosła w nasze życie tyle radości... wszystko dzięki tobie.

Zaopiekuj się nią, Małgosiu. To wszystko, o co proszę. Ona nie ma już nikogo. Zostałaś tylko ty.

Teresa

Świat zawirował Małgorzacie przed oczami i tak trudno było go zatrzymać. Po jej głowie tłukła się tylko jedna myśl: Teresa umiera. Nie mogła w to uwierzyć. Nie mogła uwierzyć, że życie może być tak okrutne. Biedna Teresa.

„Nie mogę jej tak zostawić. Muszę tam jechać. Muszę... zobaczyć moją córkę”.

Gdy Marek wrócił do domu, zastał żonę siedzącą w ciemnym pokoju. W mieszkaniu nie paliło się żadne światło. Jedyne z odtwarzacza dobiegały ciche dźwięki saksofonu Kenny'ego G.

— Małgosiu, coś się stało?

Zapalił światło. Patrzyła na niego nieprzytomnie. Był pewien, że go nie widzi.

— Muszę wyjechać.

— Dokąd?! — Podszedł do niej. Chciał ją pogłaskać po włosach, ale odsunęła jego rękę.

— Do Zakopanego. Moja przyjaciółka... Teresa... umiera. Muszę się z nią zobaczyć.

— Zawiozę cię. — Nie pytał o nic. Mimo że nie przypominał sobie, aby Małgorzata kiedykolwiek wspominała to imię, nie zadał ani jednego pytania. Widział, jak jest przygnębiona, i domyślił się, że musi to być dla niej bardzo ważne.

— Nie — zaprzeczyła gwałtownie i dopiero teraz spojrzała na niego przytomniej. — Pojadę sama. Nie wiem, ile to potrwa. Chcę być przy niej, kiedy...

Spuściła głowę. Te słowa nie chciały nawet przejść jej przez gardło.

— A co z naszym wyjazdem? Kozłowski na nas czekają, zresztą Sylwia...

— Przyjadę do was. Wezmę telefon i będę z wami w kontakcie.
Marek... czy mogę wziąć twój samochód?

— Tylko jedź ostrożnie.

— Boisz się o mnie czy o samochód? — Próbowała się uśmiechnąć.

— Ty wariatko.

Podszedł do niej, podniósł jak dziecko i mocno do siebie przytulił. Czuł jej serce, które trzepotało jak schwytyany w dłonie ptak. Byli razem tyle lat, a on wciąż widział w niej tę samą Małgosię, którą ujrzał pierwszy raz na uczelni. Pomimo kilku kilogramów, których jej przybyło, jej buzia zachowała młodzieńczą świeżość, a usta nadal były namiętne. Przez te wszystkie lata kochał ją z każdym rokiem coraz bardziej.

— Uważaj na siebie. I przyjedź do nas jak najszybciej.

— Będę za wami tęskniła. — Zarzuciła mu ręce na szyję i wcisnęła zimny nos w znajome ciepło jego ciała.

— Jakoś wytłumaczę cię przed Sylwią. — Poglaskał jej delikatne włosy, a potem nachylił się i wyszeptał prosto do ucha: — Kocham cię.

Wyjechała wczesnym rankiem, aby uniknąć pewnych o tej porze roku korków. Zakopane od dawna cieszyło się wśród turystów niesłabnącą popularnością i niesłusznie wciąż nazywano je „zimową stolicą Polski”, skoro tętniło życiem przez okrągły rok.

Droga była prawie pusta, a wschodzący dopiero dzień zapowiadał kolejne upalne godziny. Lato stulecia. Jeszcze jeden znak zapowiadający niechybny koniec świata.

Małgorzata zmrużyła oczy przed porażającym blaskiem pierwszych promieni słonecznych i sięgnęła do schowka po okulary przeciwsłoneczne.

Koniec świata nastąpił w jej życiu wczoraj. Wszystko przez jeden list od zapomnianej kobiety. Małgorzata skłamała Markowi, mówiąc, iż Teresa jest bliską przyjaciółką.

W zasadzie była... zupełnie obcą kobietą, poznaną przypadkowo.

Spotkała ją w warszawskiej klinice, na oddziale ginekologicznym. Obie szukały tam ratunku. Tylko że każda z nich wyobrażała go sobie inaczej.

Małgorzata miała dziewiętnaście lat, dopiero co rozpoczęła studia i pragnęła zrobić wielką karierę prawniczą. Jej duże ambicje roztrzaskały się w kawałeczki, gdy któregoś miesiąca w swoim kalendarzu nie odnotowała „trudnych dni”. Od obłędu i rozpaczury uratowały ją słowa najbliższej koleżanki z roku:

— Znam bardzo dobrego specjalistę. Jest naprawdę wybitnym ginekologiem. Przyjmuje w Warszawie. On ci pomoże.

Chwyciła się tych słów jak tonący brzytwy. Zapożyczyła się, zebrała pieniądze i pojechała do Warszawy na spotkanie z przeznaczeniem. Nie

myślała o tym jak o zbrodni. Względy etyczne i moralne zostały zagłuszone jedną obsesyjną myślą: „Nie mogę tego zrobić rodzicom! Nie ja!”.

Nie ona. Wypieszczona jedynaczka, która dorastała pod kloszem. Oczko w głowie ojca, który widział w córce godnego następcę w palestrze. Córeczka ma musi, stawiana za wzór dalszej rodzinie i znajomym lekarzom. Nie ona, nie Małgosia, która zawsze była najlepsza, posłuszna i dobrze wychowana. Nie dziewczynka, która wiedziała, kiedy należy używać słów „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”.

Przepraszam, mamo.

Przepraszam, tato.

Teraz słowo nie wystarczało. Stało się zbyt ubogie. Nie mogło zmasać grzechu, który popełniła.

Został więc tylko profesor. Wybitny specjalista. Cudotwórca. Potrafił sprawić, że martwe łono nagle zakwitowało życiem. Potrafił również to życie zgasić.

Małgorzata jechała do niego przepełniona nadzieją. Wychodziła z jego gabinetu zgaszona i wciąż obarczona swoim brzemieniem, a także słowami:

— Nie, dziecko. Ja tego zrobić nie mogę. Jest za późno. Jestem lekarzem, nie mordercą.

Cały świat zawirował, a potem z wielkim hukiem zwałił się na głowę Małgorzaty.

Ukryła swoją tajemnicę w szpitalnej toalecie. Najpierw była jedna łza, a później cała ich rzeka. I głośny szloch. Dlaczego to właśnie ona?! W dodatku teraz, u progu życia!

Ciemna, wyasfaltowana ulica przyciągała. Falowała tam, w dole, kusząc zapomnieniem. Wyciągała przyjaźnie ramiona i zdawała się nawoływać: „No chodź! To nie będzie bolało. Już NIC nie będzie bolało”. Małgorzata

wpatrywała się w nią jak zaczarowana, a myśli w jej głowie goniły jedna drugą. I wtedy usłyszała ten głos. Cichy, kobiecy.

— Nie warto.

Odwróciła się i spojrzała na nieznajomą. Niewysoką, drobną kobietę o rudych włosach, ściągniętych do tyłu gumką recepturką, o twarzy pokrytej widocznymi zmarszczkami. Zielone oczy nieznajomej patrzyły na Małgorzatę tak, jakby znały jej myśli.

— Co pani wie...

— Od wieków to samo. Niechciana ciąża, zmarnowana młodość i samotność. Ty i twoja tragedia. Wiele bym dała, aby być na twoim miejscu.

— Nie rozumiem...

Kobieta uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech. Zagubiona łza spłynęła po jej policzku, przedzierając się wyżłobionymi przez czas koleinami.

— Obie przyjechałyśmy do profesora Ślusarczyka z nadzieją. I obie odchodzimy ze swoim garbem. Nawet cudotwórca nie potrafi wskrzesić życia ani go zgasić, gdy jest za późno. Który to tydzień?

— Osiemnasty. Początek piątego miesiąca.

— Osiemnasty tydzień. Nosisz w sobie dziecko. Nie komórkę, nie zapłodnione jajeczko. To jest już mały człowiek. Czy wiesz, że ono już cię słyszy? Rozpoznaje twój głos i bicie twojego serca? Czuje się bezpieczne w swoim małym mieszkanku. Ufa ci. Dlaczego chcesz je skrzywdzić?

— Nie mogę go urodzić! — Małgorzata nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Wybuchnęła głośnym płaczem, dając upust nagromadzonemu żalowi, zawiedzionej miłości i tej przeraźliwej samotności, z którą walczyła od chwili, gdy dowiedziała się o dziecku. Szlochała roztrzęsiona, pozwalając, by nieznajoma kobieta tuliła ją do siebie i głaskała jej potargane włosy.

— Nie mo... mogę... Nie zro... zrobię tego ro... rodzicom. Nie mo... mogę. Nie mogę.

— Ćśśś, ćśśś. Już dobrze, wszystko będzie dobrze, znajdziemy jakieś wyjście. Ćśśś, maleńka. Jestem przy tobie. Nie zostałam sama.

Zaufała tej kobiecie, w której oczach ukrył się smutek. Uwierzyła w jej słowa, chwyciła się ich zachłannie i się nie zawiodła. Teresa znalazła wyjście. Najlepsze.

— Ty pomożesz mi „urodzić” dziecko, a ja pomogę ci pozbyć się kłopotu. To tylko pięć miesięcy. Znikniesz na ten czas. Wymyślimy jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Zabiorę cię do siebie, do Pucka. Tam urodzisz to dziecko i zrzekniesz się praw rodzicielskich. Ty uszczęśliwisz mnie, a ja... pomogę ci odzyskać dawne życie. Wciąż będziesz mogła patrzeć sobie w oczy...

Słuchała tego z otwartymi ustami. To niesamowite. Czuła się trochę tak, jakby grała w kiepskim melodramacie. Ale to było jedyne wyjście. Ona daruje życie dziecku, a ono jej...

Małgorzata zwolniła i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś przyzwoitego zajazdu. Potrzebowała potężnej dawki kofeiny. Nieprzespana noc i pobudka o świcie dawały o sobie znać. Uciekała od wspomnień, ale one same wciskały się w jej życie. Były wokół niej, nie pozwalając zapomnieć. Tak jak i wyrzuty sumienia.

Sprzedalam cię, Agnieszko. Za wolność i młodość. Za kilka lat bez troski i za święty spokój.

Dochodziło południe, a Zakopianka aż kipiała od nadmiaru aut i amatorów górskich wspinaczek.

„Zadepczą nam te góry. Aż dziw, że Giewont jeszcze stoi na swoim miejscu”. Małgorzata wrzuciła trzeci bieg i posuwała się zółwim tempem za kolorowym sznureczkiem błyszczących metalików.

„Strach pomyśleć, ale z taką prędkością dojadę do Zakopanego na wieczór”. Włączyła radio, aby zabić czymś nudę i beczynność. Po krótkim przeskakiwaniu po kanałach zdecydowała się na RMF FM. Głos spikera wirował w uszach, bynajmniej nie zachęcając do optymizmu: „Potężny korek zaczyna się tuż za Myślenicami i ciągnie aż do samej stolicy Tatr”.

Małgorzata westchnęła. Pięknie! Spędzi cały urlop, stojąc w gigantycznym korku. Telefon odezwał się nieoczekiwanie. Rozedrgany sygnał wyrwał ją z letargu i przerwał rozmyślanie.

— Halo?

— Cześć, kochanie. Dzwonię, aby spytać, czy wszystko w porządku. — Znajomy głos Marka przynosił spokój i tęsknotę.

— Cześć, kochanie. Wszystko jest OK. Tkwię właśnie w potężnym korku na Zakopiance, przy której Aleje Jerozolimskie w godzinach szczytu wysiadają! Niezły ubaw, mówię ci.

— Wyobrażam sobie. A znając twój temperament i brak cierpliwości, wiem, że musisz już ciskać straszliwe słowa w stronę współtowarzyszy ogonka.

Uśmiechnęła się. Tak bardzo brakowało jej jego optymizmu i ciepła.

— A jak wam upływa czas? Sylwia jest pewnie wściekła.

— Nie powtórzę tego, co usłyszałem na twój temat. Dowiedziałem się tylko, że zawsze wszystko jest dla ciebie ważne, tylko nie my.

— Spróbuj mnie jakoś wytłumaczyć.

— Nie ma sprawy. W końcu to mój zawód. Trzymaj się, maleńka, i uważaj na górskich zakrętach.

— Tęsknię za wami. Odezwę się, jak będę na miejscu. Pa, kochanie.

Odłożyła telefon i głęboko odetchnęła. Marek. Jego ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Stabilizacja i pewność każdego dnia. Przy nim nie mogło się wydarzyć nic złego. Zawsze był, gdy go potrzebowała. Zawsze trwał obok. Bała się tego związku, sparzona doświadczeniem młodszej fascynacji. Jednakże cierpliwość i wiara Marka przekonały ją, że warto zaufać jeszcze jeden raz. Zaufała i teraz dziękowała Bogu za to Przeznaczenie.

Myśli o mężczyźnie jej życia przywróciły pamięć o przeszłości. Pojawiło się imię, które dawno temu wymazała ze swojego życia. Imię, które dało początek koszmarowi młodości. Imię, które dało początek życiu.

David. Zobaczyła go pierwszy raz na wykładzie. Prawo amerykańskie przyciągnęło wielu studentów zaciekawionych innym światem. Małgorzata znalazła się wśród nich. Poszła z ciekawości, została na zajęciach dla Davida. Był młody, egzotyczny, zbuntowany. Idealista, gotów naprawiać błędy kapitalizmu. Porywał młodych słuchaczy swoimi opowieściami i uczył sprawiedliwego prawa, które w rzeczywistości było tylko utopią.

Dla garstki wybitnych studentów Savisky organizował seminaria, na których niekończące się dyskusje zjednywały mu nowych zwolenników lub przysparzały wrogów. W latach „czerwonego” PRL-u David Savisky był niewątpliwie postacią barwną i ciekawą.

Dla Małgorzaty te wykłady i seminaria były odskocznią od szarej rzeczywistości. Nie opuściła żadnych zajęć i wszystkiemu przysłuchiwała

się z zapartym tchem. Jej mądre wypowiedzi zwróciły uwagę Savisky'ego i wkrótce relacja uczeń–nauczyciel została zastąpiona układem przyjaciel–przyjaciel.

— Dlaczego wybrałeś Polskę? Przecież jest tak wiele innych krajów komunistycznych. Dlaczego właśnie ten kraj zafascynował cię najbardziej?

— Zajrzałem za żelazną kurtynę i wybrałem się tam, gdzie są najpiękniejsze dziewczyny.

Siedzieli razem w uniwersyteckiej kawiarence, popijając lurowatą kawę. Małgorzata czuła na sobie zawistne spojrzenia akademickiej płci pięknej, ale nic sobie z tego nie robiła. David wybrał ją spośród setek studentek przychodzących na jego wykłady. To z nią lubił rozmawiać najbardziej i to ją zaprosił na kawę i pączka.

— A tak poważnie? — Patrzyła na niego oczami błękitnymi jak polskie niebo.

— Moja matka była Polką. Dlatego tak dobrze znam wasz język. Zawsze chciałem zobaczyć jej ojczyznę, chociaż wydaje się inna od tej, którą mi opisywała.

— Dawna Polska już przebrzmiała. Nic już nie będzie takie samo.

— Nie mów hop... Jeszcze wiele przed wami. Wierzę w siłę młodości i w mądrość Polaków. Jeszcze wypłyniecie.

— A ty chcesz to przyśpieszyć?

— Daj spokój, Daisy, nie jestem rewolucjonistą. Chcę wam pomóc otworzyć oczy, to wszystko. Wierzę w ideały i sprawiedliwość. Ale wszystko w swoim czasie.

— A czy wierzysz w miłość?

— Miłość to utopia.

— Miłość to uczucie. Nawbijali wam w tej Ameryce samych wzniosłych rzeczy, ale zapomnieli o uczuciach. Człowiek je posiada. Nawet

wojownik.

Uśmiechnął się.

— Chcesz ze mną walczyć?

— Nie. Chcę cię nauczyć kochać — odpowiedziała.

I uczyła go tak, jak potrafiła. Spacerowali po zachlapanych jesienną słotą uliczkach Lublina, godzinami wysiadali w studenckich kawiarenkach, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy.

— Jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi wyjechać, zabiorę ten błękit ze sobą. I w każdy pochmurny dzień będę spoglądał na niego z nową nadzieją.

Uwielbiała jego słowa. Wsłuchiwała się w nie i spijała łąpczywie z jego ust. Wyławiała z nich to, co najpiękniejsze, i kolekcjonowała w swoim sercu jak małe obrazki szczęścia. Była szczęśliwa. Była pijana młodością, beztroską i miłością do tego dzielnego mężczyzny. On miał trzydzieści pięć lat, ona kończyła dopiero dziewiętnaście. Dojrzały mężczyzna zaczął budzić w niej kobietę. Słowami, spojrzeniem, dotykiem. Aż przyszedł dzień, w którym miłości nie można już było ubrać w słowa czy gesty. Były zbyt ubogie i nie mogły wyrazić ogromu uczucia, które wzbierało w Małgorzacie z dnia na dzień. W dniu jej dziewiętnastych urodzin David uczynił z dziewczyny kobietę. Za oknem padał pierwszy śnieg, dobroduszny pan w czerwonej czapce z pomponem hojnie rozdawał prezenty, a oni kochali się w akademickim pokoju przesyconym zapachem tanich perfum, drogich papierosów i miłości.

— Daisy, po raz pierwszy jestem szczęśliwy — szeptał, a ona płakała przygnieciona ciężarem jego ciała.

Pierwsza sesja była sprawdzianem dorosłości. Małgorzata wiedziała, że musi go zdać pomyślnie. Chciała udowodnić tę dorosłość sobie, Davidowi i rodzicom. Krzywdziła ich, kłamiąc, że uczy się u przyjaciółki. W

rzeczywistości przesiadywała w małym pokoiku Davida, paląc papierosy i wchłaniając zawiloci prawnawstwa i logiki.

David wracał wieczorami, przynosząc bułki i butelkę wina. Odpytywał ją, a potem zabierał do łóżka. Przy nim przeszła całe wtajemniczenie w sztukę miłości. Poznała swoje ciało i nauczyła się wsłuchiwać w jego pragnienia. Wkrótce wiedziała, co jej sprawia największą przyjemność, a czego nie lubi. Nie wstydziła się mówić o tym Davidowi. To on nauczył ją otwartości i szczerości. Nigdy potem, nawet z Markiem, nie potrafiła rozmawiać tak swobodnie o swoich potrzebach i przyjemnościach. David był wyjątkowy.

Zniknął równie nagle, jak się pojawił. W ciągu jednego dnia jego gabinet opustoszał, a w pokoju akademickim zamieszkał Sowiet, który przyjechał do Polski z serią wykładów na temat doktryny Marksa i Engelsa. Wraz z Davidem ulotnił się delikatny powiew demokracji i wolności, który studenci Savisky'ego poczuli nawet za żelazną kurtyną. Zniknął, zabierając ze sobą niespełnioną nadzieję, rozczarowanie i swoje ideały. I czysty, piękny błękit ukryty w oczach studentki, która ożywiła jego martwe serce. Teraz miało ono umierać na nowo. Właśnie wtedy Małgorzata odkryła, że jest w ciąży.

Rozdział II

TERESA

1

Zakopane błyszczało w słońcu jak klejnot południa, ułożony w kolebce strzeżonej przez wyniosłe i dumne góry. Stolica Tatr nie była już górską wioską, jaką Małgorzata pamiętała sprzed kilkunastu lat. Zakopane XXI wieku skąpane było w świetle reklam i zachodnich pieniędzy, które napływały do góralskich wiosek wraz z turystami. Drewniane wille ze spadzistymi dachami nie ustępowały przepychem rezydencjom, a do każdej z nich wdzięcznie przytulała się tabliczka: „Wolne pokoje”.

Ulica Kasprowicza skupiła przy sobie kilkupiętrowe bloki, które łagodziły nieco surowy górski krajobraz i wносиły do tego zaklętego miejsca trochę normalnego życia.

Małgorzata próbowała przypomnieć sobie blok, w którego okno wpatrywała się kiedyś aż do bólu. Była wtedy w ciąży. Maleńkie nóżki Sylwii boksowały ją od środka, zapowiadając, że ich właścicielka nie będzie miała najłatwiejszego charakterku. Małgorzata gładziła ręką pękaty brzuch i patrzyła z nadzieją w dwa małe okienka na pierwszym piętrze. Tylko raz dostrzegła w nich roześmianą twarzyczkę i nosek przyciśnięty do białej szyby. Wtedy Agnieszka miała sześć lat.

To wspomnienie wróciło, gdy ujrzała znajomy blok i znajome okna. Te same, w których widziała jej uśmiech. Ufny uśmiech małej dziewczynki. Tęskniła za nim przez następne lata i dzień po dniu wyobrażała sobie, jak wygląda jej córka.

Teraz stała w tym samym miejscu co niegdyś i bała się wejść dalej. Przygotowywała się do tej roli całe życie, ale wciąż jeszcze nie była gotowa. Co powiedzieć? Jak się zachować? Życie nie dało jej gotowego scenariusza. Musiała nad nim pracować sama.

Schody na pierwsze piętro wprowadziły ją w nowy etap życia. Życia z Agnieszką.

Młoda kobieta stojąca w drzwiach miała oczy Davida — wielkie, ciemne i z mroczną głębią pośrodku — a także jego lśniące czernią włosy, które opadały na ramiona dziewczyny ciężkimi splotami. Była bardzo ładna.

Małgorzata poczuła bolesne ukłucie w sercu. Zachłannie wpatrywała się w twarz dziewczyny, próbując w niej znaleźć jakieś podobieństwo do siebie samej. Ten nos, duży i garbaty, oto, co podarowała córce od siebie.

— Pani...? — Pytanie w jej głosie przywróciło Małgorzatę realnemu światu.

— Dzień dobry, moje nazwisko Dobrowolska. Małgorzata Dobrowolska. Przyjechałam do Teresy.

— Ach tak, proszę. — Ruchem ręki zaprosiła Małgorzatę do środka. W małym przedpokoiku zrobiło się tłoczno, gdy stanęły w nim dwie kobiety. Był podłużny jak wagon w pociągu i rozchodził się w dwóch przeciwnych kierunkach — na zachód i na wschód. Drzwi na lewo były zamknięte. Dziewczyna wskazała Małgorzacie drogę na prawo.

— Proszę tutaj, mama w tej chwili śpi, ale prosiła, abym się panią zajęła. Zaraz przygotuję coś do zjedzenia, pewnie jest pani głodna.

— Nie, nie. Jeśli mogę, to poproszę tylko o filiżankę mocnej kawy.

Rozglądała się po małym pokoiku, w którym znać było obecność kobiety. Ciepłe, beżowe zasłony doskonale komponowały się z jasnymi sosnowymi półkami i komodą, na której obok kilku podstawowych

kosmetyków stały bukiety suszonych kwiatów i porcelanowy słoń z trąbą uniesioną wysoko w górę. Na wersalce grzbietem do góry leżał Alchemik Paula Coelha, rzecz o odwiecznym poszukiwaniu własnej drogi i dążeniu do spełniania marzeń, tych najgorętszych, najskrytszych, schowanych na dnie duszy i zakopanych przed światem. Marzeń, o których wielokrotnie boimy się nawet głośno mówić, bo nie zawsze wierzymy w nie do końca.

— Wspaniała książka. Czytałam ją dwukrotnie.

Agnieszka, która pojawiła się w drzwiach z parującą kawą i tacą z kanapkami, uśmiechnęła się leciutko.

— Tak. Ja czytam ją już chyba dwudziesty drugi raz. Niedługo nauczę się jej na pamięć. I wciąż szukam... Proszę, pomyślałam sobie, że jednak skusi się pani chociaż na kanapkę.

— Dziękuję. To bardzo miło z pani strony.

— Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Agnieszka. A mama miałaby mi za złe, gdybym się panią należycie nie zajęła. Dużo o pani mówiła.

— Jak ona się czuje? — Wiedziała, że to pytanie nie było właściwe, nie w tym stanie, w jakim była Teresa. Zadała je jednak, bo jak inaczej miała je sformułować?

Jak długo to potrwa?

Czy to wszystko jest prawdą?

Może jest jeszcze jakaś nadzieja? Może jej cień?

I dlaczego to spotkało właśnie Teresę?

— Większość dnia przesypia. Gdy nie śpi, cierpi. Wiem to, chociaż się nie skarży. Nauczyłam się czytać w jej twarzy i oczach.

— Od jak dawna to trwa?

— W takim stanie jak teraz jest od kilku tygodni. Wcześniej nawet nie skarżyła się na żadne dolegliwości. Pracowała do samego końca, do dnia,

kiedy zemdlą w pracy. Wtedy się dowiedziałam. I wciąż nie mogę sobie darować, że byłam tak ślepa...

— Ta choroba skrada się podstępem. Czasami trudno ją zauważyć. Nawet u siebie.

Nie odpowiedziała. Otarła tylko łzę, która niekontrolowana wymknęła się z jej oka. Była silna w swoim cierpieniu. Małgorzata wiedziała, że Agnieszka nie chce współczucia. A tak bardzo pragnęła podejść do niej i przytulić ją do siebie tak mocno, jak potrafiła, i wykrzyknąć: „Wybacz mi! Nie chciałam cię, a teraz siedzę tu i cierpię tak samo jak ty. Nawet nie wiesz, kim jestem, a moje serce pęcznieje miłością do ciebie z sekundy na sekundę. Z każdą chwilą, gdy patrzę na ciebie. Z każdym brzmieniem twojego głosu. To cena, jaką płacę za tę jedną decyzję podjętą dwadzieścia trzy lata temu”.

— Agusiu... — cichy głos dobiegł z drugiego pokoju. Agnieszka wstała szybko i spojrzeniem przeprosiła Małgorzatę.

— Mama się zbudziła. Myślę, że za chwilę będzie ją pani mogła zobaczyć.

Widziała już chorą osobę niejednokrotnie, ale widok Teresy naprawdę przeraził Małgorzatę. Pamiętała zdrową, zahartowaną życiem kobietę. Teraz zobaczyła wyniszczone walką ciało i oczy pełne bólu i cierpienia. Jednak mimo to na tej mizernej i prawie tak przezroczystej jak biała poduszka twarzy zajaśniał prawdziwy uśmiech. I ten uśmiech na krótką chwilę przywrócił temu ciału życie.

— Małgosia. Wcale się nie zmieniłaś. Ta sama dziewczynka mieszkała z nami nad morzem. Ile to już lat minęło?

— Dobrze wiesz ile. I nie praw mi komplementów, bo mam w domu lustro. — Małgorzata objęła wysuszone ręce Teresy i przycisnęła do nich usta.

— Już za późno na współczucie. Sama sobie jestem winna. Podejrzywałam tę chorobę dawno temu, ale wyszłam z założenia, że tak długo, jak nie będę o niej wie działa, ona nie zaatakuje. Pomyliłam się. Przegrałam. Teraz to już nie jest ważne. Pogodziłam się ze śmiercią. Próbuję tylko oswoić z nią Agnieszkę. Dobrze, że tu jesteś. Czekałam na ciebie... ale dziś nie mam siły na rozmowę. Kiepski dzień. Poproszę Agnieszkę, żeby się tobą zajęła. Ja muszę zebrać siły. Tak wiele mam ci do powiedzenia i tak mało czasu mi już zostało. Bądź cierpliwa, Małgosiu, to już nie potrwa długo.

— Zostanę z tobą tak długo, jak będziesz chciała. Nigdzie się nie śpieszę i w tej chwili nie ma dla mnie ważniejszych spraw. Zbieraj siły i odpoczywaj. Ja będę tuż obok.

Już wychodziła, gdy dobiegł ją cichy głos kobiety:

— Jest piękna, prawda?

Małgorzata odwróciła się i skinęła głową. Bez słów. Po jej twarzy toczyły się drobne, gorące łzy.

W pokoju panował półmrok, rozświetlony jedynie małym punktowym światelkiem. Miękki mrok zacierał kontury i ulepszał niedoskonałości ludzkiego ciała. Światło ulicznej latarni zaglądało niepewnie przez uchylone okno, przez które wraz z podmuchami nocnego wiatru wpadały dźwięki układającej się do snu Zakopianki.

Teresa przetrwała kolejny dzień krótkiego już życia. Niewiele ich zostało do końca. Czuła to. Czuła zapach śmierci. Nie bała się go. Przeżyła swoje życie godnie, doświadczyła najdoskonalszego uczucia miłości matczynej, kochała i była kochana. Bóg podarował jej tak wiele, że nie mogła prosić o więcej. Czuła się spełniona i szczęśliwa, a odkąd zjawiła się Małgosia, także spokojna.

Małgosia. Jej ciepły uśmiech dodawał otuchy, łagodził cierpienie i przywracał wiarę. Teresa wiedziała, że już nie musi martwić się o Agnieszkę.

— Przykryć cię?

— Nie — potrząsnęła głową. Z nastaniem nocy ból odpłynął. Wiedziała, że tylko na chwilę, dopóki morfina będzie działać. Miała niewiele czasu, a tak wiele chciała powiedzieć Małgorzacie.

— Ciemno tu, ale wiesz, światło mnie męczy. Nawet w dzień. Agnieszka przysłania mi okna.

— Zachowuję się identycznie, gdy mam migrenę. Zasłaniam wszystkie okna, biorę pigułkę i kładę się z ciemną opaską na oczach. I pomaga.

— Mnie już żadna pigułka nie pomoże. Nie, nie użalam się nad sobą. Miałam czas przyzwyczać się do myśli, że jestem już blisko kresu swojej ziemskiej drogi. Wierzę w to lepsze życie tam, w niebie. I nie rozpaczam.

Ale żałuję, że zlekceważyłam chorobę. Może gdybym zajęła się tym wcześniej, kilka lat lub choćby kilka miesięcy, może mogłabym podarować Agnieszce więcej.

— Tereso, dałaś jej ogromnie dużo. Dałaś jej miłość, której... wstyd mi to przyznać, ale... nie dostałaby ode mnie. Teraz, po latach, wiem, że tamte problemy były niczym, a ja byłam cholerną egoistką, jednak wtedy... dla mnie to dziecko było rozczarowaniem, ciemną stroną miłości. Dla ciebie zaś wiarą i nadzieją. To nie ja dałam jej życie, tylko ty, Tereso.

— Co ty mówisz, Małgosiu! Widziałam, jak patrzysz na nią przy każdym karmieniu, przewijaniu i kąpielu. Widziałam, jak tuliłaś ją do siebie, gdy wydawało ci się, że nikt z nas nie patrzy. Widziałam to i bałam się, że się rozmyślisz i zabierzesz ją ze sobą...

— Chciałam... — Małgorzata zamknęła oczy. Czuła piekące łyzy i zapach dziecka. Było takie malutkie i ufne, wyciągało swoje zwinięte piąstki i patrzyło na nią jeszcze niewidzącymi oczami.

Pamiętała długie godziny porodu w szpitalu w Pucku. Bolało i rozrywało ją w środku. Nie było przy niej matki, ale była Teresa. Trzymała ją za rękę, masowała obolały krzyż, uczyła oddychać i wierzyć, że to się wkrótce skończy. Była młoda i jej organizm poradził sobie doskonale. Urodziła Agnieszkę razem z Teresą. Obie płakały, gdy krzyczące niemowlę położono na brzuchu Małgorzaty.

— Ma pani córkę. Duża, zdrowa dziewczynka, trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt gramów, świetne punkty w skali Apgar, dziesięć.

Sylwia miała już mniej szczęścia. Małgorzata znosiła tę ciężę potwornie, rodziła Sylwię dwie doby i mała zjawiała się na świecie wymęczona i zapętlona pępownią, z trudnościami w samodzielnym oddychaniu. Cały pierwszy tydzień życia Sylwia spędziła w inkubatorze. Dopiero po ośmiu dniach Małgorzata dostała małą do karmienia.

Agnieszka była silna od samego początku. Już jako niemowlę sztywno trzymała główkę i kopała nogami jak zawodowy piłkarz. A krzyczała tak głośno, że Małgorzata zawsze wiedziała, że to jej córka jest głodna lub niezadowolona. Jej córka? Nie jej. Teresy.

— Zachowałeś się bardzo dojrzałe, Małgosiu — ciepła, wysuszona ręka Teresy zacisnęła się na jej spoconej dłoni. — Podziwiałam cię za to. Dotrzymałeś słowa. Podarowałeś mnie i Romanowi największe szczęście.

— Tęskniłam za nią przez te wszystkie lata... Zastanawiałam się, jaka jest, jak wygląda... Dzięki tobie i twoim listom wiedziałam. Ale wciąż było mi tego mało.

— Roman był przeciwny tym listom i zdjęciom, które wysyłałam. Mówił, że niepotrzebnie sprawiam ci nimi ból. Ale ja wiedziałam, czułam, że tego chcesz.

— Chciałam. Gdy urodziła się Sylwia, wciąż szukałam w niej tamtego dziecka. A potem, dzień po dniu, porównywałam i wyobrażałam sobie, jak dziewczynki bawiłyby się razem, jak by to było, gdybym wtedy...

Teresa dotknęła wilgotnego policzka Małgorzaty.

— Teraz będziesz mogła to zobaczyć. Weźmiesz ją do siebie, prawda, Małgosiu?

Wyblakłe oczy kobiety wpatrywały się w Małgorzatę wyczekująco. Teresa czekała, choć znała odpowiedź. Znała serce Małgorzaty. Pokochała tę dziewczynę, jak tylko zjawiała się u nich w domu, i nigdy nie wątpiła w szczerść jej uczuć. Wiedziała, że jest to trudna decyzja, ale Małgorzata już ją podjęła, jadąc tutaj.

— Moje córki będą w końcu razem. Zajmę się nią. To moje dziecko. Tereso, nie mogłabym postąpić inaczej. Nie mogłabym...

— Czyś ty oszalała? Rzucasz studia po pierwszym roku i wyjeżdżasz?! Nie rozumiem i kategorycznie się na to nie zgadzam! Oszalała! Słyszysz, Magda, twoja córka oszalała!

— Tato, to jest dla mnie szansa na przyszłość. Dobrą przyszłość. Czasy się zmieniają. Dziś już nie wystarczą dobre studia, liczy się również doświadczenie i praktyka. To dobra szwedzka firma. Pracują w niej sami wybitni specjaliści, naprawdę dobrzy prawnicy, tato.

— Małgosiu, ale dlaczego właśnie teraz? — Matka starała się być bardziej wyrozumiała, ale i jej trudno było pogodzić się z decyzją jedynaczki. — Nie możesz tego odłożyć na rok lub dwa? Po trzecim roku zdobędziesz więcej wiedzy, będziesz bardziej obyta w terminologii i teorii. Poczekaj, daj sobie jeszcze trochę czasu.

— Mamo, to jest jedyna taka okazja. Teraz, nie za dwa lata. Tylko trzy miejsca przeznaczono dla naszej uczelni. Ja jestem jedyną studentką pierwszego roku, którą wytypowali. Powinniście być ze mnie dumni, a wy mi to jeszcze utrudniacie.

Była pewna, że prędzej czy później przekona rodziców. Zależało jej jednak na czasie, jej brzuch bo wiem był coraz bardziej widoczny. Aż dziwne, że jej własna matka, w dodatku lekarz, niczego nie zauważyła.

To Teresa wymyśliła ten plan. Małgorzata dopracowała szczegóły. Przyjaciółka załatwiła jej prospekt szwedzkiej firmy prawniczej z siedzibą w Oslo. Małgorzata dość dobrze знаła angielski, spreparowała więc list świadczący o tym, że jako jedna z trojga studentów prawa na swojej uczelni została wytypowana na półroczną praktykę w Szwecji. Kolegów z piątego roku, którzy wraz z nią uczęszczali na seminarium Davida, poprosiła o

odegranie przedstawienia przed rodzicami. Pomimo absurdalności i ryzyka całego przedsięwzięcia plan zadziałał. Do dziś Małgorzata zastanawiała się, jak to się stało, że ojciec, który przecież sam był prawnikiem i obracał się w kręgu wielu znanych profesorów, docentów i doktorów z uczelni, nie odkrył oszustwa. Może rzeczywiście był z niej tak dumny, że chciał w to wierzyć? Nigdy go o to nie zapytała. Miała tylko nadzieję, że nie zawiodła ludzi, którzy dali jej życie i kochali ją ponad wszystko.

Pośpieszny pociąg stukotał po szynach i wiozł Małgorzatę do Gdańska. Miała ze sobą tylko jedną torbę. Więcej nie potrzebowała. W większość swoich rzeczy i tak już się nie mieściła. Maleńkie życie zaczynało się w niej delikatnie poruszać.

Teresa czekała na peronie. Tuż za nią stał Roman. Ścisnął mocno rękę żony i patrzył na tę drobną dziewczynę, od której nagle zaczęło zależeć ich życie. Patrzył na jej delikatną urodę i błękitne oczy, w których wy czytał ogromny smutek i determinację. Bał się przyszłości, bo mogła przynieść rozczarowanie. Nie chciał więcej bolesnych dni dla Teresy. Ona już przeszła dużo. Kolejne cierpienie i niespełniona nadzieja mogły na zawsze zaćmić blask jej oczu i wypalić serce. Czy ta nastolatka jest tego świadoma?

— Nie martw się, ona dotrzyma słowa.

Zawsze potrafiła czytać w jego myślach. I zachowała ten dar do samego końca.

Małgorzata pokochała tych prostych i serdecznych ludzi od samego początku. Przyjęli ją w swoim skromnym, maleńkim mieszkanku jak długo wyczekiwanego gościa. Dzielili się z nią tym, co mieli. A mieli niewiele. Teresa pracowała w szpitalu w Pucku. Tam też mieli zakładowe mieszkanie, w którym jeden pokój oddali Małgorzacie. Roman był strażakiem w Ochotniczej Straży Pożarnej w Pucku. Wciąż młody i sprawny, chował w

sercu nadzieję na prawdziwą rodzinę. I kochał swoją żonę tak, jak tylko potrafił. Oboje stworzyli Małgorzacie rodzinę, za którą tak bardzo tęskniła przez te długie dla niej miesiące.

Tamto lato miało zapach morza i morskiej bryzy. Piaszczyste nadbałtyckie plaże przyciągały spragnionych słońca turystów. Małgorzata lubiła je szczególnie wieczorami. Lubiała wędrować po pustoszejącej plaży i patrzeć na układające się do snu morze. Czasami było spokojne jak lustrzana tafla, innym razem spienione, wypychało ze złością fale i wyrzucało je na brzeg. Tak samo zachowywało się jej dziecko. Były dni, że tylko czkawką przypominało o swoim istnieniu, ale coraz częściej przychodziły chwile, gdy kopało mocno i się wywracało, a brzuch tańczył, falował, zapadał się i wstawał. Teresa lubiła przykładac do niego rękę i wyczuwać maleńkie nóżki i piąstki, które zaciskały się ze złością na zbyt ciasne mieszkanie.

— Nic się nie martw, będę przy tobie od początku do samego końca. Nie jesteś sama, Małgosiu. I nie bój się porodu. Ten ból naprawdę można znieść. Ono ci go wynagrodzi.

— Wiesz, nie mam żalu do tego dziecka. To nie jego wina, że jest. Głupota i bezmyślność rodziców, szaleństwo z tragicznym finałem. Czasami wydaje mi się, że mogłabym je pokochać...

— Ty już je kochasz. Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Mimo tłumów przybyłych do Zakopanego i nawału turystów na głównej ulicy malowniczego miasteczka Krupówki zachwyciły Małgorzatę. Spacerowała aleją świeżo wybrukowaną i rozświetloną promieniami letniego słońca, wypila aromatyczną kawę w ogródku jednej z wielu urokliwych kawiarenek i wykupiła połowę tutejszych straganów, zaopatrując rodzinę w bambosze i ciepłe owcze kamizelki. Marek marzył każdej zimy, pomyślała więc, że kamizelka będzie miłym upominkiem z górskich stron.

Chodząc po gwarnym targu pod Gubałówką, delectowała się zapomnianym smakiem oscypka i wytargowała za rozsądną cenę ręcznie haftowany obrus na rodzinny stół.

Chłodzona zalotnym wietrzykiem i rozpieszczana promieniami południowego słońca niemal zapomniała, z jaką przyjechała tu misją. Była radosna i szczęśliwa, wystukując na komórce znajomy numer telefonu.

— Cześć, kochanie. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak przepięknie widać dziś Giewont. Jest tuż przede mną, na wyciągnięcie ręki — zaczęła radośnie.

— Nawet nie wyobrażasz sobie, jak nam ciebie brakuje. — Głos Marka przypomniał jej, dlaczego nie spędza urlopu z rodziną.

— Tęsknię za wami ogromnie i chciałabym, abyście byli tu ze mną. Tatry są przepiękne. Czuję się tak, jakbym dopiero odkryła, że istnieją. Powiedz mi, dlaczego nigdy nie spędzaliśmy tu wakacji?

— Ależ spędzaliśmy. Tuż przed narodzinami naszej córki. I chcę ci przypomnieć, kochanie, że to ty unikałaś południa Polski. Ja byłem zapaleńcem gór, a przy tobie musiałem pokochać Mazury.

Uśmiechnęła się. To prawda. To ona bała się tajemnicy, jaką okryła swoją przeszłość. I nie zbliżała się do Tatr pomimo nalegań Marka. Wiedziała jednak, że tu może okazać się zbyt słaba, że nie będzie miała w sobie tyle siły, aby trzymać się z dala od ulicy Kasprowicza. Już raz to przeżyła i była pewna, że takie chwile powróciłyby natychmiast po przyjeździe tutaj. Tego się bała i dlatego nie przyjeżdżała w Tatry, tylko wybierała Mazury, z którymi łączyły ją jedynie wspomnienia o Marku.

— Wiem. Jak się trzymacie beze mnie?

— Cholernie nam ciebie brakuje. Ja jestem już duży i potrafię to zrozumieć, ale Sylwia... jest na ciebie wściekła.

— Daj mi ją na chwileczkę. Chcę szepnąć jej słówko i jakoś ją udobruchać.

— Obawiam się, że nie będzie łatwo.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Małgorzata z bijącym sercem czekała na głos córki. Tęskniła za nią. Zawsze starała się być bardzo blisko Sylwii, jakby tym chciała wynagrodzić sobie utratę Agnieszki. Boleśnie przeżywała każdą kolonię czy obóz, na które Marek z ochotą posyłał jedynaczkę. Małgorzata pragnęła mieć dziecko stale obok siebie. I to nagłe rozstanie było dla niej podwójnie trudne.

— Cześć, mamó. Dlaczego nie ma cię z nami? Przecież obiecałaś...

Jej dziewczęcy, jeszcze lekko dziecinny głos spłynął na umęczoną duszę Małgorzaty niczym kojący miód.

— Witaj, kochanie. Tak bardzo za tobą tęsknię. Gdybym tylko mogła, już teraz wsiadłabym do samochodu i jeszcze dziś była z wami.

— Więc wsiadaj i przyjeżdżaj. Jak mocno przygazujesz, to może zdążysz na wieczorne ognisko. Mówię ci, będzie super.

— Wierzę, córeczko, i cieszę się, że miło spędzasz czas. Ale wiesz, mój przyjazd może się troszkę opóźnić.

— Mamo, przecież obiecałaś!

— Posłuchaj, kochanie, tutaj jest pewna pani, bardzo mi bliska. Ona umiera i nie ma nikogo, kto mógł by się nią zająć. Nie mogę jej zostawić samej. Jeszcze nie teraz. Rozumiesz?

— Czy śmierć obcej kobiety jest dla ciebie ważniejsza niż własna rodzina? Są tam przecież jakieś szpitale. Nie wierzę, że nikt nie może się nią zająć.

— Sylwia, jak możesz tak mówić? To mi sprawia przykrość.

— A mnie sprawia przykrość to, że jesteśmy tu bez ciebie, chociaż obiecałaś! Nie wiem, czy potrafię ci to wybaczyć, mamo.

Ciepłe słowa Marka, którymi zakończył rozmowę, nie ukoily rozedrganego serca. Słowa Sylwii były okrutne, a jej wiek już nie usprawiedliwiał tego typu zachowań. Po tej rozmowie Małgorzata po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy wychowali Sylwię na dobrego człowieka. To pytanie miało powrócić jeszcze wielokrotnie, uświadamiając jej dopiero po tylu latach, że nadmiar miłości nie zawsze służy dziecku.

Wróciła do małego mieszkanka przygnębiona i zupełnie nieprzygotowana na widok, jaki zastała. Drzwi do pokoju Teresy były szeroko otwarte. Kobieta siedziała na łóżku zgięta w pół i wiła się w konwulsjach mdłości i wymiotów. Biała lniana pościel naznaczona była śladami wymiocin i krwi, a Agnieszka ze łzami w oczach starała się pomóc matce i jednocześnie zapanować nad całym bałaganem.

Małgorzata porzuciła torby z zakupami tuż przy drzwiach i podbiegła do łóżka, by podtrzymać głowę Teresy.

— Jak długo to trwa?

— Nie wiem. — Agnieszka pokręciła przecząco głową. — Dziesięć minut, może piętnaście.

Torsje powoli ustępowały. Teresa opadła na poduszkę, ciężko dysząc. Była mokra od potu i łez.

— Mama poczuła się gorzej tuż po śniadaniu, jak tylko pani wyszła. Wszystko przez te nowe leki. Organizm przestaje reagować, przyzwyczajając się, a ból się nasila. Więc przepisują inne, mocniejsze, a potem większą dawkę. To się powtarza już coraz częściej.

— Agusiu... pić — głos Teresy był słaby i ledwo słyszalny.

— Już przynoszę, mamuś. — Dziewczyna podniosła się z podłogi. Wyglądała okropnie. Zabrudzone było nie tylko jej ubranie, ale i włosy, które wymknęły się spod plastikowych szczęk kłamry. Jej twarz była przeraźliwie smutna, a w czarnych oczach kręciły się łzy.

Małgorzata uśmiechnęła się do niej ciepło, chcąc dodać jej otuchy.

— Przynies mi, Agnieszko, miskę z ciepłą wodą, gąbkę i świeżą bieliznę dla mamy. Zajmę się nią.

Dziewczyna spojrzała na kobietę z wdzięcznością i bez słowa wyszła z pokoju.

Nie był to przyjemny widok, ale Małgorzata nawet się nie skrzywiła. Myła i przebierała Teresę, nie przestając mówić. Opowiadała jej o Krupówkach, o swoim odkrywaniu dawno zapomnianych miejsc, uroczych za kątkach, które napotkała, i o wszechpotędze gór, które zachwycaly, zadziwiały i niepokoiły.

W tym czasie Agnieszka posprzątała podłogę, zmieniła pościel i wstawiła pranie. A Małgorzata wciąż mówiła, starając się jak najczęściej przywołać na twarz uśmiech. Przerwał jej słaby szept Teresy.

— Zazdroszczę ci, Małgosiu. Widziałś krzyż na Giewoncie?

— Tak. Widoczność dzisiaj jest wspaniała i krzyż widać bardzo wyraźnie.

— Roman zginął na Giewoncie. Ukochał góry do samego końca. Zawsze gdy patrzę na krzyż, widzę jego. I tak mi żal, że już nigdy Tatr nie zobaczę.

— Zobaczysz.

— Nie oszukuj mnie, ty mała trzpiotko. Dziękuję — oczy Teresy zabłyśły na chwilę. Nie trwało to długo. Ale Małgorzata zrozumiała.

— Przestraszyłaś mnie.

— To jeszcze nie koniec.

— Pewnie, że nie. Musisz jeszcze zobaczyć Tatry.

Kąciki ust chorej uniosły się leciutko.

— Nie czaruj mnie. Znam swoje miejsce. Małgosiu... zajmij się dziś Agnieszką. Ja teraz będę spała, a ona... zawsze przeżywa te ataki. Nie skarży się i nic nie mówi, ale ja wiem. Znam ją.

— Czas, żebym i ja zaczęła ją poznawać — szepnęła.

Nie było to jednak łatwe. Agnieszka była zamknięta i nieufna. Małgorzata długo musiała ją namawiać na wspólny spacer. Dopiero gdy oddech Teresy uspokoił się, a jej pierś unosiła się i opadała rytmicznie, Agnieszka zgodziła się na wspólne wyjście, zostawiając przy łóżku Teresy telefon i pakując do plecaka komórkę.

— Zawsze tak robię, gdy wychodzę. Mama jednym przyciskiem uruchamia mój numer, a ja jestem o nią spokojniejsza.

Szły w milczeniu, rozkoszując się przedwiecznym chłodem. Zakopane gęstniało o tej porze dnia. Piechurzy i włóczykije poschodzili już z gór i teraz szukali ochłody w tutejszych pubach i chatach, orzeźwiali się schłodzonym piwem lub delektowali tutejszym grzańcem. Tylko najwięksi zapaleńcy i prawdziwi miłośnicy gór pozostali wysoko pod samym niebem, wybrawszy twardą podłogę schroniska i kąpiel w lodowatym strumieniu.

Agnieszka prowadziła Małgorzatę swoimi ścieżkami, które przemierzała pewnie jak kot dobrze znaną trasę w ciemności. Czasami wskazywała na budynek, kościół czy uliczkę i kreśliła w paru słowach ich historię. Małgorzata słuchała jak urzeczona. Pragnęła tej bliskości i nią się cieszyła. Chciała krzyknąć: „Chwilo, trwaj! Nie odchodź! Nie przemijaj!”.

Zmęczone wędrówką przysiadły w góralskiej chacie z chłopskim jadłem. Pstrąg z rusztu smakował wyśmienicie, a grzaniec galicyjski podgrzewał atmosferę wieczoru i zaplatał cieniutką nić pomiędzy kobietami. Ciemne oczy Agnieszki jaśniały przedziwnym blaskiem, gdy zwracała swe spojrzenie w stronę gór. Tam było jej życie. Małgorzata czuła to. I zadawała sobie pytanie, jak ten cudownie dziki ptak rozwinie skrzydła w dusznej stolicy. I czy w ogóle rozwinie?

— Tata nauczył mnie rozumieć góry. Był ratownikiem TOPR-u. Ukochał Tatry do samego końca... tak mówi mama. I ma rację. Powiedział

mi kiedyś, że jeśli miałby odejść, chciałby patrzeć na góry. I tak odszedł. Przez czyjąś głupotę i brak odpowiedzialności.

— Dawno... dawno to się stało?

— Sześć lat temu. Byłam w ogólniaku. Pamiętam... było nam wtedy bardzo ciężko. Mama długo nie mogła się po tym pozbierać. A mnie do tej pory go brakuje. Szczególnie teraz... Tata był zawsze pogodny i silny tam, w środku. Przy nim obie z mamą czułyśmy się bezpiecznie. Gdy go zabrakło, trochę się pogubiłyśmy.

Małgorzata smutno pokiwała głową. Chciała objąć dziewczynę i ją przytulić, ale odważyła się tylko dotknąć kosmyka czarnych włosów opadającego na jej ramię.

— Znałam twojego tatę. Był dobrym i mądrym człowiekiem. Oboje z Teresą tworzyli wspaniałe małżeństwo. Wzajemnie się uzupełniali... — uśmiechnęła się do wspomnień sprzed lat.

— Skąd pani właściwie zna mamę?

Zaskoczyła ją tym pytaniem. Ale właściwie dlaczego? Przecież mogła się go spodziewać, powinna się przygotować. Jednak to szybkie życie zupełnie nie dało jej czasu na próbę spotkania z córką, tylko od razu wypchnęło na scenę. Małgorzata stała teraz w blasku reflektorów i zupełnie nie znała swojej roli.

— Poznałam ją, gdy byłam młodsza od ciebie — głos z trudem przechodził przez krtań, a ręce nie potrafiły już utrzymać kielicha z grzańcem. — Twoja mama pomogła mi podjąć życiową decyzję. Zaopiekowała się mną w chwili, gdy byłam zupełnie sama ze swoimi problemami. Dużymi problemami jak dla tak młodej dziewczyny, jaką wtedy byłam. Twoja mama... uratowała mi życie.

„I sprawiła, że co rano mogłam spojrzeć w oczy swojemu odbiciu w lustrze” — pomyślała, ale nie wypowiedziała tych słów. Bała się emocji.

Bała się powiedzieć za dużo.

— Zabawne, to samo mama mówiła o pani.

— Mam propozycję, mów mi po imieniu, po prostu Małgosia.

Agnieszka odgarnęła z twarzy zabłąkany kosmyk i skinęła głową bez słowa. Nie uśmiechnęła się. Jej twarz pozostała smutna i zmęczona.

— Powiedz mi coś o sobie, Agnieszko.

„Tak mało o tobie wiem. Tak dużo chciałabym wiedzieć”.

Dziewczyna spojrzała gdzieś w dal, daleko poza Małgorzatę.

— Co tu opowiadać... Odkąd pamiętam, chciałam być ratownikiem, tak jak tato. On skutecznie mnie do tego zniechęcał i myślę, że dzięki niemu wybrałam jednak architekturę wewnątrz na ASP w Krakowie. Chciał, żebym coś w życiu osiągnęła... Wszystko, co miałam, to byli oni. — Spuściła głowę. Była twarda, nie pozwoliła wypłynąć ani jednej kropli z oceanu łez, który nosiła w sobie.

— Na którym teraz jesteś roku? — Tak bardzo chciała ją przytulić, dotknąć jej miękkiej grzywki i od garnąć ją, ale... Bała się. Bała się, że Agnieszka ją odtrąci, potraktuje ten gest jak gest litości. Nie chciała tego.

— Zaczęłam czwarty, ale jak mama zachorowała, wzięłam dziekankę. Musiałam być przy niej, ma tylko mnie.

Małgorzata odważyła się i delikatnie położyła swoją dłoń na opalonej dłoni dziewczyny.

— Wrócisz na studia.

— To wszystko nie jest takie proste... — wysunęła rękę i ukryła twarz w dłoniach. — Wiesz, jak mi jest strasznie źle i mam problem, z którym nie umiem sobie poradzić, wstaję o świcie i idę na Czerwone Wierchy. To miejsce kocham w Tatrach najmocniej. Tam mam swoją chwilę, która mnie uskrzydla. Jestem tak blisko nieba... Ostatnio często tam chodziłam...

— A ja, jak mi jest źle, idę do Łazienek. Siadam na ławce naprzeciw Szopena i się resetuję. Czasami pomaga taka odskocznia od rutyny.

— Tylko raz byłam w Warszawie. Na wycieczce szkolnej, jeszcze w podstawówce.

— Podobało ci się?

— Czy ja wiem... Dużo ludzi, dużo samochodów.

— Zupełnie jak w Zakopanem. — Uśmiechnęły się. Przez chwilę obie poczuły beztroskę wakacyjnej rozmowy o rzeczach drobnych i błahych.

— Myślę, że powinnyśmy już wracać. Mama na pewno już się obudziła. Nie lubię zostawiać jej samej.

Mama. Jak miękko i łagodnie wypowiadała to słowo. I jak wiele było w tym uczucia.

— Jasne.

Wracały rozświetlonymi ulicami miasta, które wcale nie miało ochoty układać się do snu. Szum przejeżdżających aut spletał się z głośnym cykaniem świerszczy. Wieczór był pogodny, ale dość chłodny. Małgorzata szczelniej otuliła się miękkim polarem, ale i tak ten chłód przenikał gdzieś głębiej i nie mogła opanować drżenia, jakie powoli obejmowało całe jej ciało.

Tyle myśli kotłowało się w jej głowie, tyle emocji, z którymi nie potrafiła sobie poradzić.

Jak uda jej się żyć obok Agnieszki z tą straszliwą prawdą skrytą głęboko w sercu? I jak pogodzić te dwa światy, dwa życia, siebie z teraz i siebie z tych lat, kiedy tak łatwo zrezygnowała z ogromu miłości ukrytej w tak miękko wypowiedanym wyrazie. Mama.

Rozdział III

AGNIESZKA

1

— To jest jakieś chore. Nie możesz tak po prostu zostawić wszystkiego i wyjechać. Aga, tutaj jest twoje życie, tutaj się wychowałeś, tu jest twój dom.

— Oto właśnie chodzi, że tego domu tu już nie ma, Łukasz. To zakładowe mieszkanie, nie należy do nas. Dobrze wiem, że gdy tylko mama... — Spuściła głowę i przełknęła ślinę. Wciąż żyła nadzieją. Nie była jeszcze gotowa na pożegnanie. — Prędzej czy później będę musiała się stąd wyprowadzić. Takie jest prawo.

— To cholernie niesprawiedliwe!

— A kto ci powiedział, że życie jest sprawiedliwe? Jedni dostają wszystko, a inni zostają z niczym. Tak było od wieków. — Agnieszka spojrzała smutno na chłopaka.

Jego obcięte krótko włosy zaczynały płowieć od słońca, a na twarzy pojawiły się letnie piegi, które zawsze ją tak wzruszały. Łukasz. Był przy niej zawsze, odkąd zaczęła swoją szkolną edukację. Wspólna ławka w podstawówce, wspólne kredki i nożyczki. Wspólne chwile po lekcjach i wspólne wakacje. Mieszkał na Gubałówce, latem w jego domu wciąż kręcili się turyści. Agnieszka spędzała tam dużo czasu, najpierw jako dziewczynka, a potem nastolatka. Razem przeszli przez trudny czas gimnazjum i nastoletniej głupoty. Gdy z pająkowatej, chudej dziewczyny zaczęła się wyłaniać atrakcyjna kobieta, nadeszło zauroczenie. Byli parą aż

do matury. Dzięki Łukaszowi Agnieszka nie rozpadła się na kawałeczki po stracie ojca. Łukasz pomógł jej przez to przejść i także dzięki niemu była silna przy Teresie.

Po maturze Agnieszka zapragnęła swobody i wolności. Łukasz był niezastąpionym przyjacielem, ale chciał zamknąć Agnieszkę w złotej klatce i mieć ją tylko dla siebie. Uwierała ją zaborczość i nieustanna obecność chłopaka. Rozpoczęli studia i życie osobno. Pozostała przyjaźń i pewność, że wśród milionów anonimowych ludzi na świecie mają siebie i mogą na siebie liczyć. Zawsze.

— Zamieszkas z nami.

Roześmiała się.

— Oszalałeś? Alicja oczy by mi wydrapała. Łukasz! Żenisz się za cztery miesiące!

— Nie pasujesz do wielkiego świata, Agnicha.

— Wielkie dzięki! Uważasz, że wychowując się tutaj, jestem kimś gorszym?

— Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli — nakrył jej opaloną dłoń swoją dłonią. Była ciepła i bezpieczna. Jakiś punkt odniesienia w tych niepewnych dniach. Agnieszka przymknęła oczy. Przypomniała sobie rozmowę z Teresą poprzedniej nocy. Obie nie spały. Miały dla siebie już tak mało czasu.

— Agniesiu, tak mi przykro, że zostawiam cię bez niczego, kochanie. Tak bardzo mi wstyd...

— O czym ty mówisz, mamó? — Jak mała dziewczynka tuliła się do słabej dłoni matki, szukając jej ciepła i wsparcia.

— Zostawiam ci tak niewiele... nigdy nie sądziliśmy, że tak to się skończy. Popełniliśmy błąd, sądząc, że jesteśmy nieśmiertelni.

— Mamó...

— Posłuchaj mnie, Agnieszko, to dla mnie ważne. Chcę, kochanie, żebyś była blisko Małgorzaty. Pozwól jej zaopiekować się sobą. Nie traktuj tego jak litości i schowaj do kieszeni swoją góralską dumę, tylko... pozwól jej na to, proszę cię. Ona cię potrzebuje bardziej niż ty jej...

Teresa słabła. Agnieszka poprawiła poduszkę i dotknęła czoła matki. Było ciepłe.

— Mamo, nic z tego nie rozumiem. Kim jest Małgorzata? Skąd się wzięła tak nagle?

— Małgosia... to jedyna rodzina, jaka nam została. Naucz się z nią żyć, córciu. O to cię proszę. Nie błąkaj się sama po świecie, tylko pozwól jej się sobą zaopiekować.

— Mamo, dam sobie radę, nie martw się o mnie.

Teresa spojrzała na córkę swoimi zmęczonymi, wyblakłymi oczami.

— Obiecuj mi to, Agnieszko. Obiecuj mi, że nie odtrącisz pomocy Małgosi. Obiecuj mi...

Tyle determinacji było w tym głosie i spojrzeniu, że to przeraziło Agnieszkę.

— Obiecuję, mamo.

Teraz siedziała naprzeciw Łukasza i nic z tego nie rozumiała.

— Nie wiem, dlaczego mamie tak bardzo zależy, abym wyjechała z Małgorzatą. Nie chce, żebym została tu sama.

— Nie będziesz sama. Jesteś wśród swoich, tam nie masz nikogo. Nie znasz tego miasta.

— Poznam. — Wysunęła dłoń z jego dłoni i z gniewem spojrzała na chłopaka czarnymi oczami. — Niczego mi nie ułatwiasz, Łukasz. Przyszłam tu, licząc, że pomożesz mi to poukładać do kupy, a ty przytaczasz argumenty, których sama używam. Tak chce moja matka, to są

jej słowa, być może jedne z ostatnich... Nie rozumiem tego, ale... muszę uszanować jej wolę. Poza tym... przyszłość naprawdę mnie przeraża.

— Aga, to tylko trzy miesiące. W październiku wrócisz do Krakowa, zamieszkasz w akademiku, znajdziesz pracę. Wszystko się ułoży.

— Wszystko układa się tylko w bajkach. A to jest moje życie.

Była uparta i wiedział, że już podjęła decyzję.

— Jeśli tylko będę mógł ci w czymś pomóc...

— Mogę zostawić swoje rzeczy u was na strychu? Nie chcę się wszystkiego pozbywać, a nie wiem, ile będą mogła zabrać.

— Strych jest do twojej dyspozycji, nasz dom również.

Uśmiechnęła się i dotknęła dłonią policzka chłopaka.

— Zawsze będę cię kochać, wiesz?

— Wiem — pokiwał smutno głową.

— Nie martw się, gdziekolwiek będę, na ślub przyjadę.

— No to mnie pocieszyłaś — westchnął i spojrzał w te czarne oczy, które zawsze były dla niego tajemnicą.

Wiedział, że nic już nie będzie takie jak przedtem. Dwa światy, dwa życia, dwa serca bijące innym rytmem.

Teresa odeszła równie cicho i skromnie, jak żyła. Jej twarz wygładziła się spokojem, cierpienie odeszło. Nic już nie bolało i nie przerażało. Nie było lęku i oczekiwania. Był spokój.

Małgorzata trwała przy Agnieszce, współodczuwając jej ból, pomagając przejść przez przygotowania pogrzebu i w końcu będąc przy niej na małym cmentarzu, gdzie Teresa spoczęła u boku męża. Przez cały ten czas była blisko, na wyciągnięcie ręki, nie narzucała się jednak ze swoją pomocą. Krok po kroku przechodziła z Agnieszką ten najboleśniejczy czas tuż po utracie bliskiej i kochanej osoby. Patrzyła na cierpienie córki i miała świadomość, że nie może jej pomóc tak, jakby chciała. Głupie serce paliło i piekło w środku, a ona nie mogła zrobić nic, aby je ugasić.

— Upijmy się — zaproponowała, kiedy kolejną godzinę patrzyła bezsilnie na przeraźliwie smutną twarz dziewczyny i jej pustkę w ciemnym mroku źrenic.

— Alkohol mi nie służy. Nie umiem się upić z godnością.

— Ja też nie, ale mimo to się upijmy.

Piły, mieszając czystą wódkę z pepsi. Małgorzata nie robiła tego od wieków, właściwie od czasów studenckich. Obecnie jej kontakt z alkoholem ograniczał się do lampki koniaku lub nalewki robionej każdego lata przez Marka. Dziś, wraz z każdym łykiem jej ciało odprężało się, napięcie gdzieś odpływało, a kształty otaczającego świata traciły wyrazistość i łagodniały. Łagodniała też Małgorzata, jej ból i poczucie winy.

— Nie wiem, jak mam się w tym wszystkim odnaleźć. — Agnieszka siedziała na kanapie po turecku i obserwowała kołyszący się w szklance

płyn.

— Nie rzucę ci hasła w stylu: „Wiem, jak się czujesz i przez co przechodzisz”, bo głównie o tym wiem. Moi rodzice nadal żyją i wciąż traktują mnie jak rozpieszczoną jedynaczkę, którą tak naprawdę jestem. Powiem ci tylko jedno, Agnieszko, przejdę przez to razem z tobą. Na jakiś czas zabiorę cię do siebie, a potem razem zdecydujemy, gdzie chcesz być i co chcesz zrobić ze swoim życiem. Nie zostawię cię z tym samej, kochanie. Będę przy tobie tak długo i tak blisko, na ile mi tylko pozwolisz. — Odważyła się i dotknęła ostrożnie włosów dziewczyny, odgarniając je i zakładając za ucho. Były inne w dotyku niż cieniutkie włosy Sylwii. Grube i gęste. I nagle, przez ułamek sekundy, ten dotyk przypomniał jej inne włosy i zapach mężczyzny, którego oczami patrzyła na nią jej córka. W tej krótkiej chwili zatęskniła za Davidem i młodością, za szaleństwem tamtych dni.

— Dlaczego to dla mnie robisz? — Agnieszka patrzyła na Małgorzatę wyczekująco.

Pomimo ilości wypitego alkoholu i emocjonalnej huśtawki wiedziała, że nie może powiedzieć Agnieszce prawdy.

— Bo kochałam Teresę. Bo jesteś częścią jej. Bo są tysiące powodów, dla których chcę być blisko ciebie.

— Na przykład?

— Jesteś śliczna i mądra. Liczę na to, że dasz dobry przykład mojej córce, która obecnie jest zbuntowaną nastolatką. — Małgorzata się roześmiała. — Oczywiście to był żart. Dość kiepski.

— Opowiedz mi coś o swojej córce.

Zaskoczyła ją.

„To ty mi o niej opowiedz” — krzychało jej serce.

— Sylwia... jest w drugiej, nie, teraz już w trzeciej klasie gimnazjum. Uczy się dobrze, ale przechodzi właśnie trudny okres dojrzewania, a my wraz z nią — uśmiechnęła się na wspomnienie córki.

— Ładna jest?

— Tak. — Małgorzata się zamyśliła. — Jest delikatna, drobna i bardzo kobieca. Blondynka z niebieskimi oczami.

— Taka jak ty.

— Tak — pokiwała głową. — Jest bardzo do mnie podobna, tylko bardziej rozpieszczona, a ja wobec niej pozostaję bezradna.

— Zawsze chciałam mieć siostrę.

Małgorzata milczała. Tak wiele miała do powiedzenia, a tak mało mogła powiedzieć. Rozmowa z Agnieszką była przyjemnością, ale ból sprawiało to, że w jakimś sensie oszukuje szczerą i teraz tak bezbronną dziewczynę.

— Pamiętam... jak byłam mała, marzyłam o rodzeństwie. Zamęczałam rodziców prośbami o maleńką siostrzyczkę, z którą mogłabym się bawić. Potem jednak zaczęłam odkrywać korzyści płynące z bycia jedynym dzieckiem w rodzinie. To było wygodne. Miałam wyłączność na rodziców. Do dziś tak jest, tylko teraz muszę dzielić ich miłość z Sylwią.

— Jak to będzie, Gosiu? Wejdę w ten wasz uporządkowany świat i wywrócę go do góry nogami. Macie swoje przyzwyczajenia, rytuały. Będę kimś obcym. Nie boisz się?

Małgorzata pokręciła głową.

— Nie boję. A ty?

Agnieszka podciągnęła kolana i oparła na nich brodę.

— Ja się boję. Ale tu... nie potrafiłabym się bez nich odnaleźć.

— We dwie damy radę.

Nie mogła już powstrzymać fali wzruszenia ani czułości, która ją opanowała. Przysunęła się do dziewczyny, a potem przytuliła ją do siebie tak mocno, jakby chciała ją ukryć w tym uścisku. Serce jej było jak szalone, a na ramieniu, w miejscu, gdzie Agnieszka oparła głowę, poczuła łzy, które dziś wypłynęły z oczu dziewczyny wraz z całym smutkiem, który ją przytłoczył.

Płakały obie, jakby tymi łzami chciały oczyścić wspomnienia, obmywając je z bólu i cierpienia, a zostawiając jedynie tęsknotę i pamięć.

— Kochanie, usycham z tęsknoty za tobą — głos Marka koił, uspokajał i dawał poczucie pewności i bezpieczeństwa.

— Wracam do domu. Będę wieczorem. Zaczekasz na mnie z kolacją?

— Oczywiście. Chcesz coś specjalnego czy wystarczą ci moje kanapki?

— Kanapki będą OK. Jak Sylwia?

— Obrażona, ale szybko jej przejdzie, jak tylko się dowie, że wracasz. Jak się czujesz? — poznała znajomą troskę w głosie męża.

— Jestem tym wszystkim przybita. Ciężko mi to ogarnąć.

— Biedactwo. Czekam na ciebie. Jedź ostrożnie.

— Będę — rozłączyła się i skupiła na drodze. Miała dużo czasu, żeby przemyśleć, jak przygotować najbliższych na przyjazd Agnieszki. Podjęła tę decyzję sama, bo nie mogła postąpić inaczej, ale oni nic o Agnieszce nie wiedzieli. Dla Sylwii i Marka będzie to zupełnie obca kobieta, która tak z dnia na dzień wtargnie jak intruz do ich poukładanego świata. Jak to przyjmą? Czy zrozumieją jej decyzję, podjętą spontanicznie i bez żadnego namysłu?

Co ona im powie? Kim ma być Agnieszka w ich życiu, w ich rodzinie?

— Muszę z wami o czymś porozmawiać. — Małgorzata skuliła się w ulubionym fotelu. Ciepłe światło stojącej lampy napełniało jasny pokój spokojem. Tego spokoju potrzebowała. Nie miała go w sobie. Czuła się zupełnie jak wtedy, kiedy musiała zapomnieć jakąś część siebie i zapanować nad tym chaosem, który rozpełtał się wewnątrz niej.

— Przepraszam, podjęłam pewną ważną dla nas wszystkich decyzję bez pytania was o zdanie, ale uwierzcie mi, nie miałam wyboru.

— Wybór ma się zawsze. Sama mnie tego uczyłaś. — Sylwia siedziała na oparciu kanapy, nonszalancko żując gumę. Wciąż była obrażona na Małgorzatę za wyjazd i zostawienie ich samych w czasie urlopu.

Dzieci są najcięższą bronią, którą sami niejednokrotnie kierujemy przeciwko sobie. Małgorzata zdała sobie sprawę, że jej własna córka będzie jej największym przeciwnikiem, i poczuła strach. Nie wiedziała, którą stronę poprze Marek. Spojrzała na męża z wielką prośbą w oczach.

— Na jakiś czas ktoś z nami zamieszka. To córka mojej serdecznej przyjaciółki Teresy, która zmarła kilka dni temu. Agnieszka została zupełnie sama. Z dnia na dzień straciła dom, rodzinę i środki do życia. Chcę jej pomóc, bo jej mama kiedyś pomogła mnie. To mądra, dobra i wrażliwa dziewczyna.

— Ile ma lat? — Szczeka Sylwii wciąż miarowo poruszała się w górę i w dół.

— Dwadzieścia dwa, no, prawie dwadzieścia trzy.

— Może iść do pracy. Ta twoja... przyjaciółka naprawdę nic jej nie zostawiła?

— To byli niezamożni ludzie. Żyli bardzo skromnie. Żadne z nich nie przewidziało, że tak szybko będą musieli ją zostawić.

— A ona nie ma żadnych dziadków, ciotek czy innych krewnych? — Egoizm Sylwii zabolął Małgorzatę. W którym momencie ona i Marek popełnili błąd? Kiedy zatarła im się granica między rozpieszczeniem a milczącą zgodą na wszystko?

— Małgosiu, dobrze to przemyślałaś? — Marek rzadko się unosił. Jego opanowanie dawało Małgorzacie poczucie, że on rozumie, że nie mówiąc całej prawdy, zdoła przekonać męża, iż decyzja, którą podjęła, jest jedyna i słuszna.

Skinęła głową, wpatrzona w kochane oczy męża.

— Kiedy chcesz ją przywieźć?

— Za kilka dni. Do tego czasu muszę... powinniśmy pomyśleć, gdzie ulokujemy Agnieszkę.

Pokiwał ze zrozumieniem głową, a Sylwia prychnęła pogardliwie.

— Nawet sobie nie myśl, że wpuszczę ją do swojego pokoju.

— Myślałam raczej o swoim gabinecie...

Gabinet Małgorzaty był jej najintymniejszym zakątkiem w całym mieszkaniu. To była jej samotnia i schronienie przed światem i ludźmi, nawet tymi bliskimi. Siedząc przy solidnym dębowym biurku, pracowała nad aktami spraw mniej lub bardziej skomplikowanych lub po prostu uciekała myślami daleko stąd, wpatrując się w Warszawę żyjącą w ciągłym pośpiechu. To miejsce nasiąkło obecnością Małgorzaty, jej zapachem i emocjami. Chciała oddać tę przestrzeń córce z nadzieją, że przebywając na tych samych metrach kwadratowych, dziewczyna pozna Małgorzatę lepiej i być może pewnego dnia zrozumie.

— A gdzie będziesz pracowała?

— Mama wyprowadzi się już na stałe do kancelarii i w ogóle przestaniemy ją widywać.

Małgorzata starała się nie reagować na celowe zaczepki Sylwii, ale stawało się to coraz trudniejsze. Z wiekiem cięty języczek jedynaczki wyostrzał się coraz bardziej i ranił mocniej.

— Myślałam, żeby wstawić biurko do sypialni, a regały z książkami zostawić na swoim miejscu. To na razie jedyne rozsądne rozwiązanie.

— W całym tym chorym pomysle nie ma nic rozsądnego. — Sylwia wydeła usta, założyła ręce na piersiach i spojrzała na matkę tak, jakby chciała ją sprowokować.

— Wiecie co, dziewczyny? — Marek podniósł się z kanapy i przeciągnął. — Ja jestem już zmęczony. Biorę prysznic i muszę się z tym wszystkim przespać. Rano weźmiemy się do roboty. — Nachylił się i pocałował czubek głowy Małgorzaty, a przechodząc obok Sylwii, pieszczotliwie zmierzwił jej włosy.

— Tato!

— Przepraszam, wciąż zapominam, że nie burzy się fryzury dorastającej kobiety. Dla mnie wciąż jesteś dzieckiem.

— Pora, żebyś zauważył zmianę.

Marek westchnął teatralnie i zniknął w łazience.

Małgorzata została sama z Sylwią w naelektryzowanej napięciem ciszy. Nie patrzyły na siebie, bliskie, a jednak dalekie. Odmiennie postrzegały świat i choć Sylwia była częścią Małgorzaty i wyszła z jej ciała, nastoletni sposób życia, „chcę” i „ja” Sylwii zupełnie odbiegały od pragnień Małgorzaty.

— Postaraj się być dla niej miła. Straciła wszystkich, których kochała. Będzie czuła się samotna w tych wszystkich obcych miejscach. Nie utrudniaj jej tego.

— Na szczęście niedługo wyjeżdżam na obóz, tak więc będziesz mogła się nią opiekować bez obaw. Zastąpi ci córkę.

Małgorzata skuliła się w sobie, jakby te słowa nie były słowami, ale ciosem, który mocno zabolął.

Ile jeszcze takich słów usłyszysz od Sylwii? Ile razy przypadkowe zdanie na nowo będzie jąrzyć ranę pokrytą grubym strupem wyparcia i zapomnienia? Czy można tak po prostu wynagrodzić komuś odtrącenie?

Nie znała odpowiedzi na te pytania i chyba wcale ich nie szukała. Przyszłość była wielką niewiadomą, ale musiała się z nią zmierzyć. Lawina już ruszyła. Nic nie było w stanie jej zatrzymać.

Agnieszka patrzyła na pusty pokój, ogołocony z mebli, dywanu i zasłon oraz tych wszystkich drobiazgów i bibelotów, które nadają ciepło wnętrzom. Czuła się zupełnie tak jak to mieszkanie, z którego musiała się dzisiaj wyprowadzić. W środku była pusta, wypalona, wypłakana. Ogołocona z radości życia, nadziei i oczekiwania. Nowe było niewiadomą. Stare odeszło wraz z Teresą. Wiedziała, że opuszczając ten dom, zostawia tu część samej siebie, której już nigdy nie odzyska. Na razie nawet wspomnienia schowała do głębokiego worka niepamięci, wiedząc, że nie przejdzie przez kolejny etap swojego życia z bagażem radości i bez troski, jakich tutaj doświadczyła. Każde takie wspomnienie cofałoby ją z drogi, którą jej narzucano. Jeśli miała nią podążyć, musiała zapomnieć, przynajmniej na jakiś czas.

Potem, kiedyś... przyjdzie czas na odkopanie tych skrawków przeszłości, które wtedy będą już odległe. Kiedyś to już nie będzie tak bolało. Teraz piekło i parzyło, jakby te chwile nie chciały dać się wyrwać, jakby chciały w niej pozostać. Nie mogła im na to pozwolić.

Była już spakowana. Większą część rzeczy zostawiała na strychu u Łukasza, ze sobą zabierała niewiele. Ubrania, trochę ulubionych książek, porcelanę Teresy, w której lubiły pić kawę. Tak mało rzeczy przenosiła w ten nowy, nieznany świat. Zupełnie jakby wyjeżdżała na chwilę, a nie na... No właśnie, na jak długo?

Ile czasu będzie trwała jej tułaczka wśród obcych, zanim się usamodzielni i stanie na własnych nogach?

Poczuła czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Drgnęła. Łukasz wszedł cicho i niepostrzeżenie. Powynosił już wszystko, co było do wyniesienia. Teraz

chciał zabrać ją stąd jak najdalej, aby złagodzić ten ból pożegnania na zawsze.

— Chodźmy już.

Bez słowa skinęła głową. Ostatni raz musnęła dłonią futrynę, na której wciąż wyraźnie widać było kreski obrazujące jej centymetry przybywające każdego lata. Roman skrupulatnie je odliczał i zaznaczał z dumą ojca. Przeżyła tu całe swoje życie. Ten dom był jej oazą. Ale bez ludzi, którzy go tworzyli, były to tylko puste ściany z wyblakłą tapetą i jaśniejszymi plamami w miejscu, gdzie wisiały obrazy i fotografie.

Ręka Łukasza pozostała na jej ramieniu, gdy powoli schodzili w dół, a potem zmierzali zatłoczonymi ulicami w kierunku Gubałówki. Ten marsz był jej pożegnaniem z miastem dzieciństwa. Wiedziała, że wróci tu niejednokrotnie, tak jak turyści, ale nigdy nie będzie już tak samo. Pewien etap w jej życiu minął bezpowrotnie, a ona sama stała jeszcze przed zakrętem.

Odsunęła od siebie wszystkie myśli i poddała się chwili. Od dziś, gdziekolwiek będzie, miało się liczyć tylko tu i teraz. Tylko tak mogła przeżywać kolejne dni i po prostu dalej istnieć.

Rozdział IV

DRZEWO

1

Lipcowy deszcz obmywał szybę, za którą zniekształcona Warszawa szykowała się do swojego pędu. Z przystanku z głośnym jękiem ruszał tramwaj zapchany mokrymi kurtkami i parasolami rozjeżdżającymi się do codziennych obowiązków. Samochody sunęły ospale, z nerwowym dźwiękiem klaksonów wpełzając w poniedziałkowy poranek. Warszawa nie przystawała nawet w okresie wakacji.

Agnieszka przycisnęła twarz do zimnej i wilgotnej szyby. Czuła pustkę, ogromną pustkę w sobie i wokół siebie. Nie było w niej żadnych emocji, żadnych wyrzutów wobec losu czy świata, który się nie zatrzymał. Ludzie się wciąż uśmiechali, w domach towarowych rozpoczęły się letnie wyprzedaże, politycy nadal się kłócili, a w telewizji leciały powtórki seriali i telenowel. Świat nie umarł wraz z jej dawnym życiem, a ona nie miała do niego o to pretensji. Była pusta jak wydrążony owoc.

Minione dni przeleciały przed jej oczami jak migawki dawno oglądanego filmu. Została podróż donikąd z Małgorzatą i kilkoma wypchanymi torbami, w których miała zmieścić całą swoją przeszłość.

Większą część drogi z Zakopanego do Warszawy przemilczały, każda zajęta swoimi myślami i obawami. Agnieszka bała się zadać jakiegokolwiek pytania, chociaż wiele z nich cisnęło się na usta i powodowało niepokój w sercu. Milczała więc i coraz głębiej wpadała w pustkę, która ogarniała ją kawałek po kawałeczku.

Marek powitał ją mocnym uściskiem dłoni, Sylwia krótkim „cześć” i skrzywieniem, które Agnieszka odczytała właściwie. Była tu intruzem. Nieproszonym gościem. Obcym. Elementem niepasującym do układanki. Czuła się tak cały czas podczas wspólnych posiłków i wszystkich chwil, które spędziła z rodziną Małgorzaty podczas krótkiego weekendu.

Nieśmiałe pukanie do drzwi wyrwało Agnieszkę z zamyślenia. Odwróciła się z cichym „proszę” na ustach.

Małgorzata z uśmiechem weszła do swojego gabinetu, który teraz miał być azylem dla Agnieszki, i przysiadła na łóżku pościelonym i wygładzonym już od świtu. Tuż za nią bezszelestnie wsunęła się Saba, trącając delikatnie dłoń dziewczyny swoim zimnym nosem.

— Widziałam, że jadłaś już śniadanie. Wstajesz jak ranny ptaszek.

— Zbudziłam się razem z tramwajami — uśmiechnęła się leciutko.

— Można się do nich przyzwyczaić. Z czasem tak się przywyka do tego dźwięku, że przestaje go zauważać. — Małgorzata podrapała łeb Saby wsparty na jej kolanach. — Chciałam ci dzisiaj pokazać moją Warszawę, ale deszcz pokrzyżował plany. Wybieram się z Sylwią do centrum handlowego, chcę jej kupić parę drobiazgów przed wyjazdem na obóz. Może się do nas przyłączysz?

Agnieszka pokręciła przecząco głową.

— Dziękuję, ale zostanę i rozpakuję się trochę.

W milczeniu, które zapadło, słyhać było tylko ciche posapywanie Saby.

— Agnieszko... wiem, że to dla ciebie trudne i że starasz się tu odnaleźć. Rozumiem cię i szanuję twoje uczucia. Potraktuj ten czas tutaj jak wakacje u przyjaciółki. Pora temu sprzyja, lato to czas wakacyjnych wyjazdów.

— Dziękuję za twoją troskę, jakoś się trzymam. Górali niełatwo jest złamać.

Spojrzała na dziewczynę z czułością. Agnieszka była mądra i zawdzięczała to ludziom, którzy ją wychowali.

— Opróżniłam ci szafki, te na dole — wskazała ręką ciemne mahoniowe drzwiczki. — W przedpokoju, w naszej ogromnej szafie zrobiłam ci miejsce obok siebie, możesz tam powiesić część swoich ubrań, a resztę ułożyć na środkowej półce. Pół mojej szafki w łazience też należy do ciebie. Możesz śmiało korzystać ze wszystkiego, co tylko znajdziesz w tym domu, z wyjątkiem golarki Marka.

Prawy kącik ust Agnieszki drgnął nieznacznie.

— Saba jest natrętna i będzie chodzić za tobą krok w krok z nadzieją, że otworzysz dla niej lodówkę. Nie otwieraj. Dla niej — wskazała na psa. — Dla siebie tak.

Małgorzata cieszyła się choćby z cienia uśmiechu Agnieszki. Pragnęła, by jej córka czuła się tu dobrze. Teraz tutaj był jej dom.

— Wrócimy około drugiej. Wtedy wymyślę coś na obiad. Dasz sobie radę?

— Dam. Mam co robić — wskazała na torby, które wciąż czekały na kolejną podróż lub rozpakowanie.

— To do zobaczenia. Gdyby ci bardzo przeszkadzała, wygoń ją do przedpokoju. Teoretycznie tam jest jej miejsce.

Po wyjściu Małgorzaty w ciszy i w pustym domu Agnieszka poczuła się niezręcznie. Starła się zająć ręce i myśli prostymi czynnościami wypakowywania i układania. Tak jak pies znaczy teren swoim zapachem, tak samo i ona zaznaczała swoją obecność w wypielegnowanym domu Małgorzaty, zapełniając jej szafki i półki swoimi rzeczami. Starła się w niczym nie zakłócić panującego tu porządku i nawet swoją garstkę

kosmetyków w łazience ustawiła symetrycznie i dokładnie, zupełnie jakby dekorowała wystawę sklepową.

Saba nie spuszczała jej z oka. Chodziła za dziewczyną krok w krok i z ciekawskim spojrzeniem oraz zabawnym przekręcaniem łba obserwowała każdy ruch Agnieszki.

Gdy weszły do kuchni, pomerdała swoim króciutkim ogonkiem i szczerknęła radośnie, a potem łapą trąciła kilkakrotnie pustą miskę.

— No i tu mnie masz. Mam za miękkie serce, spryciaro.

Otworzyła lodówkę i wyszukała kawałek kiełbasy, za który Saba podziękowała liźnięciem po rękę.

— Ale nikomu ani słowa. Będzie na mnie. Byłam głodna i zjadłam, taka jest wersja oficjalna. Nieoficjalną znasz, ale nie wydaj mnie, OK?

Saba wesoło zamerdała ogonem, a potem usiadła, podniosła łapę i szczerknęła krótko.

— O nie, nie ma mowy, więcej nie dostaniesz.

Agnieszka odsunęła krzesło i usiadła przy kuchennym stole, zwrócona w stronę okna.

Deszcz wciąż padał równym, monotonnym rytmem, a jego ciężkie krople odbijały się od betonowej studni. Okno Dobrowolskich zaglądało w ciemne okna sąsiadów po skosie i naprzeciwko. Na niemal pustym podwórku, pośród kałuż stał trzepak, wielokrotnie odmalowywany i pamiętający jeszcze czasy, gdy skupiał wokół siebie wszystkie okoliczne dzieciaki. Tuż za nim, wciśnięte w niewielki klomb, stało samotne drzewo. Pomimo nikłych promieni słonecznych, które tu z trudem docierały, drzewo było zdrowe i mocne. Wyciągało swoje konary wysoko w górę i cieszyło oczy zielenią drobnych liści. Ile lat tu stało i skąd się wzięło? Czy zasadziła je ludzka dłoń, czy też przyroda wzięła sprawę w swoje ręce, siejąc nasionko w tym właśnie miejscu?

Agnieszka poczuła się w tej chwili zupełnie jak jesion za oknem. Samotnie i nie na miejscu. A jednak trwała, tak jak i on trwał i chwycił się życia nawet w takich warunkach, surowych i ciężkich.

Wyprostowała się i wstała od stołu zdecydowana na próbę wrośnięcia w to miejsce tak jak to drzewo. Da sobie czas na poukładanie wszystkiego. Przedstawienie musi trwać, a ona nie może zejść ze sceny, bo właśnie tu i teraz przypadła jej rola. Postara się zagrać ją najlepiej, jak potrafi. Ale już bez wsparcia mamy.

Zapach podsmażanych pieczarek uderzył Małgorzatę już od progu. Z ulgą zdjęła z obolałych stóp buty na niewysokim obcasie i z torbą zakupów podążyła za zapachem do kuchni.

Agnieszka krzątała się po niej tak pewnie, jakby była u siebie. Opasana kolorowym fartuszkiem Małgorzaty, z włosami związanymi w koński ogon stała przy kuchence i sprawnie dosmażała placki ziemniaczane, mieszając na drugim palniku gęsty sos pieczarkowy. Na stole stały już starannie przygotowane talerze, sztucce i zielona sałatka z dobrodziejstw polskiego lata.

— Nie wiem, co powiedzieć. — Małgorzata stała nieporuszona w progu, siatka z zakupami zwisała z kurczowo zaciśniętej ręki w tak niedogodnej dla Saby pozycji, że suka głośnym szczeknięciem wyraziła swoje niezadowolenie. Agnieszka odgarnęła z czoła kosmyk włosów i uśmiechnęła się niepewnie.

— Chciałam się czymś zająć. Pomyślałam sobie, że będziecie głodne i zmęczone. Lubisz placki po zbójnicku? Powinny być borowiki, ale w Warszawie są chyba niedostępne.

— Pojawiają się w supermarketach tuż przed Bożym Narodzeniem.

— No cóż... — twarz Agnieszki zajaśniała najprawdziwszym uśmiechem. — Muszą wystarczyć nam pieczarki.

— A ja się zastanawiałam, co zrobić na obiad...

— No to masz problem z głowy. Myjcie ręce i siadajcie do stołu.

Wspólne rodzinne posiłki mają w sobie magię niecodzienności. To czas zatrzymany w miejscu i podarowany sobie nawzajem. Czas ciekawych spojrzeń, uprzejmych uśmiechów i rozmów o rzeczach zarówno ważnych,

jak i nieistotnych, jednoczących jednak i w jakiś niedostrzegalny sposób zacieśniających więzi, i te rodzinne, i przyjacielskie.

Małgorzata czuła tę wyjątkową i po raz pierwszy od przyjazdu Agnieszki niewymuszoną atmosferę wspólnego posiłku. Miała przy jednym stole dwie córki. Tak bardzo różne, a jednak w pewien nieuchwytny sposób podobne. Jej córki. Siostry. Każda z nich miała w sobie jakąś część jej samej. Jej geny, jej komórki. Tylko miłość rozłożyła nierówno i bardzo niesprawiedliwie. Sylwia dostała wszystko. Agnieszka zasmakowała tylko jej namiastki.

Otrząsnęła się z myśli, które ją dopadły, i spojrzała na młodszą córkę.

— Sylwio, czas na twój dobry uczynek. Saba chce siusiu. — Małgorzata wstała od stołu i zaczęła zbierać puste talerze. Nie umknęła jej skrzywiona mina córki.

— Naprawdę muszę?

— Spytaj Saby, czy nie wolałaby sikać w pampersy. Jeżeli się zgodzi, nie musisz zabierać jej na spacer.

— Bardzo śmieszne. — Sylwia z ociąganiem podniosła się z krzesła, które z głośnym zgrzytem odjechało od stołu.

— Pójdę z tobą. Pokażesz mi, które skwerki i klony lubi najbardziej.

— Nie ma zbyt wielkiego wyboru w śródmieściu. Lubi te, na które się ją wyprowadzi. A Sylwia wybiera zazwyczaj te najbliższe. — Małgorzata mrugnęła do Agnieszki, wstawiając brudne talerze do zmywarki.

— Mamo, zejdź ze mnie! A mówisz, że to ja jestem złośliwa.

Saba z radośnie merdającym ogonem stała nad smyczą i wyciągała pysk w stronę kagańca. Za cenę spaceru gotowa była dobrowolnie znosić tę paskudną drucianą siatkę.

Mokra ulica pełna była pułapek w postaci kałuż i zdradliwych płytek chodnikowych, na które szczególnie trzeba było uważać w taki zapłakany

dzień jak dzisiejszy, gdyż jeden nieopatrzny krok powodował wytryśnięcie brudnej fontanny spod chybotającego się kawałka bruku. Saba ruszyła przed siebie, zatrzymywana nagłymi szarpnięciami smyczy przez niezadowoloną Sylwię.

— To nie mój pies, a wciąż muszę z nią wychodzić.

— Nie lubisz zwierząt? — Agnieszka obserwowała dziewczynę z lekkim rozbawieniem. Już prawie nie pamiętała, jak to jest mieć szesnaście lat i widzieć zniekształcony obraz świata.

— Lubię, ale na Animal Planet, a nie w domu, a tym bardziej we własnym łóżku. To mama ma bzika na jej punkcie — wskazała ruchem głowy na sukę. — Nie dało się wyperswadować mamie trzymanie psa w śródmieściu Warszawy.

— Lubię psy. — Agnieszka dotknęła wilgotnej sierści Saby. — Ale nasze mieszkanie było zbyt małe, aby pomieścić tam jeszcze psa.

— Jak to jest, gdy umierają ci rodzice?

Bezpośredniość Sylwii zaskoczyła, ale nie zabolęła. Agnieszka wiedziała, że to ciekawość, a nie brak wrażliwości.

— Smutno. I pusto. Nagle zdajesz sobie sprawę, że bezpieczny świat, w którym żyłaś do tej pory, nie istnieje. Wszystko, w co wierzyłaś, wszystkie twoje marzenia legły w gruzach. I uświadamiasz sobie, że jesteś zupełnie sama, a ci, którzy wydawali się nieśmiertelni, odeszli, choć ty wcale nie byłaś na to gotowa. Zostajesz sama i choć masz w sobie tyle pytań i pretensji do życia, nie masz ich komu wykrzyczeć.

— Twoja mama miała raka?

Agnieszka skinęła głową.

— Mamy kilku moich koleżanek też umarły na raka. Ale one mają jeszcze ojca albo rodzeństwo, albo macochę. Ty naprawdę nie masz nikogo?

— Nikogo, o kim bym wiedziała. Moi dziadkowie zmarli, gdy byłam mała. Rodzice nie mieli rodzeństwa i z żadnymi kuzynami nie utrzymywali kontaktów. Do niedawna nie miałam również pojęcia o istnieniu Małgosi, twojej mamy.

— Kim tak właściwie moja mama jest dla ciebie?

Agnieszka popatrzyła na Sylwię bezradnie i wzruszyła ramionami.

— Sama chciałabym to wiedzieć — powiedziała cicho.

— Nie tęsknisz za znajomymi? Masz chyba jakichś znajomych?

Szczerłość i bezpośredniość pytań Sylwii rozbijały Agnieszkę.

— Mam wielu znajomych, kilkoro przyjaciół. Oczywiście, że tęsknię za nimi, ale w tej chwili nic nie mogę zrobić. Muszę znaleźć swój sposób na życie, ale gdzie... tego jeszcze nie wiem. To wszystko mnie przerosło, ale muszę sobie z tym jakoś poradzić.

— Ja nie wiem, jak przeżyję te trzy tygodnie w Szkocji bez znajomych. Dobrze, że istnieje taki wynalazek jak Internet.

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Tak, znacznie ułatwia życie.

— I komunikację! Jakoś przetrwam ten czas z laptopem. Wrócimy tędy, Bagatelą. To jest tak zwane kółeczko, czyli dłuższy spacer z Sabą. Trzeba tylko uważać na rudą wilczycę. Bardzo się obie nie lubią i kilka razy miały ostre starcie. Do tego tamta często chodzi bez kagańca, a wtedy Saba nie ma szans. Nie można jej tu spuszczać ze smyczy, chyba że późnym wieczorem, kiedy już nie łązi tylu ludzi.

Paplanina Sylwii kołał niepokój Agnieszki i powoli oswajała ją z nową rzeczywistością. Dla Sylwii to wszystko było zwyczajne, rutynowe, dla Agnieszki nowe i nieco egzotyczne. Ta nowość ciekawiła, ale i przerażała.

Mokra ulica pachniała deszczem i spalinami. Agnieszka starła z policzka zimną kroplę i wciągnęła w płuca ciężkie powietrze miasta. Czy

będzie umiała odnaleźć siebie w tej innej, obcej rzeczywistości, bez tych, którzy kochali ją bezwarunkowo i dla których była jedyna i najważniejsza?

Czy będzie potrafiła dalej tak po prostu żyć?

Wiedziała, że wcześniej czy później ten numer wyświetli się na jej komórce. Dzwonił jak zwykle późno. Dochodziła jedenasta, Warszawa cichła, miasto układało się do snu. Ona nie mogła zasnąć. Nie miała też dość siły, aby zignorować ten telefon. Rozum odradzał wciśnięcie zielonej słuchawki, serce potrzebowało tej telefonicznej bliskości i słów, które chyba nigdy nie były prawdą.

— Halo?

— Dlaczego nie zadzwoniłaś? Nic nie wiedziałem. Dopiero dziś przypadkiem spotkałem Łukasza. Gdzie jesteś?

— W Warszawie.

— Jak długo chcesz tam zostać?

— Nie wiem. Muszę się pozbierać. Potrzebuję trochę czasu.

— Nie wiedziałem, że to wszystko wygląda aż tak źle. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Zamknęła oczy i potarła czoło kciukiem i palcem wskazującym. Tęskniła za tym głosem.

— Wiedziałeś o chorobie mamy.

— Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

— Ty też nie byłeś ze mną do końca szczerzy.

Zamilkł. Ona też milczała. Nie chciała mu niczego ułatwiać. Już nie.

— Aga... wróć do Krakowa. Zamieszkaś w kawalerce na swoich warunkach. Oddam ci dwie pary kluczy i wpuścisz mnie tylko wtedy, gdy będziesz miała na to ochotę. — Głos miękł tak jak ona, słuchając go. — Bardzo mi ciebie brakuje.

— Tomasz, przecież wiesz dobrze, że to nie ma sensu. Nie umiem tak żyć.

— Wróć na studia. Pomogę ci znaleźć pracę i nie będę się narzucał, obiecuję.

Uśmiechnęła się smutno i kciukiem pogładziła gładką powierzchnię telefonu. Wyobraziła sobie, że to jego policzek. Pachnący znajomą wodą toaletową i z całodniowym, nieco szorstkim zarostem.

— Chcę się nad tym wszystkim zastanowić. Potrzebuję tego czasu tutaj, w zupełnie obcym miejscu, aby to wszystko przemyśleć.

— Obiecujesz, że zadzwonisz, jak będziesz gotowa?

Machinalnie skinęła głową, choć wiedziała, że on tego nie może zobaczyć.

— Obiecuję.

— Uważaj na siebie w tym wielkim mieście.

— Dziękuję.

Jeden przycisk i znów rozdzieliła ich odległość i dystans, który narzuciła. Nagle tak bardzo zatęskniła za dotykiem i ciepłym głosem Tomasza. Chciała się w niego wtulić i wypłakać w pachnącą męczyzną koszulę. Tomasz był częścią czegoś, co kiedyś posiadała. Łączył dziś z wtedy, gdy jeszcze potrafiła być bezgranicznie szczęśliwa. I naiwna.

Zadrzała. Nie wiedziała, czy przez chłodne powietrze z uchylonego okna, czy przez wspomnienia. Weszła do łóżka, wtuliła się w poduszkę i szczelnie nakryła kołdrą.

Szare oczy Tomka patrzyły na nią przenikliwie, tak jak tamtego wieczoru. Polubiła swoją nagość przy nim. Przez wiele miesięcy patrzyła na siebie jego oczami. Nie odwracała głowy zawstydzona swoim odbiciem w lustrze i nie gasiła lampki przy łóżku w sypialni.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? Chcesz się mnie nauczyć na pamięć?

Nie uśmiechnął się jak zwykle i to ją zaniepokoiło.

— Stało się coś? — Poczula, że robi jej się zimno. Sięgnęła po jego koszulę i włożyła ją na nagie ciało, otulając się jego zapachem.

— Nie chcę, żebyś dowiedziała się o tym od kogoś innego. Jestem ci winien szczerość i... pewne wyjaśnienie.

— O czym ty mówisz? — Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jej rozum już wiedział, serce nie chciało słuchać.

— Nie powiedziałem ci całej prawdy, Aga. Ja... nie jestem sam. Mam żonę i siedmioletniego syna. Nie mówiłem ci o tym, bo... Cholera, nie wiedziałem, że to wszystko się tak skomplikuje.

— Znaczący... ja ci to wszystko skomplikowałam?

Nie umiała już patrzeć na niego. Jego słowa oszołomiły ją i jeszcze do końca nie rozumiała ich znaczenia.

— Ty i to, co do ciebie czuję.

— A co do mnie czujesz?

— Uwielbienie. Zjawiłaś się w moim życiu jak anioł, tyle że o osiem lat za późno...

— Osiem lat temu miałam zaledwie czternaście lat. Dlaczego mi to powiedziałeś? Dlaczego dziś? Nie mogłeś kłamać tak jak dotąd?

— Za bardzo cię szanuję, aby cię nadal oszukiwać. Jesteś dla mnie naprawdę kimś wyjątkowym i...

— I dlatego dopiero teraz powiedziałeś mi, że jesteś żonaty. Świetnie! To bardzo szlachetne z twojej strony. Doceniam to, ale... — głos jej się załamał. — Cholera! Tomek, nienawidzę cię. Jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś?

Płakała, skulona na jego łóżku i zamknięta w jego ramionach. Próbowwała się wyrwać, uderzyć go, ale trzymał ją mocno jak małe

rozhisteryzowane dziecko. Pozwolił jej się wypłakać i wyrzucić z siebie potok niecenzuralnych słów, na które zasłużył. Nie mógł zrobić nic więcej. Nie mógł jej złożyć żadnych deklaracji ani niczego obiecać. Mógł z nią po prostu być. Na chwilę. Na jakiś czas.

Zaakceptowała to.

A potem nie umiała już patrzeć na siebie w lustrze.

Podłoga w przedpokoju zaskrzypiała. Agnieszka podniosła głowę. Przez matową szybę drzwi w pomarańczowym świetle przydymionej lampy dostrzegła cień kobiecej sylwetki. Tak bardzo chciała, aby ktoś ją dzisiaj przytulił. Odrzuciła kołdrę i na bosy pobiegła za Małgorzatą do kuchni.

Ręka ze szklanką wody zastygła w powietrzu.

Duża, bosa dziewczynka ze smutkiem wymalowanym na twarzy patrzyła bezradnie oczami przeszłości. Brakowało jej tylko pluszowego misia.

— Agnieszka... myślałam, że śpisz. Obudziłam cię?

Pokręciła przecząco głową.

— Usłyszałam, że idziesz do kuchni. Małgosiu... przytul mnie.

Małgorzata powoli odstawiła szklankę i wyciągnęła ręce tak, jak wielokrotnie to robiła, gdy maleńka Sylwia wbiegała rozradowana w jej ramiona. Agnieszka nie wbiegła, tylko weszła w ten uścisk powoli, z lękiem i rezerwą. Ale gdy tylko ciepłe ramiona Małgorzaty otuliły ją tak miękko, jak wełniany szal zimą, rozkleiła się, pozwalając sobie na tę słabość i łzy, które ze zdumieniem dostrzegła. Myślała, że wypłakała wszystko i że nie ma w niej już ani jednej słonej kropli rozpacz. A jednak łzy wciąż były. I teraz moczyły satynowy szlafrok Małgorzaty.

— Kochanie, wiem, że jest ci źle. Jak dorosłe drzewo zostałaś wyrwana z korzeniami i przesadzona w inne, obce miejsce. Wiem, że nie potrafisz tu, w nieznanym otoczeniu, wśród nas odnaleźć siebie. Wiem o tym i

rozumiem cię. — Ręka, która gładziła ciemne włosy, się zatrzymała. — Ale w tym domu jest miejsce dla ciebie, a w moim sercu tyle ciepłego uczucia, że nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Jesteś mi potrzebna, Agnieszko...

Dziewczyna przymknęła oczy. W ciepłym uścisku Małgorzaty poczuła, jak całe napięcie odchodzi, a ciało rozluźnia się powoli. Już nie było tego uciskającego ciężaru na piersiach. Znow mogła oddychać swobodnie i dalej zмагаć się z życiem. I poczuła coś jeszcze. Ramiona Małgorzaty były jak ciepły, bezpieczny dom, w którym zawsze ktoś na kogoś czeka. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że zna i pamięta ten dotyk, to ciepło i te ręce. Trwało to chwilę, po której powoli wysunęła się z objęć Małgorzaty i spojrzała na nią silniejsza i twardsza. Jak dawna Agnieszka.

— Przepraszam, rozkleiłam się.

— Lubię, jak się rozklejasz. — Małgorzata uśmiechnęła się, choć wszystko w niej jeszcze drżało na wspomnienie niedawno przeżytej chwili.

— Miałam telefon, który wytrącił mnie z równowagi.

— Chcesz o tym pogadać?

Pokręciła przecząco głową.

— Chyba nie. Już się pozbierałam.

Małgorzata skinęła głową na znak, że rozumie. Nie chciała jeszcze pozwolić jej odejść i zniknąć za zamkniętymi drzwiami pokoju. To był ten magiczny moment, kiedy były tu tylko obie i powolutku plotły nikłą jeszcze nic porozumienia.

— Agnieszko, jutro będę musiała zajrzeć do kancelarii, już dziś Gordon wisi na telefonie z tysiącem pytań, łącznie z tym dla niego najważniejszym, kiedy wreszcie skończę urlop i wrócę do pracy. — Przewróciła oczami, wyrażając tym całą swoją niechęć do powrotu. —

Poradzisz sobie kilka godzin beze mnie z nastolatką, w której buzują hormony?

Agnieszka się uśmiechnęła. Oczy miała już suche, ale jeszcze zaczerwienione i opuchnięte.

— Jasne. Może nie będzie tak źle. Dzisiejsze popołudnie było całkiem fajne.

— Bo dziś Sylwia miała dobry humor po dniu spędzonym w galerii i sumach, jakie na nią wydałam. Jutro może być zupełnie inaczej, zwłaszcza że zostawiła pakowanie jak zwykle na ostatnią chwilę. Życie pod jednym dachem z dorastającą nastolatką to jak przebywanie w jednym pomieszczeniu z bombą z opóźnionym zapłonem.

— Damy radę. W końcu to tylko nastolatka.

Uśmiechnęły się.

— Dziękuję ci za to, że zgodziłaś się tu przyjechać.

— W zasadzie nie miałam wyboru. Ale... ja też się cieszę, że tu jestem, Małgosiu. I gdyby nie okoliczności... całkiem fajnie mi tu u ciebie. Dobranoc.

— Dobranoc, kochanie.

Patrzyła na wysoką, wysportowaną dziewczynę zmierzającą do pokoju. Próbowала sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby Agnieszka mieszkała tu od zawsze. Który pokój należałby do niej? Czy wychowana w tym domu nadal byłaby tak skromną, a jednocześnie niezależną i twardą dziewczyną? Jaki kontakt miałyby z Sylwią? Jak ułożyłyby się jej relacje z Markiem? Gdyby...

Nigdy nie będzie już tego „gdyby”. Jest teraz. I nie może tego zmarnować. Nie w momencie, gdy odzyskała córkę.

Ciepła kawa rozbudzała po złej i niespokojnej nocy. Jeden telefon Tomka rozkruszył skorupkę, jaką się otoczyła w nowej rzeczywistości. Wiedziała, że aby przetrwać, musi na nowo wejść głęboko w siebie, bo inaczej nie udźwignie kolejnych dni. Świadomość tego, że jest na świecie zupełnie sama, przerażała. Musiała się przed tym schować i wypracować nowy sposób istnienia. Tu i teraz. Nie mogła sobie pozwolić na słabość, na powierzenie swojego życia komuś innemu, danie przyzwolenia Tomaszowi na zarządzanie jej życiem. Tymczasowo pewnie przyniosłoby jej to ulgę. On chciał się nią opiekować, a ona nie musiałaby podejmować żadnych decyzji. Mogłaby być słaba, bo on by jej na tę słabość pozwolił. Ale jak długo by to trwało? W jakiej roli by się znalazła? Jakakolwiek jego decyzja kogoś by skrzywdziła. Już raz to przerobiła. I wyciągnęła wnioski.

I tylko... to głupie serce. Czego ono chciało? Pomimo bólu, jakiego doświadczało, rwało się do tej namiastki czegoś znajomego, która pozostała z dawnego życia. Tęskniło za dotykiem, głosem i spojrzeniem. Nie chciało rozumieć. Takie jest prawo serca. Nie mogła tego zmienić, ale mogła się mu sprzeciwić.

— Która godzina? — Rozczochrana Sylwia stanęła w progu kuchni, mrużąc sklejone jeszcze snem oczy i ziewając przeciągle.

— Ósma. Małgosia już wyszła, a na ciebie czeka przygotowane przez nią śniadanie. Zawsze jest taka troskliwa?

— Chciałaś powiedzieć „nadopiekuńcza”. Zawsze, odkąd pamiętam. — Sylwia usiadła na krześle, podwinęła nogi i oparła głowę na kolanach zupełnie tak, jakby układała się do snu.

— Zrobić ci herbaty? — Agnieszka uśmiechnęła się, patrząc z rozbawieniem na Sylwię chwytającą na kuchennym krześle resztki snu.

— Tak, poproszę — mruknęła, nawet nie podnosząc głowy.

— O której masz samolot?

— O drugiej. Muszę się jeszcze spakować i zmieścić w dwie torby o ograniczonej pojemności. Super! A mama akurat dziś musiała polecieć do Gordona. Jak zwykle! Praca, praca, praca. Wszystko ważne, tylko nie ja.

Agnieszka, odwrócona do Sylwii plecami, załapał wrzątkiem torebkę herbaty. Słuchając narzekań dziewczyny, się uśmiechnęła. Przypomniała sobie ten czas pełen pretensji do całego świata i wiecznego utyskiwania. To wszystko wydawało się takie odległe.

— Zjedz śniadanie, ogarnij się jakoś, a potem się spakujemy. Pomogę ci, mam w tym wprawę — dokończyła smutno.

— Dzięki.

— Cześć, dziewczyno. — Marek i Saba weszli do kuchni równocześnie. — Widzę, córca, że wstałaś, choć mocno w to wątpiłem.

Odpowiedzią Sylwii było tylko spojrzenie rzucone ojcu spod potarganej grzywki.

— Kawy?

Skinął z wdzięcznością głową i, siadając obok córki, ze zdziwieniem stwierdził, że w porannym rozgardiaszu obecność Agnieszki nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie, dziewczyna wkomponowała się w ich życie łagodnie i z wielkim wyczuciem, starając się pomagać i nie zawadzać. Nie czuł się skrępowany obecnością młodej kobiety. Było w niej ciepło, które czuł niemalże namacalnie.

Aromat kawy wypełnił ciemną o tej porze dnia kuchnię.

— Zdążysz ze wszystkim?

Patrząc na siedem rozczochranych nieszczęść na kuchennym krześle, mocno w to wątpił.

— Pomogę jej. We dwie damy radę.

— Tyle razy was proszę, żebyście nie odkładały wszystkiego na ostatnią chwilę — popatrzył na córkę z czułością, której nie potrafił ukrywać. — Obie z mamą jesteście takie same. Zawsze macie czas, a potem wariactwo i gorączka sobotniej nocy.

— Tato, zejdź ze mnie. Zaraz się do wszystkiego zabiorę, ale nie mogę funkcjonować, jak jestem głodna.

— A to masz po mnie — uśmiechnął się, dziękując skinieniem głowy za kubek aromatycznego napoju, który Agnieszka postawiła tuż przed nim.

Poranne przekomarzanie się Marka i Sylwii sprowadziły Agnieszkę z bujania w obłokach na ziemię. Życie, które wciąż trwa i toczy się nadal codziennością i znajomą rutyną. Chwile, których się nie docenia, gdy trwają, a za którymi się tęskni, gdy przeminą. Ojciec i córka. Młodość i dojrzałość.

Agnieszka miała w sercu zapisane podobne poranki i wieczory. Wtedy nie potrafiła ich docenić. Dziś sięgała po te skrawki przeszłości, aby poczuć, że oni wciąż są blisko.

Łagodny uśmiech Romana i mars troski na jego czole.

— Agusia, zrób mi herbaty, skarbie.

— Z malinami?

— Z malinami.

Drobiazgi, składające się na codzienność, która była bezpieczeństwem. Ulubiony kubek, to samo miejsce przy stole, którego po odejściu Romana nikt już nie zajął. Celebrowanie wspólnych chwil.

Doceniła to dopiero, gdy go zabrakło. Ojciec. Skała, na której trwała ich rodzina. Silny i niezawodny. Do samego końca oddany temu, czemu się

poświęcił. To nie była praca, to był jego wybór. Pasja, za którą zbyt drogo zapłacił.

Dostrzegła pytające spojrzenie Marka. Domyśliła się, że czeka na odpowiedź.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Pytałeś o coś?

— Pytałem, czy dacie sobie radę? Muszę na godzinę wyskoczyć, ale postaram się jak najszybciej być z powrotem.

— Poradzimy sobie. O której musicie być na lotnisku?

— Najpóźniej o dwunastej trzydzieści.

— Postaramy się wyrobić na jedenastą. Bierzemy się do pakowania.

— Jesteś aniołem — stwierdził z wyrazem ulgi wypisanej na twarzy.

Poczuła ciepło, które przez tę krótką chwilę jej ofiarował.

Podziękowała mu spojrzeniem.

— Nie możesz zabrać całej szafy.

— Nie pojedę przecież z jedną parą majtek!

— Ale nie będziesz potrzebowała trzech par tenisówek. Sylwia, jedziesz tam tylko na trzy tygodnie!

Agnieszka powoli zaczynała tracić cierpliwość. Spakowanie nastolatki wcale nie było tak proste, jak myślała. Minęła godzina, a Sylwia wciąż nie mogła się zdecydować, które z ulubionych ciuchów powinna zabrać, a które zostawić w szafie.

— Przez trzy tygodnie dużo się może zdarzyć. A jak akurat spotkam Roberta Pattinsona i będę miała na sobie buty w zupełnie innym kolorze niż cała reszta?

— Uwierz mi, że jeśli go spotkasz, nie będzie patrzył na twoje buty, tylko na fantastyczne nogi, jakie posiadasz. Dlatego ta spódniczka, ta sukienka i te rzemykowe sandały będą do tego odpowiednie. Poza tym kilka T-shirtów, dwie pary krótkich spodenek, jedne rybaczki i jedna para dżinsów w zupełności wystarczy.

— Fajnie, i wszyscy pomyślą, że jestem biedną Polką, bo noszę wciąż te same rzeczy.

Agnieszka westchnęła, zamknęła oczy i policzyła do dwudziestu. Zastanowiła się, czy sama dawniej była podobnie nieznośna.

— Posłuchaj, możesz zapakować całą szafę, w końcu twoich rodziców stać na nadbagaż, ale zauważ, że te klamoty sama będziesz musiała taszczyć. Co wtedy pomyśli o tobie Pattinson, jeśli wyląduje akurat na tym samym lotnisku i zobaczy cię objuczoną jak wielbłąd, z twarzą spoconą i czerwoną z wysiłku i rękami długimi do ziemi?

W pokoju zapanowała ciężka cisza. Sylwia odgarnęła z twarzy opadające pasemko włosów i spojrzała na Agnieszkę, podnosząc ręce do góry.

— Wygrałaś. Choć ten argument był poniżej pasa.

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Dla mnie bardziej przekonujący byłby Sean Connery. Ale to kwestia wieku. Została nam godzina.

Sylwia westchnęła głośno, opadła na podłogę tuż przy pustych torbach i zaczęła pakować rzeczy, które podawała jej Agnieszka. Nie marudziła już, czasami tylko prychała lub wywracała oczami, ale bez komentarza przyjęła pomoc Agnieszki i wybrane przez nią ubrania.

— Jeszcze tylko kosmetyki, dokumenty i tobie tylko wiadome skarby i jesteś gotowa.

— Dziękuję.

Stały naprzeciwko siebie, obie nieco zmieszane i nagle skrępowane tą bliskością.

— Jak ty to zrobiłaś? Zmieściłaś wszystko w dwóch walizkach? Spakowałaś tam wszystko, co miałaś?

Agnieszka poczuła niebezpieczną wilgoć w kącikach oczu. Przymknęła powieki, aby nie wypuścić słonych kropelek, które by ją całkiem rozkleiły.

— Cały mój świat w dwóch walizkach — powiedziała cicho. — No, niezupełnie. Wiele naszych rzeczy zostało na przechowaniu u przyjaciół, ale... w zasadzie tak to wygląda. Spakowałam swoje życie i zabrałam je stamtąd tutaj. Na razie. Potem... zobaczę.

— Nie śpiesz się z tym za bardzo. Wiesz... fajnie jest mieć starszą siostrę. — Sylwia uśmiechnęła się, patrząc na Agnieszkę.

— O ile nie musisz dzielić się z nią rodzicami.

— I pokojem! Nie zniosłabym tego, gdybyś szperała w moich szafkach i nosiła moje rzeczy.

— Szperać w szafkach nie zamierzam, a twoje ciuchy... są fajne, ale obawiam się, że w większość z nich bym nie weszła.

Roześmiały się, a potem Sylwia zupełnie nagle i nieoczekiwanie przytuliła się do Agnieszki na krótką chwilę. Było to trochę kanciaste przytulenie, ale sam gest wzruszył Agnieszkę. Był szczery i spontaniczny, jak sama Sylwia.

Chwila akceptacji i wyjścia z pozycji nieproszonego gościa na pozycję... No właśnie, kogo?

Po tygodniu zachlapanych i szarych dni nad Warszawą wyjrzało słońce. Rozbudziło stolicę, zrzuciło swetry, kurtki i polary ze stęsknionych za polskim latem mieszkańców i wlało w ich serca ożywienie i radość wakacyjnej beztroski. Przywróciło chęć życia i przebywania poza murami domów.

Agnieszka też poczuła to słoneczne ożywienie i przypływ energii. Zapragnęła coś zrobić, wyjść z domu dalej niż na skwerek z Sabą, wyrwać się z otępienia, w które powoli wpadała.

Stała w otwartych drzwiach balkonu, z kubkiem kawy w ręku i patrzyła z zachwytem na zmienione twarze przechodniów. Dziś jakby mniej się śpieszyli, częściej uśmiechali, wymieniali uprzejme „dzień dobry”, „proszę”, „dziękuję”. Chłód minionych dni był jeszcze odczuwalny w powietrzu, ale lipcowe promienie słońca ocieplały atmosferę zniechęcenia i oczekiwania na prawdziwe lato.

Radosne szczekanie Saby przy drzwiach oderwało dziewczynę od obserwacji i rozmyślań. Zaraz potem usłyszała rytmiczny stukot szpilek i zgrzyt klucza w zamku.

— Hej, hej, jest ktoś w domu? — W głosie Małgosi również słyhać było radosne ożywienie.

— Jestem tutaj. Obserwuję Warszawę.

Małgorzata zajrzała do pokoju i uśmiechnęła się słonecznie.

— Znam lepszy sposób niż spoglądanie na Warszawę z drugiego piętra. Nadszedł czas, żebym pokazała ci moje miasto.

— Jesteś na wagarach? — Agnieszka podniosła kubek do ust i upiła łyk stygnącej kawy.

— Można tak powiedzieć. Powinnam dziś mieć rozprawę, ale niestety, sędzia się rozchorował. Śmieszne nie? Kto choruje w lecie?

— Ludzie. A sędzia też człowiek.

— Masz świętą rację. — Roześmiały się. — Pomyślałam, że zrobię sobie dziś wolne. Gordon i tak niczego dla mnie na dziś nie zaplanował. Wyciszam więc komórkę, zostawiam laptopa w domu i zabieram cię na spacer po mojej Warszawie.

Agnieszka powitała tę propozycję z radością. Potrzebowała ruchu i powietrza. I kogoś, kto byłby przy niej choć przez jakiś czas.

— Najbardziej w Warszawie kocham Łazienki, ale tam najlepiej się wycisza wieczorem, po całym dniu w zgiełku miasta. Najpierw zabiorę cię więc na Stare Miasto. Gotowa na podbój Warszawy?

Skinęła głową, w pośpiechu chwyciła mały skórzany plecak i wybiegła na spotkanie z nieznanym.

Tramwaje, oprócz koloru, niczym nie różniły się od tych krakowskich. Powiozły Agnieszkę przez centrum Warszawy, zgrabnie omijając korki i zbierając z przystanków warszawian i przyjezdnych.

— Pamiętam, że jak tylko przeprowadziłam się do Warszawy, tramwaje mnie zachwyciły. W Lublinie, moim rodzinnym mieście, są tylko autobusy i trolejbusy na pałakach. Tramwaj wydawał mi się egzotyczny. Był wizytówką innego, lepszego świata. Zaproszeniem do sięgnięcia po więcej.

— I tak z łatwością po to sięgnęłaś?

Małgorzata zapatrzyła się w porysowaną szybę tramwaju.

— Nie było łatwo, ale tu były większe możliwości i dla mnie, i dla Marka. Chcieliśmy żyć na własny rachunek, nie zawdzięczać niczego rodzicom. Taka głupia, młodzieńcza duma. To były inne czasy, teraz młodzi ludzie są bardziej wygodni.

Ten powrót do przeszłości nie był łatwy dla Małgorzaty. Wraz z nim przychodziły wspomnienia, te dobre i te złe.

— Wysiadamy. Teraz trochę pospacerujemy, a na rynku zatrzymamy się na kawę.

Lekkie sandały Agnieszki niosły ją radośnie w stronę Zamku Królewskiego. Szła obok Małgorzaty, ramię w ramię, i cieszyła się tą bliskością drugiego człowieka, słońcem, ciepłem, lenistwem i beztrąską lipca. Na moment zatraciła się w tym radosnym przeżywaniu chwili, odsunęła na bok mrok i to, co bolało. Żyła. Czuła. Uśmiechała się.

Spacer uliczkami Starego i Nowego Miasta pozwolił odpocząć od wielkomiejskiego gwaru i pośpiechu. Agnieszka z ciekawością wchodziła w nastrojowe zaułki i całą sobą chłoneła atmosferę tego niepowtarzalnego miejsca.

Rynek Starego Miasta ją zachwyił. Stała jak urzeczona pośrodku rozległego placu i oczarowana patrzyła na kolorowe parasole ogródków piwnych, artystów wystawiających swoje prace lub tworzących je cichutko na schodach starych kamienic, dorożki i ludzi, którzy znaleźli się w tym samym miejscu i w tym samym czasie co ona.

— Już kocham to miejsce — uśmiechnęła się do Małgorzaty tak ciepło, jak jeszcze nigdy dotąd.

— Wiedziałam, że ci się spodoba. Chodź, zrobimy przerwę na kawę i lody. Zasłużyłyśmy na dużą porcję kalorii.

Usiadły w wygodnych wiklinowych fotelach w cieniu markizy.

— Rynek to jedno z najbardziej malowniczych miejsc w Warszawie. — Małgorzata spróbowała spojrzeć na swoje miasto oczami Agnieszki. — Wiesz, że te wszystkie kamienice zostały doszczętnie zniszczone w 1944 roku, a potem zrekonstruowane? Przywrócono im wygląd z XVII i XVIII wieku. Piękne, prawda?

— Piękne. — Agnieszka pokiwała głową i zatopiła łyżkę w puszystej górze bitej śmietany.

— Lubię to miejsce, ale rzadko tu bywam. Głównie z rodzicami, gdy nas odwiedzają.

— Dużo pracujesz, prawda?

Małgorzata wolno skinęła głową.

— Sylwia twierdzi, że za dużo, ale taka już jestem. Nie lubię robić niczego na pół gwizdka. Taka już moja natura. W Warszawie żyje się szybko. To miasto pędzi przed siebie i jeśli chcesz mu dotrzymać kroku, musisz narzucić sobie podobny rytm.

— W Krakowie też tak jest. Myślę, że pośpiech to przekleństwo XXI wieku. Mamy komputery, które miały za nas pracować, i wciąż nie potrafimy wyluzować. Nie umiemy się kochać ani żyć obok siebie, nic nas nie cieszy, wpadamy w depresję. Dokąd prowadzi nas ten świat?

— Agnieszko... — Małgorzata spojrzała uważnie na młodą i szczerą twarz dziewczyny. Chciała wejść w jej życie głębiej, ale się zawahała. Nie wiedziała, czy Agnieszka jej na to pozwoli. Nie chciała jej zrazić teraz, gdy była tak blisko, ale serce matki nie potrafiło zignorować bólu, jaki widziała w jej oczach kilka nocy temu. — Czy w twoim życiu jest ktoś bliski? Jakiś mężczyzna?

— Dlaczego pytasz?

„Bo się o ciebie martwię. Bo chcę cię uchronić przed błędami młodości, które sama popełniłam”.

— Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą. Ta noc...

— Nie płakałam przez niego. Już nie. Popełniłam błąd, Małgosiu. Zakochałam się w żonatym mężczyźnie i zostałam „tą drugą”. Dostałam nauczkę. Bolało, ale wyleczyłam rany. Już jest OK.

— Ktoś z rodzinnych stron?

Agnieszka potrząsnęła przecząco głową i zlizwała syrop toffi z łyżeczki.

— Mój wykładowca z ASP. Banał, prawda? Doświadczony doktor i jego zdolna studentka. Historia stara jak świat. I zawsze bez happy endu.

Dlaczego Małgorzata nie mogła zapanować nad drżeniem rąk? Serce przyśpieszyło i nagle zabrakło jej tchu.

— Małgosiu, dobrze się czujesz?

Pokiwała głową i upiła łyk wody, którą dostała razem z espresso.

— To chyba atak niedoboru pracy. Nie wiedziałaś, że cierpię na pracoholizm? — uśmiechnęła się blado.

Agnieszka nie uwierzyła. Zaniepokojona obserwowała Małgorzatę uważnie.

— Wiesz, nigdy nie powiedziałam tego mamie. Wstydziłam się. Wiem, że nie chciałyby tego zrozumieć. Ona i tata... ich miłość była idealna, byli dla mnie wzorem. Wiedziałam, że ich zawiodłam, ale... to była głupia miłość, silniejsza niż ja i moje ideały.

— Nie zawiodłaś ich. — Tyle ciepła było w głosie Małgorzaty. Agnieszka podziękowała jej spojrzeniem i smutnym uśmiechem. — Nigdy ich nie zawiodłaś, Agnieszko. Byli z ciebie dumni. Do samego końca.

— Dziś ci uwierzę, bo tego potrzebuję. — Agnieszka odsunęła pusty pucharek i opadła na oparcie kawiarnianego fotela. — Pęknę. Dawno nie zjadłam takiej ilości lodów.

— Mnie na pewno przybyło ze dwa kilo. — Małgorzata westchnęła teatralnie.

— Wyglądasz kusząco i ponętnie.

— To miłe z twojej strony. Ale proponuję zrzucić te zbędne kilogramy i ruszyć dalej. Zabieram cię teraz do najbardziej wypasionej galerii w Warszawie, do Żółtych Tarasów. Mam ochotę na odrobinę przyjemności.

— Dopiero co jedną wchłonęłaś!

Małgorzata się uśmiechnęła. Gdy rano wkładała na siebie swój urzędowy kostium, nie sądziła, że ten dzień potoczy się właśnie tak. Dostała dziś od losu cudowną niespodziankę i zamierzała wykorzystać ten czas najlepiej, jak mogła. Razem z Agnieszką.

— Wow! Naprawdę jestem pod wrażeniem. — Agnieszka, wysoko podniósłszy głowę, przyglądała się szklanej kopule.

— Złote Tarasy to kolejne z moich ulubionych miejsc w Warszawie. Sylwii zresztą też.

— Nie wątpię. — Agnieszka przypomniała sobie pękata szafę Sylwii, wypchaną markowymi ubraniami. — Ładnie tu.

— Tak, galeria jest naprawdę ładnie zaprojektowana. Ma w sobie to coś. Przyjeżdżam tu, jak mam chandrę albo jak chcę się spotkać z przyjaciółką. Czasami wpadam po prostu w ciągu dnia na latte, moja kancelaria jest niedaleko stąd. To miejsce pozwala mi się odstresować. Tutaj czuję, że jestem częścią jakiejś większej całości. Lubię obserwować ludzi i wyobrazać sobie, do czego się śpieszą lub od czego uciekają. Tutaj bije serce tego miasta.

— Jesteś zdecydowanie człowiekiem miasta. Czy ty w ogóle umiesz odpoczywać?

— Właśnie to robię. — Małgorzata się roześmiała. — Chodź, pobuszujemy trochę po sklepach, może coś ci wpadnie w oko.

Znów poczuła ten dreszczyk podniecenia, to uczucie, które ostatnio stale jej towarzyszyło, gdy była blisko Agnieszki. Ta nikła nadzieja na nadrobienie straconych lat, na zadośćuczynienie za ten czas, kiedy nie chciała o niej pamiętać zajęta swoim życiem. Ulubione miejsca, ulubione sklepy, rzeczy, którymi się otaczała. Chciała dać Agnieszce możliwość lepszego poznania obcej do niedawna osoby. Każda taka wspólna chwila budowała między nimi ciche porozumienie, tworzyła bliskość, która dla Małgorzaty była bezcenna.

— Spójrz, jaka ładna sukienka! Jakby uszyta dla ciebie. Chodź, przymierzemy.

— Małgosiu, to Caterina. Ta sukienka musi kosztować majątek.

— No chodź, tylko przymierzysz. To nic nie kosztuje. — Małgorzata poczuła się zupełnie jak wtedy, gdy sama przyjeżdżała do Warszawy na zakupy z przyjaciółkami. Pociągnęła Agnieszkę za sobą i poprosiła ekspedientkę o sukienkę z wystawy.

Uprzejma dziewczyna zmierzyła Agnieszkę wprawnym okiem, zdjęła z wieszaka rozmiar 38 i zaprosiła do przymierzalni.

— Myślę, że ta powinna leżeć idealnie. Na manekinie jest numer większa. To nasza najnowsza, letnia kolekcja.

Agnieszka została delikatnie wepchnięta przez Małgorzatę do przymierzalni, gdzie stanęła oko w oko z dylematem. Sukienka była śliczna. Połyskujący biały jedwab leciutko musnął jej nagie ciało. Czarnobiałe ramiączka i czarne atłasowe wykończenie dekolту i klosza spódnicy sprawiały, że sukienka nadawała się zarówno na letni spacer, jak i na specjalną okazję. Była zwiewna i kusząca, po prostu idealna. Problemem była metka z ceną. Oszłamiającą, jak na taki skrawek materiału, który więcej odsłaniał, niż zakrywał.

Agnieszka okręciła się przed lustrem i westchnęła z zachwytem. Nigdy dotąd nie wyglądała tak... zjawiskowo. Po prostu pięknie. Czarne cętki rozrzucone nieregularnie na białym jedwabiu puściły do niej oczko. Odpowiedziała im tym samym.

— Mogę zobaczyć? — Głowa Małgorzaty wsunęła się za kotarę. — O mój Boże, wyglądasz olśniewająco! Mówiłam, że to sukienka dla ciebie!

— Śliczna, ale bardzo, bardzo droga. Nie stać mnie na nią.

— Ale mnie stać. Pozwól zrobić sobie prezent, ten jeden raz. Wiem, że czujesz się niezręcznie, ale wyglądasz w niej bardzo, bardzo sexy.

Agnieszka tylko się uśmiechnęła. Małgorzata miała dar przekonywania, była dobrym prawnikiem.

— To co, poprosimy panią, żeby po prostu odcięła metkę? Nie przebieraj się już, chcę się nacieszyć twoim widokiem. Sylwia, niestety, nie podziela mojego gustu, jeśli chodzi o styl ubierania. Jej sklepy to Zara, House, Bershka. W czasie wspólnych zakupów rzadko dochodzimy do ugody. Najczęściej jej ustępuję.

— I słusznie. Po co wydawać pieniądze na coś, czego się nigdy nie włoży?

Małgorzata uśmiechnęła się i podała ekspedientce kartę kredytową. Agnieszka starała się nie patrzeć na sumę wyświetloną na kasie. Obiecała sobie, że więcej nie pozwoli Małgosi na podobnie drogie prezenty. A za tę sukienkę postara się odwdzińczyć tak, jak umie, zajmie się domem Małgorzaty i Sabą. I przede wszystkim poszuka pracy. Nie może przecież wiecznie siedzieć Dobrowolskim na głowie, a Warszawa zaczynała jej się coraz bardziej podobać.

— To miasto wciąga jak narkotyk. Jak raz zatrzymasz się tutaj na dłużej, ciężko ci będzie wyobrazić sobie życie gdzie indziej.

Agnieszka, słuchając Małgosi, przyglądała się ich odbiciu w sklepowych witrynach. Podobny wzrost i budowa ciała. Jasne, starannie dziś ułożone włosy Małgorzaty kontrastowały z naturalnym, splecionym i przerzuconym przez ramię warkoczem Agnieszki. Różnił je poza tym kolor oczu i karnacja, ale miały podobne nosy, czego trudno było nie zauważyć.

— Uszanowanie, pani radcy.

Starszy siwowłosy mężczyzna w lekkim letnim garniturze skłonił się z szacunkiem w sposób, w jaki potrafią to dziś robić tylko nieliczni.

— Witam, panie sędzio. Przyznam szczerze, że nie ukrywam zdziwienia, widząc pana w takim miejscu.

Agnieszka przystanąła tuż za Małgorzatą, obserwując, jak podaje rękę eleganckiemu panu. Mężczyzna pochylił się i pocałował ją, a potem spojrzał na Agnieszkę z chochlikami w oczach.

— Każdy ma swoją słabość, a to miejsce jest jedną z moich. Odkąd otworzyli Złote Tarasy stałem się galerianinem.

Roześmiała się. Był zabawny i taki ujmujący.

— Doskonale pana rozumiem. Obiecuję, że zachowam to dla siebie.

— Będę szczerze zobowiązany, pani radco. Śliczną ma pani córkę. Życzę udanych zakupów i miłego pobytu w tej wieży Babel.

Uklonił się i odszedł, a Małgorzata zadrżała. Na jej ustach pozostało zabłąkane słowo „dziękuję”, ale to było wszystko, na co się zdobyła.

Miała śliczną córkę.

Nie mogła zaprzeczyć. Nie chciała.

— Śmieszny, ale bardzo sympatyczny. Jakby nie z tej epoki, brakuje mu tylko melonika.

— Tak, bardzo zacny człowiek z zasadami. Cudowny sędzia. Znaleźć się z nim na jednej sali rozpraw to zaszczyt.

— Postarzył cię, powinnaś się obrazić.

— Słucham?

Spojrzała na Agnieszkę nieprzytomnym wzrokiem. Wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć po słowach, które padły tak nieoczekiwanie. Słowach prawdy.

— Wziął mnie za twoją córkę. Nie uważasz, że jestem trochę za stara?

— Nie, wcale tak nie uważam — odpowiedziała poważnie. Nie patrzyła jej w oczy. Nie umiała ukryć tego, jak bardzo ją to poruszyło. Jej spojrzenie zaalarmowałoby Agnieszkę, wzbudziłoby podejrzenie, że coś jest nie tak.

— Ile miałaś lat, jak urodziłaś Sylwię?

— Dwadzieścia siedem. — Małgorzata w panice rozglądała się za jakimś sklepem, do którego mogłaby wejść. Chciała powstrzymać te pytania, nie była na nie gotowa. Bała się.

— To mnie musiałybyś urodzić w wieku...

— Chodź, zajrzemy do Ryłka. Może znajdziemy jakieś buty pasujące do twojej sukienki.

— O nie, zakupów już wystarczy!

— No chodź, tylko popatrzemy.

Spanikowała. Potrzebowała czasu, aby przygotować się do tej rozmowy. Dziś nie była na nią gotowa nawet w formie żartu. Próbowwała uspokoić oszalałe serce i odgonić ciemne plamy sprzed oczu. Z ulgą przysiadła na miękkiej pufie i pod pretekstem mierzenia butów została tam dłuższą chwilę. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Serce powoli się uspokajało, a na twarz wróciły kolory. Ręka już nie drżała i nogi się nie ugiwały. Teraz się udało, co się jednak stanie kolejnym razem? I jak długo będzie potrafiła udawać, że Agnieszka jest dla niej zupełnie obcą kobietą? I czy w ogóle będzie dalej potrafiła udawać?

— Chcę w piątek zabrać Agnieszkę do rodziców.

Duży, przestronny pokój wypełniony był ciepłym światłem lampy. Z uchylonego okna dobiegały coraz cichsze już hałasy miasta układającego się do snu. Jakieś pojedyncze rozmowy, urywane dławienie silników aut, zabłąkany tramwaj.

Małgorzata chłonęła te nocne dźwięki miasta oparta o ramię męża. Nogi wyciągnęła wygodnie przed siebie i ułożyła na miękkiej pufie. Sporządzone przez Gordona notatki przeglądała w okularach, które wkładała wieczorem po zdjęciu soczewek, i z kieliszkiem czerwonego wina w ręku. Lubiła takie wieczory z Markiem, kiedy oboje nie musieli się do niczego śpieszyć, nie musieli walczyć z Sylwią ani znosić jej wybuchowych nastrojów i mogli tak po prostu pobyc obok siebie.

— Masz ochotę pojechać z nami?

Marek podniósł wzrok znad książki, którą czytał, i popatrzył na Małgorzatę nieprzytomnie.

— Dokąd pojechać?

— Do rodziców. Do Nałęczowa. Wybieram się tam w piątek z Agnieszką.

— Kotuś — jego wzrok powoli się wyostrzał, a Małgorzata nabierała wyraźnych konturów. — Wiesz przecież, że w sobotę mam obrony. Mówiłem ci o tym.

— Przepraszam, zapomniałam — zamilkła, zapatrzona w rozkołysany w kieliszku płyn.

— Ostatnio jesteś trochę nieobecna. — Marek odłożył książkę na szklany stolik stojący tuż przy kanapie i objął żonę swoim dużym i silnym

ramieniem. Wtuliła się w jego ciepło, przymykając oczy. — Chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za cały świat, ale tak się nie da, Małgosiu.

— Wiesz... — spojrzała na niego zza szkieł okularów — po tym nagłym odejściu Teresy coraz częściej myślę o kruchości ludzkiego życia. Wydaje nam się, że tyle przed nami, tak wiele mamy planów i tak wiele odkładamy na potem. Nie myślimy o przemijaniu, o tym, że tego potem może już nie być.

— Małgośka, wpadasz w czarną dziurę. Nie znamy swojego przeznaczenia, ale na razie jesteśmy tu i teraz i powinniśmy wykorzystać ten czas najlepiej, jak potrafimy.

— Myślę, że tak właśnie robimy — powiedziała cicho.

— Ty na pewno — dotknął jej delikatnych włosów i przeczesał je dłonią.

— Gosia... — zaczął niepewnie.

— Uhm?

— Kim była dla ciebie matka Agnieszki? Nigdy mi o niej nie wspominałaś, nie spotykałyście się, przynajmniej ja sobie tego nie przypominam.

— Mówiłam ci przecież...

— Nic nie mówiłaś, Gosiu, a ja zaczynam się niepokoić, że tak naprawdę nic o tobie nie wiem. Jesteś moją żoną od osiemnastu lat i nigdy nie mówiłaś mi o Teresie.

— Marek — zdjęła okulary i teraz patrzyła na męża łagodnym wzrokiem krótkowidza. — Teresa kiedyś zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj, z tobą, nie byłoby Sylwii, nie byłoby nas. To było tak dawno temu, jeszcze zanim cię poznałam. Nie jestem na razie gotowa, aby z tobą o tym porozmawiać, ale kiedyś ci powiem, obiecuję.

Zadrzał zaniepokojony. Dotąd wydawało mu się, że wie o Małgorzacie wszystko, że zna ją lepiej niż samego siebie. Dzielili ze sobą te wspólne lata małżeństwa, radości i troski, uśmiechy i łzy. Codziennie wzajemnie się uzupełniali i byli dla siebie wsparciem w swoich pojedynkach z życiem. Czy mógł coś przeoczyć? Czy mogła istnieć jakaś część Małgorzaty, do której nie miał dostępu?

— Wiesz, jak wrócisz z Nałęczowa, zabiorę cię na kolację. Dawno już nie spędziliśmy wieczoru tylko we dwoje. Brakuje mi ciebie, Małgosiu.

Nic nie odpowiedziała, wtuliła się tylko w niego najmocniej, jak umiała. Przez te wszystkie lata oszukiwała go, ale nie mogła postąpić inaczej. Kiedyś o wszystkim mu opowie. Kiedyś... gdy będzie na to gotowa i gdy będzie miała w sobie dość odwagi, aby przedstawić mu Agnieszkę tak, jak powinna to zrobić od samego początku, od dnia, w którym zdecydowała się związać swoje życie z Markiem.

Rozdział V

SUKIENKA

1

W Nałęczowie czas przystanął. Po nieustannym pędzie Warszawy cisza tego uroczego miasteczka i jego kojący spokój przeniknęły Małgorzatę, napędniając ją nową energią do życia. Tutaj wracała po siłę, którą nieodmiennie znajdowała w rodzinnym domu.

Rodzice jak zawsze przygotowali się na tę wizytę. Czasami Małgorzata miała wrażenie, że całe ich życie tutaj jest oczekiwaniem — na nią, na Sylwię, na świąteczne poruszenie związane z każdą ich wizytą w Nałęczowie. Za każdym razem obiecywała sobie, że będą ich częściej odwiedzać, że przecież odległość jest tak niewielka, zaledwie dwie godziny samochodem, ale po powrocie do Warszawy codzienność na nowo wypełniała dni, każde z nich wpadało w swoje obowiązki — szkoła, praca, spotkania, zajęcia — i wciągała ta rutyna, która narzucała rytm ich dni. A z kolejną wizytą budziły się uśpione wyrzuty sumienia, że przecież obiecali, że rodzice są już coraz starsi, że teraz bardziej jej potrzebują.

Dziś chłonęła ich radość całą sobą, wprowadzając Agnieszkę do domu, który zawsze dawał jej oparcie.

— Będą w stosunku do ciebie nadopiekuńczy, tak jak w stosunku do Sylwii. Daruj im to, tacy już są. Rodzice i dziadkowie jedynaczki. Nie są jednak wścibscy i nie zasypią cię gradem pytań. Myślę, że będziesz się tu dobrze czuła. Mam wyrzuty sumienia, że zanieczyszczam ci płuca, trzymając cię w Warszawie.

— Polubiłam Warszawę. Ale Nałęczów też jest uroczy. Nie chciałabyś tu zamieszkać?

Małgorzata uśmiechnęła się łagodnie.

— Rodzice o niczym innym nie marzą. Ale powiedz to Sylwii, to warszawianka z krwi i kości. Za żadne skarby nie przeprowadziłaby się „na wiochę”. A ja i Marek... jesteśmy tam, gdzie jest praca. Może kiedyś, na stare lata i my tu osiadziemy, ale to odległa przyszłość.

Miały dla siebie dużo czasu w drodze z Warszawy do Nałęczowa. Piątkowe popołudnie nie było najlepszą porą na podróż.

— Opowiedz mi o swoich rodzicach.

— Tata jest już na emeryturze. Był adwokatem, tak jak Marek. To on zaraził mnie tą pasją i myślę, że głównie dzięki niemu jestem dziś tym, kim jestem. Kocham go. Jest taki... nie do podrobienia. Wyjątkowy i do tego ma bzika na punkcie Sylwii.

— Trudno się dziwić. Gdybyś miała szóstkę dzieci, rozdzieliłby tę miłość inaczej.

Pokiwała głową, zręcznie omijając kurę samobójczynię, która spokojnie stała na poboczu, szukając czegoś do zjedzenia na rozgrzanym asfalcie.

— Mama jest bardziej powściągliwa w okazywaniu uczuć, ale też świata poza Sylwią nie widzi. Tylko że mama wciąż pracuje. Jest lekarzem. Ma w Nałęczowie swój gabinet, w którym przyjmuje trzy razy w tygodniu. Lubi to i jest nieco młodsza od ojca. Praca zawsze dawała jej ogromną satysfakcję. Tak jest do dziś.

— Jesteś szczęściarą, Małgosiu. Sylwia też. Ja nigdy nie poznałam dziadków. Umarli, zanim się urodziłam. Moje dzieci też ich nie będą miały — dokończyła cicho.

Co mogła jej odpowiedzieć? Że będzie najlepszą babcią na świecie? Że będzie tak wariowała na punkcie wnuków, jak jej własny ojciec? Stać ją

było tylko na mocne uściśnięcie dłoni Agnieszki. Tylko tyle.

Przywiozła Agnieszkę do Nałęczowa właśnie po to, by w pewien sposób zrekompensować jej ten czas dzieciństwa, tak inny niż dzieciństwo Sylwii. Ale tak najbardziej chciała chyba pokazać rodzicom córkę, z której z każdym dniem była coraz bardziej dumna. Nieważne było to, że tak naprawdę oni nie mieli pojęcia, kim jest Agnieszka. Chciała, żeby ją poznali i, może kiedyś, zrozumieli.

— Bardzo sympatyczna dziewczyna.

Małgorzata rozjaśniła się w uśmiechu i pokiwała głową.

— Tak. Bardzo miła i subtelna. A przy tym twarda jak skała.

Patrzyła przez okno osłonięte jedynie koronkową zazdrostką, jak mama z dumą pokazuje Agnieszce swój zadbany ogród. Po przeprowadzce Małgorzaty i Marka do Warszawy Magdalena włożyła całe swoje serce i czas w jego pielęgnację. Rośliny, o które dbała, kwitły dla niej każdej wiosny na nowo, a ona traktowała je tak, jak swoich pacjentów, z uwagą, szacunkiem i troską.

— Taaa... Skomplikowana sytuacja. Masz już jakiś plan?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Jeszcze o tym nie myślałam. Wiesz, dobrze mi z nią. Czasami... — zamilkła. Ta myśl była tak śmiała, że Małgorzata nie była pewna, czy powinna wypowiedzieć ją na głos w obecności ojca. Zaryzykowała: — Czasami chciałabym, aby została z nami na zawsze — dokończyła cicho.

Spojrzał na nią uważnie swoimi mądrymi wyblakłymi już oczami.

— Chcesz mi o czymś powiedzieć?

— Chcę cię o coś zapytać. Pamiętasz mój wyjazd do Szwecji? Po pierwszym roku studiów?

Skinął głową, zapatrzony teraz w widoczny z okna kuchni mały lasek, położony niedaleko ich wypieszczonego domku.

— Żadne z nas się do tego nie przyznawało, ale oboje z mamą obawialiśmy się, że nie wrócisz już na studia. Mile nas zaskoczyłaś.

Przełknęła ślinę. Musiała komuś powiedzieć. Ta cała sytuacja ją przerosła. Przez tyle lat milczenia wybudowała wokół siebie wysoki i

potężny mur. Teraz ten mur się kruszył i bała się, że lada dzień runie z hukiem, a ona nie będzie miała nikogo, kto by wtedy pottrzymał ją za rękę.

— Nie było żadnej Szwecji, tato.

— Wiem.

Wciąż na nią nie patrzył. Jego nieruchomy wzrok nadal był utkwiony w poruszających się lekko z wiatrem gałęziach drzew.

— Od jak dawna wiedziałeś?

— Miesiąc po twoim wyjeździe. Poprzytałem tu i ówdzie, a potem sprawdziłem tę firmę przez swoje znajomości. Firma, owszem, istniała, ale bez ciebie.

— Dlaczego... — pokręciła głową z niedowierzaniem — nic nie powiedziałaś? Ani słowa.

— Nikt nie wiedział, gdzie cię szukać. Nie chciałem panikować i ogłaszać całemu światu, że moja jedyna córka, której zawsze ufałem, mnie oszukała. Dzwoniłaś regularnie, pisałaś. Wyszedłem z założenia, że gdybyś potrzebowała pomocy, poprosiłabyś o nią.

— Przepraszam, tato. — Oczy Małgorzaty były wilgotne od łez.

Popatrzył na nią łagodnie.

— Wynagrodziłaś nam to, Małgosiu, z nawiązką. Oboje z mamą byliśmy i jesteśmy z ciebie dumni. A wtedy... nie zrobiłem nic, bo się panicznie bałem. Wiedziałem, że skoro wyjechałaś tak nagle, musisz mieć ważny powód; ważny dla ciebie tak bardzo, że nie możesz o nim opowiedzieć nawet rodzicom. Wtedy podejrzewałem młodzieńczą miłość i zawrót głowy. Odetchnąłem z ulgą, gdy do nas wróciłaś. I nie pytałem. Odegrałem tę komedię do samego końca.

— Mama też wiedziała?

— Chyba żartujesz? Postawiłaby w stan gotowości policję, wojsko i służby specjalne, żeby cię znaleźć. Nie zawsze trzeba mówić tej drugiej

połowce całą prawdę. Czasami lepiej jest przemilczeć pewne sprawy.

Ona przemilczała.

— Jesteś gotowy naprawdę, tato?

Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. Zapalały się zawsze, gdy w pobliżu była Sylwia.

— Patrzysz na nią tak, jak patrzyłaś na malutką Sylwię. Uśmiechasz się, gdy wydaje ci się, że nikt nie widzi. Gdybyś mogła, ubierałabyś ją i czesała, ale jest na to za duża. Jestem prawnikiem, Małgosiu, i umiem kojarzyć fakty. Chociaż... taki powód nie przyszedł mi do głowy. Zastanawiałem się, dlaczego potrzebujesz aż pół roku. Ale jestem tylko facetem.

— Teraz już wiesz — uśmiechnęła się niepewnie i otarła dłonią wilgotne oczy.

— Teraz już wiem — powtórzył, obserwując Agnieszkę wracającą z ogródka z naręczem kwiatów. — Dostałem w prezencie wnuczkę, która ma mój nos. A do tego jest piękna i inteligentna. To dużo jak na moją siedemdziesiątkę.

— Nie wiem, co mam robić, tato. — Oparła głowę na jego ramieniu. Przez chwilę poczuła się jak mała dziewczynka, szukająca schronienia w bezpiecznych ramionach ojca.

— Nie rób nic. Pozwól, niech to się samo rozwinie. Popłynij łagodnie razem z czasem i niczego nie przyspieszaj. Nie odbieraj jej nagle życia i tożsamości tylko z tego powodu, że ty tego chcesz. Kiedyś zrobiłaś coś, za co teraz musisz zapłacić. Wiem, że to może cholernie boleć, ale to ty kiedyś postanowiłaś, że będzie Agnieszką jakąś tam, a nie Agnieszką Wojnarską. Musisz być teraz konsekwentna.

— Dobrze, że mam ciebie, tato — pocałowała ogorzały od słońca policzek. Pachniał wiatrem i dobrą wodą po goleniu.

— A Markowi powinnaś powiedzieć. Jeszcze nie teraz, za jakiś czas. To dobry chłopak. Weźmie to na klatę i uniesie.

Przez otwarte drzwi wtargnęło lato w całej swojej okazałości barw i smaków. Agnieszka wniosła naręcze rumianów, cynii i dalii i zapach jaśminu w zerwanej z drzewa gałązce. Magda w łubiance przyniosła czereśnie i truskawki.

Malutka kuchnia zapełniła się przytulnie gwarem leniwego popołudnia. Zachwyty młodości był zaraźliwy i Małgorzata, patrząc na Agnieszkę wtulającą twarz w świeżo zerwany bukiet, poczuła w sobie prostą radość z rzeczy drobnych i na co dzień niedostrzegalnych. Wiedziała, że znajdzie w sobie dość siły, aby ponieść to dalej i kolejne dni, miesiące, a może i lata żyć w cieniu. Dla dobra tej, z której kiedyś tak łatwo zrezygnowała.

Zaskoczył ją i siebie tą propozycją. Wiedział, że mu nie odmówi, była na to zbyt dobrze wychowana, a on, z racji swojego wieku, mógł sobie na to pozwolić.

— Czy miałabyś ochotę potowarzyszyć starszemu panu w popołudniowym spacerze? Miło byłoby pokazać się w towarzystwie tak młodej i pięknej kobiety.

— Z przyjemnością.

Szli obok siebie, ramię przy ramieniu, zmierzając powoli w stronę parku. Od czasu do czasu Maciej odklaniał się znajomym, którzy rzucali w jego stronę zaciekawione spojrzenia.

Nałęczów latem był prześliczny i Agnieszka rozglądała się dookoła jak urzeczona. Urokliwa, zacieniona dostojnymi drzewami aleja Lipowa wiodła ich spokojnie w stronę nieco bardziej gwarne centrum miasteczka. Większość ceglanych domków po obu stronach ulicy pochodziła sprzed wielu, wielu lat. Część z nich miała wartość historyczną i z daleka przyciągała wzrok pomimo zaniedbania i odpadających tynków. To miasteczko miało swój niepowtarzalny klimat i smak lodów najlepszych na całym świecie.

— Ładnie tu.

— Ładnie. I spokojnie. Tutaj życie płynie inaczej, wolniej. Miła odmiana po latach pośpiechu i pogoni za traconym czasem. Kupiliśmy ten dom dawno temu, ale tak naprawdę zamieszkaliśmy tu tuż przed moim przejściem na emeryturę. Magda jeszcze wtedy pracowała na dwa etaty, w szpitalu i w prywatnej przychodni. Sprzedaliśmy mieszkanie w Lublinie i

przenieśliśmy się tutaj. Wtedy już żadne z nas nie miało złudzeń, że Małgosia zechce wrócić do Lublina.

— Małgosia wrosła w Warszawę.

Podobało się Agnieszce to miasto ogród. Kiedy weszli do parku, poczuła się tak, jakby przekraczała bramę do jakiegoś innego, starodawnego świata, tak odmiennego od otaczającej ją rzeczywistości.

— Park Zdrojowy, serce Nałęczowa. Panujący tu mikroklimat ma właściwości lecznicze właśnie dla sercowców.

— Złamane serca też leczy? — Chciała zażartować, ale starszy pan popatrzył na nią z uwagą.

— Złamane serca leczy czas. Ale Nałęczów może mu w tym pomóc. To magiczne miejsce. Chętnie pokażę ci wąwozy, które go otaczają. Są porośnięte wspaniałymi drzewami, które mogłyby opowiedzieć o tym mieście niejedną historię. Wzdłuż rzeki ciągną się łąki, niektóre ledwie tknięte ingerencją człowieka, a wokół starych zabytkowych willi można podziwiać liczne ogrody, te bardziej i te mniej zadbane. Kocham to miejsce.

— To widać — uśmiechnęła się.

— Pozwolisz? — Podał jej ramię, a ona wsunęła pod nie swoje z taką lekkością i naturalnością, jakby znali się nie od dziś. — Mam dla ciebie pewną propozycję, młoda damo, i mam nadzieję, że ją rozważysz. Małgosia musi jutro wrócić do Warszawy, wiem, że ma tam masę swoich obowiązków. Ale ty nie musisz. Zostań z nami, chociaż na tydzień. Tyle czasu akurat wystarczy, aby zaprzyjaźnić się z tym miejscem, lecz nami nie znudzić. Wiem, że próbujesz się pozbierać po tym wszystkim, co cię spotkało, ale... daj sobie ten czas na wyciszenie. Warszawa nie zapewni tego komfortu, to miasto zmusza do działania. Tu zaś możesz bezkarnie poleniuchować, wsłuchać się w siebie i zacząć podejmować decyzje bez pośpiechu. Przemyślisz to?

Skinęła głową, zasłuchana w śpiew ptaków i rosyjskie ballady tutejszego artysty. Dobrze jej tu było. Z Macieja emanowało tyle pozytywnej energii, a ona tego właśnie teraz potrzebowała.

Podaruje sobie ten tydzień na wsłuchanie się w siebie. Musi w końcu zacząć brać życie w swoje ręce. Zacznie od znalezienia pracy, ale to dopiero za jakiś czas, po powrocie do Warszawy. Teraz pozwoli sobie na ten tydzień lenistwa i porozpieszcza samą siebie możliwością pobycia w tym miejscu jak z bajki. Z dobrej bajki.

— Gośka, dlaczego my tak rzadko gdzieś razem wychodzimy? — Wyszli z klimatyzowanego kina i natychmiast oblepiło ich parne i nagrzane miastem powietrze lipcowej nocy.

— Bo oboje żyjemy na pełnych obrotach, a do tego mamy nastoletnią córkę, która skutecznie pochłania nasz czas.

Przytuliła się do ramienia męża, taka lekka tego dnia i szczęśliwa. Wykorzystali ten czas we dwoje, aby w końcu pobyć razem i nacieszyć się sobą. Kolacja, kino, spacer ulicami Warszawy nocą. Czas odnaleziony i podarowany sobie nawzajem. Bez pośpiechu i patrzenia na zegarek, bez telefonów i myśli o pracy. Potrzebowali siebie, a dopiero dziś dostrzegli, jak bardzo.

— Gubimy się gdzieś w tych naszych sprawach. Mijamy się, przechodzimy obok siebie i zajmujemy tysiącami rzeczy, a nasze małżeństwo jest gdzieś w tle. A przecież kiedyś ci obiecałem, że będziemy traktować każdy dzień życia we dwoje jak wspólną przygodę. Tymczasem mamy wspólną córkę, wspólne kredyty i wspólnych znajomych, ale nie mamy czasu na tę przygodę. To nie tak powinno być.

Poczuła, jak ją obejmuje i przytula do siebie. To było miłe. Jak randka kiedyś, w innym życiu.

— Nacieszymy się sobą na emeryturze — zazartowała.

— Na emeryturze będziemy bawić dzieci Sylwii. Kurczę, tęsknię za nią. Brakuje mi jej bałaganu i trzaskania drzwiami.

— Typowy syndrom tatusia jedynaczki. A ja odpoczywam od dźwięku przychodzących esemesów i od jej nieustannego: „No weź!”.

— Powiedz mi, jak ludzie dają sobie radę z trójką dzieci?

— Wrzucają na luz. — Zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów i uśmiechnęła się do męża.

— Czasami zastanawiam się, jakby to było, gdyby Sylwia miała rodzeństwo. Jaka by była? Jacy my byśmy byli?

Zaryzykowała.

— Teraz możemy się o tym przekonać. Wydaje mi się, że Sylwia fajnie zaczęła się w tym odnajdywać.

— Mówisz o Agnieszce?

Powoli skinęła głową. Musiała być ostrożna.

— Taaa... całkiem dobrze się dogadują. Agnieszka to miła dziewczyna, ale...

Przystanął i delikatnie odwrócił ją twarzą do siebie. Stała przed nim zagubiona, zupełnie tak samo jak ta dziewczyna, w której zakochał się kiedyś bez pamięci. Nie wiedział, czego oczekiwała. Od czasu, gdy przyszedł ten list z Zakopanego, nie mógł odnaleźć swojej Małgosi.

— Ona ma swoje życie, Małgosiu. To szlachetne, co dla niej robisz, ale wszyscy dobrze wiemy, że ta sytuacja jest przejściowa. Za jakiś czas Agnieszka się podniesie, ogarnie i pójdzie swoją drogą. Nie masz na to wpływu, nie jesteśmy jej rodziną.

— O co ci chodzi? — Jej głos był lodowaty i lekko drżący.

— Chodzi mi o to, kochanie, abyś nie przywiązywała się do niej zbyt mocno. Być może zdecyduje się zostać w Warszawie i tu kontynuować studia, ale moim zdaniem będzie chciała wrócić do Krakowa. Tam ma przyjaciół, tutaj nikogo. No, oprócz nas.

Miał rację, wiedziała o tym. Wiedział też o tym jej analityczny umysł prawnika i z punktu widzenia osoby postronnej tak to właśnie wyglądało — była dla Agnieszki kimś obcym; kimś, kto zjawił się nagle, nie wiadomo skąd, i nie wiadomo dlaczego zaoferował jej pomoc. Ale serce Małgorzaty

znało inną prawdę i z każdym dniem coraz więcej gromadziło się w nim uczucia, którego już nie umiała kontrolować.

Kochali się tej nocy. Małgorzata potrzebowała bliskości i czułości Marka, on potrzebował jej zmysłowego ciała i jej oddania. Chciał poczuć choć cząstkę tej Małgosi, za którą zaczynał tęsknić. Znał na jej ciele każdą wypukłość i zaokrąglenie, wiedział, które pieszczoty doprowadzają ją do szału i jaki dotyk ją elektryzuje. Podobała mu się. Po tylu latach małżeństwa wciąż patrzył na nią z pożądaniem i wciąż się nią zachwycał. Zaczynał się jednak niepokoić. Coś w jego Małgosi się zmieniło. Czasami błądziła myślami gdzieś daleko, zaczęła na nowo brać leki na serce, które odstawiła jakiś czas temu, nie była już tak skupiona na pracy, na Sylwii i na domu, jak jeszcze miesiąc temu. Wiedział, że była przemęczona i potrzebowała odpoczynku, dlatego nie był zachwycony ostatnimi pomysłami żony. Ale podświadomie czuł, że obecność Agnieszki jest dla Małgorzaty bardzo ważna. Nie miał tylko pojęcia dlaczego i to zaczynało go niepokoić.

— Jesteś cudowna, wiesz?

Uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie jak kotka. Przypomnił sobie, dlaczego kiedyś tak oszalał na jej punkcie.

— Wiem.

— A wiesz, że cię kocham? — Kciukiem gładził delikatną skórę na jej przedramieniu.

— Wiem — szepnęła.

Naprawdę wiedziała. Czowała jego miłość w pozornie przypadkowym muśnięciu jej dłoni przy śniadaniu. Widziała to w jego spojrzeniu i jego pożądaniu. Wynosił śmieci i spał po lewej stronie łóżka, bo ona tego nie cierpiała. To on rano wychodził z Sabą, aby ona mogła dłużej pospać, a gdy pracowała do późna nad papierami, przynosił jej ulubioną herbatę i całował

w czubek głowy jak małą dziewczynkę. To były drobiazgi składające się na codzienność. Ich wspólne życie.

Wiedziała, że Marek potrafi unieść dużo, nie była jednak pewna, czy uniesie też taką prawdę, a przede wszystkim, czy będzie potrafił wybaczyć to, że kiedyś mu nie zaufała i że go po prostu okłamała.

Agnieszka otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Nie do wiary! Dochodziła dziewiąta. Już dawno nie spała tak długo i tak dobrze. Obudziła się wypoczęta i spokojna, gotowa na wszystko, co przyniesie dzień.

Jak co rano uczyniła znak krzyża, a potem podeszła do okna, rozsunęła zasłony i wpuściła do pokoju uśmiechnięte słońce. Ogród Magdaleny tonął w kwiatach. Przepiękne czerwone i herbaciane róże królowały nad rabatami kolorowych mieczyków, dumnych piwonii i skromnych nagietków. Wszystkie zapraszały Agnieszkę do wyjścia z pokoju. Posłuchała ich. Boso wybiegła na ganek i wystawiła twarz do słońca, aby poczuć to znajome ciepło, zupełnie jak wtedy, gdy witała się z nowym dniem, wędrując po górach.

— Widzę, że nałęczowskie powietrze znakomicie ci służy. — Maciej wyszedł z domu z filiżanką zielonej herbaty w rękach.

— Oj, służy! — Uśmiechnęła się na dzień dobry. — Śpię jak suseł i wcale nie budzę się z kurami.

— W końcu jesteś na wakacjach — powiedział, siadając w rattanowym fotelu stojącym w zacienionym ganku. — I tak wstałaś dość wcześnie, Sylwia potrafi zacząć dzień od obiadu.

Coraz bardziej ją lubił. Była taka naturalna, niczego nie udawała, patrzyła na świat, dostrzegając drobiazgi. Różniła się od Sylwii, ale w jej sposobie poruszania się było coś z Małgosi.

Często zadawał sobie pytanie, co tak naprawdę kształtuje człowieka: jego geny czy środowisko, w którym się wychowuje? Obserwując Agnieszkę, nie miał wątpliwości, że oba te czynniki miały wpływ na to,

jaka była. Kimkolwiek byli ludzie, którzy ją wychowali, należał im się ogromny szacunek za ich dzieło.

— Jeśli miałabyś ochotę dzisiaj mi towarzyszyć, pokazałbym ci parę fajnych miejsc nad Wisłą. Magdalena ma dziś „gabinetowy wtorek”, więc tylko ciebie mogę zamęczać swoją osobą. Uszanuję jednak potrzebę samotności, jeśli będziesz w nastroju na odosobnienie.

Upił łyk herbaty i się skrzywił.

— Magda serwuje mi to świństwo z samego rana. Zamiast kawy! Aż do przesady dba o mnie, odkąd przeszedłem w stan spoczynku. Jakby cokolwiek mogło zastąpić dobrą poranną kawę.

Agnieszka spojrzała na Macieja z sympatią. Nie dało się go nie lubić. Nie krępował swoją obecnością, wręcz przeciwnie. Magnetyzował rozmówcę, a jego sposób bycia sprawiał, że chciało się z nim przebywać.

— Mam wielką ochotę na pana towarzystwo i na wszystkie te fajne miejsca, którymi pan kusi. Ogarnę się tylko i pan wybaczy, ale wypiję dobrą poranną kawę, bo bez niej nie potrafię zacząć dnia.

— Ja też tak kiedyś myślałem — uśmiechnął się smutno i wrócił do swojej zielonej herbaty.

Jednym z ulubionych miejsc Macieja był Kazimierz Dolny. Tam właśnie zabrał Agnieszkę. Rynek zapraszał na chwilę zapomnienia przy jednym z wielu stolików wystawionych przed kawiarniami i restauracjami. Pomimo wczesnej pory wielu turystów podziwiała uroki tego miejsca, fotografowało się na tle majestatycznego kościoła i drewnianej studni, znajdującej się w samym środku rynku.

Agnieszka chłonęła wzrokiem zabytkowe kamieniczki, których okna ciekawie zaglądały w oczy i kamery zjeżdżających tu wielbicieli królewskiego miasteczka. Kazimierz różnił się od spokojnego Nałęczowa i był zupełnie niepodobny do jej rodzinnych stron, ale mimo to zachwyił ją swoim wyjątkowym charakterem.

— Nie wiedziałam, że w Polsce jest tyle malowniczych zakątków. Wydawało mi się, że moje Tatry mają wyłączność na zachwyty turystów.

— Taaa, Polska jest piękna i różnorodna. Nie umiemy tego docenić ani uszanować.

Agnieszka przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Lubiała je. Przynosiło nadzieję.

— Patrzysz na Kazimierz z takim samym zachwytem jak niegdyś Małgosia.

— Jaka ona była w moim wieku? — Agnieszka otworzyła oczy i, zasłaniając je dłonią przed oślepiającym słońcem, spojrzała z zaciekawieniem na Macieja.

Zapatrzył się na kazimierskie wzgórza z tęsknym uśmiechem na ustach.

— Bardzo uparta. Zawsze miała swoje zdanie i podejmowała decyzje bez pytania kogokolwiek. Jeśli coś sobie zamierzyła, zawsze

konsekwentnie to osiągała, nawet jeśli kosztowało ją to wiele wyrzeczeń. Do dziś taka jest, robi, co chce. Czasami wydaje mi się, że jest zbyt ambitna, jakby wciąż chciała coś sobie udowodniać. W dzieciństwie trudno mi było tolerować jej charakter i temperament. Dziś do niego przywykłem, mając go w podwójnej dawce: u Małgosi i Sylwii.

Spojrzał na Agnieszkę i uśmiechnął się do niej równie ciepło, jak w ten słoneczny dzień.

— Lubię Małgosię. Jest taka bezpośrednia, a jednocześnie delikatna. Umie słuchać i szanuje czyjąś prywatność. A przy tym tak otwarcie mówi o swoich potrzebach i słabościach.

— Zawsze taka była. Nawet wtedy, gdy bezpieczniej było nie wyróżniać się z tłumu i siedzieć cicho. Rzadko jej mówię, jak bardzo byłem i jestem z niej dumny.

Zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samej położyła swoją dłoń na usianej piegami dłoni mężczyzny, a potem zajrzała prosto w jego jasne szczere oczy tak głęboko, że Macieja przeszedł dreszcz i poczuł się tak, jakby zajrzała mu w głąb jego duszy.

— Trzeba to mówić bliskim i to bardzo często. Nie można nic odkładać na później. Życie potrafi nas zaskoczyć w najmniej oczekiwanym momencie, dlatego nie warto gromadzić dobrych słów w sobie. Wiem coś o tym — dodała smutno.

Nie umiał pocieszać. Był zwykłym facetem, wychowywanym w czasach, gdy mężczyzna musiał być twardy i nie mógł sobie pozwolić na luksus wzruszenia. Jedyne, co mógł zrobić, to wyrwać ją z tych smutnych myśli i zabrać na spacer po Kazimierzu. Wiedział, że czar miasteczka wkrótce zacznie działać, i się nie pomylił.

Zaczął od ulicy Zamkowej i gotyckiej Fary, w której Agnieszka spędziła dłuższą chwilę na modlitwie, a potem poprowadził ją na miejsce, którego

jego zdaniem nie można było w Kazimierzu przeoczyć — Górę Trzech Krzyży. Pomimo porastających stoki wiązów, grabów i leszczyny z góry mogli obejrzeć cały Kazimierz rozciągający się u jej stóp. Prawdziwa perła renesansu. Przycupnięte obok siebie kamieniczki wyglądały jak domki dla lalek, a migocząca w oddali wstążka Wisły mieniła się w słońcu barwnym ciepłym światłem.

Droga na Basztę, stojącą dumnie na szczycie wzgórza zamkowego, nieco zmęczyła Macieja. Z każdym dniem coraz dotkliwiej odczuwał upływ czasu i swoją niedołężność, do której nie przyznawał się nawet przed sobą. Wiedział, że nie powinien się już tak forsować, chciał jednak pokazać Agnieszce jak najwięcej. Nie był pewny, czy będzie miał jeszcze okazję na kolejny ty dzień z wnuczką, o której nie miał dotąd pojęcia. Mógł mieć tylko nadzieję, że Agnieszka weszła do ich życia na dłużej i że jeszcze niejednokrotnie wrócą razem do tego miejsca, które fascynowało i uzależniało.

Odпочęli na nadwiślańskiej promenadzie. Łagodny wietrzyk znad wody chłodził rozgrzane lipcowym upałem twarze i rozwiewał Agnieszce włosy. Po jednej stronie dziewczyna miała przed sobą wijącą się Wisłę i kołyszące się na niej statki i stateczki, po drugiej spichlerze, od których nie mogła oderwać wzroku. Zapragnęła nagle utrwalić to, co widzi, na obrazie pełnym barw i życia. Tak dawno nie malowała. Nie potrafiła dotknąć pędzla, odkąd Teresa zachorowała. Teraz zatęskniła za szorstkim dotykiem włosów i zapachem farb. Wiedziała, że ten obraz, który teraz ma przed oczami, nie da jej spokoju. Zamknęła oczy i pod powiekami ukryła piaszczysty brzeg, wapienne spichlerze i migoczącą taflę, w której odbijały się złociste promienie słońca.

— Gdzie jesteś? — Dopiero gdy usłyszała w słuchawce telefonu znajomy głos Łukasza, uprzytomniła sobie, jak bardzo za nim tęskniła.

— W łódce. Pływam po stawie.

— W Warszawie?!

Roześmiała się, a on odetchnął z ulgą. Radziła sobie w tym nowym świecie, choć obawiał się, że to się nie uda.

— W Nałęczowie.

— A co ty robisz w Nałęczowie?!

— Pływam łódką po stawie, karmię łabędzie i kaczki, wdycham powietrze, aby uzdrowić serce, i żyję.

Promieniała, a on pomimo odległości wiedział, jak w tej chwili wygląda. Pamiętał błysk jej czarnych oczu, zaróżowione z emocji policzki i ręce, które „mówiły” wraz z nią. Dużo gestykulowała, rozmowa z nią była jak spektakl w teatrze.

— A skąd się tam wzięłaś?

— Rodzice Małgorzaty tu mieszkają. Można powiedzieć, że jestem na wakacjach.

Uśmiechnął się, słuchając głosu Agnieszki. Strasznie mu jej brakowało.

— Jak ci tam jest? Nie chcesz wrócić w Taterki?

— Chcę, Łukasz, bardzo chcę, ale... na razie nie mogę. Zaczynam się odnajdywać w Warszawie, może zostanę tu na dłużej... Sama nie wiem. — Zamilkła na chwilę, a potem dodała już ciszej: — Nie chcę wracać do Krakowa.

Wiedział dlaczego i ta decyzja go ucieszyła. Agnieszka była zbyt słaba, aby wyzwolić się spod wpływu Tomasza. Jedynie odległość mogła przerwać ten chory związek, któremu od początku był przeciwny. Jej powrót do Krakowa oznaczałby powrót do Tomasza, a to z kolei katastrofę. Łukasz tęsknił za nią, ale wiedział, że to dla niej w tej chwili najlepsze rozwiązanie.

— Dobrze ci u nich?

— Gdyby nie okoliczności... To cudowni ludzie, Łukasz. Nadal nie rozumiem, dlaczego tu jestem, ale wiem, że nie tylko z przykrego obowiązku, który Małgosia musi z jakichś niewiadomych powodów wypełnić. Traktują mnie... jak córkę.

— Cieszę się.

Żyli teraz w dwóch różnych światach, zaprzątnięci innymi sprawami, ale wciąż łączyła ich przeszłość i przyjaźń, która nie zapomina i nie zawodzi.

— Jak przygotowania do ożenku?

Przeciągłe westchnienie po drugiej stronie mogło wystarczyć za cały komentarz.

— Alicja już piąty raz zmienia sukienkę i ciska gromy na meteorologów, że nie potrafią jej udzielić odpowiedzi na pytanie, jaka pogoda będzie w drugim tygodniu października.

— Cała Alicja. Zawsze lubi mieć wszystko dopięte na ostatni guzik, zero improwizacji.

— Myślisz, że ja to wytrzymam przez całe życie, Agnicha?

Uśmiechnęła się. Rozczulał ją.

— Wytrzymasz. Jesteś góralem, a górale nie pękają.

— Dzięki za dobre słowo. Odzywaj się od czasu do czasu.

— Obiecuję, że będę dzwonić częściej. I jak tylko coś postanowię, ty pierwszy się o tym dowiesz.

— Trzymaj się, Aga. I uważaj na halny...

— Ty też. Pa!

Czerwona słuchawka przerwała niteczkę, która na chwilę połączyła ją z dawnym życiem i ukochanym miejscem, o którym w tej chwili nie mogła jeszcze myśleć bez emocji i pokładów nagromadzonego w niej smutku. Jednak radość rozmowy i dobra energia, którą była dziś naładowana, pozostały.

Maciej obserwował ją z zacienionej ławki. Był już za stary na pływanie łódką, ale z ogromną przyjemnością patrzył na radość Agnieszki, gdy odkrywała kolejną niespodziankę, jaką dla niej przygotowywał każdego dnia. Uzależniał się od niej. Filiżanka herbaty o poranku w towarzystwie Agnieszki smakowała inaczej niż zazwyczaj. Lipcowy dzień stawał się za krótki, by pokazać jej wszystkie cuda Nałęczowa i okolic. Nauczył się na pamięć rysów jej twarzy. Zamykał oczy i widział jej zaciekawione spojrzenie, delikatny uśmiech i zaróżowione z przejęcia policzki. Lubił, gdy zaplatała włosy w gruby warkocz i kładła go na ramieniu. Już nie była obca. Była tak bliska, że to aż bolało. Już wiedział, co czuje Małgosia, przebywając z Agnieszką, dzieląc z nią swoją codzienność i nie mając możliwości wykrzyczenia całemu światu, że jest matką. Jej matką. To było jak przypiekanie ogniem. Rana, która nigdy się nie zagoi.

— Podobała ci się przejażdżka?

Opadła na ławkę uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. Czułam się jak bohaterka starych dobrych romansów z początku ubiegłego wieku. Dwudziestolecie międzywojenne, świat cyganerii, sztuka obecna na ulicach i miłość na zabój. Chętnie zostałabym tu na zawsze!

— Zostań. Nikt cię stąd nie wygania.

Spojrzała na niego poważnie, gubiąc gdzieś po drodze beztroski uśmiech.

— Podjęłam decyzję.

Nie pytał. Próbował tylko uspokoić serce, które ruszyło do szaleńczego galopu, napierając na klatkę piersiową, jakby chciało z niej wyskoczyć. Bał się tych słów i jednocześnie czekał na nie z nadzieją.

— Zostanę w Warszawie. Poszukam pracy i spróbuję skończyć studia. Stworzę sobie na nowo w miejscu, z którym nic mnie dotąd nie łączyło. Tylko tak będę potrafiła przeżyć ze świadomością, że jestem na tym świecie sama, że nie mam już nikogo.

— Nie jesteś sama — nakrył jej ciepłą dłoń swoją dłonią. — Ktoś tam w górze chciał, abyś teraz tutaj znalazła swoją rodzinę. Przyjmij to jak dar, a nasz dom traktuj odtąd tak jak dom dziadków, do których możesz przyjeżdżać, kiedy tylko zapragniesz. Gdy będzie ci źle, gdy zmęczy cię Warszawa i będziesz chciała naładować akumulatory, pamiętaj, że Nałęczów na ciebie czeka. A my w nim.

Przytuliła się do niego tak serdecznie, jak Sylwia, gdy dostawała banknot dwustuzłotowy. Było to dla Macieja tak spontaniczne i nieoczekiwane, że nie wiedział, jak ma się zachować. Niezdarnie objął ją ramieniem i na moment przytulił do siebie.

— Gdybyś nie afiszował się z tą panną tak publicznie i otwarcie, Macieju, pomyślałbym, że ci odbiło na stare lata.

Przechodzący obok ławki, na której siedzieli, starszy siwiuteńki mężczyzna, wspierając się na lasce, ukłonił się Agnieszce i popatrzył na Macieja z wesołymi iskierkami w oczach.

— To znaczy, że gdybym miał kochankę, nie przyprowadzałbym jej do parku? To miałeś, Stasiu, na myśli?

— Ależ przyprowadzałbyś, Macieju, przyprowadzał, tylko potajemnie.

— W tym mieście nie ma prywatności! Wszyscy wszystko o tobie wiedzą. Jak kichniesz rano, wstając z łóżka, w południe mówią ci „na zdrowie”, jak wstaniesz lewą nogą, pytają o samopoczucie, gdy pokłócisz się z żoną, wysyłają cię na terapię. Wścibstwo i zaściankowość!

— Poczekaj, ty stary baranie, będziesz chciał partyjkę szachów, już ja ci wtedy powiem, gdzie twoje miejsce.

Starszy pan podał Maciejowi rękę, ponownie skłonił się przed Agnieszką i odszedł z wesołym uśmiechem, nucąc sobie pod nosem.

Agnieszka patrzyła za nim zdumiona.

— Kto to był?

— Stanisław Romanowski, mój wieloletni przyjaciel i były adorator Magdy. Do dziś nie może mi wybaczyć, że sprzątnąłem mu ją sprzed nosa. Ale taki już mój urok. — Wyprostował się dumnie jak paw, czym rozśmieszył Agnieszkę.

— Pana urok jest nieodparty.

Uśmiechnął się do niej i, wstając z ławki, podał jej ramię.

— Chodź, młoda damo, Magdalena już czeka z obiadem, a dla niej czas posiłku jest święty.

Podniosła się i wsunęła swoje ramię w jego znajome już ciepło. Poklepał ją po dłoni i powiedział, zapatrzonej na lipy i akacje:

— Cieszę się z twojej decyzji. Bardzo się cieszę.

— Znalazłam na strychu kilka sukienek Małgosi z czasów, gdy była w twoim wieku. — Magda weszła do salonu z naręczem prania pachnącego wiatrem. — Uprałam je i pomyślałam, że są w całkiem niezłym stanie. Gdybyś chciała, mogłabyś je wziąć. Może ci się przydadzą.

Agnieszka odłożyła poezje Leśmiana, w których właśnie była zagłębiona, i spojrzała na Magdalenę jeszcze zamglonym od zaczytania wzrokiem.

— O, ta była jej ulubiona.

Podawała Agnieszce bladozieloną sukienkę ze zwiewnego szyfonu, wykończoną u dołu godetami w kształcie rombów. Agnieszka przyłożyła sukienkę do siebie.

— Ładna.

— Powinna na ciebie pasować, macie podobną figurę. Zaraz to poprasuję i będziesz mogła przymierzyć.

— O, co to, to nie — zaprotestowała dziewczyna. — Ja wyprasuję. I tak nie mam nic do roboty. Całymi dniami tylko odpoczywam i leniuchuję.

— Nie pozbawiaj mnie jednego z ulubionych zajęć. — Magdalena zrobiła zboląłą minę jak dziecko, któremu odebrano rozpoczętego cukierka. — Uwielbiam prasować dziewczęce fatalaszki, a tak rzadko mam ku temu okazję. Jak koniecznie chcesz coś zrobić, możesz pozmywać po obiedzie. Ja tego nie znoszę.

— Pozmywam. — Agnieszka uśmiechnęła się do Magdaleny i odłożyła sukienkę.

Magda zaczęła krzątać się z energią po pokoju. Rozłożyła deskę do prasowania i podłączyła żelazko. Agnieszka przysiadła na krawędzi kanapy

i zaczęła przeglądać pozostałe sukienki. Były w dobrym stanie i ciekawie uszyte. Inne niż te, które zalewały dzisiejsze sklepy i bazy. Oryginalne i kobiece.

— Widziałam, że malujesz — żelazko zabulgotało podgrzewaną wodą i z głośnym sykiem wypuściło parę. Magdalena spojrzała na Agnieszkę znad okularów, które wkładała przy wykonywaniu niektórych czynności domowych. — Odkurzałam dziś rano u ciebie w pokoju. Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ale obrazki leżały na wierzchu. Nie mogłam się powstrzymać.

— Nic się nie stało, to żadna tajemnica.

— Ładne są. Masz talent.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Lubię to. Czasami ta potrzeba malowania jest silniejsza ode mnie. Mam taką fazę, że obraz, który zamykam pod powiekami, muszę koniecznie przenieść na płótno lub papier, inaczej eksploduję. Tak było po wizycie w Kazimierzu.

— Cieszę się, że ci się tam podobało. Bałam się, że Maciej cię zamęczy i zanudzi.

— O nie, spędziłam te dni naprawdę fantastycznie. Już dawno czas nie upływał mi tak szybko.

— Miło mi to słyszeć. Nam też jest z tobą dobrze. Wniosłaś w nasze monotonne życie trochę świeżości i odmienności. To ważne, szczególnie dla Maćka. Brakuje mu Sylwii i Małgosi. Dojrzewam do tego, żeby kupić mu psa. A właśnie, dzwoniła Małgosia. Przyjadą z Markiem jutro wieczorem. Ale to nie znaczy, że musisz z nimi wracać. Możesz zostać, jeśli chcesz.

Agnieszka pokręciła przecząco głową.

— Nie będę nadużywać państwa gościnności, bo chciałabym tu jeszcze kiedyś wrócić. A poza tym muszę poszukać pracy. Chcę zostać w Warszawie na dłużej.

Magdalena spojrzała uważnie na tę ciemnowłosą i ciemnooką dziewczynę, z której twarzy znikła gdzieś melancholia i smutek, z jakimi tu przyjechała. Po blisko tygodniu pobytu w uzdrowiającym Nałęczowie jej rysy wygładziły się spokojem, a oczy nabrały blasku.

— Dobrze robisz. W nowym miejscu szybciej się odnajdziesz i nabierzesz więcej sił do życia. A jeśli to życie cię zaboli, wracaj do nas. Tutaj ludzie też jakoś żyją.

Agnieszka posłała kobiecie wdzięczny uśmiech.

— Dziękuję. Myślę, że jeszcze niejednokrotnie do państwa powrócę. Dobrze mi tu, ale już czas się pozbierać.

— Proszę. — Magdalena podała dziewczynie wyprasowane i pachnące lawendą sukienki. — Są twoje. Masz ochotę na filiżankę zielonej herbaty?

— W pani towarzystwie bardzo chętnie.

— Pacjentka przyniosła mi ciasto drożdżowe. Pogrzeszymy trochę przy tej herbatce.

Puściła do Agnieszki oko, zwinęła sznur żelazka i odstawiła deskę do prasowania w ciemny kąt pokoju. Wychodząc, zatrzymała się jeszcze na chwilę.

— Wiesz, czasami bardzo przypominasz mi Małgosię — powiedziała zamyślona nad wspomnieniem, które pojawiło się wraz z sukienkami.

A potem wyszła, zostawiając Agnieszkę z zapachem przeszłości.

Zastanawiała się, jak będzie wyglądało to spotkanie. Nie były już sobie obce, ale nie istniała jeszcze między nimi taka serdeczność, jaka łączy bliskie sobie kobiety. Czy się czule przytulą, czy tylko powitają uśmiechem i wymienią słowne uprzejmości? I czy ten tydzień z dala od siebie umocnił rodzącą się między nimi więź, czy będą musiały zaczynać od nowa?

Myślała o tym przez całą drogę od Warszawy, ale nic nie przygotowało jej na to spotkanie z Agnieszką w Nałęczowie.

Dziewczyna podbiegła do Małgorzaty radośnie i mocno się do niej przytuliła. W swoim powitaniu była spontaniczna i szczerą. Małgorzata zauważyła ten blask niewidoczny w Agnieszce jeszcze tydzień temu. I zauważyła coś jeszcze.

Świat zawirował jej przed oczami, a cienie i kształty złagodzone przez zmierzch zatańczyły po ścianach. Zielona sukienka. Ta, z którą wiązało się tyle wspomnień. To pod nią Małgorzata tak długo skrywała tajemnicę noszoną pod sercem. Zupełnie zapomniała o tym skrawku przeszłości, porzuconym dawno temu na strychu. Teraz patrzyła na Agnieszkę taką radosną i lekką, ubraną we wspomnienie, którego nie dało się wymazać z pamięci. Historia jej życia zatoczyła koło. Chwile sprzed dwudziestu trzech lat wróciły do Małgorzaty jak bumerang.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. — Agnieszka przejechała dłonią po gładkim materiale sukienki.

Małgorzata pokręciła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

— Oczywiście, że nie. Wyglądasz w niej prześlicznie. Ja już od dawna w nią nie wchodzę.

— Podoba mi się. Ma duszę. — Agnieszka zakręciła się jak mała dziewczynka.

Małgorzata przymknęła oczy. Próbowwała oddychać głęboko, ale świat przed oczami wirował coraz szybciej, tak jak Agnieszka w zielonej sukience.

— Małgosiu, dobrze się czujesz?

Silne i tak dobrze znajome ramię Marka było tuż obok. Pomogło jej łagodnie opaść na sofę i zapaść się w miękkim zagłębieniu wysiedzianym przez lata przez rodziców.

— Przyniosę ci wody.

Ciemność przed oczami łagodziła ból rzeczywistości. Małgorzata schowała się przed światem i przed samą sobą za zamkniętymi powiekami. Uciekła od pełnego niepokoju spojrzenia Marka i strachu Magdaleny; od wirującej sukienki i wyrzutu sumienia, który stał tuż przed nią, oskarżając ją o brak miłości i odrzucenie. Zapadła się głęboko w siebie i nie było już nic.

Cisza.

I wspomnienia, które powróciły.

Rozdział VI

OCZEKIWANIE

1

Ciepłe czerwcowe słońce ogrzewało przyjemnie zimne stopy Małgorzaty. Jasne promienie wciskały się pod szerokie rondo słomkowego kapelusza chroniącego delikatną skórę przed kolejnym nieproszonym piegiem. Plaża wciąż jeszcze należała do Małgosi, jedynie gdzieś rozkładali się nieliczni turyści, spragnieni spokoju i odpoczynku przed sezonem. Już wkrótce ten spokój zmieni się w rejwach i gwar, a opustoszała plaża zapełni się kolorowym tłumem pachnącym oliwką bambino i kremem nivea, a kojąca cisza i szum morza zostaną zakłócone tranzystorowymi odbiornikami, z których popłyną dźwięki polki znane z audycji radiowej Jedyńki.

Małgorzata podciągnęła zieloną sukienkę, odsłaniając nogi, i zapatrzyła się w morze. Lubiła te chwile samotności, kiedy stapała się z tu i teraz, żyła chwilą, chłonęła otaczający świat całą sobą i nie myślała o przyszłości. W takim momencie jak ten nie czuła lęku. Mała fasolka w niej nabierała kształtu człowieka, a ona współistniała z tym życiem, które ocaliła dzięki Teresie.

Dotknęła dłonią zaokrąglonego brzuszka, w którym delikatnie trzepotał motyl. Jeszcze nie potrafiła wyobrazić sobie, że to dziecko. Małeńka istotka z rączkami, mikroskopijnymi paznokciami i delikatnym puszkim na głowie. Dziecko, którego nigdy nie pozna i dla którego będzie kimś zupełnie obcym. Ta mała istotka będzie znać każde uderzenie serca

Małgorzaty, ale to nie do niej powie kiedyś „mamo”. To był jej wybór. Nie mogła postąpić inaczej.

Nie zastanawiała się nad tym, co by było, gdyby... Gdyby wróciła do domu, spojrziała rodzicom w oczy i powiedziała prawdę. Gdyby przyjęła to dziecko, gdyby je zaakceptowała. Gdyby...

Podniosła się z rozgrzanego piasku, otrzepała sukienkę i odsunęła wszystkie „gdyby”. Wracła brzegiem morza do przytulnego mieszkania Teresy. Silny podmuch wiatru szarpnął jej kapelusz, a sukienka przylgnęła do coraz pełniejszych ud. Mały motylek wznowił swój lot, przypominając o tym, że jest. Małgorzata wciągnęła w płuca morskie powietrze i pogładziła wypukły brzusek.

„Rośnij zdrowo, Fasolko. Dla Teresy”.

— Witaj, śliczna blondyneczko. Znowu masz dla mnie list?

Zielona sukienka zatrzepotała na wietrze, gdy Małgorzata wyciągnęła rękę z białą kopertą w stronę przystojnego marynarza.

— Proszę. To na znaczek, a to na papierosy. — Podała mężczyźnie zielony banknot.

— Wolałbym twój uśmiech. Jesteś taka smutna, choć lato takie piękne. Popatrz na Gdynię, cała uśmiecha się do ciebie. Uśmiechnij się do mnie.

— Wyślesz z portu?

— Tak jak zawsze. No proszę, uśmiechnij się.

Roześmiała się. Lubiła go. Mieli układ. Mężczyzna pływał do Szwecji, tam kupował znaczek i wysyłał listy. Do Polski. Do rodziców Małgorzaty. Listy, w których opisywała swoje wymyślane życie. Ona w zamian dawała mu dodatkowy grosz na papierosy. Czasami się do niego uśmiechała, tak jak dziś.

— Umówisz się kiedyś ze mną?

— Może — zamrugła kokieteryjnie rzęsami.

— Zazdroszczę temu, któremu oddałaś serce. Czy zdaje sobie sprawę, jaki z niego szczęściarz?

Nie odpowiedziała. Zapatrzyła się w morze i majestatyczne statki kołyszące się leniwie przy brzegu. Były zaproszeniem i obietnicą innego świata. Kolorowego i wolnego. Świata, do którego uciekł David.

— Kiedy znowu wypływasz?

— Za trzy tygodnie. Będziesz?

Skinęła głową.

— Będę.

— Jesteś bardzo cierpliwa. Nadajesz się na żonę marynarza.

— Czasami nie ma wyboru. Po prostu trzeba czekać — uśmiechnęła się smutno i pomachała mu na pożegnanie.

Miała trzy tygodnie, aby wymyślić kolejny odcinek życia, kolejne sprawy i zdarzenia. Rodzice będą spokojni, w niej niepokój narastał każdego dnia. Jak będzie wyglądało jej życie, gdy Fasolka pojawi się na świecie? Czy będzie potrafiła z tym żyć?

— Opaliłaś się. — Teresa spojrzała z uśmiechem na swoją podopieczną.
— I zaokrągliłaś nieco.

— Zaokrągliłam? — Małgorzata odstawiła pusty talerz po twarożku i opadła na oparcie krzesła z przyjemnym uczuciem zaspokojonego głodu. — Czuję się jak Samantha Fox! O takich piersiach marzyłam jako nastolatka, ale to były tylko marzenia! Tereso, czy to mi zostanie? — spytała z niepokojem.

Teresa roześmiała się i z czułością pogłaskała policzek dziewczyny.

— Niestety nie. Jak nie będziesz karmić, wszystko powróci do rozmiaru, do którego byłaś przyzwyczajona.

— Dzięki Bogu! W obecnym rozmiarze czuję się trochę... przyduża.

— Masz ochotę na spacer? — Teresa sprzątnęła ze stołu puste talerze i szklanki i wstawiła do zlewozmywaka.

— Mam. Może zrzucę nieco tych rubensowskich kształtów.

— Na to bym nie liczyła. Za kilka miesięcy.

Małgosia jęknęła tylko i podniosła się od stołu.

Szły brzegiem morza, zanurzając stopy w chłodnej wodzie. Chropowate kamienie masowały stopy. Morze dziś wygładziło się jak tafla jeziora. Nie szumiało, marszczyło się jedynie czasami, jakby odpoczywając po dniach uniesień i gniewu.

— Tęsknisz za rodzicami, prawda?

Pokiwała głową.

— Tęsknię za rodzicami, za domem. Tęsknię za Davidem i moim dawnym życiem. Czuję się tak, jakby ktoś zamroził mnie na pewnym

odcinku mojej drogi. Nie mogę się cofnąć ani przyspieszyć. Mogę żyć tylko tutaj, w tej zatrzymanej chwili, i nie mam na to wpływu.

— Biedactwo. Wiem, że ci ciężko. — Teresa przysunęła się bliżej i dotknęła ostrożnie zimnej dłoni dziewczyny. — Jeśli będziemy mogli zrobić coś, aby ten ból złagodzić, pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć. Na mnie i na Romana. I nawet jeśli... — przełknęła ślinę i kontynuowała, starając się, aby jej głos nie drżał — jeśli zdecydujesz się zatrzymać dziecko, też uszanujemy twoją decyzję. Pamiętaj, to twój wybór i twoje życie. Nikt nie może ci niczego narzucić i nikt nie przeżyje go za ciebie.

Małgorzata przypomniała sobie słowa Teresy, leżąc w ciemnym i chłodnym pokoju. Zawsze była zdumiona jej mądrością i pokornym podejściem do życia.

Te wszystkie wyparte wspomnienia wróciły wraz z sukienką, którą zobaczyła na Agnieszce. Wróciły też słowa, które tamtego dnia wyrwały się z Małgorzaty.

— Tereso, gdybym wtedy... gdybym usunęła tę ciążę, zabiłabym człowieka, prawda?

Kobieta spojrzała w wielkie i szczerze do bólu oczy dziewczyny i skinęła głową.

— Tak. Zabiłabyś człowieka. To jak morderstwo popełnione z zimną krwią. Już ci kiedyś mówiłam, nosisz w sobie dziecko, nie zlepek komórek i tkanek, ale doskonałe małe dziecko.

Teraz to małe dziecko było doskonałą kobietą. Dziś Małgorzata była mądrzejsza o dwadzieścia parę lat i bagaż życiowych doświadczeń. Dziś rozumiała już słowa Teresy i błogosławiła ją za jej przenikliwość. Nie odebrała życia Agnieszce. Podarowała jej dzieciństwo najlepsze z możliwych i rodziców, dla których była wszystkim. Nikt nie umiałby kochać jej bardziej niż Teresa i Roman.

Nie mogła jej tego odebrać.

Poruszała się już z coraz większym wysiłkiem i coraz trudniej jej było wstawać z łóżka. Drobiła kroczkami jak zmęczona życiem staruszka, a w nocy, przekręcając się na drugi bok, najpierw musiała ułożyć brzuch, a dopiero potem siebie. Czuła każdy ruch dziecka i już nie mogła go ignorować. Jej ciało całkowicie się zmieniło, zdeformowało. Przygotowywało się do roli matki. Większość dni spędzała z książką na wersalce. Z lękiem czekała na dzień, który zwróci jej wolność.

W czasie tych ostatnich tygodni pragnęła bliskości matki. Tęskniła za jej chłodnym opanowaniem i pragmatyzmem. Chciała zadać jej tyle pytań, uciszyć narastający niepokój, posłuchać, jak to było, gdy nosiła ją, Małgorzatę, pod sercem. Potrzebowała takiej szczerzej rozmowy matki z córką spodziewającą się dziecka.

Zadzwoiła do Magdaleny w pewien zapłakany, deszczowy dzień. Fasolka była tego dnia szczególnie ruchliwa i niespokojna, a Małgorzata całkowicie zagubiona w swojej tęsknocie i osamotnieniu. Chciała tylko przez chwilę usłyszeć spokojny głos matki i poczuć się jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, a jej pobyt na koloniach dłużył się niemiłosiernie. Miała szczęście, zastała Magdaleny w domu, odpoczywającą przy zajęciach domowych między dyżurami.

— Mamo... — nie mogła się rozkleić, chociaż głos drżał niebezpiecznie.

— Małgoś! Co u ciebie, córeczko?

— Wszystko dobrze, mamuś, tylko... tęsknię.

— Moja biedna duża dziewczynka. Przecież nie musisz tam tkwić do końca stażu. Jak ci źle, wracaj do domu, kochanie. Tata usycha z tęsknoty.

— Szkoda byłoby zmarnować tyle miesięcy pracy. Wytrzymam, mamó.

— Zdrowa jesteś? Dbasz o siebie?

Przez chwilę uległa złudzeniu, że Magdalena wie o wszystkim i że za chwilę jej powie, żeby wracała do domu, że jakoś to będzie, że wspólnie dadzą radę. Złudzenie szybko minęło, pozostała rzeczywistość.

— Jaka tam u was pogoda? Zimno?

— Chłodno i mokro. Chyba mam jesienną depresję. — Bierz witaminy i ubieraj się ciepło. I nie przemocz nóg. Od mokrych nóg wszystko się zaczyna.

— Wiem, mamó.

— Jakaś smutna jesteś. Coś się dzieje, Małgosiu?

Tak, dzieje się ogromnie dużo, tylko jak mam ci o tym powiedzieć, mamó?

— Wszystko w porządku, mamó. Chciałam tylko usłyszeć twój głos.

— Jesteśmy z ciebie dumni, Małgosiu.

— Wiem o tym, mamó. Bardzo was Kocham.

— My ciebie też. Przecież wiesz o tym.

— Wiem...

Krótki, urywany sygnał telefonu i to samo co przedtem — uczucie pustki wokół siebie. Mała Fasolka wierciła się, szukając wygodnego miejsca, a Małgorzata ocierała łzy skapujące po wyziębionym policzku.

Czuła się tak bardzo samotna i nieszczęśliwa. Ciepła kobieca dłoń dotknęła jej ramienia. Napięcie puściło i wypłynęło głośnym szlochem. Teresa tuliła do siebie Małgorzatę jak skrzywdzone dziecko. Ciepłe łzy moczyły jej sukienkę, a ona delikatnie gładziła jasne włosy i kołysała w ramionach dziewczynę, która tak dzielnie dźwigała swój ciężar.

— Chcę do domu, do mamy.

— Już niedługo, kochanie, naprawdę niedługo.

— Nie dam rady, Teresa. Boję się.

— Ćśśś, maleńka. Będę przy tobie przez cały czas, obiecuję. Razem przez to przejdziemy, razem urodzimy to dziecko.

Małgorzata skryła się w bezpiecznych ramionach Teresy. Łzy powoli wysychały, szloch ustał. Fasolka wywinęła koziółka, naciskając na pęcherz Małgorzaty. Życie toczyło się dalej swoim spokojnym, nieśpiesznym rytmem.

Małgorzata westchnęła i mu się poddała. Czekwała.

Obudziła się z uczuciem niepokoju. W domu panowała cisza, za oknem świeciła jesienną szarówką. Łóżko było mokre i w pierwszej chwili pomyślała, że Faselka zbyt się rozbrykała i mocniej napała na pęcherz. Szybko jednak oprzytomniała, powoli wstała z łóżka i po omacku dotarła do pokoju Teresy i Romana.

— Coś się stało, Małgosiu? — Teresa uniosła się na łokciu i popatrzyła na dziewczynę z niepokojem.

— Chyba odeszły mi wody.

Obie przygotowywały się do tego dnia od kilku miesięcy, ale trudno było Teresie opanować niebezpieczne drżenie rąk i suchość w ustach. Działała jak automat, ale w środku szalała z lęku. Odebrała w swoim życiu setki porodów, ale ten był wyjątkowy. Miała bezpiecznie sprowadzić na ten świat swoje dziecko i bała się jak jeszcze nigdy dotąd.

— Dasz radę się ubrać, Małgosiu?

Dziewczyna skinęła głową i zniknęła w łazience.

Pojechały taksówką, oddychając wspólnie i dotleniając dziecko. Teresa przez cały czas trzymała Małgorzatę za rękę i dodawała jej otuchy. Nie odeszła nawet na śniadanie, którego nie zdążyła już zjeść w domu. Była tuż obok, współistniejąc w bólu razem z Małgorzatą.

Agnieszka urodziła się późnym wieczorem. Małgorzata patrzyła z niedowierzaniem na czerwone niemowlę, które położono jej tuż przy piersi.

— To ty we mnie siedziałaś, Faselko?

Bała się jej dotknąć. Była taka maleńka i krucha. Życie, które pragnęło istnieć. Płakały obie z Teresą, błogosławiąc Boga za ten cud, którego doświadczyły. Skończyło się oczekiwanie, maleńka istotka była już na

świecie, zakorzeniając się w życiu ich obu, bez względu na wybór, którego dokonała Małgorzata.

Od rana chodził za Teresą, czekając na właściwy moment. Musiał z nią porozmawiać, choć wiedział, że nie będzie chciała go słuchać. Odkąd przywiozła do domu Agnieszkę z Małgosią, przestała myśleć racjonalnie. Całe dni spędzała przy łóżeczku, jednocześnie doglądając Małgorzaty i zajmując się niemowlęciem. W nocy zrywała się na każdy dźwięk dochodzący z pokoju, gdzie spała maleńka, i to ona, nie Małgorzata, biegła do Agnieszki, aby ją karmić i przewijać.

Martwił się o Teresę, bo znał ją lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. To on był z nią przy kolejnych poronieniach i on towarzyszył jej w rozpacz i poczuciu, że nie mają na nic wpływu. Teraz obserwował radość, którą Teresa wprost emanowała, i z niepokojem zerkał na Małgorzatę. Czy była świadoma tego, jak wiele od niej zależało? Jedną decyzją mogła spowodować zupełne załamanie Teresy, która nie potrafiła już żyć bez Agnieszki.

Wykorzystał chwilę, gdy Małgosia wyszła na spacer, a Agnieszka gaworzyła, bawiąc się swoimi nóżkami.

— Tereniu, usiądź na chwilę.

Unikała wzroku Romana. Znała go i potrafiła wyczytać troskę z jego twarzy.

— Odłóż to na chwilę i spójrz na mnie. — Przytrzymał jej rękę, którymi zgarniała okruszki ze stołu i ustawiała po swojemu cukiernicę.

— Roman, Agnieszka jest nasza. Przecież Małgosia podpisała wszystkie papiery. To nasze dziecko, Romek, nasza córka. — Spojrzała na niego odważnie, ale wiedziała, że go nie przekonała.

— Słyszałaś, co mówił ten prawnik. Ona w każdej chwili może zmienić zdanie. Ma do tego prawo. Może tak po prostu zabrać małą i wyjechać. To nie był dobry pomysł, Tereniu.

— Przestań tak mówić! Nie wierzysz Małgosi? Mieszka z nami prawie pół roku, a ty jeszcze nie zdążyłeś jej poznać i zaufać?

Pokręcił bezradnie głową. Wiedział, że Teresa nie potrafi już kierować się rozsądkiem. Instynkt matki nie dopuszczał argumentów, którymi atakował ją Roman.

— Nie chcę, żeby cię zraniła.

— Ty mnie ranisz takimi słowami. Agnieszka jest nasza, rozumiesz? Jest naszą córką. Mamy dziecko, na które tyle czekaliśmy. Wychowamy ją najlepiej, jak po trafimy, i spłacimy dług zaciągnięty u Małgosi. Bóg dał nam szansę, więc nie doszukuj się w tym pułapek, tylko przyjmij to jako dar.

Jej oczy błyszczały wszechobecnym w niej szczęściem i podekscytowaniem. Umilkł nie do końca przekonany. Poszukała jego dłoni i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Wszystko przemyślałam. Nie zostaniemy w Pucku. Chcę, żeby Agnieszka była naprawdę, żeby wyrastała w przekonaniu, że jest naszą córką. Przeprowadzimy się na drugi koniec Polski, tam, gdzie nas nikt nie zna i nic o nas nie wie. Tam zaczniemy nasze wspólne życie, już we trójkę.

Podniósł jej spracowaną dłoń i pocałował czule.

— Zawsze chciałem mieszkać w Zakopanem — powiedział w zamyśleniu.

Chciał jej uwierzyć i pokochać to dziecko bez obawy, że nagle zniknie z ich świata i wszystko się na nowo rozsypie. Pomimo wciąż czającego się w nim lęku nie mógł odebrać Teresie tego szczęścia, które otrzymała wraz z Agnieszką. Mógł jedynie być przy niej i pozwolić jej kochać.

— Czas się pożegnać, Fasolko. Powinnam już wracać tam, gdzie na mnie czekają. — Małgorzata dotknęła ostrożnie maleńkiej rączki, która natychmiast pochwyciła jej palec i mocowała się z nim, wymachując przy tym nóżkami. — Na ciebie czekała tylko Teresa i Romek. Ja cię nie chciałam, ale ty nauczyłaś mnie czekać na siebie. Dobrze nam było razem, prawda, maleńka? — Z rozczeniem patrzyła na ten obraz Bożej doskonałości, który miała przed sobą. Wszystko w tej istotce było takie maleńkie i delikatne. Pachniała dziecięcą oliwką i jeszcze czymś, czego wtedy Małgorzata nie potrafiła nazwać. Dopiero kilka lat później, trzymając w ramionach Sylwię, rozpoznała ten zapach i zrozumiała, że tak pachnie dziecko. Cud miłości.

— Nie mogę cię ze sobą zabrać. Nikt oprócz mnie nie wie o twoim istnieniu. Nie mam pojęcia, czy mi to kiedykolwiek wybaczysz...

Łzy były słone i ciepłe. Spływały powoli, jedna za drugą, skapując na biały becik, w który dziecko było zawinięte. Małgorzata otarła je wierzchem dłoni, a potem nachyliła się nad łóżeczkiem i ostrożnie uniosła białe zawiniątko. Przez chwilę czarne oczka spotkały się z jej spojrzeniem. Mała zagruchała radośnie, wpychając swoją piąstkę do buzi.

Ból, który Małgorzata poczuła w środku, wypełnił ją całą. Nigdy nie sądziła, że serce może aż tak boleć z żalu.

— Tak bardzo chciałabym cię zabrać, ale nie mogę. Nie mogę. Musisz na zawsze pozostać tajemnicą, ciemną stroną miłości. Przepraszam cię, maleńka.

Nie mogła się powstrzymać. Przyłożyła swój policzek do ciepłego policzka dziecka i zastygła przez moment w tej bliskości. Nie mogła się

poruszyć. Świat przestał istnieć i były tylko we dwie — ona i to bijące życiem serduszko. A potem delikatnie nachyliła się nad łóżeczkiem i ostrożnie położyła tam swoją córkę.

— Żegnaj, maleńka. Dobrze ci tu będzie, z Teresą i Romkiem. Oni już cię kochają. I ja też. Zawsze będę cię kochać i nigdy nie przestanę.

Odwrócona tyłem nie słyszała, jak cicho skrzypnęły przymykane czyjaś ręką drzwi. Teresa otarła łzę zebraną w kąciku oka i niechętnie wróciła do swoich kuchennych zajęć. Wiedziała, że Małgosia dotrzyma słowa. Od samego początku to wiedziała.

Poznała zapach wody Macieja, który wsunął się bezszelestnie do pokoju i przysiadł obok łóżka. Poszukała jego ręki i wtuliła się w nią jak mała dziewczynka w misia. Poczowała smak dzieciństwa i bezpieczeństwa.

— Jak się czujesz?

— Przeżyję.

— Masz to po mnie. Jesteś twarda — wolną dłonią poklepał ją po ramieniu. — Mama panikuje i za chwilę wtargnie tu z tacą leków, a potem każe Markowi zawieźć cię na EKG.

— Zobaczyłam ją w tej samej sukience, pod którą ją ukrywałam. To było jak niemy wyrzut sumienia, tato. Wszystko wróciło, cały tamten czas. — Leżała wpatrzona w jeden nieruchomy punkt gdzieś poza nim. Jej głos był cichutki. Wyczuł w nim lęk i wzruszenie.

— To bardzo mądra dziewczyna, Małgosiu. I twarda jak my. Polubiłam ją.

— Tyle razy się zastanawiałam, czy...

— Przestań gdybać, czasu nie cofniesz. Skoncentruj się na tym, co jest dziś, i rozegraj to mądrze. Przywiązałam się do niej. — Wysunął dłoń spod policzka i przesunął nią po twarzy Małgorzaty tak, jakby chciał odgonić zmęczenie.

— Popełniłam błąd, tato.

— Nie, Małgosiu. Poświęciłaś się dla dobra innych ludzi. Poświęciłaś się dla mnie i dla mamy i bezinteresownie obdarowałaś obcych sobie ludzi. Ona była sensem ich życia, Małgosiu.

— To mnie przerosło, tato. Myślałam, że nad wszystkim panuję, że wszystko mam pod kontrolą.

— Nie jesteś w stanie zaplanować swojego życia. Nie wiemy, co Bóg dla nas przygotował. Możemy jedynie wziąć to na ramiona i zmierzyć się z tym, tak jak potrafimy.

Małgorzata uniosła się na łokciu i spojrzała w mądre oczy ojca.

— Myślisz, że ona kiedykolwiek mi wybaczy?

Popatrzył na Małgorzatę z troską. Siateczka zmarszczek przy jego oczach pogłębiła się przez ostatnie miesiące. Wiek zaczynał dokuczać, ale Maciej nie dawał się, zachowując pogodę ducha i optymistyczne podejście do życia.

— Jest mądra i dojrzała. Wiele uniesie. Daj jej czas, Małgosiu.

— Dziękuję za to, że jesteś, tato — szepnęła.

Pogłaskał ją po jasnych włosach. Była jego małą dziewczynką, którą jeszcze tak całkiem niedawno brał na kolana i nosił na ramionach. Czuł jej ból zupełnie tak, jakby sam go doświadczał, i nie mógł zrobić nic, aby jej pomóc. Mógł jedynie być obok i wspierać ją. Czuł się współodpowiedzialny za decyzję Małgorzaty. Kiedyś ją zawiódł, nie zaufała mu na tyle, aby o wszystkim opowiedzieć. Potrzebowała jego i Magdaleny, a oni coś przeoczyli, czegoś nie dostrzegli, zignorowali. Została z tym wszystkim sama. Ukochana jedynaczka, wychuchana i trzymana pod kloszem, nagle pozostawiona sam na sam z dylematem, który okazał się ponad jej siły.

Był winny i chciał jej to wynagrodzić.

— Pamiętaj, że nie jesteś już z tym sama, Małgosiu.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję — szepnęła i przymknęła oczy.

Za oknem słychać było świerszcze strojące swe skrzypce przed wieczornym koncertem. Cisza małego miasteczka uspokajała, a bliskość osoby, która wraz z nią dzieliła tajemnicę, dodawała sił.

— Dam radę — wyszeptała, wierząc, że znajdzie w sobie siłę, aby żyć obok Agnieszki z tym dotkliwym bólem w sercu.

Rozdział VII

KOLOROWE MOTYLE

1

Po tygodniu w Nałęczowie Agnieszka poczuła przypływ energii i nabrała ochoty do życia. Budziła się rano, zabierała Sabę na poranny spacer, a potem chodziła po ulicach Warszawy, szukając ogłoszeń o pracę, która pozwoliłaby jej się tutaj utrzymać. Nie chciała nadużywać gościnności Małgorzaty, choć dobrze jej było w tym starym mieszkaniu z przedwojenną duszą. Chciała coś zrobić i skończyć z niemocą, która ją ogarnęła po odejściu Teresy. Chciała żyć. Na swoje konto i po swojemu. Taki był jej plan.

W kolejny upalny lipcowy poranek wyruszyła swoimi ścieżkami, szukając jakiejś wskazówki i natchnienia. W ręku zamiast torebki trzymała podniszczoną książkę, a potrzebne drobiazgi wrzuciła do małego plecaczka, który zarzuciła na ramiona. Była dziś lekka tą wakacyjną beztroską, którą żyła Warszawa. Wtopiła się w tłum turystów i razem z nimi przemierzała uliczki Starego Miasta. Lubiała tu przyjeżdżać. Miejsca Małgosi stały się jej miejscami, do których wracała z radością. Ulice Ciasna i Świętojerska, Rynek Starego Miasta stały się tak bliskie, jak Floriańska w Krakowie. Czuła się tak, jakby budziła się z długiego snu, w który zapadła w dniu pogrzebu Teresy.

Zmęczona wędrowaniem i dopytywaniem o możliwość zatrudnienia, usiadła w jednym z letnich ogródków i zamówiła kawę latte. Chciała się porozpieszczać i jak najdłużej zachować ten nastrój radosnego uniesienia,

który dziś towarzyszył jej od rana. Obserwowała toczące się wokół niej życie, wolno spacerujących ludzi, gwarne kolonie i czuła się częścią tego świata, który na nowo zaczynał ją fascynować.

— Poetka!

Nie. Góralka — podniosła wzrok znad tomiku Leśmiana, który przywiozła z nałęczowskiej biblioteczki Małgorzaty, i spojrzała spod przymrużonych powiek w stronę stojącego przed nią chłopaka.

— Turystka.

— W pewnym sensie. Raczej przyjezdna. Tymczasowa.

— Mogę? — Wskazał na wolne krzesło przy jej stoliku.

Zawahała się przez chwilę, a potem skinęła wolno głową.

— Jestem Kuba. — Śmiało wyciągnął rękę. Uścisnęła ją mocno i zdecydowanie.

— Agnieszka.

— Góralka, która czyta Leśmiana na Starym Mieście w Warszawie. Kto dziś czyta wiersze?

— Ja — uśmiechnęła się przekornie.

— I ja. Czasami.

Bawił ją. Był taki bezpośredni i sympatyczny. Ciepły. Jasne włosy ze słonecznymi pasemkami sterczały mu w twórczym nieporządku we wszystkie możliwe strony. Na pogodnej, uśmiechniętej twarzy i odsłoniętych ramionach widać było ślady lipcowej opalenizny. Zielone oczy z krótkimi, jasnymi rzęsami patrzyły ciekawie na Agnieszkę. Wyprostowała się, prezentując sukienkę, którą kupiła jej Małgorzata.

— Jesteś z Warszawy? — spytała.

— Dzisiaj wszyscy chcą być z Warszawy. Nie, pochodzę z Garwolina, ale wymyśliłem sobie swój sposób na życie tutaj, w samym sercu stolicy.

— I jak idzie zderzenie planów z tutejszą rzeczywistością?

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, gryząc zębami dolną wargę.

— Wszystko zmierza w dobrym kierunku. Jestem uparty i konsekwentny.

Podobał się jej. Jego bezpośredniość nie obrażała ani nie niepokoiła. Był szczery. Flirtował z nią, ale nie próbował jej poderwać. W swoich spranych, znoszonych dżinsach i pomarańczowej koszulce bez rękawów wyglądał na kogoś, kto nie unika żadnej pracy i się jej nie boi.

— Chciałbym postawić ci kawę, ale jedną już dopijasz.

— Możesz mi kupić lody. Są dobre na każdą okazję — uśmiechnęła się.

Podniósł się i spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

— Nigdzie się stąd nie ruszaj, proszę. I pozwól, że sam wybiorę smak lodów dla ciebie, a ty mi powiesz, czy trafiłem.

Zaintrygował ją. Był miły i spontaniczny. Czekwała, popijając latte. Wrócił z dwiema bombami lodowymi. Roześmiała się.

— Czy ty sądzisz, że ja dam radę to zjeść?

Spojrzał na nią, oceniając szczupłość jej talii.

— No, może trochę przesadziłem, ale aż tyle smaków pasowało mi do ciebie.

— Jakie wybrałeś?

Miał ładny uśmiech. Szczery.

— Waniliowe, bo każdy je lubi. Truskawkowe, bo mają smak lata. Jagodowe, bo u was są najpyszniejsze jagodzianki. Kawowe, do twojej karnacji. Cytrynowe, posmak egzotyki i nieco orzeźwienia. I zabajone. Przeszliśmy na ty, więc zdecydowałem się na tę namiastkę alkoholu. Trafiłem?

Pokiwała głową, oblizując lodowego olbrzymia.

— W dziesiątkę.

Siedzieli i rozmawiali. Po zjedzeniu ogromnej lodowej porcji Agnieszka nie miała siły się ruszyć. Odniosła wrażenie, jakby znała Kubę od lat. Ostatni raz czuła się tak dobrze przy Łukaszu.

— Chciałbym ci coś pokazać. Dasz radę wstać od stolika? To niedaleko.

Poklepała się po pełnym brzuchu, zapłaciła za kawę i musnęła usta błyszcznikiem. Poszła za Kubą z ciekawością małego dziecka. Prowadził ją krętymi uliczkami Starego Miasta do starej, odrestaurowanej kamienicy z tajemniczą szeroką bramą. Z lekkim niepokojem weszła do dużego pomieszczenia, w którym widać było ślady przeprowadzanego tam remontu. Na podłodze leżały sterty gazet i szarego papieru, z wysokiego sufitu zwisały kable zakończone gołymi żarówkami, w kącie poniewierał się gruz. Na środku sali stała zachlapana farbą drabina, obok niej ktoś odstawił wiaderko białej emulsji i odłożył zabrudzony pędzel.

— Wow! — Tyle tylko była w stanie powiedzieć.

— To jest właśnie ten mój pomysł na życie. Chcę tu zrobić knajpę, która będzie miała klimat przedwojennej dekadencji. Nie zamierzam stworzyć klona powstających jak grzyby po deszczu pubów, barów czy restauracji. Ten lokal musi mieć to coś, czemu nie będzie można się oprzeć, i dla którego będzie chciało się tu być. Od miesięcy zastanawiałem się nad odpowiednią nazwą i nic! Totalna pustka intelektualna. I nagle zobaczyłem cię z tym tomikiem wierszy, taką zjawiskową, totalnie zagłębianą w swoim świecie, i mnie olśniło. Poetka! Tego szukałem.

— Ten lokal ma potencjał, ale pochłonie górę pieniędzy — zauważyła, rozglądając się dookoła.

— Jestem tego świadomy. Wziąłem kredyt, łapię się każdej roboty, jakiej się tylko da. Część rzeczy robię sam, aby zmniejszyć koszty. Jestem

dobrej myśli, bo wierzę, że jeżeli się czegoś bardzo chce i ciężko na to pracuje, w końcu uda się to osiągnąć. Ja chcę Poetki. Wierzę w nią.

— Jesteś dla mnie świetną motywacją. Mnie w pewnym momencie życie przerosło. Pogubiłam się, ale zaczynam dostrzegać kolorowe motyle, więc już jest dobrze.

Popatrzył na nią uważnie, a ona poczuła się tak, jakby przenikał ją tym swoim kocim spojrzeniem zielonych oczu.

— Jak powiedziałaś, że studiujesz na ASP, pomyślałem sobie, że może być mnie natchnęła i doradziła mi w wystroju wnętrza.

Jej twarz zajaśniała uśmiechem.

— Z wielką przyjemnością. Mogę przyjrzeć się temu dokładniej?

— Czuj się jak u siebie. — Gestem zaprosił ją na obchód po metrach kwadratowych swojego królestwa.

Patrzyła jak urzeczona. Zamykała oczy i wyobrażała sobie to miejsce za kilka miesięcy. Cisnęły jej się do głowy setki pomysłów i rozpaczliwie zapragnęła kartki i ołówka. Miała koncepcję i chciała nad nią popracować. Poczowała to dobrze znane uczucie artystycznego niespełnienia, które zawsze popychało ją w stronę działania. Znów była dawną sobą.

— Dziś nad tym popracuję, a jutro pokażę ci, jak to widzę. O której mogę cię tu zastać?

— Będę od dziesiątej do wieczora. Chcę skończyć malować sufit. Od dwudziestej pierwszej maluję pasy na jezdni. Od przyszłego tygodnia idę na budowę. Kiedyś będę żył z tego — podniósł obie ręce do góry i się zakręcił.
— Teraz muszę chałturzyć, aby sfinansować swoje marzenia.

— Uda ci się, zobaczysz.

— Gdybym w to wątpił, nigdy bym się do tego nie brał — uśmiechnął się do Agnieszki, a ona pomyślała, że lubi jego uśmiech. Był ciepły i szczery. Jak sam Kuba.

— A zatem do jutra. — Podała mu dłoń, którą mocno uściskał.

— Do jutra. Do zobaczenia, piękna góralko.

Zarumieniła się i wyszła, zabierając ze sobą swoje pomysły.

Wraz z powrotem Sylwii powrócił wieczny rozgardiasz, nieustanny dźwięk przychodzących esemesów i pomruki niezadowolenia dochodzące z różnych części mieszkania, w zależności od tego, gdzie akurat Sylwia przebywała. Po trzech tygodniach spędzonych z dala od domu i kontroli rodziców nastolatce trudno było się przyzwyczaić do reguł i ograniczeń, których na nowo musiała zacząć przestrzegać.

— Ratunku! Obcy powrócił! — Małgorzata z westchnieniem przypomniała sobie czas leniwego spokoju i ciszy sprzed kilku dni.

Marek skrzywił się zza gazety, którą czytał do porannej kawy.

— Nie wiem, co miał znaczyć ten grymas, mam tylko nadzieję, że będziesz wspierał mnie, a nie jej wysokość humorzastość.

— Dzień dobry, czy mogę potowarzyszyć wam przy śniadaniu? — Agnieszka weszła do kuchni, wnosząc swoją poranną radość i młodość.

— Powiedz, ile lat jeszcze będziemy czekać na takie powitanie Sylwii z samego rana? — Małgorzata wstała od stołu i włączyła czajnik. Agnieszka odkroiła kawałek białego sera i puściła oko do Marka.

— Dziesięć?

— Ładna perspektywa! Jak tylko osiągnie pełnoletniość, zostanie wydana za mąż.

— Już ci nadepnęła na odcisk?

Małgorzata wywróciła oczami.

— Z tysiąc razy od swojego powrotu. Błogosławię Gordona za to, że daje mi tyle pracy. Gdybym spędzała więcej czasu z Sylwią, chybabym zwariowała.

— Małgosiu, nie przesadzaj. Mówisz o własnej córce. — Marek ze spokojem złożył gazetę i popatrzył z wyrzutem na żonę, a potem zwrócił się do Agnieszki:

— Nadal uparcie szukasz pracy?

Agnieszka skinęła głową, wgrzyzając się w kanapkę.

— Zbyt długo nadużywam waszej gościnności — stwierdziła, wycierając dłonią ser z policzka.

Małgorzata zeszywniała. Znów poczuła to przyśpieszenie uderzeń, zupełnie jakby jej serce chciało gdzieś pobiec, wyprzedzając ją.

— Możemy porozmawiać o tym wieczorem? Teraz muszę pędzić do pracy, a ciebie zostawiam z tym małym potworem.

— Dam radę. Też niedługo wychodzę. — Te słowa złapały Małgorzatę już w drzwiach wyjściowych.

Agnieszka cieszyła się na to spotkanie. Chciała znów zobaczyć Kubę i pokazać mu swoje projekty, nad którymi pracowała pół nocy. Nie mogła spać, mimo że położyła się do łóżka przed trzecią. Znów poczuła chęć działania, tworzenia czegoś. Powierzchnia, którą pokazał jej Kuba, dała jej natchnienie.

Agnieszka była tak podekscytowana, że wstała wcześniej rano i czuła, jakby nie chodziła, tylko unosiła się nad ziemią. Postanowiła wyjść z domu wcześniej i popytać w kawiarenkach i sklepach Starego Miasta o jakąkolwiek pracę. Lubiała to miejsce i chciała tam przebywać tak często, jak mogła. Tutaj czuła klimat Krakowa, za którym tęskniła.

Kuba już nią czekał. Miał na sobie biały T-shirt i dżinsowe rybaczki. Wyciągnął do niej rękę poplamioną białą farbą i podobnie jak wczoraj mocno uścisnął.

— Bałem się, że nie przyjdiesz.

— Przecież obiecałam — uśmiechnęła się i podała mu projekty. — Przejrzyj to i powiedz, czy z czymś trafiłam. Jeśli ci się nie spodoba, powiedz szczerze.

Oglądał w milczeniu, skupiony i pochylony nad arkuszami białego papieru pokrytymi grafitowymi szkicami. Patrzyła na niego zachłannie. Czasami marszczył czoło i pocierał je kciukiem i palcem wskazującym. Podnosił głowę i porównywał obraz na kartce z tym rzeczywistym, jakby chciał wyobrazić sobie to wszystko po przemianie. Stała obok, czekając na jakieś słowo, jakiś komentarz.

Po dłuższej chwili podniósł głowę, popatrzył na nią i wskazał na jeden z projektów.

— Ten mi się podoba.

Spojrzała mu przez ramię i się rozpromieniła.

— To mój ulubiony. Tak wyobrażam sobie Poetkę.

— Ja też.

Agnieszka poczuła dreszcz, gdy ich spojrzenia się spotkały. Szybko spuściła wzrok i dłonią poprawiła rozpuszczone dziś włosy.

— Ile mam ci zapłacić za pomysł i pomoc w jego realizacji?

— Daj spokój, nie zrobiłam tego dla pieniędzy. Może zbyt emocjonalnie się w to zaangażowałam, ale Poetka coś we mnie przełamała. Odnalazłam swoją pasję i wystarczającą zapłatą będzie dla mnie to, że pozwolisz mi to wszystko tutaj odtworzyć.

Uśmiechnął się i delikatnie odgarnął jej z twarzy zaplątany kosmyk włosów.

I znów ten dreszcz, gdy jego palce nieznacznie musnęły jej policzek.

— Możesz się tu szarogęścić, ile tylko chcesz.

Roześmiała się. Znowu je zobaczyła. Kolorowe motyle, ulotne jak krótkie chwile szczęścia, zatańczyły dookoła niej. Jej życie powoli nabierało barw. Już nie była pustką, wydrążonym w środku owocem, w którym oprócz smutku nie ma nic. Jeszcze nie widziała wokół siebie tęczy, ale czuła, że jest blisko.

— Dostałam pracę! — Agnieszka niesiona na skrzydłach euforii wpadła do mieszkania jak burza.

Małgorzata odłożyła nóż, którym kroić pomidory, a Marek uśmiechnął się sponad talerza. Agnieszka, zdyszana opadła na kuchenne krzesło. Saba natychmiast to wykorzystała, kładąc łeb na jej kolanach i domagając się pieśczot.

— Co to za praca? — Małgorzata wytarła ręce w papierowy ręcznik i usiadła naprzeciw Agnieszki.

— Będę kelnerką w restauracji na Starym Mieście.

— To ciężka praca. Wiesz, że nie musisz tego robić.

— Małgosiu, muszę. I chcę. Chcę w końcu zacząć coś robić. Muszę się wyrwać z tej stagnacji, w jakiej tkwię od przyjazdu tutaj. Nie odbierz tego niewłaściwie, jest mi u was cudownie, ale źle się z tym czuję, siedząc wam na głowie.

Małgorzata westchnęła i podniosła ręce w geście poddania.

— OK. Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

Agnieszka spojrzała na nią pytająco.

— Wrócisz na studia.

— To też przemyślałam. Chciałabym kontynuować studia tutaj, w Warszawie. Muszę pójść do dziekanatu i dowiedzieć się wszystkiego, a potem pojedę do Krakowa, by tam wszystko pozamykać. Jeśli mam zacząć od nowa, to tylko w miejscu, z którym nie mam żadnych wspomnień. Czysta kartka, gotowa do zapisania życiem.

Małgorzata pokiwała głową, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła nią delikatnie policzka Agnieszki. Był rozgrzany słońcem i emocjami.

— Pomogę ci. Zadzwoń jutro do dziekanatu i dowiem się wszystkiego.

— Dziękuję. Za wszystko.

Małgorzata podniosła się i zawołała Sabę.

— Przejdę się. A ty coś zjedz — zwróciła się do Agnieszki.

Marek popatrzył na nią pytająco, ale uspokoiła go spojrzeniem i lekkim uśmiechem. Potrzebowała побыć przez chwilę sama.

Szła z Sabą na smyczy Marszałkowską, potem skręciła na skwerek przy Zoli. Panował tu przyjemny wieczorny chłód. W letnim ogródku restauracji Venezia siedziały pojedyncze pary, trzymając się za ręce i patrząc sobie głęboko w oczy.

Małgorzata poczuła nagłą potrzebę zapalenia papierosa. Nie paliła od niepamiętnych czasów, a w zasadzie nigdy nie paliła. Popalała tylko od czasu do czasu, kiedy miała ciężką sprawę lub kiedy Sylwia wyprowadzała ją z równowagi na tyle mocno, że Małgorzata czuła, iż jeśli nie zajmie czymś rąk, to rozszarpie córkę na drobne kawałeczki.

Teraz chciała potrzymać między palcami cieniutkiego papierosa i zaciągnąć się przez chwilę dymem. Szarpnęła smycz i zawróciła Sabę w stronę Marszałkowskiej. Wielką zaletą mieszkania w centrum miasta jest to, że sklepy są na wyciągnięcie ręki. Przywiązała Sabę przed delikatesami i na moment weszła do środka. Przy kasie zapłaciła za paczkę papierosów oraz zapalniczkę i wróciła na skwerek.

Dym drażnił, powodując atak suchego kaszlu, ale sama czynność uspokajała. Saba obwąchiwała znane trawniki i klomby, machając swoim krótkim ogonkiem. Małgorzata wydmuchnęła dym i spojrzała wysoko, w wieczorne niebo.

Cieszyła się powrotem Agnieszki do Warszawy oraz tym, że dziewczyna tak dobrze zaczęła się tu odnajdywać. Zapuszczała korzenie.

Praca, studia, dni wypełnione zajęciami, dzięki którym rutyna stanie się błogosławieństwem niepamięci. Małgorzata czuła jednak, że Agnieszka chce się usamodzielnic, i obawiała się, że nawet mieszkając w jednym mieście, nie są sobie na tyle bliskie, aby wpadać do siebie z wizytą niespodziewanie czy przegadać pół nocy, popijając herbatę lub wino. Chciała mieć Agnieszkę obok, na wyciągnięcie ręki. Wiedziała, że myśli jak egoistka, ale chciała się nią nasycić, poznać ją, zbliżyć do jej spraw, do jej znajomych i do pasji, które mogłyby razem dzielić. Chciała wiedzieć o niej tyle, ile wiedziała o Sylwii. Pragnęła, aby jej córki miały szansę poznać się na tyle dobrze, by kiedyś móc być dla siebie wsparciem. Żyła marzeniami, a marzenia się spełniają, jeśli się tego bardzo, bardzo chce. A Małgorzata chciała. Bardzo.

Zgasła papierosa i wyrzuciła go do zielonego kosza. Saba patrzyła na nią wyczekująco.

— Wracamy.

Suczka zamerdała ogonem i pociągnęła smycz, gotowa do powrotu. Wracały dłuższą drogą, aleją Szucha. Letni wieczór w Warszawie uspokajał. Małgorzata szła powoli, z Sabą płaczącą się przy nodze. Miała pewien plan, musiała tylko porozmawiać o tym z Markiem, a potem przedstawić go Agnieszce. Wiedziała jedno, zrobi wszystko, aby zatrzymać córkę przy sobie jak najdłużej. Poświęci wiele dla dziewczynki, kiedyś odrzuconej, a którą dziś próbowała odnaleźć w kobiecie, która nagle pojawiła się w jej życiu i nieświadomie wywróciła świat Małgorzaty do góry nogami.

— Obsługujesz stoliki po prawej stronie sali oraz te w ogródku, po prawej stronie od wejścia. Jesteś miła i uśmiechnięta, nawet jeżeli masz okres, zły dzień lub klient nadeptnie ci na odcisk. — Niski, krępy i pucołowaty kierownik sali, bezpośredni przełożony Agnieszki, wprowadzał ją w obowiązki, których za chwilę miała się podjąć. Przybiegła do pracy punktualnie na dziewiątą, pełna zapału i entuzjazmu. Pierwszy sierpnia. Nowy dzień, nowy miesiąc i ona nowa tutaj; inna od tej Agnieszki, którą wraz ze wspomnieniami zostawiła w rodzinnym domu w Zakopanem. Nie chciała oglądać się za siebie i analizować podjętych decyzji z obawy, że się złamie i wróci do świata, gdzie pogrzebała samą siebie. Podobała jej się ta nowa Agnieszka i postanowiła jej zaufać.

— Jesteś grzeczna, ale także czujna i uważna. Jeśli klient zniknie ci bez płacenia, należną kwotę potrącamy z twojej pensji, więc miej oczy szeroko otwarte. Wszystkie napiwki zostają w twojej kieszeni. Jakies pytania?

Pokręciła przecząco głową.

— Witamy na pokładzie i zabieramy się do pracy. Tam możesz się przebrać. — Podał jej starannie złożony firmowy mundurek i wskazał pomieszczenie służbowe, maleńką oazę personelu, gdzie na pół godziny w czasie całej zmiany można się było bezkarnie zaszyć.

Staroszlachecki Dwór był elegancką restauracją, kuszącą klientów luksusem i przepychem. Znajdował się w samym sercu Starego Miasta i pomimo licznej konkurencji praktycznie przez cały czas miał wypełnione sale. Wielu zagranicznych turystów przysiadło tutaj na filiżankę kawy lub wykwintny obiad, za który można było zapłacić zarówno w złotówkach, jak i w euro. Klientów witali kelnerzy w bordowych uniformach ze złotymi

guzikami, na stolikach leżały bordowe obrusy, a ściany ozdobiły bordowe draperie.

Początkowo Agnieszka była trochę onieśmielona tym miejscem, jednak w miarę upływających godzin przestała zwracać uwagę na otaczające ją wnętrza, zajęta zbieraniem zamówień i dostarczaniem niezliczonej ilości kaw, soków i deserów, a w porze obiadowej zestawów tak skomponowanych na talerzu, że aż ślinka ciekła na sam ich widok i portfel otwierał się bez żalu, pomimo dość wysokiej ceny jak za jeden obiad. Pod koniec dnia padała ze zmęczenia, ale miała poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Kuba czekał na nią jak zwykle ubrudzony farbą, ale pogodny. Przywitał Agnieszkę uśmiechem i kubkiem aromatycznej czarnej herbaty.

— Zmęczona?

— Jeszcze jak! Czuję się, jakbym przebiegła maraton. — Agnieszka z przyjemnością usiadła na rozchybotanym krześle i wyciągnęła przed siebie obolałe nogi.

— Znalazłem fajną i w miarę tanią ekipę. Wchodzą tu od czwartku i biorą się najpierw do elektryki. Potem dołączają z hydrauliką i zacznie się dziać. Moje marzenie przybierze realny kształt, a ja udowodnię sobie i tym, co we mnie wątpią, że to wszystko miało sens.

— Ja w ciebie wierzę. — Lubiała, gdy tak na nią patrzył. Jego oczy były pełne życia i każde spojrzenie wyrażało to, co chciał powiedzieć.

— A ja trzymam kciuki za twoje mocne fundamenty w Warszawie.

Była tak zmęczona, że nie miała nawet siły się uśmiechnąć.

— Pójdę już. Jutro muszę być znowu na dziewiątą.

— Odprowadzę cię. — Podniósł się i odszukał bluzę niedbale rzuconą na oparcie krzesła.

Agnieszka poczekała, aż Kuba wszystko pozamyka, a potem ruszyła powoli, przy każdym kroku czując ból ociążałych i opuchniętych nóg.

Dobrze im się razem rozmawiało, lekko i bez skrępowania. Tak swobodnie Agnieszka czuła się dotąd tylko przy Łukaszu. Kuba słuchał zafascynowany jej opowieści o Tatrach i spędzonym tam dzieciństwie, a Agnieszka wyobrażała sobie opisywanego przez Kubę nastolatka z pająkowatymi rękami i nogami, wiecznie podrapanego i posiniaczonego od wspinaczek po drzewach i niedozwolonych zabaw na budowach. Był od niej rok starszy, kończył marketing i zarządzanie na SGGW i marzył o tym, aby zostać restauratorem. Miał starszego o sześć lat brata i dwoje siostrzeńców, o których mówił bardzo ciepło.

— Nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę. — Agnieszka zapatrzyła się w światelka migoczące na Pałacu Kultury. — Zawsze chciałam mieć rodzeństwo, a niestety jestem jedynaczką. Kiedy zabrakło rodziców, zostałam sama jak palec. Może gdybym miała brata lub siostrę, byłoby lżej. Miałabym w kimś wsparcie. Miałabym rodzinę — dodała ciszej.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie doświadczył samotności. Jako ten młodszy zawsze był otoczony specjalną opieką i troskliwością. Czasami to aż uwierało, uciskało jak niewygodne buty. Dlatego wyjechał do Warszawy, aby żyć na własny rachunek i osiągnąć coś na własne konto.

— Wiesz, to straszne uczucie nie być dla nikogo na tym świecie kimś ważnym.

Nie wiedział, jak ona to odbierze, ale nie mógł się powstrzymać. Objął ją ramieniem, jakby w ten sposób chciał jej dać namiastkę ciepła, za którym tęskniła. Spojrzała na niego z niemym zapytaniem w oczach. Odpowiedział jej uśmiechem.

Odprowadził ją pod samą bramę kamienicy, gdzie niechętnie zdjął rękę z jej ramienia.

— Pamiętaj, że trzymam za ciebie kciuki. Nie daj się i pokaż warszawiakom, że górale są nie do zdarcia.

— Dzięki. Dam radę.

— Nie wątpię w to. Aga, zniknę na trzy tygodnie. Idę na budowę i zamierzam pracować po szesnaście godzin, więc przez jakiś czas nie będzie mnie w Poetce. Ale ty możesz tam zaglądać, kiedy tylko chcesz, uprzedzę ekipę.

Pokiwała głową i podała mu rękę na pożegnanie.

— Powodzenia. Dbaj o siebie.

— Ty też.

Jego dłoń była ciepła. Przytrzymał w niej przez chwilę rękę Agnieszki, a potem uśmiechnął się jeszcze ciepło, tak jak lubiła, i poczekał, aż wejdzie do bramy. Potem odszedł z rękami w kieszeniach, oglądając się od czasu do czasu za siebie.

Lubiła letnie wieczory. Przez szeroko otwarte okno wpadały dźwięki miasta, czasami zagrał zabłąkany świerszcz, sam zadziwiony tym, jak daleko się zapuścił. Patrzyła na profil męża oświetlony ciepłym światłem lampy. Marek był pochłonięty kryminałem i z mimiki twarzy męża doskonale mogła odczytać towarzyszące mu emocje. Lubiła go obserwować. Marszczył czoło, gdy próbował się skupić lub gdy myślał o czymś intensywnie. Gdy był zmęczony, pocierał kciukiem nasadę nosa, to miejsce pomiędzy brwiami, gdzie miał taką poprzeczną bruzdę. Teraz uśmiechał się jednym kącikiem ust, unosząc je nieznacznie w górę, a drobniutkie zmarszczki przy oczach rozchodziły się w kierunku jego skroni jak wesołe pajęczynki. Wzruszał ją za każdym razem, gdy na niego patrzyła.

— Nalać ci czegoś?

W pierwszej chwili nie zareagował, pochłonięty lekturą. Po chwili spojrzał na nią przytomniej i się uśmiechnął.

— A co proponujesz?

— Mam ochotę na nalewkę miodową.

— Dotrzymam ci towarzystwa i też się chętnie napiję.

Przygotowała dwie koniakówki i napełniła je do połowy złotym płynem z kryształowej karafki. Podała jedną Markowi i usadowiła się z drugą w dłoni tuż przy nim. Poczowała bijące od niego ciepło i zapach, który wciąż przyprawiał ją o dreszcze.

— A gdzie dziewczyny? — Marek objął Małgorzatę ramieniem i wyciągnął się wygodnie, półożąc na sofie.

— Agnieszka padła zaraz po przyjściu z pracy i odsypia zmęczenie, a Sylwia siedzi przed laptopem i rozmawia z tym Szkotem, którego poznała na obozie. A jak z nim nie rozmawia, pisze do niego maile i esemesy. Gdyby nie Saba, to w ogóle nie wychodziłaby z domu i trochę zaczyna mnie to martwić. Wiesz, wydaje mi się, że ona się zakochała.

Marek uniósł się do pozycji siedzącej i popatrzył na żonę z niedowierzaniem.

— Wydaje mi się, kochanie, że trochę przesadzasz.

Małgorzata westchnęła i przewróciła oczami.

— Mężczyźni! Wiem, że trudno ci to zaakceptować, ale Sylwia już nie jest dzieckiem.

— Ale ma dopiero piętnaście lat! A do tego zakochać się w Szkocie?! Mówiła ci coś?

— Tylko tyle, że ma na imię Ian, pochodzi z Edynburga i ma siedemnaście lat. Mnie tam ta znajomość cieszy, bo po pierwsze jest na odległość, a po drugie Sylwii powrócił ogromny zapał do angielskiego. Widzę same plusy tej sytuacji.

— Ale od razu zakochana?

— Kochanie, piętnaście lat to magiczny wiek. Ona jest już małą kobietą.

Marek pokręcił głową i opadł na sofę. Nie był jeszcze przygotowany na to, że jego mała słodka dziewczynka zaczyna mieć swój własny świat, do którego on nie będzie miał już dostępu.

— Marek, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

Nie patrzyła na niego. Siedziała oparta plecami o jego ramię, grzejąc w dłoni kieliszek, w którym kołysał się złoty płyn.

— Czy zamierzasz przywieźć do domu jeszcze jedną dziewczynkę? — Zażartował, ale natychmiast tego pożałował, czując, jak się spięła. —

Przepraszam, to był głupi żart.

Nie odpowiedziała i przez chwilę siedzieli w ciszy. Świerszcz przy oknie na dobre rozpoczął swój koncert, zachęcony dwójką milczących słuchaczy. Małgorzata przerwała tę ciszę. Ze wszystkich sił starała się, aby jej głos nie zdrzął i nie wyrażał żadnych uczuć.

— Chciałabym, aby Agnieszka została z nami na dłużej. Wiem, że pracuje, chce się usamodzielnąć, dalej studiować. Będzie chciała coś wynająć, pewnie do spółki z nowymi znajomymi. Myślę jednak, że nie powinniśmy zostawiać jej samej. Warszawa to duże miasto, którego ona zupełnie nie zna. To nie jest dobre miejsce dla młodej dziewczyny z takim bagażem emocjonalnym, jaki ona dźwiga.

— Małgosiu, przecież ja jej stąd nie wyganiam. Polubiłem ją nawet. — Marek nachylił się i pocałował czubek jasnej głowy żony. — Ale nie zatrzymasz jej na siłę — dodał.

— Chcę jej zaproponować wynajęcie tego pokoju. Wiem, że jest honorowa i jako gość dłużej tu nie zostanie. Jeśli będzie miała do wyboru zapłacić obcym i mieszkać nie wiadomo z kim, myślę, że będzie wolała zostać z nami. Już nas trochę poznała, no i toleruje Sylwię. — Ostatnie zdanie powiedziała z przekąsem.

— A Saba ją uwielbia. — Marek pociągnął długi łyk i odstawił pusty kieliszek.

— Myślisz, że się zgodzi? — Odwróciła się i popatrzyła w tak dobrze znajome i kochane oczy męża.

— Zostać z nami? Nie wiem. A może nas nie lubi?

Nie zdążył się uchylić przed kuksańcem.

— Porozmawiaj z nią. Przecież w naszym domu ty jedyna masz wyjątkową siłę przekonywania. — Nachylił się i sięgnął po stojącą na

szklanym stoliku karafkę. Napęłnił ponownie kieliszek żony, a potem swój i usiadł naprzeciwko niej.

— Ja też chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

Spojrzała na niego z niepokojem w oczach.

— Wyjedźmy razem na tydzień. Sami, tylko ty i ja.

— Gdzie?

— Nad morze.

Przebiegł ją zimny dreszcz. I nagła myśl, że Marek o wszystkim wie. Szybko ją jednak odrzuciła. Pomyślała, że zachowuje się jak przestępca, który za każdym rogiem widzi policjanta.

— Nad morze? Myślisz, że znajdziemy coś w pełni sezonu?

— Poszperamy w Internecie. Wybrzeże jest duże, na pewno coś znajdziemy, tym bardziej że sezon powoli dobiega końca. Wyrwiesz się Gordonowi na tydzień?

Uśmiechnęła się, a on pomyślał, że nie umiałby żyć, gdyby tego uśmiechu nagle zabrakło w ich domu.

— Spróbuję. A co z dziewczynami?

— Sylwię i Sabę wywieziemy do Nałęczowa, a Agnieszkę poprosimy o dopilnowanie mieszkania.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego groźnie jak nauczyciel na nieprzygotowanego do zajęć ucznia.

— Widzę, że wszystko już zaplanowałeś. Z rodzicami też rozmawiałeś?

Pokiwał głową z łobuzerskim uśmiechem na ustach.

— Tata już się cieszy na ich przyjazd, a mama przygotowuje zestawy obiadowe na każdy dzień pobytu wnuczki.

— Rozumiem, że urlop na Gordonie muszę wymusić, czy tego chcę, czy nie.

— Bardzo dobrze mnie zrozumiałaś, kochanie. Zaraz siadam do Internetu i szukam pokoiku dla dwojga w jakiejś miłej nadmorskiej miejscowości. Nie uważasz, że należy mi się ten tydzień z tobą?

Przytuliła się do niego mocno i pocałowała go w usta.

— I ten, i wszystkie pozostałe tygodnie mojego życia należą do ciebie, kochanie.

Objął ją i dotknął z czułością jej policzka. Była jego światem, w którym poruszał się od osiemnastu lat. Nie znał innego i nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby być jakiś inny. Jego Małgosia, o którą tak długo musiał walczyć, że niemal tracił nadzieję. Jasnowłosa dziewczyna, dla której wiele lat temu stracił głowę i tak już zostało. W tym zabieganym i rozpędzonym świecie niezmiennosc ich małżeństwa była wyznacznikiem stałości i pewności. Marek był przekonany, że nic nie może tego zmienić.

Agnieszka miała dziś wolny dzień. Jedyny wolny dzień w tygodniu, jaki jej się należał, i niestety nie była to niedziela. Środa. Środek tygodnia. Wolna środa. Kto z wyjątkiem niektórych studentów ma wolną środę? Agnieszka miała i kompletnie nie wiedziała, co z nią zrobić. Wyspała się, zjadła śniadanie i wyszła na dłuższy spacer z Sabą. Wieczorem umówiła się z Małgosią na spacer po Łazienkach, ale nie wiedziała, jak wykorzystać te godziny „nicnierobienia”, kiedy nie musiała krążyć między stolikami i robić wszystkiego w biegu.

Drzwi do pokoju Sylwii były uchylone, więc podeszła cicho i zapukała. Dziewczyna rzuciła krótkie „proszę”, nie odrywając rąk od laptopa, bo właśnie coś pisała. Była jeszcze w śmiesznej piżamie w słoneczka, z potarganymi snem włosami i śladami zagniecen poduszki odcisniętymi na policzku.

Agnieszka wśliznęła się do pokoju, podeszła do Sylwii i położyła dłoń na jej ramieniu. Saba wepchnęła się za nią nieproszona i podeszła z drugiej strony, śmiesznie przekrzywiając łeb i patrząc na Sylwię z ciekawością, jakby widziała ją pierwszy raz.

— Co robisz bladym świtem?

Sylwia prychnęła.

— He, he, bardzo śmieszne. A co ty robisz w domu o tej porze? Zwolnili cię?

Agnieszka uśmiechnęła się z pobłażaniem.

— Jeszcze nie. Mam dzisiaj wolne i chciałam cię zabrać na lody. Przewietrz się trochę.

— A kto płaci? — Sylwia nie odrywała rąk i wzroku od laptopa.

— Ja. Dostałam tygodniową wypłatę i postanowiłam ją wydać na przyjemności.

Sylwia wcisnęła „wyślij” i dopiero wtedy odwróciła się w stronę Agnieszki i spojrzała na nią przytomniej.

— Już głowa mnie boli od tego myślenia po angielsku od samego rana — podrapała się po rozczochranych włosach i ziewnęła przeciągle.

— Przynajmniej jest tego wart?

— Sama oceń. Chodź, pokażę ci. — Sylwia przekręciła się na obrotowym krześle ponownie w stronę biurka i kliknęła galerię zdjęć. Za chwilę na całej szerokości ekranu pojawił się uśmiechnięty blondyn z włosami obciętymi na języka i z bardzo jasną karnacją. Był wysoki i dość dobrze zbudowany, ale dla Agnieszki taki trochę nijaki. Oczywiście nie mogła tego powiedzieć Sylwii, więc zareagowała tak, jak tego oczekiwała dziewczyna.

— Wow! Niezłe z niego ciacho. Nosi kilt?

Sylwia posłała jej spod grzywki spojrzenie pełne politowania.

— Nosi dzinsy i jest NIESAMOWITY! Tylko nie mówi po polsku i mieszka w Edynburgu — westchnęła.

— Opowiesz mi coś więcej?

— Mogę o nim opowiadać godzinami, żeby tylko ktoś chciał mnie słuchać — uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała zupełnie jak Małgorzata, bez tej wiecznej ironii wpisanej w wiek nastoletni. — Ale może najpierw wezmę prysznic i się ogarnę.

— OK. Poczekał w kuchni. Przejrzę przez ten czas „Wyborczą”.

Godzinę później zmierzały razem w stronę placu Zbawiciela. Agnieszka wciąż nie mogła się nasycić Warszawą. Wszystko było tu na wyciągnięcie ręki. Kino Luna — które zachowało swój image sprzed lat i utrzymywało się z seansów dla seniorów i studentów — z niewygodnymi, trzeszczącymi

fotelami, ale niepowtarzalną i jedyną w swoim rodzaju atmosferą lat osiemdziesiątych, której nie można było uświadczyć w żadnym nowoczesnym multipleksie. Teatr Syrena, kościół Zbawiciela, Teatr Współczesny, Dziecięcy Szpital Kliniczny przy Litewskiej, wszystkie te miejsca nabrały realnych kształtów i przestały już być dla Agnieszki jedynie nazwami. Zaczynała czuć się w Warszawie dobrze, jakby była u siebie.

— Tam, przy Natolińskiej, jest maleńka, stylowa cukiernia. Jeśli chcesz wydać majątek na przyjemności, to tylko tam. — Sylwia wskazała ulicę, w którą zaraz skręciły. Szły teraz aleją Wyzwolenia w cieniu lip i klonów, mijając mamy z wózkami i wyprowadzane na spacer psy. Sierpniowe przedpołudnie było jeszcze leniwe, ale na reklamach i ulicznych billboardach coraz częściej pojawiały się promocje materiałów szkolnych i podręczników, a w powietrzu czuć już było zapowiedź jesienno-ochłodzenia.

— Jak pomyślę, że jeszcze niecały miesiąc i muszę wracać do szkoły, to jeszcze bardziej nic mi się nie chce. Ten rok będę miała przechłapaną. Wiem, że mamuśka i tata nie dadzą mi spokoju, tylko wciąż będą powtarzać, że to ważny rok, że egzaminy gimnazjalne, dobre liceum, tralala, i że ode mnie wszystko zależy. Już słyszę ich stały tekst, że nic nie muszę, w końcu do mycia garów w Londynie nie potrzebuję matury. Niedobrze mi się od tego robi. — Sylwia skrzywiła się, a potem przeciągnęła i rozejrzała wkoło. — Dlaczego wakacje nie mogą trwać dłużej? Ty to masz dobrze, wracasz na uczelnię dopiero w październiku, a ja muszę na to czekać całe cztery lata!

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Jeszcze ci się znudzi ten nadmiar czasu.

— Nigdy!

Usiadły w przyjemnym chłodzie malutkiej kawiarenki, w której Agnieszka poczuła się jak w czasach dwudziestolecia międzywojennego. Było tu ciasno, ale przytulnie, a wielka lśniąca lada kusila wyszukanymi deserami i ociekającymi kremem ciastami, ukrytymi za grubym szkłem lodówki.

Zamówiły latte i tort lodowy. Agnieszka dała sobie dzisiaj rozgrzeszenie i wyrzuty sumienia zostawiła przed progiem. Wiedziała, że przez kolejny tydzień rzuci w maratonie restauracyjnym to wszystko, co jej dzisiaj przybędzie.

— Ciekawe, czy gdybyś była moją siostrą na stałe, miałybyśmy taki dobry kontakt. — Sylwia oblizwała łyżeczkę z głośnym mlaśnięciem i pociągnęła przez słomkę łyk latte.

— Pewnie od czasu do czasu udałoby nam się dojść do porozumienia, ale głównie rzucałybyśmy w siebie czym popadnie i trzaskały drzwiami, krzycząc: „Mamo, powiedz jej coś!”.

Sylwia z uśmiechem pokiwała głową.

— A ja donosiłabym perfidnie, z kim się całowałaś i co robiłaś z chłopakiem za zamkniętymi drzwiami.

— No wiesz co! — Agnieszka odchyliła się na oparcie krzesła, założyła ręce na piersiach i spojrzała na Sylwię z oburzeniem.

— No co, tak robią wszystkie młodsze siostry — Sylwia próbowała się bronić, ale Agnieszka wciąż udawała obrażoną.

— Lubię cię. — Sylwia siorbnęła przez słomkę i obie się roześmiały.

— Ja ciebie też, pomimo twojego podłego charakterku.

Sylwia przez chwilę zamilkła i Agnieszka pomyślała, że może ją uraziła, ale po kilku minutach dziewczyna odezwała się, poważna i zamyślona, wpatrzona nieruchomo w jakiś punkt poza Agnieszką.

— Jak to jest, że tobie mogę powiedzieć o wiele więcej niż mamie? Czasami nawet więcej niż Klaudii, bo wiem, że mnie nie wyśmiejesz.

Agnieszka zgarnęła łyżeczką topniejące kawałki lodowego deseru.

— Może właśnie dlatego, że nie jestem jedną z was? Małgosia najpierw myśli emocjami, bo jesteś dla niej tak strasznie ważna, że chcąc cię chronić, wielu rzeczy nie przyjmuje. A ja po prostu słucham, mogę ci coś doradzić, ale nie wchodzę w twoje życie z butami, bo wiem, że sobie tego nie życzysz.

— Naprawdę chce ci się słuchać o Ianie?

— Umieram z ciekawości! — Nachyliła się w stronę Sylwii, oparła brodę na zwiniętej pięści i wpatrzyła się w dziewczynę z ciekawością.

— Poznałam go na pierwszej dyskotecie. Nigdy nie sądziłam, że spodoba mi się ktoś tak inny od Pattinona, ale jak zobaczyłam Iana, pomyślałam sobie, że ma w sobie to coś. Na początku wstydziałam się z nim rozmawiać, bo byłam pewna, że nie zrozumie nic z mojej nieskładnej angielszczyzny, ale on zaproponował piwo... Ups! — zamilkła i spojrzała z lekkim przestraszeniem na Agnieszkę.

— Skończyłaś na: „zaproponował lemoniadę”. Co było dalej? — Agnieszka puściła do Sylwii oko. — Mam tylko nadzieję, że nie przesadziłaś z tą lemoniadą.

— Raz, ale już wiem, czym to grozi. Dostałam nauczkę i tak sobie myślę, że raczej nie należy martwić rodziców i im o tym opowiadać.

— Nie przejmuj się tym, nie będę ich martwić. — Agnieszka położyła dłoń na drobnej ręce dziewczyny.

Sylwia spojrzała na Agnieszkę zamyślona, a potem, nie odrywając od niej wzroku, powiedziała tak spontanicznie, jak tylko ona potrafiła:

— Chciałabym, żebyś z nami została. Już mi nie przeszkadzasz.

Agnieszka cofnęła rękę i potarła oko, mruczając cicho, że coś jej tam wpadło. Dwa proste zdania wypowiedziane przez nastolatkę, która nie zadawała sobie trudu, żeby zachowywać się taktownie i kogoś nie zranić, szczerłość wypowiedzi Sylwii wzruszyły Agnieszkę i po raz pierwszy od przyjazdu do Warszawy poczuła, że jest na właściwym miejscu. Prawie jak w rodzinie.

— Możemy usiąść tutaj, przy Fryderyku? — Małgorzata wskazała dłonią ławkę stojącą przy pomniku, tonącą w kwitnących na czerwono różach. Agnieszka skinęła głową i usiadły w milczeniu, kontemplując wieczorny spokój Łazienek.

Odpoczęła. W ciągu jednego dnia zregenerowała siły i miała energię do pracy na cały kolejny tydzień. Cieszyła ją myśl, że jutro wraca do pracy, że czynnie wypełni swój dzień i że wyrwała się z mroku i nieczucia.

— Rozmawiałam z dziekanem. Możesz złożyć indeks i potrzebne dokumenty we wrześniu. Zapisałam, co dokładnie będziesz musiała dostarczyć.

— We wrześniu wybiorę się do Krakowa i wszystko tam pozamykam.
— Agnieszka wyciągnęła się wygodnie na ławce i patrzyła na uspokajającą zieleń drzew. Było jej dobrze. Bezpiecznie.

— Cieszę się, że zostajesz w Warszawie. Wiem, że Teresa właśnie tego by chciała.

— Myślisz, że nie miałaby żalu o to, że zostawiłam wszystko, co kochała?

Małgorzata spojrzała na dziewczynę z czułością i powiedziała łagodnie:

— Ty jesteś wszystkim, co kochała. Tylko ty byłaś dla niej ważna. Cokolwiek postanowisz, ona, tam z góry, to zaakceptuje.

Agnieszka przymknęła oczy. Wiedziała, że Małgorzata ma rację, ale chciała to usłyszeć. Chciała tak do końca, bez żadnych wątpliwości przyznać, że to dobry wybór.

— Agnieszko, mam dla ciebie propozycję.

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na Małgorzatę pytająco. I znowu, na krótką chwilę, Małgorzata zobaczyła Davida i to jego spojrzenie z nieznacznie uniesioną lewą brwią.

— Wiem, że chcesz się usamodzielnic i jest ci wśród nas trochę niezręcznie.

— To nie tak... — Agnieszka chciała jeszcze coś dodać, ale Małgorzata kontynuowała:

— Ty chcesz większej samodzielności, a ja nie chcę cię tracić z oczu. Przywiązaliśmy się do ciebie. Masz dobry kontakt z Sylwią, przy tobie staje się prawie aniołkiem — uśmiechnęła się.

— Bez przesady — zaprotestowała Agnieszka.

— Marek i ja jesteśmy ci wdzięczni, że zwolniłaś nas z porannych spacerów z Sabą. Dzięki tobie nasz dom wypełnił się życiem i młodością.

— Chciałaś powiedzieć: „przepełnił”. Małgosiu, mnie też jest z wami cudownie, pomogliście mi przejść przez ten trudny czas i do końca życia będę wam za to wdzięczna. Ale nie mogę tak długo was wykorzystywać. Nawet najmilszy gość w końcu zbrzydnie.

— Jeśli nie chcesz być gościem, to wynajmij od nas ten pokój. Przerobimy go tak, jak będziesz chciała, abyś czuła się tam dobrze. Ustalimy warunki. Jak masz mieszkać z kimś obcym, to lepiej zostań z nami. Już nas trochę oswoiłaś.

Agnieszka spojrzała na Małgosię, kręcąc głową.

— Powinnaś zostać prawnikiem. Masz gadane i siłę przekonywania — zażartowała, ale po chwili spochmurniała. — Dlaczego to robisz?

Ten mrok w oczach Agnieszki czasami przerażał Małgorzatę.

— Bo bardzo się do ciebie przywiązałam. Bo obiecałam coś Teresie. Bo bardzo chciałabym mieć taką córkę. — To ostatnie zdanie dodała tak cicho i

łagodnie, że Agnieszka nagle zapragnęła przytulić się do Małgorzaty, jak przytulała się do Teresy.

Zaskoczyła Małgorzatę tym gestem. Był spontaniczny i naturalny. Ciepły. Dotknęła sztywnych włosów Agnieszki i pocałowała ją w czubek głowy, tak jak całowała Sylwię, zanim ta zaczęła się krzywić, że jest już na to za duża.

— Ale zedrzesz ze mnie za pokój uczciwie, nie będziesz zaniżać ceny?

— Zrobimy tak, podzwonisz i dowiesz się, ile kosztuje wynajem pokoju przy rodzinie, a potem sama ustalisz, ile mi zapłacisz, OK?

— OK. To jest fair. Naprawdę będę się tak lepiej czuła, Małgosiu. Ja też się do was przywiązałam i żał byłoby mi was zostawiać.

— Teraz już nie musisz. — Małgorzata schyliła się i rzuciła gruchającemu opodal gołębiowi kawałek chleba leżącego koło ławki, tuż przy jej stopie. — Mam jeszcze do ciebie prośbę, Agnieszko. Chcemy z Markiem wyskoczyć na tydzień nad morze. Sylwię odstawimy do Nałęczowa. Dzięki Bogu jest tam Internet, więc za bardzo nie protestowała. W końcu razem z laptopem może zabrać ze sobą Iana.

— Nie żartuj z tej miłości, Małgosiu, ona to naprawdę przeżywa.

— Nie żartuję. Cieszę się, że jest na odległość.

Agnieszka się roześmiała. Coraz częściej bywała prawie szczęśliwa.

— Mogłabyś zaopiekować się przez ten czas mieszkaniem? Saba pojedzie do Nałęczowa razem z Sylwią, więc nie będziesz miała jej na głowie, pod twoją opieką zostaną jedynie kwiaty.

— Możecie jechać spokojnie, Małgosiu. Zajmę się mieszkaniem i obiecuję, że nie zrobię imprezy i nie zaproszę nieznanomych. Chłopców też sprowadzać nie będę.

Małgorzata się uśmiechnęła. Dobrze im było razem. W takich chwilach łatwo wyobrazić sobie, że tak było zawsze, że nigdy się nie rozdzieliły.

Każda taka chwila kosztowała. Czasami Małgorzata zastanawiała się, ile jeszcze będzie musiała zapłacić, aby być blisko Agnieszki. Blisko swojej córki.

Siedziała na murku i rozmasowywała obolałe łydki. Przed sobą, w dole miała Wisłę, a w dali Stadion Narodowy. Warszawa u stóp Agnieszki uśmiechała się do niej radośnie i z każdym dniem wchłaniała ją coraz bardziej.

W wieczornej ciszy usłyszała dźwięk telefonu. Nie musiała patrzeć na wyświetlacz, wiedziała, kto dzwoni.

— Witajcie, gazdo! — Jej głos zabrzmiał tak radośnie, że Łukasz zapragnął być teraz przy niej i zobaczyć ten dawno niewidziany uśmiech na jej twarzy.

— A witaj, witaj, zbiegła gaździno. Powiedz mi, jak to jest, że ja do ciebie dzwonię, a ty tylko wysyłasz zdawkowe esemesy w stylu: „U mnie OK” albo „Nie martw się, jest dobrze”?

Roześmiała się, a on tak strasznie za nią zatęsknił, za tą dawną Agnieszką, z którą przeżyli tyle chwil: tych lepszych, całkiem dobrych i tych złych.

— Informuję cię w ich zwięzłej treści, że u mnie wszystko w porządku.

— Dzięki, ale czasami chciałbym usłyszeć twój głos. Co teraz robisz?

— Siedzę na Starym Mieście i mam Warszawę u stóp. Po całym dniu bolą mnie nogi, ale jestem wdzięczna za to, że mam tę pracę. Na razie dobiłam do portu i zamierzam zatrzymać się w nim na dłużej. Wracam na studia.

Łukasz zagwizdał cicho.

— W Warszawie?

— Tak. Może to nie jest moje miejsce, ale już nie czuję się tu obco. Wiesz, może pomyślisz, że zwariowałam, ale ostatnio wciąż widzę wokół

siebie kolorowe motyle. Zwiastują dobre dni i postanowiłam im zaufać.

Odgarnęła przyklejone do policzka pasemko i wyprostowała nogi.

— Chciałbym cię zobaczyć. Nie mam gdzie uciec przed Alicją i tym ciągłym dopinaniem wszystkiego na ostatni guzik.

— Sam tego chciałeś. — Uśmiechnęła się na wspomnienie narzeczonej Łukasza. Nigdy za sobą specjalnie nie przepadały, ale to nie ona miała się z nią ożenić i spędzić resztę życia w jej zachłannych pazurkach, tylko jej najlepszy przyjaciel.

— Kiedy przyjedziesz?

— We wrześniu będę w Krakowie, a u was dopiero na twoim weselisku. Tak sądzę.

Chwilę milczał, ale musiał zadać to pytanie.

— Spotkasz się z nim?

Agnieszka też milczała. Sama nie знаła jeszcze odpowiedzi.

— Agnicha? Spotkasz się?

— Nie wiem. To już nie ma znaczenia, Łukasz. Pamiętasz, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. To dotyczy również Tomasza.

— Mądra jesteś. — Wiedziała, że Łukasz się w tej chwili uśmiecha i unosi kciuk do góry.

— Dopiero teraz to dostrzegłeś? Ładny z ciebie przyjaciel!

Spoważniał nagle.

— Dbaj o siebie, Aga.

— Obiecuję.

— I daj znać, kiedy będziesz w Krakowie. Przyjadę.

— OK.

— I... zadzwoń czasami.

— Dobrze, zadzwonię. Łukasz, cierpliwości w przygotowaniach.

— Nie ma to jak oparcie w przyjacielu. Dzięki. To nara.

— Pa!

Jeden przycisk i Łukasz zniknął. Był w innym świecie i innym życiu. Ona już nie potrafiła tam wrócić, chociaż jeszcze tak niedawno nie umiała sobie wyobrazić siebie tutaj.

Warszawa zamruwała do niej pierwszymi światełkami rozpraszającymi mrok. Wisła lśniła w oddali granatową wstążeczką, Pałac Kultury puszczał do Agnieszki oko, a spokój Starego Miasta przywracał jej równowagę.

Życie trwało, a ona wraz z nim.

Rozdział VIII

SIERPNIOWE PAPIERÓWKI

1

Siedziała na ciepłym jeszcze piasku i bawiła się obrączką, wpatrzona w morze. W oddali od brzegu odbijał właśnie kuter szykujący się na nocny połów. Delikatny wiatr rozwiewał jej włosy, słońce zachodziło na czerwono, a głodne mewy krążyły w górze, wypatrując czegoś do zjedzenia.

Dąbki. Kiedyś małe wioska rybacka, obecnie uzdrowisko. Biały piasek na nieskończenie długiej plaży, przy brzegu przystań i kutry rybackie; w smażalni ryby dopiero co wyjęte z sieci. Spokój i zatrzymanie. Małe sklepiki z pamiątkami, bursztyn i srebro połączone w delikatną, subtelną biżuterię, piekarnie i cukierenki kuszące puszystymi wypiekami. Spodobało im się to miejsce. Znaleźli je w Internecie. Dom Wypoczynkowy „Maria”, tonący w kwiatkach i dopieszczony pod każdym względem. Wspaniała rodzinna atmosfera, w której czuli się, jakby znali to miejsce od zawsze. Serdeczność właścicieli i zaangażowanie personelu sprawiały, że pobyt tutaj był prawdziwą przyjemnością i odskocznią od codzienności. Małgorzata już po dwóch dniach wiedziała, że będzie żegnać to miejsce z żalem i na pewno niejednokrotnie tu powróci. Ale miała jeszcze przed sobą kilka dni tutaj i chciała wykorzystać je najpełniej.

Przyjazd do Dąbek był dobrym pomysłem. Potrzebowali tego czasu dla siebie, tej wzajemnej bliskości, której na co dzień tak brakowało. W nieśpiesznym rytmie dnia odnajdywali siebie, sycili się wzajemną

intymnością, kochali o brzasku dnia i chodzili po plaży, trzymając się za ręce. Marek liczył piegi na nosie Małgorzaty, a potem całował ją namiętnie, a ona wyrywała się ze śmiechem i zadawała pytanie: „Co by na to powiedziała Sylwia?”.

— Na pewno stwierdziłaby, że to obciach i że dajemy ciała. Mniej więcej tak by to zabrzmiało w jej języku, którego nie do końca rozumiem. — Marek przytrzymał ją silną dłonią i przyciągał do siebie. Chłonał jej radość i rozluźnienie. Odnajdywał w niej dawną Małgosię, której zaczynało mu brakować.

Teraz podszedł do niej, przykucnął i objął ramionami tak, jakby chciał ją schować przed światem.

— O czym tak myślisz, maleńka?

Lubiła, kiedy tak do niej mówił. Wypowiadał to słowo tak delikatnie, że naprawdę czuła się kochana.

— Wiesz, chciałabym tu zostać na zawsze. Chyba jestem wyrodną matką, ale jak pomyślę o tym, że wrócimy do domu, w którym rządzą nastoletnie hormony, wszystkiego mi się odechciewa.

— Jest nadzieja, że wszystko zmierza ku lepszemu. Ten stan nie może trwać w nieskończoność. — Oparł brodę o czubek jej głowy i też zapatrzył się w bezkres morza.

— Tak sądzisz?

— Mówi mi to moja intuicja — wymruczał.

— Marek?

— Uhm?

— Czy my też tacy byliśmy? Czy nasi rodzice też od nas uciekali?

Roześmiał się i usiadł obok Małgorzaty, obejmując ją ramieniem.

— Też przechodziliśmy burzę hormonów i czas buntu, ale my nie mieliśmy tak łatwo, jak Sylwia. Na wszystko trzeba było zapracować, o wiele rzeczy walczyć, czasu nie pochłaniały nam bezsensowne gry i esemesy o byle czym. Potrafiliśmy docenić to, co mieliśmy. Dzisiejsze nastolatki bez przerwy czegoś żądają. Mają same prawa, żadnych obowiązków. Ale najgorsze, Małgosiu, jest to, że my sami ich tego nauczyliśmy. Z obawy, żeby życie naszych dzieci nie przypominało naszej walki, podaliśmy im wszystko na tacy. One to po prostu umiejętnie wykorzystały.

Małgorzata powoli pokiwała głową. Marek miał rację. Chcąc wynagrodzić sobie traumatyczne lata PRL-u, rozpuścili własną córkę. I podobnie uczyniło tysiące innych rodziców, zasypując dzieci czymś, co dla nich było kiedyś nieosiągalne. A nowe pokolenie zaczęło przyjmować to jak rzecz oczywistą. Wakacje na Karaibach? Najnowszy model komórki? Samochód na osiemnastkę? Proszę bardzo. Ale nikt nie nauczył ich słowa „dziękuję”. Bo wdzięczność to zjawisko, które nie istnieje w dzisiejszym świecie.

— Pamiętasz, twoja mama od zawsze rozpieszczała Sylwię ptasim mleczkiem, które jej tak spowszedniało, że potem po prostu rzucała je w kąt. Babcia do tej pory nie może zrozumieć tego, że ptasie mleczko, które było rarytasem dla ich i naszego pokolenia, dla Sylwii nie jest niczym wyjątkowym. To pokolenie, które wchodzi do sklepu, staje przed półką i nie wie, co wybrać z nadmiaru produktów tam zalegających. Sami do tego doprowadziliśmy i nie zauważyliśmy, że gdzieś została przekroczona granica. Smutne.

Nachylił się i pocałował jej opalony kark.

— Małgosiu, przyjechaliśmy tutaj, aby uciec od naszej córki i naszego warszawskiego życia, a tymczasem cały czas rozmawiamy o Sylwii.

Z uśmiechem przyznała mu rację.

— To chyba oznacza, że pomimo narzekań jesteśmy od niej uzależnieni.

— Nie, kochanie, to oznacza, że muszę ci przypomnieć, że przyjechaliśmy tutaj, aby nacieszyć się sobą. I ja zamierzam to robić.

Pociągnął Małgorzatę za sobą na piasek, a potem nachylił się nad nią i zaczął ją delikatnie całować. Lubiała dotyk jego ciepłych warg i dłoni szukających swoich ulubionych miejsc na jej ciele. Odkąd zaczęła istnieć na nowo, był jej początkiem i końcem. Przy nim niczego się nie bała, bo wiedziała, że cokolwiek by się działo, on murem stanie za nią. Był jej mentorem, opiekunem i bezpieczną przystanią. Był jej Miłością, która nie stawia warunków.

Zamknęła oczy i poddała się jej z ufnością, której nauczyły ją te wszystkie lata przeżyte obok niego, z nim, przy nim.

— Wiesz, że dwadzieścia trzy razy odrzuciłaś moje zaproszenie na kawę? — Siedzieli w małej kawiarence w centrum Lublina, z dala od wścibskich spojrzeń studentów i asystentów wydziału prawa, na które byliby narażeni w wydziałowym barku. Małgorzata wyglądała zjawiskowo, a Marek nie mógł oderwać od niej wzroku. Proste jasne włosy ściągnęła gumką w zwyczajny kucyk. Biała bluzka i beżowe płócienne rybaczkki podkreślały ślady letniej opalenizny, która pomimo października wciąż przywoływała wspomnienia Bułgarii i trzech tygodni beztroski, jakie tam spędziła.

— Aż dziwne, że dwadzieścia trzy odmowy cię nie zniechęciły — uśmiechnęła się do niego, podnosząc do ust filiżankę z kawą parzoną po turecku.

— Powiedziałem sobie, że do dwudziestu pięciu razy sztuka. Teoretycznie miałem jeszcze jedną szansę.

— Gdybym o tym wiedziała wcześniej...

Popatrzył na nią wzrokiem skrzywdzonego spaniela. Starał się i był najbardziej wytrwały ze wszystkich jej adoratorów. Zwrócił na nią uwagę dwa lata temu. Była wtedy na drugim roku, a on zaczynał pierwszy rok jako asystent w katedrze prawa cywilnego. Na zajęciach z jej grupą nie mógł się skupić, dekoncentrowało go jej smutne spojrzenie przejrzystych jak pogodne niebo oczu, którymi wpatrywała się nieruchomo w jakiś punkt za oknem. Była pilną studentką, zawsze przygotowaną do zajęć, lecz mało aktywną na ćwiczeniach. Początkowo była dla Marka zagadką do rozwikłania, potem stała się jego obsesją. Przez dwa lata próbował się z nią umówić, a ona przez te dwa lata skutecznie go unikała. Dziś miał swój

dzień i wiedział, że ma jedną jedyną szansę, aby przekonać Małgorzatę, że mu na niej naprawdę zależy.

— Jestem uparty i nie odpuszczę.

— A ja mam podły charakter. Jestem rozpieszczoną jedynaczką, która nie umie się dzielić. Sponiewieram twoje serce i zostawię cię z szyderczym uśmiechem: „A nie mówiłam?”.

— Mimo to zaryzykuję.

— Nie potrafię się z nikim związać. Dlatego uprzedzam cię lojalnie. Wykorzystam cię, a potem pomacham na pożegnanie.

Powoli wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej zimnej dłoni. Poczuł, jak się spięła i zeszywniała, ale nie cofnął czułego gestu. Patrzył na nią, jakby chciał odczarować jej zamrożone serce. Ryzykował tym, że ją spłoszy, ale była twardym przeciwnikiem. Spodobała jej się ta gra i ją podjęła. Dla zabawy.

— Nie skrzywdzę cię, Małgosiu, i nie zniknę nagle z twojego życia. Udowodnię ci, że możesz mi zaufać. Może w to nie uwierzysz, ale ja wiem, że będziesz moją żoną.

Prychnęła ze śmiechem, zabrała rękę i zasłoniła dłonią usta.

— Masz bardzo ambitne plany. Próbuj szczęścia.

Próbował. Dzielił czas między aplikację adwokacką, na którą się dostał, a Małgorzatę. Rozpieszczał ją, rozśmieszał, zabierał do kina i na studenckie imprezy. Był blisko i nie pozwolił się spławić.

Początkowo był jej maskotką. Pochlebiało jej to, że zainteresował się nią asystent profesora, a do tego przyszły i dobrze zapowiadający się adwokat. Studenci lubili zajęcia z Markiem Dobrowolskim, a Małgorzata stała się obiektem zawiści wielu studentek. Marek nie był ani tak przystojny, ani tak egzotyczny jak David, ale mógł się podobać. Nie był za wysoki, niewiele wyższy od Małgorzaty, ale łagodne rysy jego twarzy i

sylwetka sportowca, o którą dbał regularnie, przyciągały wzrok. Miękkie włosy koloru brązowego miał zawsze starannie i krótko przycięte i było w nim tyle przewidywalności, że Małgorzata dawała sobie dwa miesiące, zanim się nim całkowicie znudzi.

Po trzech miesiącach wyczekiwała spotkań z nim dość niecierpliwie, a po pół roku stwierdziła ze zdumieniem, że tylko z nim potrafi się tak śmiać i że ta stałość i niezmiennność jego uczuć zaczęła mieć dla niej ogromne znaczenie.

Pierwsze wspólne lato spędzili na wędrówkach szlakami tatrzańskimi. To tam, po zejściu ze Świnicy, po raz pierwszy odważyła się wypowiedzieć słowo „kocham”.

Marek oświadczył jej się dokładnie rok po pierwszej wspólnej kawie. Przyjęła jego oświadczenia, ze zdumieniem stwierdzając, że nie potrafi już wyobrazić sobie siebie bez niego.

Wspomnienia o Davidzie zakopała głęboko w zakamarkach niepamięci i tamtego dnia, wypowiadając „tak”, które miało zadecydować o całym jej życiu, nie sądziła, że jeszcze kiedyś David powróci w spojrzeniu córki, którą wykreśliła ze swojego życiorysu.

— I co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? — Marek leżał na boku, podparty na łokciu i delikatnie gładził złoty brzuch Małgorzaty.

Zamruczała rozkosznie.

— Najpierw zjemy śniadanie. Potem napijemy się mocnej, aromatycznej kawy z cynamonem i zjemy to przepyszne ciasto z galaretką, które nam zostało z kolacji.

Małgorzata przeciągnęła się leniwie i uśmiechnęła do mężczyzny swojego życia.

— Tu jest jak w niebie, Marek. Nie chcę nawet myśleć o powrocie.

— To nie wracajmy. Zostaniemy tu na zawsze. Wynajmiemy ten pokój od pani Marii, będziemy codziennie spacerować po plaży, kontemplować zachody słońca i kochać się o poranku, jak dziś.

Małgorzata roześmiała się radośnie. Już dawno nie widział jej tak odprężonej.

— A z czego będziemy żyć?

— Ty weźmiesz od Gordona wszystkie zlecenia z Pomorza, a ja... zostanę rybakiem.

Śmiała się, siedząc na łóżku i zasłaniając swoją nagość lekką kołdrą.

— Ale ty nie odróżniasz płotki od okonia!

— Człowiek uczy się przez całe życie, moja droga. Jeszcze nie znasz moich możliwości.

— Niektóre już znam — powiedziała seksownie ściszym głosem, przeciągając się jednocześnie.

Nie mógł się powstrzymać i pocałował rozkoszne zagłębienie między szyją a obojczykiem, które miało swój szczególny zapach i smak, jedyny taki na świecie.

— Zapomniałeś jeszcze o drobnym szczególe.

— A mianowicie?

— A mianowicie, że mamy nieletnią córkę.

— Która bardzo by się tym nie zmartwiła, gdybyśmy jej dali wolną chatę i wolny dostęp do konta i karty kredytowej. A poza tym teraz mamy Agnieszkę. To prawie jak starsza siostra.

Prawie. Małgorzata zeszywniała i powoli odsunęła się od Marka.

— Idę wziąć prysznic. Za dwadzieścia minut śniadanie.

Czar prysł, nastrój minął. Powróciło sumienie i ten jeden ogromny wyrzut zamknięty w jednym imieniu.

Podobała jej się praca w restauracji. Agnieszka od zawsze była uporządkowana, a Staroszlachecki Dwór działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Wszystkie zębatki i trybiki zaskakiwały równo i dzięki dobrej organizacji, nad którą czuwał kierownik sali, pan Janusz, cały mechanizm pracował bez zarzutu, spójnie i harmonijnie. Agnieszka miała wytyczony rewir, w którym zaczęła się już dobrze odnajdywać. Pomimo zmęczenia i obolałych nóg codziennie wychodziła z kawiarni z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i sporą jak dla niej sumką pieniędzy zebraną z napiwków.

W sierpniowy poniedziałkowy poranek w pracy powitał ją niecodzienny pośpiech i lekkie podenerwowanie kolegów i koleżanek. Pan Janusz próbował być w kilku miejscach naraz, zewsząd dobiegał jego gromki krzyk poganiający podwładnych do większego zaangażowania.

Agnieszka przebrała się szybko, patrząc na ten lekki chaos z pewnym zdziwieniem.

— Sprawdź, czy wszystkie sztućce i serwetki są równo ułożone na stolikach, czy obrusy nie mają plam i czy pokrowce na krzesłach nie są zaświnione. Zgłaszaj wszystko, co ci się nie spodoba lub co cię zaniepokoi.

Do otwarcia pozostała godzina, a oni uwijali się tak, jakby oczekiwali wizyty angielskiej królowej wraz z korpusem dyplomatycznym. W pośpiesznym biegu między stolikami Agnieszka zatrzymała się przy koleżance ze zmiany, która dokładnie odkurzała salę ze słuchawkami iPod'a na uszach.

— Karolina, co się dzieje? — spytała, łapiąc dziewczynę za łokieć. Karolina przystanęła na chwilę, zdjęła słuchawki i przekrzykując

odkurzacz, powiedziała wprost do ucha Agnieszki:

— Sir Robert Wieniawski, właściciel Staroszlacheckiego Dworu, wraca dziś po urlopie. Wszystko musi być na tip-top, bo inaczej Januszek zawału dostanie.

Włożyła słuchawki do uszu i wróciła do odkurzania pod czujnym okiem kierownika sali. Agnieszka przesunęła sztućce o parę milimetrów i sprawdziła czystość kolejnego stolika. Ciekawił ją właściciel restauracji. Wyobrażała go sobie jako statecznego starszego pana, z włosami przyprószonymi siwizną i zadbaną sylwetką. Na pewno był dystyngowanym dżentelmenem z dobrymi manierami, czego obrazem był Staroszlachecki Dwór. Słyszała czasami urywane zdania plotkujących koleżanek, ale nie łączyła ich z żadną konkretną osobą, a poza tym miała głowę wciąż nabitą Poetką i urządzaniem swojego życia w Warszawie, tak że nie integrowała się za bardzo z kolegami z pracy, uchodząc za odludka i samotniczkę. Tak było jej dobrze i to jej na razie wystarczało.

— Przejrzyj toalety i jeśli jest coś nie tak, popraw — usłyszała tuż za sobą głos pana Janusza.

Skinęła głową, przesunęła ostatnią serwetkę i skierowała się w stronę toalet. Przychodząc do tej pracy, zdawała sobie sprawę, że jako kelnerka będzie miała wiele obowiązków, nie tylko podawanie do stolika i obsługiwanie klientów. Wiedziała, że nie będzie tu siedziała za biurkiem, przed ekranem komputera, z filiżanką kawy przy rozłożonych papierach. Była świadoma tego, że będzie musiała bliżej poznać toalety i podłogi, ale wykonując tę pracę, wciąż słyszała słowa Teresy, która zawsze jej powtarzała: „Pamiętaj, Agusiu, że praca fizyczna nie hańbi. Hańbą jest nieróbstwo, kradzież i wykorzystywanie drugiego człowieka”.

Prosta filozofia prostej kobiety, dla Agnieszki zaś jedna z reguł życia. Jak wiele innych, które przekazała jej Teresa. Mama. Wciąż tak bardzo jej

brakowało w życiu Agnieszki. Tęskniła za nią, ale dzięki temu, że była tutaj, w Warszawie, czasami potrafiła wyobrazić sobie, że rozdzieliła je tylko odległość, a nie wieczność. Czasami sięgała po telefon, chcąc usłyszeć jej głos, ale wtedy włączała się świadomość i Agnieszkę zalewała taka fala smutku, że trudno jej było sobie z tym poradzić. Tylko praca pomagała jej na nowo się znieczulić.

Umyła toaletę, sprawdziła papier i ręczniki. Wychodząc z mopem w jednej ręce, a w drugiej wiadrzem z brudną wodą wpadła na młodego mężczyznę, którego nigdy wcześniej tu nie widziała. Był wysoki, dobrze zbudowany i mocno opalony. Ciemna opalenizna pasowała do czarnych, poprzetykanych gdzieniegdzie siwymi niteczkami lśniących włosów i do białego podkoszulka, który miał na sobie. Rozkołysana w wiadrze woda o mały włos nie zatrzymała się na jasnych dżinsach mężczyzny, które prezentowały się na nim tak, że Agnieszka o mało nie jęknęła. I do tego pachniał zniewalająco. Ciacho, w najlepszym tego słowa znaczeniu.

— Proszę uważać, podłogi są jeszcze mokre — powiedziała, lekko zażenowana.

— Ależ mnie pani przestraszyła! Myślałem, że mnie pani zaatakuje tym wiadrzem.

— Przepraszam, ale wszedł mi pan w drogę. A poza tym restauracja jest jeszcze nieczynna. Nie powinno tu pana być o tej porze.

— Pani wybaczy, od jutra postaram się przychodzić dopiero po otwarciu — uśmiechnął się, pokazując zęby jak z reklamy pasty wybielającej.

Minęła go i skierowała się do pomieszczenia gospodarczego, gdzie wylała wodę, pozbyła się wiadra i mopa i doprowadziła się do porządku. Punktualnie o jedenastej wróciła na salę. I tam ponownie go zobaczyła.

Stał z założonymi rękami obok kierownika sali, bladego przy nim jak ściana kuchenna. Pan Janusz nerwowo gestykulował, wskazując na ogródek letni i na jej stronę sali. Podeszła cicho, biorąc do ręki menu w oczekiwaniu na pierwszych gości.

— Aaaa, byłbym zapomniał. Drobne zmiany personalne. Marlena złożyła z dnia na dzień wypowiedzenie i po prostu wyjechała. Na jej miejsce przyjąłem Agnieszkę — wskazał na dziewczynę stojącą przy barze — i jak na razie jestem z jej pracy zadowolony. Stara się, jest punktualna, sumienna i pracowita.

Agnieszka poczuła, że blednie podobnie jak pan Janusz. Wyszło na to, że nakrzyczała na swojego szefa w jego własnej restauracji. Odłożyła kartę dań i podeszła ze spuszczoną głową.

— Pani wybaczy, nie przedstawiłem się. Robert Wieniawski. To ja stworzyłem Dwór — zatoczył ręką koło wokół siebie.

— Agnieszka Zarzycka. Przepraszam za ten incydent na dole, ale pojawił się pan tam tak nagle... Myślałam, że to przedwczesny klient.

— To dobrze o pani świadczy, że dba pani o interesy restauracji.

— Prawdę mówiąc... trochę inaczej sobie pana wyobrażałam.

— Były wojskowy z batem poskramiacza lwów?

— Raczej zgorzkniały staruszek, którego celem jest uprzykrzenie życia innym.

— Miła charakterystyka. Ma pani charakterek, Agnieszko.

— Jestem dzieckiem gór. Tam od kołyski uczą, żeby być twardym jak skała. Pan wybaczy, ale muszę wracać do pracy. Mamy gości i to przy moim stoliku.

Odwróciła się z gracją i odeszła, a Robert Wieniawski nie mógł oderwać od niej wzroku. Spodobała mu się ta dziewczyna z krwi i kości,

nie żadna tam słodka Barbie, ale dziewczyna z charakterem. Miała swoje zdanie, a on cenił to u kobiet i u swoich pracowników.

Agnieszka zdecydowanie wpadła mu w oko i postanowił coś z tym zrobić.

— Mówię ci, totalna porażka. Pierwszy dzień widzę gościa i od razu na niego naskakuję. A do tego z mopem i pełnym wiadrem.

Kuba patrzył na Agnieszkę, wciąż jeszcze podekscytowaną wydarzeniami dzisiejszego dnia, i zastanawiał się, jak mógł wytrzymać trzy tygodnie bez tych wieczornych spotkań w Poetce, bez roziskrzonych oczu dziewczyny, gdy o czymś z takim przejęciem opowiadała, bez jej zapachu, który potrafił już rozpoznać. Dopiero teraz, siedząc naprzeciwko niej, zrozumiał, jak bardzo za nią tęsknił.

— Chcesz papierówkę? — Wskazał na koszyk pełen jabłek stojący na blacie barku, który w ciągu ostatniego tygodnia pojawił się w lokalu. Jego Poetka nabierała kształtów, a jemu brakowało godzin w ciągu dnia, aby się ze wszystkim wyrobić.

— Chętnie. Zawsze je uwielbiałam — wyciągnęła ręce, a on podrzucił żółte jabłko. Złapała je zwinnie i wgryzła się w nie zachłannie.

— Wiesz coś o tym Wieniawskim? — spytała, ocierając z ust cierpki sok.

Przeciągnął się. Bolał go kręgosłup od dźwigania worków z cementem.

— Coś niecoś. Gość przejął lokal od swojego dziadka, który od lat prowadził tu restaurację. Młody Wieniawski trochę zainwestował, totalnie zmienił wystrój i kuchnię, a przede wszystkim nastawił się na obcokrajowców i zamożnych klientów. Prowadzi Staroszlachecki Dwór od prawie dziesięciu lat i całkiem dobrze sobie z tym radzi. — Kuba westchnął i rozejrzał się po swojej kawiarni, która wciąż jeszcze była polem zmagania remontowych. — Tyle że on miał silne zaplecze finansowe. Wieniawscy są

dość zamożni i młody restaurator nie musiał zasuwać na budowie, aby zrealizować swoje marzenia.

Spojrzała na niego łagodnie.

— Tobie też się uda, zobaczysz.

— Wiem, że się uda. Jestem uparty, już ci mówiłem.

Uśmiechnęła się.

— Dasz mi jeszcze jedną papierówkę?

— Rozboli cię brzuch, zobaczysz — powiedział, rzucając w jej stronę kolejny soczysty owoc.

— Wiesz, Kuba, jak już otworzysz Poetkę, powinny tu stać owoce — wskazała na barek— albo na stolikach. Owoce sezonowe, żeby kawiarnia miała jedyny w swoim rodzaju zapach i żeby zawsze kojarzyła się ze smakiem świeżych owoców.

— Sierpniowe papierówki, wrześniowe śliwki i gruszki.

— Lipcowe maliny, wiśnie i czereśnie.

— Czerwcowe truskawki.

— Podoba mi się! Doliczę ci ten pomysł do otwartego rachunku w Poetce.

Roześmiała się. Czowała się przy nim dobrze i swobodnie. Nie musiała się starać, udawać kogoś, kim nie jest. Przy Kubie była sobą i to jej się w nim najbardziej podobało.

— Kiedy masz wolny dzień? — zapytał nieoczekiwanie.

— W czwartek. — Spojrzała na niego z ciekawością. — Chciałbym cię zabrać na małą wycieczkę.

— Dokąd?

— Zobaczysz. Zaufasz mi?

Skinęła głową.

— O której mam być gotowa?

— O dziewiątej przed Poetką.

— Będę punktualnie.

Podniosła się i przeciągnęła podobnie jak on przed chwilą.

— Idę do domu. Na szczęście jutro mogę się wyspać, mam drugą zmianę, a mój czworonożny ulubieniec jest teraz na wakacjach, więc nie muszę się zrywać bladym świtem.

— Odprowadzę cię — podniósł się i wziął do ręki zawieszoną na oparciu krzesła bluzę.

— Nie musisz — spojrzała na niego figlarnie.

— Ale chcę.

Wyszła na pachnącą jeszcze rozgrzanym brukiem ulicę. Kuba zmagął się jeszcze z zamkami, a potem tak zupełnie naturalnie wziął Agnieszkę za rękę i poprowadził ulicami zasypiającej Warszawy.

Agnieszka wciągnęła w płuca leśne żywiczne powietrze. Ten las pachniał inaczej niż las tatrzański, ale pomimo to wzbudził tęsknotę za domem i miejscami, przy których zostało jej serce. Przytuliła policzek do brzozy i przymknęła oczy. Czuła na skórze chropowatą powierzchnię kory i zapach drzewa. Dobra energia uspokajała, a cisza wokół, zakłócona jedynie śpiewem ptaków i szczekaniem psa gdzieś w oddali, była prawie nie do zniesienia po gwarze i zgiełku Warszawy.

— Podoba ci się?

Kuba podszedł bliżej i delikatnie dotknął jej dłoni obejmującej pień drzewa.

— Gdzie mnie przywiozłeś? — Nie zabrała ręki. Podobał jej się jego subtelny dotyk, taki nienachalny, trochę nieśmiały.

— Do Beniaminowa. Chciałem, żebyś trochę oczyściła płuca od spalin Warszawy.

— Dlaczego tutaj? — Od spodu dłoni czuła życie drzewa, na wierzchu ciepło Kuby.

— Mój brat ma tutaj działkę. Nic szczególnego, mały domek, który ginie na tle rozbuchanych rezydencji, ale fajnie tu od czasu do czasu przyjechać, odetchnąć świeżym powietrzem, połączyć po lesie. Chciałem cię zabrać choć na jeden dzień z Warszawy. Niestety, Tatry są za daleko — westchnął. — Więc został Beniaminów.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, delikatnie wyciągnęła swoją dłoń spod jego ręki i zakręciła się dookoła drzewa, trzymając się białego pnia.

— Co będziemy tu robić?

— Najpierw zjemy porządne śniadanie, a potem powalęsamy się trochę po lesie. Będziesz mogła poprzytulać się do sosen i leszczyń.

Podniosła ręce do góry i spojrzała w lekko zamglone niebo. Słońce przebijało się nieśmiało przez chmury zbite w jeden jasnoszary ciąg. Powietrze było duszne i ciężkie, ale chłód lasu przyjemnie łagodził tę wiszącą nad nimi parność. Ziemia aż prosiła o deszcz, który czałł się gdzieś wysoko, ponad chmurami.

— Kuba?

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Wyglądała dziś tak młodo i dziewczęco. Zostawiła w Warszawie makijaż, który nakładała codziennie przed pracą, usta musnęła jedynie lekkim koralowym błyszczkiem. Jej buzia była opalona i świeża po dobrze przespanej nocy. Oliwkowy top, ulubione dżinsowe rybaczki i bluza przewiązana na biodrach nadawały jej wygląd nastolatki na kolonijnej wyprawie.

— Dziękuję — szepnęła.

Spędzili ten dzień na miłym lenistwie i „nicnierobieniu”. Zjedli śniadanie, wypili poranną kawę, a potem powalęsali się po lesie, zbierając jagody. Kuba zadbał o wszystko, od serwetek po kompas i płaszcze przeciwdeszczowe na wszelki wypadek. Chciał, żeby ten dzień był inny, niecodzienny, trochę wyjątkowy, bo i ona była wyjątkowa.

— Uwaga, żmija! — krzyknął, gdy wracali ze spaceru po lesie. Agnieszka szła tuż przed nim, ale on miał bardziej wprawne i bystrzejsze oko. Znał te lasy jak własną kieszeń, spędził w nich wiele godzin i umiał dostrzec to, co dla przeciętnego wędrowca było zwyczajnym patykiem czy konarem.

Dziewczyna znieruchomiała. Kuba złapał ją w pasie i powoli wycofali się wąską ścieżką.

— Kurczę, gdybyś mnie nie zatrzymał, nadepnęłabym na nią. — Agnieszka przykucnęła, próbując uspokoić przyśpieszony puls.

— To nie pierwsze moje spotkanie ze żmiją. Raz o mały włos mnie nie ukąsiła, dlatego nauczony doświadczeniem, w lesie i na ulicy nocą, jestem podwójnie ostrożny.

— Ja miałam przyjemność spotkać jedynie pana misia. Na szczęście nie było to spotkanie twarzą w twarz, ale i tak błogosławiłam wtedy czas dojrzewania i długich, patykowatych nóg, które pomogły mi w ekspresowym tempie zejść z gór.

— Nie przytłacza cię stolica? — Wskazał jej szeroką, wydeptaną ścieżkę, która prowadziła do leśnych działek.

— Nie zapominaj, że od czterech lat mieszkałam w Krakowie. Warszawa jest nieco bardziej snobistyczna i panuje w niej większy lans, ale w końcu to tylko duże miasto. Przyzwyczaiałam się do życia poza Tatrami, chociaż nie powiem, cholernie tęsknię. Hej, a co z tobą? — Odwróciła się i szła teraz tyłem, patrząc na niego. — W końcu Garwolin, w porównaniu z Warszawą, to maciupieńkie miasteczko.

— I co z tego? Nie mam kompleksu małomiasteczkowego chłopca. Dobrze się czuję w naszej stolicy i nikt mi nie mówi, że tam nie pasuję.

— Wierzysz w siebie, a to już połowa sukcesu w życiu.

— Zobaczysz, Aga, za dziesięć lat Poetka będzie najlepszym i najbardziej trendy lokalem na Starym Mieście, miejscem spotkań warszawskiej cyganerii. A ja będę mieszkał na poddaszu, w starej kamienicy, w pobliżu Poetki, będę jeździł sportową wersją BMW i będę bardzo, bardzo szczęśliwy przy boku bardzo, bardzo pięknej kobiety.

— A ja zamieszkam w małym lokalu przy placu Zbawiciela i będę jeździła tramwajem do swojego biura, które będzie zasypywane zleceniami. Każdy urlop zamierzam spędzać w Zakopanem. Aha, i będę miała psa.

— Nie powiem, masz nieco skromniejsze marzenia. — Kuba podniósł rękę i przejechał dłonią po włosach, mierzwiąc je między palcami.

— Może nie warto mierzyć za wysoko, bo wtedy upadek bardziej boli?

— Ależ warto sięgać po marzenia, nawet jeśli trzeba tam wejść po drabinie bez trzymanki i do tego stanąć na palcach na ostatnim jej szczeblu. Bez marzeń życie jest bez sensu.

— Marzyciel i idealista.

— Góralka, dla której straciłem głowę.

Przystanęła i spojrzała na niego inaczej, poważniej. Nic więcej nie powiedział, patrzył tylko w jej ciemne smutne oczy i zmagał się sam ze sobą, czy podejść bliżej i po prostu ją przytulić, czy zostać tam, gdzie był, na ścieżce, pod lasem, i powstrzymać się od niepotrzebnego gestu, aby nie spłoszyć Agnieszki.

— Kuba... — zaczęła. Wiedział, co chciała powiedzieć, nie musiała kończyć. Wyglupił się tylko i naruszył granicę przyjaźni, jaką dzień po dniu wytyczali.

— Wiem, wiem, wyrwałem się jak filip z konopi. Przepraszam, nie było tego. Przyjaźń, tak...

— Kuba — przerwała jego słowotok — przytul mnie, proszę.

Umilkł i stał przez chwilę nieporadnie, jakby przetwarzając to, co przed chwilą usłyszał. Ale już za moment oprzytomniał, podszedł i przytulił ją, początkowo niezdarnie, potem już coraz pewniej i mocniej. Poczł jej ciepło, kiedy się w niego wtuliła, i ten zapach, który był tylko jej i nikt inny na całym świecie nie pachniał tak samo. Dotknął nosem jej ciemnych włosów i jeszcze nieśmiało, nieporadnie pocałował czubek jej głowy. A potem już zapomniał o nieśmiałości. Delikatnie uniósł dłońmi jej drobną buzię i ustami poszukał jej warg. Były ciepłe, wilgotne i pachniały jagodami. Całował ją nieśpiesznie, sycąc się jej smakiem i dotykiem jej

skóry. Pieścił językiem kąciki ust dziewczyny i splatał się z nią w zalotnym tańcu języków. Skończył powoli i nie zdejmując dłoni z jej twarzy, popatrzył w oczy Agnieszki.

— Jakubie, dlaczego jesteś sam? — szepnęła.

Przytulił ją do siebie i, dotykając nosem jej ucha, wyszeptał:

— Bo czekałem na ciebie. Całe dwadzieścia cztery lata.

Świat zawirował przed oczami Agnieszki, a jej dusza roztańczyła się z radości. Kuba miał to coś, czego zabrakło Łukaszowi. Nie potrafiła jeszcze tego nazwać, ale chciała być blisko i przytulać się tak do Kuby w nieskończoność. Chciała krzyknąć: „Chwilo, trwaj i nie przesuwaj wskazówek zegara!”. Dziś była pewna, że odnajdzie siebie, tamtą dawną Agnieszkę, która gdzieś w niej obumarła. Tylko że ta Agnieszka odrodzi się silniejsza, zgodnie z zasadą, że co nie zabije, to wzmocni. Kiedyś, jeszcze w liceum, przeczytała zdanie z księdza Twardowskiego, które zapamiętała na zawsze: „Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno”. Kuba był tym oknem. Nie miała wątpliwości.

Miała wrażenie, że przeżywa *déjà vu*. Zachodzące za morzem słońce, opustoszała wieczorem plaża i dziewczyna w zwiewnej sukience z mocno zaokrąglonym brzuszkiem, spacerująca samotnie brzegiem morza. Idzie, wypatrując kolorowych kamyków pod nogami, jedną rękę gładzi brzuch, drugą odgarnia szarpane przez wiatr kasztanowe włosy. Małgorzata nie widzi jej oczu i nie potrafi odgadnąć, czy jest w nich smutek i opuszczenie, bierne oczekiwanie na coś, co i tak nieuchronnie nastąpi, czy też radość oczekiwania na dar, jaki otrzymała. Nagle dziewczyna zatrzymuje się, przykładając drugą rękę do brzucha i uśmiecha się, czując nowe życie. Małgorzata wie, że pod palcami dziewczyny małe nóżki fikają koziołki, rączki zaciskają się w pięstki, a maleńkie serduszko bije rytmicznie, odmierzając swój czas do narodzin.

Patrząc na tę dziewczynę, Małgorzata poczuła, jakby otrzymała cios w splot słoneczny. Wszystko w niej się skuliło, a jej zabrakło tchu i wiedziała, że jeśli tego nie wykrzyczy, nie wypowie i ukryje głęboko w sobie, to oszaleje, udusi się, eksploduje.

— Małgosiu, źle się czujesz? Jesteś strasznie blada. Kochane oczy Marka patrzyły na nią z prawdziwą troską i ogromną czułością. Jak mogła tyle lat go okłamywać? „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską”.

Miłości i wierności dochowała. Co zrobiła z uczciwością?

— Oszukałam cię.

To nie był jej głos. Zachrypnięty i obcy. Przestraszyła się go.

Marek również się przestraszył.

— O czym ty mówisz, Małgosiu?

Spojrzała na niego. W jej oczach było szaleństwo i ogromna determinacja.

— Wychodziłam za ciebie i kłamałam. Okłamywałam cię przez te wszystkie lata naszego małżeństwa. Jestem potworem, Marek.

Przeraziła go. Nie rozumiał nic z tego, co mówiła. Chciał dotknąć jej twarzy, ale odsunęła się, odwróciła wzrok. Patrzyła w niespokojne dziś morze, które wyrzucało spienione fale, a one rozbijały się i kładły u ich stóp.

— Przywiozłam Agnieszkę do naszego domu nie dlatego, że została zupełnie sama i że byłam to winna Teresie. Ja jestem to winna jej, Agnieszce. Jestem jej matką, Marek. Agnieszka jest moją córką.

Nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć. Słowa dochodziły z opóźnieniem, ich sens nie docierał do niego. Kręcił z niedowierzaniem głową jak wtedy, gdy słyszy się nieprawdopodobne historie, które przydarzyły się ludziom zupełnie nam obojętnym, obcym.

— Nigdy nie słyszałeś nic o Teresie, bo tak naprawdę nie była moją przyjaciółką, chociaż zrobiła dla mnie o wiele więcej, niż zrobiłby najlepszy przyjaciel. Ona wychowała moje dziecko, którego ja nie chciałam.

— Nie wierzę ci. Nie wiem, dlaczego to mówisz, nie wiem, co się z tobą dzieje. Małgośka! Nie wierzę ci. Nie można tak po prostu urodzić dziecka, a potem oddać go i zapomnieć. I żyć tak, jakby go nie było.

— Można, Marek. Ja tak właśnie zrobiłam — powiedziała cicho i popatrzyła mu prosto w oczy. Jego ukochany błękit pomieścił w sobie tyle bólu, który wylewał się teraz razem ze łzami gromadzonymi od tylu lat milczenia. Już wiedział i czuł, że nie jest w stanie tego unieść razem z nią.

— Czy rodzice wiedzieli?

Pokręciła przecząco głową.

— Więc jak... jak to możliwe?

Opowiedziała mu o nadbałtyckiej plaży w Pucku i listach wysyłanych ze Szwecji. Opowiedziała o maleńkim mieszkanku i wielkim sercu dwojga prostych ludzi. Mówiła o zawiedzionych nadziejach i ogromnym strachu przed odrzuceniem. O godności, którą ocaliła jedynie dzięki Teresie, i rozdarciu pomiędzy powrotem z częścią jej samej a spełnieniem ambicji wyznaczonych kiedyś przez tych, którzy dali jej życie, a potem starali się tym życiem kierować. Słowa płynęły nieprzerwanym potokiem, wraz z nimi płynęły łzy Małgorzaty.

Kiedy umilkła, wszystko się zmieniło. Błękit spochmurniał, łagodny szum morza przeszedł w ogłuszający huk, a Marek sam już nie wiedział, czy zna kobietę, która siedziała na piasku obok niego.

— Kim był jej ojciec?

Roześmiała się gorzko, z ironią. Tylko mężczyzna mógł zadać takie pytanie.

— Powinieneś go pamiętać, byłeś wtedy na piątym roku. David Savisky.

— Gość od prawa amerykańskiego. — Powoli wypuścił zatrzymane w płucach powietrze. — Pamiętam to szaleństwo, które wokół niego panowało. I ty też, Małgośka... — Znów pokręcił głową, a potem ukrył poszarzałą twarz w dłoniach.

Milczała. Wiedziała, że go zraniła, ale czy on był świadomy tego, jak bardzo teraz ranił ją. Potrzebowała jego silnych ramion, jego ciepłego spojrzenia i zapewnienia, że nie jest z tym sama. Już nie. Wierzyła w siłę ich miłości i w to uczucie, które ich połączyło. Teraz ta wiara powoli zaczynała się chwiać, a Małgorzata czuła się tak, jakby dom, który z takim mozołem i pasją wspólnie budowali, rozpadał się jak domek z kart.

— To przez niego tyle czasu mnie odtrącałaś...

Cichy głos Marka i jego zranione spojrzenie jasnobrazowych oczu spowodowały kolejny bolesny skurcz w okolicach serca.

— To nie tak, Marek...

— A jak? — Patrzył na nią z chłodem w oczach, których już nie poznawała. — Ja cię w ogóle nie znam, Małgośka. Przez osiemnaście lat żyłem obok kobiety, która prowadziła podwójne życie. Opowiadałaś mi nawet o chomiku, którego miałaś w dzieciństwie, a słowem nie wspomniałaś o córce! Czy ty masz pojęcie, na czym polega małżeństwo? To wzajemne zaufanie, Gośka. Jeśli o tym zapomniałaś, to znaczy, że nigdy tak naprawdę mnie nie kochałaś.

— Ty nic nie rozumiesz, Marek...

— Nie?! To ty nic nie rozumiesz! Jak mogę ci zaufać po tych rewelacjach, których mi dostarczyłaś? — podniósł głos, a ona skuliła się w sobie. Miał rację. Zawiodła go i nie zaufała sile ich miłości na tyle, aby

opowiedzieć mu o tym dużo wcześniej, wtedy, kiedy Agnieszka żyła jeszcze z ludźmi, którzy byli dla niej jedynymi i prawdziwymi rodzicami.

— Spotkałaś się z nim... później?

Pokręciła przecząco głową.

— Zniknął, zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nigdy więcej go nie spotkałam, nie wiem, gdzie jest i co się z nim dzieje, a on nie ma pojęcia o tym, że urodziło mu się dziecko.

— Nie wiem, co ci mam powiedzieć, Małgośka. Jestem... rozczarowany, zaskoczony i cholernie zraniony tym, że nie zaufałaś mi na tyle, aby przez osiemnaście lat naszego małżeństwa powiedzieć mi o córce. Cholera jasna, to nie jakaś miłostka, która przebrzmiała, tylko dziecko! Część ciebie, twoje geny, twoja krew.

Bezgłośnie łzy spływały po twarzy Małgorzaty, a potem skapywały słonymi kropelkami na piasek. Nie miała siły wycierać ich z policzka, nie miała siły żyć.

— Przepraszam, Marek. Tak bardzo cię przepraszam.

— Tego nie da się załatwić jednym słowem. — Podniósł się i otrzepał z piasku. — Muszę się przejść, żeby nie powiedzieć kilku słów za dużo.

Patrzyła za nim, jak odchodzi brzegiem morza. Jej Miłość, którą zawiodła. Wiedziała, że nic już nie będzie w ich życiu takie samo. Coś się skończyło bezpowrotnie, coś popękało i nawet jeśli uda im się to posklejać, nigdy nie powrócą do życia, które było jeszcze wczoraj, tydzień temu, dziesięć dni temu.

Obracała w dłoniach sierpniową, zarumienioną słońcem papierówkę i próbowała zapanować nad tym przeraźliwym drżeniem każdej cząsteczki swego ciała. Pokój był pusty i ciężki od milczenia, które trwało między nimi od wczorajszego wieczoru. Marek nie odezwał się ani słowem. Milczał, wpatrzony w migający ekran telewizora. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Małgorzata czuła się samotna i opuszczona, zupełnie tak samo jak dwadzieścia trzy lata temu, gdy została sama z decyzją zbyt trudną dla dziewiętnastolatki. Oboje nie spali tej nocy. Przewracali się z boku na bok, każde na swojej połowie łóżka, ostrożni, aby nie naruszyć przestrzeni tego drugiego przypadkowym dotknięciem.

Małgorzata czekała. Wiedziała, że musi dać Markowi czas, tak jak on dał kiedyś czas jej. Bała się. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła z nim wspólne życie, tak strasznie się bała. Obawiała się odrzucenia, zacięcia i zranionej męskiej dumy. Obawiała się marazmu w ich małżeństwie i trwania obok siebie bez szans na wspólną przyszłość.

Przed podróżą Marek wyszedł na długi spacer. Wracali do Warszawy. Do domu. Ale czy ten dom jeszcze istnieje, jeśli fundamenty zostały naruszone?

Od samego rana Agnieszka krzątała się po domu, próbując doprowadzić mieszkanie do porządku. Dziś Małgorzata i Marek wracali znad morza i Agnieszka bardzo chciała, aby zastali dom czysty i pachnący świeżą szarlotką. Miała dziś przed południem więcej czasu, zaczynała pracę później, za to kończyła w nocy. Dzięki temu mogła przyrządzić kolację, która będzie gotowa do podgrzania, gdy Małgosia i Marek wrócą do domu zmęczeni podróżą. Zamierzała nakryć dla nich stół i zostawić karteczkę ze spisem potraw ukrytych w kuchence i w lodówce. Na kuchennym stole, obok talerza z ciepłą jeszcze szarlotką postawiła misę z papierówkami pachnącymi końcówką lata.

Ogarnęła wzrokiem czystą kuchnię, sprawdzając, czy niczego nie przeoczyła. Przesunęła misę z owocami bardziej na środek stołu i nakryła ściereczką ciepłe ciasto.

Dźwięk przychodzącego esemesa zakłócił ciszę panującą w mieszkaniu. Spojrzała na wyświetlacz i rozjaśniła się w uśmiechu. „Tęsknię jak wariat. Odbiorę cię po pracy. Nie mogę pozwolić, żebyś sama błąkała się po ulicach nocą :) xxx”.

Kuba.

Coś się zaczęło, tu i teraz. Podała się temu, jeszcze nieśpiesznie. Lubiała z nim przebywać. Miał w sobie tyle radości życia i tyle wiary, której Agnieszce zabrakło po odejściu Teresy. Otwierała się na niego coraz pewniej, choć jeszcze się nie uzależniała, tak jak kiedyś uzależniła się od Tomasza. Przy Tomku straciła głowę. Rzuciła się w ten chory związek i zatraciła w nim. Sprzedała swoje ideały i zasady, według których żyła, dla tych kilku chwil namiętności i bliskości z człowiekiem, który nigdy nie

traktował jej poważnie. Z Kubą było inaczej. Zaczęli od splatania cienkiej niteczki przyjaźni i Agnieszka pozwoliła się temu poprowadzić.

Szykując się do pracy, miała tę miłą świadomość, że ktoś o niej myśli i że jest dla kogoś ważna.

Cichy szum silnika usypiał, ale nie uspokajał. Małgorzata zapadła się głęboko w fotel pasażera i patrzyła na przesuwane się za oknem fragmenty krajobrazu. Gdy przymykała oczy, inne kawałki pojawiały się i znikały, zupełnie jak te pola i lasy za szybą.

Maleńki nosek Agnieszki marszczy się przy kichaniu. Szczęście, które płynie z oczu Teresy, kiedy ta pochyla się nad łóżeczkiem. Wstrzymywane łzy Małgorzaty, kiedy ostatni raz patrzy na maleństwo, które jeszcze tak niedawno nosiła pod sercem. Długa podróż pociągiem, kiedy podobny krajobraz przesuwa się jak dawno nieoglądany film, i łzy, które wtedy płynęły już nieprzerwanym strumieniem. I nagle inne łóżeczko i przejrzyste niebieskie oczy, ale ten sam zapach dziecka. Mała Sylwia wyciąga rączki, a Małgorzata trzyma ją mocno w ramionach, jakby się bała, że i to dziecko ktoś jej odbierze. Pierwszy kroczek Sylwii i wyciągnięte do niej, Małgorzaty, małe rączki. I ta świadomość, że gdzieś tam, daleko, inne rączki wyciągają się do kobiety, którą jej córka nazywa mamą. I znów ten ból, na który nie pomagają żadne tabletki. Trzeba go znieść, przeczekać.

— Powiedz... gdyby ta kobieta, Teresa, nie odeszła, gdyby nadal żyła... nie powiedziałaabyś mi, prawda?

Otworzyła oczy i spojrzała przed siebie, na czarną szosę i sznur samochodów przed nimi, a potem powoli pokręciła przecząco głową.

— Nigdy?

— Nie wiem, Marek.

Przez chwilę znowu jechali w milczeniu tak ciężkim, że Małgorzata uchyliła okno.

— Zamierzasz jej o tym powiedzieć?

Wiedziała, o kogo pyta Marek, i sama próbowała sobie na to pytanie odpowiedzieć. Bezskutecznie.

— Jak mam jej to powiedzieć? „Cześć, Agnieszko, jak ci minął dzień? A tak przy okazji, wiesz, jestem twoją biologiczną matką”. Poradź mi, jak mam jej to powiedzieć! — krzyknęła.

— Tak jak powiedziałaś mnie. Przy okazji.

— Jesteś złośliwy i cholernie niesprawiedliwy. Potrafisz mnie tylko oceniać, tak jak swoich studentów. Nigdy nie zrozumiesz, co czułam i przez co przeszłam, bo sam nigdy nie musiałeś podjąć takiej decyzji.

Spodziewał się tego ataku i przyjął go spokojnie. Prowadził pewnie, wpatrzony w drogę, ale myśli miał zajęte tym wszystkim, co na niego rzuciła Małgorzata.

— Uważam, że powinna wiedzieć. Sama zdecyduje, co z tym zrobić, ale powinna mieć tego świadomość.

— Świadomość czego? Tego, że ją oddałam? Że jej nie chciałam? Jej życie to Teresa i Roman. Nie mogę jej, ot tak, tego odebrać i poinformować, że to wszystko było kłamstwem.

— Więc jak to sobie wyobrażasz? Chcesz tak żyć obok niej z tym poczuciem winy? A nie pomyślałaś o tym, że ja już nie będę potrafił?

— Nie masz prawa się w to wtrącać — powiedziała zimno, głosem pozbawionym emocji.

— A ty nie masz prawa decydować za nią.

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć.

Cisza, która między nimi zapadła, dzieliła. Milczeli tak do samej Warszawy. Przed domem, wyjmując bagaże, Marek zatrzymał się na chwilę, popatrzył przelotnie na Małgorzatę i powiedział cicho:

— Niepotrzebnie mi powiedziałaś. Wolałbym nie wiedzieć.

Zdała sobie sprawę, że w tym momencie została bez żadnego wsparcia. Musiała poradzić sobie z tym sama. Jak kiedyś.

Odwróciła się i wyszarpnęła z samochodu swoją torebkę. Z siedzenia pasażera spadła zapomniana w drodze papierówka i potoczyła się samotnie po zakurzonej ulicy Warszawy.

Rozdział IX

KRAKÓW, WARSZAWA

1

Patrzyła na swoje miasto oczami przyjezdnych. Piękno starych kamienic zapierało dech, a unosząca się wokół atmosfera krakowskiej cyganerii towarzyszyła każdej kawiarence i uroczym sklepikom z drobiazgami. Agnieszka przystanąła, przymknęła oczy i wciągnęła znajomy, charakterystyczny dla Krakowa zapach, jedyny i niepowtarzalny. Zapach chłodnego kamienia, słodkich bajgli, grzanego wina i spalin. Otworzyła oczy i powoli ruszyła na spacer po Starym Mieście.

Miała trochę czasu, o trzynastej była umówiona z Łukaszem pod pomnikiem Adasia. Miała prawie godzinę, postanowiła więc wykorzystać ją na pożegnanie z miastem, gdzie tak wiele się zaczęło i nic tak do końca nie zostało zamknięte.

Szła w kierunku kościoła Mariackiego dobrze znanymi uliczkami. Jagiellońska, Szewska, św. Anny, Reformacka, Pijarska, plac Szczepański. Kiedy tu mieszkała, przemierzała je z radością, nadzieją, szaleństwem, bólem i rozczarowaniem. Poznała Kraków w każdą pogodę, nauczyła się go kochać tak, jak kochała Zakopane, a teraz musiała wyrwać go ze swojej świadomości wraz ze wszystkim, co tutaj przeżyła, bo tylko w ten sposób mogła się z tym miastem pożegnać i zostawić je za sobą, aby zacząć żyć, oddychać i uśmiechać się na innym kawałku mapy, tam gdzie wspomnienia dopiero się zaczynały i jeszcze nie zdążyły jej zranić, zaatakować i

przygnieść, tak jak te krakowskie, po których z takim trudem próbowała się podnieść. Nie potrafiłaby już tutaj żyć.

W ciasnej kieszeni dzinsów zawibrowała komórka. Wyjęła ją i spojrzała na ekran wyświetlacza.

„Nie mogę się skupić na malowaniu, bo wciąż o Tobie myślę. Nie ma Cię dopiero pół doby, a ja wariuję. Wracaj jak najszybciej. Tęsknię. Kuba”.

Poczuła to znajome uczucie ciepła w sercu. Tęskniła. Za jego zapachem i słońcem we włosach. Za spojrzeniem wpatrzonych w nią zielonych oczu i uśmiechem najpogodniejszym na świecie. Tęskniła za Kubą i za Warszawą.

Dwa miesiące temu przyjechała do miasta, w którym była obca. Dziś to miasto było namiastką jej domu, przygarnęło ją i wchłonęło tak jak wielu innych przyjezdnych warszawian.

Weszła na Rynek i skierowała się w stronę Sukiennic. Lubiła te krakowskie kramiki pełne cudów i cudniek ze wszystkich części świata. Godzinami mogła oglądać bursztynową biżuterię i haftowane obrusy, krakowskie stroje i wytworne kryształy. Posuwała się od stoiska do stoiska wraz z tłumem turystów, którzy zjeżdżali tu niezależnie od pory roku i warunków pogodowych. Dziś poczuła się jedną z nich i nagle uświadomiła sobie, że jest dziewczyną znikąd. Bo gdzie był jej dom? W Krakowie był jedynie akademik. W Zakopanem dom odszedł wraz z Teresą i pomimo lat, które tam spędziła, nie miała dokąd wracać z wyjątkiem skromnej mogiły na tamtejszym cmentarzu. Warszawa... Dom Małgorzaty postawił ją na nogi, dał jej namiastkę ciepła i stabilności. Ale to był dom Małgorzaty, a nie Agnieszki i choćby nie wiadomo, jak było jej tam dobrze, stanowił tylko etap przejściowy w jej życiu. Nie należała do tamtego domu, była tam chwilowo, na przyczepkę.

Nie знаła jeszcze swojego miejsca na ziemi, ale mocno wierzyła, że ono gdzieś jest, czeka na nią, tylko ona jeszcze go nie odkryła.

Wolnym krokiem wyszła z mroku Sukiennic i już z daleka dostrzegła znajomą sylwetkę Łukasza czekającego pod pomnikiem. Jego jasne włosy spłówiały od słońca, piegi licznie obsypały tę tak dobrze znajomą twarz.

Podeszła do niego z uśmiechem, a on przytulił ją mocno i wtulając nos w znajomą miękkość włosów, wyszeptał:

— Agnicha. Jesteś nareszcie.

Patrzył na nią i patrzył, jakby chciał nauczyć się jej na pamięć. Zmieniła się od wyjazdu z Zakopanego. W ciemnych oczach wciąż był ten smutek, z którym ją żegnał ponad dwa miesiące temu, ale coraz częściej się uśmiechała i miała w sobie ten sam blask co kiedyś, gdy oboje jeszcze biegali po dolinach. Długie włosy splatała po góralsku w gruby warkocz, ale ubierała się już jak turystka — sprane dżinsy, oliwkowy top i białe koronkowe bolerko. I mały plecak przewieszony przez ramię.

— Wypiękniałaś. Dla mężczyzny?

Zarumieniła się i spuściła wzrok na spodeczek filiżanki, a on już wiedział.

— Nie daj się skrzywdzić, Agnicha. Raz już się sparzyłaś.

— Już ci mówiłam, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, Łukasz. Żonatyh omijam szerokim łukiem — spojrzała na niego z lekką urazą.

— Przywieziesz go na wesele?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

— Kto wie...

— Chciałbym go poznać.

— Akurat! Jesteś wścibski i ciekawski jak twoja przyszła żona!

Oparł się o krzesło i popatrzył na nią groźnie.

— Zastanawiam się, czy właśnie obraziłaś moją narzeczoną, czy mnie?

Znała ten mars na jego czole. Roześmiała się.

— Przecież wiesz, że cię kocham.

— Oj, Agnicha — westchnął. — Brakuje mi ciebie jak jasny pieron. Opowiadaj, co u ciebie. — Dotknął jej dłoni i uścisnął ją mocno.

— Byłam na wydziale, chciałam zabrać papiery, ale wszystko ma swój czas. Najpierw musiałam napisać odpowiednie podanie do dziekana i przy odrobinie szczęścia będę mogła odebrać je jutro, o ile uda mi się oblecieć wszystkich z obiegówką. Jestem umówiona na audiencję u dziekana o jedenastej.

— Jesteś pewna, że tego chcesz?

Zabrała rękę i założyła za ucho kosmyk włosów, który wymknął się z warkocza.

— Ja już niczego nie jestem pewna, Łukasz — powiedziała cicho. — Nie chcę wracać do Krakowa, bo w Warszawie jest mi dobrze. Mam tam przyjaciół, którzy z jakichś powodów mi pomagają, choć nadal nie wiem dlaczego. Poznałam kogoś. — Na jej policzku znów pojawił się ten delikatny rumieniec. — Pracuję i już nie płaczę w poduszkę nocami. To wystarczająco dużo powodów, dla których powinnam tam zostać na dłużej.

— Obiecuj mi, że jak już zostaniesz tą wielką warszawianką, nigdy nie zapomnisz o nas, o Gubałówce i tych wszystkich miejscach, gdzie spędziłaś dzieciństwo i gdzie dorastałaś. I że będziesz wracać w Taterki, choćby nie wiem co.

— Obiecuję. Choćby nie wiem co, Tatry mam głęboko wpisane w serce.

Ciemne oczy Agnieszki rozbłysły przez chwilę tym blaskiem, który Łukasz tak dobrze znał i pamiętał.

— Jak to teraz będzie, Agnicha? Kto na wiosnę wejdzie ze mną na Czerwone Wierchy? Kto mi pomoże przy baranach stryja? Kto ze mną usiądzie nad potokiem i przegada całą noc?

— Nie będziesz miał na to czasu. Będziesz teraz młodym gazdą ze swoją gaździną u boku. Będziesz liczył dutki, pił piwo i wyrabiał sery, które

Alicja będzie sprzedawała na Krupówkach. Roztyjesz się i nie będziesz miał siły wejść na Czerwone Wierchy. Co najwyżej będziesz ceprów dorożką wozić po Krupówkach lub nad Morskie Oko.

— Niedoczekanie twoje, podła czarownico!

Tak dobrze było siedzieć z Łukaszem, donikąd się nie śpieszyć i o niczym nie myśleć. Już tak potrafiła, odsunąć na trochę złe wspomnienia i przez jakiś czas żyć w nieświadomości, cieszyć się chwilą, która trwała.

— Gdzie się zatrzymałaś?

— U Jagody.

— Nie dasz się namówić na wizytę na Gubałówce?

Pokręciła przecząco głową.

— Jeszcze jest za wcześnie, Łukasz. Przyjadę na ślub, tak jak obiecałam. — Pochyliła się i wzięła w dłonie jego ręce. Były duże i silne i miały w sobie to znajome ciepło, którego wciąż potrzebowała.

— Mam do ciebie prośbę... — puściła dłonie przyjaciela i sięgnęła do plecaka. Wyjęła z niego banknot stużłotowy i przysunęła go w stronę Łukasza.

— Odwiedzaj ich od czasu do czasu i zapal światełko ode mnie. Wytłumacz, że jeszcze nie mogę... ale modlę się za nich każdego dnia.

Przestraszył się tej niebezpiecznej wilgoci w jej oczach. Nigdy nie umiał sobie radzić ze łzami dziewczyny, nawet jeśli to była Agnieszka. Odsunął banknot i popatrzył na nią z wyrzutem.

— No co ty, Aga. Schowaj to. Często do nich zachodzę i będę to robił bez względu na to, gdzie będziesz. A mama to świeże kwiaty zanoszą. Nie są sami, Aga.

— Dziękuję.

Czuł, że jeszcze chwila, a sam popłynie. Przywołał kelnerkę i poprosił o rachunek.

— Chodź, Aga, przejdziemy się naszymi ulicami. W końcu muszę się tobą nacieszyć na zapas.

Wstała, podała mu rękę i pozwoliła się poprowadzić na spacer miłych wspomnień. Wiele miejsc mieli tutaj wspólnych i z każdym łączyła się jakaś historia. Studiując w jednym mieście, trzymali się razem, przynajmniej do czasu, kiedy Agnieszka oszalała dla Tomasza. Przy Smoku Wawelskim Łukasz powiedział Agnieszce o Alicji, a potem w tym samym miejscu zawiadomił ją o zaręczynach. Dotykając serca dzwonu Zygmunta, Agnieszka wyrzuciła z siebie bolesną prawdę o chorobie Teresy i zamiarze poproszenia o urlop dziekański. Na Kazimierzu pokłócili się na noże o jej chory związek z Tomaszem. Obraziła się wtedy na Łukasza śmiertelnie, by po jakimś czasie przyznać, że miał rację i że jej związek z Tomkiem rzeczywiście był związkiem bez przyszłości. Spacerując z Łukaszem po tych wszystkich bliskich miejscach, Agnieszka żegnała się z nimi, chcąc w ten sposób zakończyć pewien etap w swoim życiu. Wiedziała, że powróci do Krakowa już tylko jako turystka i że odtąd będzie patrzyła na to miasto z dystansem przyjezdnych. Zatrzyma się na krótką chwilę, westchnie być może przy miejscu, które coś z pamięci przywoła, a potem odejdzie wraz z tłumem turystów i powróci do swoich zajęć gdzieś tam, daleko stąd.

Ot, życie, jak mawiała Teresa.

Wiedziała, że to spotkanie było nieuniknione i że nie było przypadkowe. Tomasz czekał na nią na korytarzu, przed drzwiami gabinetu dziekana. Stał oparty o ścianę, z pochyloną głową, wpatrzony w czubki swoich sportowych butów. Podniósł głowę, gdy usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi, i utonął w mrocznej otchłani oczu Agnieszki.

Przystanąła i spojrzała na niego pytająco. Podszedł powoli, niepewnie. Nie wiedział, jak daleko może się posunąć w gestach intymności, która kiedyś ich łączyła, stał więc tylko przed nią i patrzył prosząco.

— Co ty tu robisz?

— Czekam na ciebie. Wiedziałem, że będziesz dziś u dziekana. Możemy porozmawiać? — To nie był ten Tomasz, którego pamiętała. Stał przed nią zagubiony, skarcony chłopiec, który jest świadomy tego, że postąpił źle, i trochę się tego wstydzi, a trochę boi kolejnej kary, która go może spotkać.

— A mamy o czym?

— Mamy, Agnieszko — powiedział to tak miękko, że się złamała.

Zabrał ją do maleńkiej kawiarenki w piwnicach starego Kazimierza. Kiedyś często tu przychodzili i przesiadywali do późnej nocy. Tomasz zajął ten sam stolik w rogu niewielkiej salki, w półmroku rozświetlanym jedynie zapaloną na stoliku świeczką.

— Masz ochotę coś zjeść? — Podał jej kartę. Nie musiała jej otwierać, znała tutejsze menu na pamięć.

— Szarlotkę z pieca z lodami waniliowymi i latte.

Pokiwał głową. Dla siebie zamówił tylko czarne espresso.

Przyglądała mu się oczami obcego człowieka. Skurczył się w sobie i zapadł. Schudł za dużo jak na mężczyznę. Jego szare oczy przygasły, na twarzy zabrakło tego uwodzicielskiego uśmiechu, którym oczarował Agnieszkę trzy lata temu. Pamiętała ten dzień, kiedy wpadł na nią, biegnąc na zajęcia, a jej rozsypały się kartki z segregatora, na których miała notatki z wykładu. Przeprosił ją z tym swoim czarującym uśmiechem, a potem schylił się i razem z nią zaczął zbierać rozsypane kartki. Kiedy przypadkowo dotknął jej ręki, poczuła dreszcz. I pożądanie, gdy był na tyle blisko, że mogła poczuć jego zapach.

Dziś pachniał tak samo, ale był dla Agnieszki obcym człowiekiem.

— Dlaczego chcesz wyjechać z Krakowa?

— Chcę uciec od wspomnień. I od ciebie.

— Dałem ci przecież słowo, że...

Nie mogła tego słuchać.

— Swojej żonie też dałeś słowo. Przed ołtarzem.

Skulił się jak przed ciosem, którego się spodziewał.

— Byłaś dla mnie naprawdę kimś ważnym. Gdybyś tylko pozwoliła mi...

Przerwała mu.

— To wszystko już nie ma znaczenia, Tomek. Wyjeżdżam z Krakowa i nie wiem, czy kiedykolwiek tu wrócę.

— Chcę ci pomóc.

— Pomożesz mi, jeśli na zawsze znikniesz z mojego życia.

Wiedziała, że jest przykra i nie ułatwia mu tej rozmowy. Ale nie miała powodu, aby być miłą. To nie ona chciała tego spotkania.

— Posłuchaj mnie, mała — zwrócił się do niej tak jak kiedyś. Zadrżała.

— Zostawię cię w spokoju i zniknę, ale chcę żebyś wiedziała, że nigdy nie

byłaś dla mnie maskotką ani przelotnym romansem.

— Byłam kochanką. To prawie to samo.

— Daj mi dokończyć, proszę. Już dość mi dzisiaj dokopałaś. Sprawia ci to przyjemność?

— Przepraszam — zawstydziała się. Miał rację, trochę przesadziła, ale nie mogła pozbyć się tej złośliwości, gdy był tak blisko. Przekora. Kiedyś nie potrafiła bez niego żyć. Dziś nie była w stanie wysłuchać go spokojnie, bez całego tego żalu nagromadzonego miesiącami.

— Naprawdę jest mi przykro, że... ech — machnął ręką i spojrzał na Agnieszkę. W jego szarych oczach pojawiła się czułość. — Pamiętaj, Aga, że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała mojej pomocy, jestem tutaj i nigdzie się nie wybieram.

— Dziękuję — powiedziała to cicho i tak miękko, że nie mógł się powstrzymać. Podniósł jej rękę i mocno przycisnął do swoich warg. Pachniała tą samą namiętnością, przed którą nie mógł się kiedyś powstrzymać.

— Pogubiłem się w tym wszystkim, Aga.

— Masz syna, Tomasz. Nie funduj mu traumatycznego dzieciństwa. Dzieci potrzebują rodziny. Pełnej.

— Sam już nie wiem, czy oczarowałaś mnie swoją urodą czy mądrością.

Po raz pierwszy dziś uśmiechnęła się do niego.

— Powinnam wracać. Mam pociąg o szesnastej, a jeszcze muszę zabrać rzeczy od koleżanki.

— Odprowadzę cię — podniósł się, ale powstrzymała go gestem dłoni.

— Zostań. Chcę się jeszcze nacieszyć Krakowem na samotnym spacerze. Trzymaj się, Tomek. — Nachyliła się i pocałowała jego szorstki policzek.

Przytrzymał jej dłoń, wtulając się w nią.

— Pamiętaj, że zawsze możesz tu wrócić — powiedział, choć pomyślał:
„Pamiętaj, że możesz wrócić do mnie”.

Delikatnie zabrała rękę i odwróciła się, a potem odeszła w jasny,
wrześniowy dzień, aby już nigdy nie powrócić do jego życia.

Wiedział o tym. I ona też wiedziała.

Małgorzata weszła do mieszkania i już od progu powitał ją dziki ryk muzyki dobiegającej z pokoju Sylwii. Skrzywiła się, postawiła torebkę w swoim stałym miejscu, na szafce pod lustrem, i odwiesiła żakiet na wieszak. W tym barbarzyńskim hałasie Saba usłyszała jej obecność dopiero po dłuższej chwili i zawstydzona przybiegła z sypialni, objijając się o kant ściany na zakręcie. Małgorzata pogłaskała ją machinalnie i rozwścieczona otworzyła drzwi do pokoju córki.

Widok, który ujrzała, ją przeraził. Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł po nim tabun słońi. Na wszystkich możliwych oparciach zalegały ubrania Sylwii, drzwi do szafy były otwarte, podobnie jak szuflada biurka. Po podłodze poniewierał się porzucony szkolny plecak i część książek. Pozostała część leżała niedbale wysypana na biurku, obok włączonego laptopa, na którego ekranie prezentowało się zdjęcie uśmiechniętego Iana. Całości dopełniały wrzaski nieznanego Małgorzacie wokalisty, dobiegające z odpalonej na cały regulator wieży.

Sylwia leżała na kanapie i w tym całym rozgardiaszu próbowała odrabiać lekcje.

— Wyłącz tę kocią muzykę! Własnych myśli usłyszeć nie można, a ty w takich warunkach się uczysz?

— Mnie w nauce warunki nie przeszkadzają — odburknęła Sylwia, podnosząc się z kanapy i ścisząc wieżę. — I wypraszam sobie „kocią muzykę”. To Linkin Park, a ty się po prostu nie znasz.

— Na muzyce może nie, ale wygląd twojego pokoju wskazuje na to, że mieliśmy włamanie. Ciekawe, czego włamywacze szukali w twoich brudnych ciuchach — powiedziała z przekąsem Małgorzata, zdejmując z

oparcia krzesła i foteli porzucone tam części garderoby Sylwii i zrzucając je na jedną kupę na łóżku córki.

— Bardzo śmieszne — mruknęła Sylwia, powracając do otwartego zeszytu.

Małgorzata poczuła, że za chwilę wybuchnie.

— Ogarnij to i usiądź przy biurku. I wyłącz w końcu ten laptop, bo dostaniesz na niego szlaban.

— No! Na pewno! I co jeszcze? Telewizji nie pozwolisz mi oglądać?

„Raz, dwa, trzy, cztery...”. Małgorzata przymknęła oczy i próbowała doliczyć do dziesięciu, ale w środku wszystko już się w niej gotowało. Gdzie się podziała ta słodka księżniczka, którą ubierała w różowe sukieneczki i której wiązała brokatowe kokardy we włosach? Czy te lata z grzeczną i posłuszną Sylwią minęły bezpowrotnie? Czasami miała wrażenie, że ktoś jej podmienił milutkiego szczeniaczka i zostawił w domu dzikiego kota. Albo raczej kotkę z nieprzewidywalnymi wahaniami nastroju.

— Byłaś z psem?

— Nie widzisz, że się uczę? A poza tym to nie mój pies.

Wyszła z pokoju z zaciśniętymi ustami, głośno zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Zdjęła z wieszaka smycz, sięgnęła po kaganiec i cicho przywołała Sabę. Suczce nie trzeba było powtarzać dwa razy. Stała przy Małgorzacie, merdając swoim krótkim ogonkiem, i czekała cierpliwie na spacer.

Małgorzata wyszła na ulicę i wciągnęła w płuca wilgotne i ciężkie od spalin powietrze. Przez dłuższą chwilę nie mogła opanować drżenia rąk i całego ciała. Nie umiała radzić sobie z arogancją Sylwii. Emocje były zbyt silne, nie potrafiła ich wyłączyć, wyciszyć i po prostu zobojętnieć, przeczekać ciężki czas dojrzewania córki. Dotąd w tej nierównej walce wspierał ją Marek, ale teraz została z tym kompletnie sama.

Atmosfera w domu była ciężka i mógł to z łatwością wyczuć każdy, kto przebywał u Dobrowolskich. Marek milczał, zachowywał jedynie pozory normalności. Robił zakupy, ale wracał do domu coraz później i kolacje zjadał samotnie. Na obiady w ogóle nie przychodził, jadał na mieście lub w uczelnianym barze. Większość dnia przesiadywał w swoim gabinecie na wydziale lub w kancelarii. Jedynie noce spędzał w domu. Wślizgiwał się cicho do sypialni i kładł się na samym skraju ich małżeńskiego łóżka, zostawiając przepaść między sobą a Małgorzatą. Nie chciał z nią rozmawiać, nie chciał jej słuchać. Milczał i zapadał się w ten obłądny upór, podsycany zranionym ego i utratą wiary we wszystko, co nadawało sens jego życiu i ich małżeństwu.

Małgorzata przypomniała sobie wieczór, kiedy wrócili z nad morza.

Dom powitał ich ciszą i zapachem pieczonych jabłek. Ta cisza trwała między nimi, gdy spragnieni ciepłej herbaty zajrzeli do kuchni. Na widok stołu romantycznie nakrytego dla dwojga Małgorzata popłynęła wraz ze łzami, które się z niej wylały. Marek natomiast wyszedł bez słowa i zamiast ciepłej herbaty zadowolił się ciepłym prysznicem. Nie było już między nimi wzajemnych wyrzutów i ataków. Pozostała ta cisza, która bolała niemal fizycznie.

Po kolacji zjedzonej osobno przez każde z nich Marek zawiadomił Małgorzatę, że musi się w tym odnaleźć i potrzebuje czasu i samotności. Następnego dnia wyjechał na Mazury. Sam.

To Małgorzata odebrała Sylwię z Nałęczowa i próbowała ją ujarzmić przez ostatnie dni wakacji. Starła się być dzielna i twarda jak Agnieszka, ale z dnia na dzień stawało się to coraz trudniejsze. Częściej wybuchwała i traciła cierpliwość, stała się zgryźliwa w stosunku do Marka, nie radziła sobie sama ze sobą i były dni, że brała prysznic dopóty, dopóki nie

oczyściła się ze złych emocji, wyrzucając je z siebie z głośnym szlochem, zagłuszonym przez lejący się strumień wody.

— Nie miałeś racji, tato — wyrzuciła z siebie, gdy przestraszony jej wyglądem i zachowaniem Maciej zabrał ją na długi popołudniowy spacer po Nałęczowie. — Marek tego nie uniósł. Zostawił mnie ze wszystkim i wyjechał.

— Wróci. — Maciej spokojnie pokiwał głową. — Daj mu czas. Musi to przetrwać.

— Ty przyjąłeś to... — zawahała się, próbując dobrać właściwe słowo — łagodniej — dokończyła.

— Ja jestem twoim ojcem. Największym rywalem w moim życiu był Marek, bo zabrał mi ciebie — uśmiechnął się do niej tym swoim ciepłym uśmiechem, który tak lubiła. — Umiałem to sobie jednak z pomocą Magdaleny poukładać. W tym wszystkim Agnieszka jest dla mnie gwiazdką z nieba. Dla Marka to jeszcze abstrakcja. Jest zazdrosny o tego kogoś, kto był w twoim życiu, i na pewno ma żal, że mu nie zaufałaś. Pozbiera się, Małgosiu — poklepał ją po ręce, którą trzymała pod jego ramieniem. — Teraz tylko musisz być czujna i uważać, by nie stracić Agnieszki.

— Marek uważa, że powinnam jej powiedzieć, tato.

Zamyślił się, wpatrzony w sunącą majestatycznie po stawie rodzinę łabędzi. Pływały z dumnie uniesionymi głowami, świadome swojej urody i uwagi, którą przyciągały.

— Ja bym zostawił to tak, jak jest. Marek musiał się dowiedzieć, aby zrozumieć twoje postępowanie i zaakceptować pomoc, którą chcesz zaoferować Agnieszce. Ale ona... straciła już tak dużo, jeśli jej powiesz, pozbawisz ją wszystkiego. Zabierzesz jej wspomnienia, beztroskę

dzieciństwa i rodziców, których kochała. Tylko dla wygody twojego sumienia, które nie umie sobie z tym poradzić.

Westchnęła i położyła głowę na ramieniu ojca. Pogłaskał ją niezdarnie po włosach zupełnie jak wtedy, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

— Dlaczego Marek nie podchodzi do tego tak jak ty?

— Bo obaj kochamy cię w nieco inny sposób. Jemu nie chodzi o Agnieszkę, jest zazdrosny o twoją przeszłość i myślę, że trochę obawia się przyszłości. Pozbiera się, Małgosiu, ale to trochę potrwa.

Mądrość ojca zawsze ją fascynowała. Dziś, po kolejnym starciu z Sylwią tak bardzo potrzebowała jego siły i opanowania. Marek wciąż dojrzewał, w Sylwii szalały hormony, a Małgorzacie brakowało już sił do brania na barki kolejnego dnia i udawania, że wszystko jest OK. W tym wszystkim krótki wyjazd Agnieszki do Krakowa ucieszył Małgorzatę, bo bała się, że ciężką atmosferę w domu dziewczyna odbierze opacznie, jako niechęć skierowaną przeciwko sobie i swojej obecności w domu Dobrowolskich.

Dworzec Warszawa Centralna powitał Agnieszkę jaskrawym światłem jarzeniówek. Przymknęła oczy. Po półmroku panującym w przedziale i półśnie, w który zapadała, oślepiające światło spowodowało, że poczuła irytację i lekkie zdenerwowanie. Chciała opuścić to miejsce jak najprędzej i ukryć się w mroku nocnych ulic Warszawy.

Przystanąła, aby poprawić torbę na ramieniu, kiedy poczuła czyjeś ręce na sobie, a po chwili schowała się cała w bezpiecznym objęciu Kuby.

— Ale mnie przestraszyłeś! Nie uprzedziłeś, że tu będziesz.

— Chciałem cię wziąć z zaskoczenia i zobaczyć, czy na mój widok się ucieszysz, czy wściekniesz — uśmiechnął się, wciąż ją przytulając.

— I co? — zapytała z przekorą.

— Wściekła raczej nie jesteś.

Roześmiała się i wyśliznęła z jego objęć.

— Jestem mile zaskoczona. Bardzo mile. Przyznam szczerze, że trochę przerażała mnie perspektywa samotnego powrotu do domu.

— Lubię robić miłe niespodzianki. Masz ochotę na spacer czy przejażdżkę linią nocną?

— Prawdę mówiąc... zmęczona nie jestem. Prawie sześć godzin przesiedziałam i chętnie bym rozprostowała nogi. Ale ty powinieneś już być w łóżku, wstajesz przecież rano.

— O mnie się nie martw. Godzina w twoim towarzystwie jest bezcenna. Żaden sen mi tego nie wynagrodzi.

Odebrał od niej torbę i przewiesił sobie przez ramię, pozostawiając Agnieszce jedynie podręczny plecak.

W nocnym powietrzu było już czuć jesień. Chłód przenikał przez polarową bluzę i zapowiadał definitywne pożegnanie lata. Z warszawskich ulic zniknęła wakacyjna beztroska, zastąpiła ją całoroczna rutyna i pośpiech.

Kuba ujął dłoń Agnieszki i zamknął ją w swojej dłoni. Poczowała się znajomo i bezpiecznie. Tak niewiele potrzeba, jeden uścisk, aby rozproszyć samotność i ogrzać się w tej odrobinie czułego gestu. Szła obok Kuby i czuła, jak zmęczenie po podróży powoli z niej opada, odchodzi, a jej emocjonalne rozdygotanie schładza się w nocnej temperaturze września. Kuba o nic nie pytał i nie narzucał się ze swoją ciekawością ani przymusową obecnością w życiu Agnieszki. Wiedział o niej tyle, ile chciała lub była gotowa mu powiedzieć na tym etapie ich znajomości. Sam za to opowiadał, z tym swoim błyskiem w oku. Mówił o Poetce i o tym, jak niewiele czasu pozostało już do otwarcia, które wymarzył sobie w noc przestawienia czasu na zimowy, i jak dużo jest jeszcze do zrobienia. Agnieszka słyszała tę jego pasję w głosie i nagle pozazdrościła Kubie jego marzenia, które z taką determinacją i wytrwałością realizował. Ona dopiero się zakotwiczyła w wybranym przez siebie porcie. Kuba natomiast parł do przodu i nic nie było w stanie go powstrzymać.

— Jak zdążę przed pracą, to zajrzę jutro do Poetki i ocenię postęp prac.

— Super! Może twoja obecność zmotywuje ekipę do efektywniejszego działania. Jak jestem na miejscu i wszystkiego doglądam, to pracują pełną parą, a jak tylko znikam na kilka dni z budowy, ślimaczają się i spowalniają.

— Od zawsze tak było, że jak nie ma kota, to myszy harczą.

Obok nich z hukiem przejechał autobus linii nocnej. Dochodzili już do placu Zbawiciela. Wiedziała, że za chwilę pożegna się z Kubą, a było jej tak dobrze z ciepłym jego ręką i obecnością, która nie męczyła.

— Wiesz, Kuba, cieszę się, że wróciłam.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja się cieszę, że w końcu jesteś.

Uśmiechnęła się do swoich myśli i do Kuby.

Z tym uśmiechem weszła cichutko do mieszkania. Odłożyła klucze tak, aby nie zadźwięczały, i postawiła torbę na podłodze. Nie zdążyła zdjąć polaru, kiedy mokry nos Saby wepchnął się w otwartą dłoń. W radosnym tańcu wokół swojej drugiej ulubionej pani suczka zaplątała swoje niezdarne łapy o porzuconą na podłodze torbę i z głośnym pacnięciem rozkraczyła się na śliskiej posadzce. Agnieszka pogłaskała ciepły łeb psa, a potem delikatnie odsunęła Sabę od siebie.

W całym domu panowała cisza, jedynie z kuchni dobiegał szum czajnika. Ktoś nie spał.

Kiedy tylko weszła do kuchni, natychmiast tego pożałowała, ale nie mogła się już wycofać. Małgorzata siedziała przy stole z twarzą w dłoniach. Jej plecami wstrząsał szloch, który próbowała stłumić wtulona we własne dłonie i zagłuszyć szumem czajnika.

Agnieszka wiedziała, że w tym momencie jest tu intruzem, ale nie mogła zignorować tej rozpacz, którą dało się poczuć w kuchni niemal namacalnie. Podeszła do Małgorzaty i położyła na jej ramieniu swoją. Szloch ustał, a Małgorzata drgnęła przestraszona czyjąś obecnością. Otarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała bezradnie na Agnieszkę.

— Nie słyszałam, jak weszłaś.

— Byłam pewna, że Saba hałasem, jakiego narobiła, postawiła na nogi cały dom.

— Nastawiłam wodę na herbatę. — Małgorzata wskazała na bulgoczący teraz czajnik. — Nic nie słyszałam.

Wyglądała okropnie. Oczy miała czerwone i jeszcze wilgotne, jasne włosy splątane i potargane. Bez makijażu twarz Małgorzaty była blada i

poszarzała.

— Zaparzę ci melisy.

— Nie chcę melisy, już mi nie pomoże. Zaparz mi zielonej herbaty z kaktusem i żurawiną.

— Ale zielona herbata pobudza. — Agnieszka naszykowała dwa kubki i wsypała do nich po łyżeczce herbacianych listków, które zalała ciepłą wodą. Zatańczyły na powierzchni, dotykając się brzegami. Widocznie też potrzebowały bliskości.

— I tak nie zasnę.

Agnieszka przysunęła kubek w stronę Małgorzaty, a sama usiadła tuż obok. Zamieszała łyżeczką parujący płyn i wpatrywała się w wirujące wstążeczki, z których nagle wyłonił się rozwinięty pączek białego kwiatu.

— Herbata mi zakwitła — podsunęła swój kubek bliżej Małgorzaty. — Zobacz, jak pięknie.

Małgosia zajrzała do środka i westchnęła cicho, a potem wytarła nos i spojrzała na swoją herbatę.

— W mojej pływają tylko listki i małe bambusowe patyczki. A w moim życiu kwitną tylko wzajemne pretensje i konflikt międzypokoleniowy.

Agnieszka pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Sylwia ci dopiekła?

W zasadzie nie musiała pytać, wiedziała, że Sylwia nie jest równym partnerem w żadnej kłótni.

— Powiedziała mi tyle przykrych rzeczy... Nie mogę zrozumieć, jak ona to robi. Potrafi tak dotkliwie wbić szpilę, a potem wrócić do swoich spraw jakby nigdy nic. Wszystko po niej sływa, zero wyrzutów sumienia, nie mówiąc już o przeprosinach. Nie rozumiem już tego pokolenia. — Upiła łyk herbaty, parząc sobie wargi gorącym napojem. — A najgorsze jest to, że nie potrafię już zrozumieć własnej córki.

Agnieszka milczała. Była z Dobrowolskimi przez zbyt krótki czas, nie znała ich na tyle dobrze, aby móc zająć czyjąś stronę czy sprzymierzyć się z jednym z nich. Zastanawiała się, czy gdyby była starszą siostrą Sylwii, trzymałaby jej stronę, czy też wspierałaby Małgorzatę w jej samotnej walce z wiatrakami dojrzewania? Czy gdyby była córką Małgorzaty, zignorowałaby jej smutek i rozżalenie i zostawiła ją z wyrzuconymi z siebie słowami, które ranią? Wiedziała, że ciepły gest leczy nawet najboleśniejse rany.

— Dla niej to tylko puste słowa, Małgosiu. Dla ciebie ostre noże. Bierzesz je za bardzo do siebie. To głupi i egoistyczny wiek, kiedy „ja” jest na pierwszym planie, a nawet na piedestale. Opuść czasami i przeczekaj. Prędzej czy później sama do ciebie przyjdzie.

— Była moim spełnionym marzeniem. Taką ją sobie wymyśliłam, delikatną królową z pszenicznymi włosami i oczami błękitnymi jak pogodne niebo. Miała być słodka, grzeczna i kochana. I taka była. Aż do teraz, kiedy wyrosła na wstrętne ogra.

— Wstrętne ogry też kiedyś dojrzewają.

— Tylko dlaczego tak brutalnie? — Małgorzata westchnęła.

— Małgosiu, jeśli mogłabym ci jakoś pomóc...

Kobieta spojrzała w ciemne oczy córki. Jej serce topniało, zupełnie jak lód w konfrontacji ze słońcem.

— Wystarczy, że jesteś blisko — szepnęła z czułością, patrząc na córkę, na którą nie zasłużyła.

Siedziały tak obok siebie, nie licząc upływającego czasu. Małgorzata otarła łzy i wysłuchiwała relacji z Krakowa. Wchodząc krok po kroczku coraz głębiej w sprawy Agnieszki, splatała powoli tę nierozzerwalną nić, która może łączyć tylko bliskie sobie kobiety. Starannie zawiązywała supełki, które miały umocnić ich wzajemne porozumienie i zapobiec przerwaniu

więzi, którą z taką ostrożnością budowała. Przy tym wspólnym kubku herbaty zobaczyła tęczę w swoim życiu. Agnieszka była podarunkiem od Pana Boga, który przyjął z pokorą i odwagą. Była jednak zbyt wielkim tchórzem, aby ten podarunek rozpakować i uwierzyć, że naprawdę jest dla niej.

Po nieprzespanej nocy, przegadanej z Małgorzatą, Agnieszka nie mogła skupić się na pracy. Pomyliła zamówienia, źle wydała resztę i do tego stłukła szklankę do latte. Po tych wydarzeniach przez cały czas chodziła spięta i zdenerwowana, co z łatwością mógł zauważyć każdy, z kim miała kontakt, łącznie z obsługiwanymi klientami. Na szczęście w związku z rozpoczętym rokiem szkolnym gości było mniej niż w pełni lata i te drobne niedociągnięcia przeszłyby prawie niezauważone, gdyby Agnieszka nie wylała na siebie czarki gorącego czerwonego barszczu. Nie dość, że się poparzyła, to jeszcze biały fartuszek z wielką, nieestetyczną, bordową plamą i falbanką, na której zatrzymały się pływające w barszczu grzybki, przedstawiały opłakany stan. W tej sytuacji Agnieszka mogła zrobić tylko jedno, usiąść przy rozbitych naczyniach i wybuchnąć płaczem.

W takim stanie zastał ją Robert Wieniawski. Wystarczył mu rzut oka i mina kierownika sali, aby zrozumieć i opanować całą sytuację.

Spokojnie odprawił pana Janusza do swoich zajęć, podał Agnieszce chusteczkę, a sam zajął się popękanymi naczyniami.

— Idź do łazienki, zdejmij ten mundurek i ogarnij się — rzucił w stronę dziewczyny, która wycierała łzy i nos chusteczką. — Zamiast tłuc mi całą zastawę, pojedziesz ze mną do Wilanowa. Potrzebuję kobiecego spojrzenia na nową restaurację, którą tam kupuję. Tutaj w tej chwili i tak nie będzie z ciebie pożytku, musisz trochę ochłonać — mrugnął do Agnieszki i popchnął ją delikatnie w stronę toalet.

Działała jak automat. Umyła się, przebrała w swoje rzeczy i pociągnęła usta błyszczikiem. Opanowała też potrzebę nieuzasadnionego płaczu. Kiedy wsiadała do czarnego audi Roberta, była już w miarę spokojna.

— Przepraszam, jak nie dośpię, to dzieją się ze mną dziwne rzeczy. Na przykład takie, których pan był świadkiem.

— Mów mi po imieniu. Po prostu Robert. — Popatrzył na nią przez chwilę spod przymrużonych powiek. Jego przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu zelektryzowało Agnieszkę.

— Jasne. W końcu to... ty mi płacisz.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Robert prowadził pewnie i szybko, z typową dla młodych i atrakcyjnych mężczyzn nonszalancją. Podejrzewała, że chciał zrobić na niej wrażenie. Tomek zachowywał się za kierownicą podobnie.

— Bycie restauratorem to zawód czy pasja? — Przerwała milczenie, które powoli stawało się niezręczne.

— Bardziej sposób na życie. Nie miałem pomysłu na nic innego, a dziadek znacznie ułatwił mi życiową decyzję. Doszedłem do wniosku, że znam ten zawód od podszewki, wychowywałem się na tyłach restauracji i dorastałem w tej atmosferze. Oczywiście były po drodze inne plany i marzenia, z oblatywaniem na czele, ale odpuściłem. I robię to, co robię.

— A nowa restauracja? Dobra inwestycja czy po prostu masz zbyt dużo energii i Staroszlachecki Dwór ci nie wystarcza?

Zamyślił się przez chwilę, a potem wpatrzony w drogę odpowiedział:

— Myślę, że ani jedno, ani drugie. Wiesz, mam takie marzenie... Chciałbym, aby nazwisko Wieniawski liczyło się w tej branży tak samo jak nazwisko Magdy Gessler. Ona też od czegoś zaczynała, nie stworzyła imperium od razu. Dziś znają ją wszyscy. Tego bym chciał.

Pokiwała ze zrozumieniem głową. Robert był pasjonatem zaszczytów, Kuba zaś wymarzył sobie kawiarenkę, która miała stać się jego pasją. Roberta było stać na kupno restauracji w Wilanowie, natomiast Kuba na swoją Poetkę musiał ciężko zapracować. Różnili się diametralnie.

Robert zajechał z wdziękiem przed restaurację z dużym, ale nieco zaniedbanym ogródkiem zastawionym niesymetrycznie plastikowymi stolikami. Każdy z nich był osłonięty parasolem reklamującym markę popularnego piwa. Agnieszka miała wrażenie, że znajduje się w lokalnej piwiarni. W środku lokal był równie zaniedbany, jak na zewnątrz. Restauracja pamiętała jeszcze czasy komunistycznej świetności.

— Masakra — szepnęła Agnieszka, a Robert ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Dlatego mogę to kupić okazji i zrobić z tego cudo. Co sądzisz o miejscu?

— Przyciągnie ludzi — Agnieszka rozejrzała się wokół. — Okolica jest ładna, dużo zieleni, a w mieście ludzie tego potrzebują. Możesz przystosować restaurację do bankietów i wesel, z tego zawsze są pieniądze.

Patrzył na nią z coraz większym uznaniem. Była nie tylko ładna, ale i mądra. I do tego miała swoje zdanie.

Nieliczni goście siedzieli przy kawie i jajecznicy, przeglądając prasę. Przez chwilę ich spojrzenia zatrzymały się na parze młodych ludzi, ale wkrótce każdy wrócił do swojej gazety, szklanki lub talerza. Natomiast z końca sali kierował się w stronę Roberta i Agnieszki krótko przystrzyżony szpakowaty mężczyzna z urzędowym uśmiechem na twarzy. Kiedy stanął przy nich, dorównywał wzrostem Agnieszce, a zwracając się do Roberta, musiał unosić głowę i nieznacznie wspinać się na palce.

— Pan Wieniawski, witam, witam — wyciągnął rękę do Roberta, a Agnieszce jedynie skinął głową. — Zapraszam do baru, napiją się państwo czegoś?

— Dla tej pani poproszę kawę po irlandzku na rozbudzenie, a dla mnie podwójne espresso.

— Oczywiście, zaraz podamy. Proszę tymczasem usiąść, ja skoczę po dokumentację i papiery, które pan chciał przejrzeć.

Agnieszka usiadła przy zrujnowanym barze i rozejrzała się ciekawie dookoła. Pomieszczenie było tak duże, jak Staroszlachecki Dwór i przy odpowiednim zagospodarowaniu miało ogromny potencjał. To nie był klimat skromnej Poetki, ale dobry pomysł na odrobinę luksusu.

— Chciałbyś tu zrobić duplikat Dworu czy myślisz o czymś innym?

Nie przestawali się rozglądać.

— Chciałbym zachować nazwę. Mam zgodę na jej używanie, nie musiałbym wymyślać niczego nowego i głowić się, czy przypadkiem czegoś nie splagiatuję. Ale wystrój... nie prowadzę sieci McDonald's i lubię zmiany. Chciałbym czegoś nowego, czegoś w stylu dawnej Francji i madame Pompadour.

— A może bardziej w stylu polskiej szlachty, w końcu to Staroszlachecki Dwór.

— Czy ja wiem — skrzywił się. — Trochę mi nie pasuje do Wilanowa.

— Ten styl pasowałby do tej okolicy.

Nie odpowiedział, patrzył gdzieś przed siebie, próbując zwizualizować przedstawioną przez Agnieszkę propozycję.

— A jak to mniej więcej sobie wyobrażasz? — spytał wreszcie.

— A mniej więcej tak — sięgnęła po serwetki i leżący na barze długopis i zaczęła w skupieniu coś kreślić na cieniutkich kwadratach o karbowanych brzegach.

Robert przez chwilę patrzył na nią z zainteresowaniem, ale znudzony kreseczkami na serwetkach skupił się na wstępnej ocenie wyposażenia restauracji widocznego z miejsca, w którym siedział. Potem zajął się uważnym studiowaniem dokumentów przyniesionych przez Olszewskiego, dotychczasowego właściciela lokalu, i o kreseczkach Agnieszki zupełnie

zapomniał. Dlatego kiedy podsunęła mu zamazane serwetki, w pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi.

— Co to jest?

— Wstępny i bardzo prowizoryczny projekt twojej przyszłej restauracji w stylu retro. Tak sobie to wyobrażam, ale jeśli sobie życzysz, spróbuję ci na jutro przygotować prawdziwy projekt mojej wizji.

Robert wpatrywał się uważnie w plątaniny kreseczek i kwadracików i próbował wyobrazić to sobie w lokalu, w którym się znajdował.

— A to pudełeczko, o tu, w rogu sali, to co?

— Pianino. Na podwyższeniu.

— A oświetlenie?

— Kryształowe żyrandole spływające z sufitu, a na bocznych ścianach nastrojowe kinkiety. W oknach grube aksamitne zasłony, fotele, w które się zapadasz w części klubowej, i rzeźbione krzesła w jadalni. Na podłodze marmurowe płytki, na ścianach podświetlane obrazy. Blask i glamour. Po prostu retro.

Patrzył na nią z lekko rozchylonymi ustami. Agnieszka przez chwilę pomyślała, że są mięsiste i kuszące.

— I zaprojektujesz mi to?

— Jeśli sobie życzysz... I jeśli dostanę rabat na niedzielny obiad dla pięciu osób.

— Dostaniesz, łącznie z kawą i deserem. Czekam na projekt i przystępuję do sfinalizowania umowy. Przepraszam cię, ale muszę zadzwonić do prawnika. A ty zamów sobie jeszcze ciastko, ja stawiam — mrugnął do niej i oddalił się z komórką przy uchu.

Agnieszka pomyślała, że chyba powinna zacząć specjalizować się w projektowaniu wnętrz lokali. Ostatnio dość dobrze jej to wychodziło.

— Proszę, oto projekt, o który prosiłeś. — Agnieszka położyła arkusze papieru na biurku w pomieszczeniu wygospodarowanym na gabinet Roberta. — Jeśli będziesz zainteresowany, zrobię ci wizualizację. Na dziś nie zdążyłam.

Przerwał pisanie na laptopie i spojrzał przelotnie na rzucone niedbale przez Agnieszkę papiery. Po chwili odsunął komputer i wziął projekty do ręki. Patrzył na nie przez dłuższy czas w milczeniu, a Agnieszka przestępowała z nogi na nogę i nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Kiedy podniósł głowę i popatrzył na nią, w jego oczach zobaczyła autentyczny podziw i uznanie dla swojej pracy i kolejnej zarwanej nocy.

— Jestem pod wrażeniem — tyle tylko był w stanie powiedzieć. — Jeszcze dziś porozmawiam z radcą i podpiszemy odpowiednią umowę. Wiesz co — w jego oczach pojawił się ten elektryzujący błysk — jestem ci winien dobry obiad albo kolację.

Agnieszka się uśmiechnęła. Trudno jej było ukryć dumę z projektu, w który włożyła naprawdę dużo pracy i zaangażowania. Nie umiała robić niczego na pół gwizdka, wszystko, do czego się zabierała, pochłaniało ją bez reszty. Tym bardziej cieszyła się, że Robert potrafił to docenić.

— Jeszcze o tym porozmawiamy. Na razie wracam do pracy, pan Janusz od samego rana patrzy mi na ręce w obawie o twoją zastawę.

Wyszła, zostawiając Roberta wpatrzonego w projekty restauracji, która miała rozśławić jego nazwisko.

Kolejna nieprzespana noc odbijała się zmęczeniem na twarzy Agnieszki, ale dziś starała się być ostrożniejsza i bardziej skupiona na pracy. Poza tym deszczowa aura i chłód na zewnątrz nie sprzyjały

wędrówkom po Starym Mieście, więc restauracja była o tej porze prawie pusta. Agnieszka wiedziała już, że zapełni się dopiero po godzinie szesnastej, kiedy to stali bywalcy zaczęli tłumnie napływać do restauracji na codzienną porcję luksusu i szybkiego relaksu. Mogła więc spokojnie dochodzić do siebie, solennie sobie obiecawszy, że dziś pójdzie spać nie później niż o dwudziestej drugiej.

— Pracujesz tu dopiero miesiąc, więc można powiedzieć, że wciąż jesteś nowa i wielu rzeczy jeszcze nie rozumiesz. — Spokojne dochodzenie do siebie Agnieszki zakłócił nagle niski kobiecy głos. Przy odpowiedniej tonacji i w innym towarzystwie bywał na pewno odbierany jako zmysłowy, ale wobec Agnieszki zabarwiony był lekkim jadem. Agnieszka odwróciła się powoli i spojrzała prosto w zielone jak u kota oczy Eweliny, długonogiej szatynki z włosami prostymi i sięgającymi apetycznie zaokrąglonej pupy oraz z talią osy. Czasami pracowały na jednej zmianie, ale dotychczas wymieniały jedynie zdawkowe „cześć” i generalnie na tym się kończyło. Większa zażyłość łączyła Agnieszkę z młodszą o rok Karoliną, ale dziś Kara miała dzień wolny, a Agnieszka została skazana na towarzystwo jadowicie pięknej Eweliny, która coś próbowała jej przekazać w mało grzecznej formie.

— Przepraszam, ale chyba cię nie rozumiem. Możesz sprecyzować, o co ci chodzi?

Ewelina oparła się o stolik tuż przy Agnieszce, dotykając jej swoim ramieniem.

— Powiem wprost, nie dla psa kiełbasa. Nie wchodź mi w drogę i nie kręć się koło Wieniawskiego, bo tego nie lubię — syknęła.

— Masz na niego wyłączność?

Zielone spojrzenie kocich oczu zabijało.

— Mam prawo pierwszeństwa i rozgniotę każdego robala, który będzie chciał mi je odebrać. Myślę, że wyraziłam się dostatecznie jasno.

— Nie nadużywaj słowa „myślę”, bo znikniesz.

Agnieszka uśmiechnęła się słodko i odeszła od stolika, przy którym stała razem z Ewelina. Podeszła do baru po menu dla pary w biurowych mundurkach, która właśnie weszła do restauracji, wnosząc ze sobą zimny powiew wiatru i krople ściekające z czarnego parasola. Nie odwróciła się, aby nie widzieć wyrazu wściekłości na pięknej twarzy Eweliny.

Trzy dorosłe osoby i jedna prawie dorosła nastolatka, zgromadzone nieoczekiwanie przy jednym stoliku, nie czuły się niezręcznie tylko dlatego, że nie były u siebie. Przebywanie w lokalu zapewniało im ten komfort, że mieli czym zająć ręce i uwagę oraz skierować rozmowę na tematy neutralne, na przykład na kolor serwetek na stolikach czy dania, które figurowały w menu.

Agnieszka wymyśliła ten rodzinny obiad, aby wyrwać Dobrowolskich z domu pełnego napięcia, które i ona jako osoba postronna odczuwała. Czuła, że to nie tylko kłopoty z Sylwią są przyczyną tego naelektryzowania, ale i coś we wzajemnych stosunkach Marka i Małgorzaty nie grało tak sprawnie i harmonijnie, jak dotąd. Jako osoba wrażliwa wytłumaczyła to sobie w jedyne sensowny sposób — pomimo ogromnej sympatii Małgorzaty i przyjaźni, jaką ofiarowali jej Dobrowolscy, była w ich domu kimś zupełnie obcym i nie dziwiła się Markowi, że to dla niego niezręczna sytuacja. Wiedziała, że ich kultura nie pozwoli na nazwanie sprawy po imieniu, dlatego zamierzała dziś zapytać Marka o to wprost. Czekala tylko na właściwy moment.

Był jeszcze jeden powód rodzinnego spotkania na gruncie neutralnym. Agnieszka chciała przedstawić Dobrowolskim Kubę, a Kubie pokazać ludzi, którzy przyjęli ją jak swoją. Poprosiła Karolinę, aby zamieniła się z nią na dni wolne i dzięki temu mogła dziś zrealizować wszystko, co zamierzyła.

— Bardzo wykwintne to wasze menu. Zwykłego schabowego z frytkami nie macie? — Marek zatonął w okazałych rozmiarów karcie dań, którą przeglądał z rosnącym zainteresowaniem. Musiał z uznaniem

przyznać, że nie był to jeden z lunch-barów, w których ostatnio bywał, tylko porządna i dość droga restauracja.

— Pewnie, że mamy, tylko nie nazywa się tu schabowy. A zamiast frytek proponuję ziemniaczki z grilla z sosem czosnkowym. Mówię wam, pycha!

Małgorzata spojrzała na ceny i lekko się skrzywiła.

— Dziewczyno, cały miesiąc będziesz musiała pracować na ten obiad. Pozwól nam zapłacić rachunek, bo inaczej zamówię tylko naleśniki.

Agnieszka stanowczo pokręciła głową.

— Nie ma mowy! To był mój pomysł, Małgosiu, i absolutnie nie mogę pozwolić, byś płaciła za wymuszony przeze mnie obiad. Poza tym mam mały układ z szefem — uśmiechnęła się i poklepała Małgorzatę po wychudłej ostatnio dłoni.

— Co nam więc pani poleci, miła kelnereczko? — Marek odłożył menu i spojrzał pytająco na Agnieszkę. Bez patrzenia w kartę wyrecytowała:

— Na początek proponuję zupę krem z borowików. Palce lizać! Będziecie wyskrobywać czarki z resztek, jakie tam zostaną. Z dań głównych dla Małgosi proponuję kaczkę pieczoną z jabłkami, a do tego grillowane ziemniaczki i którąś z naszych wyśmienitych sałatek. Dla Marka polędwicę wołową w sosie winno-grzybowym z bukietem sałat i ziemniaczkami lub ewentualnie kopytkami. A dla Sylwii... pierś kaczki na miodzie i rodzynekach. O deserze porozmawiamy za jakiś czas. Może być?

Marek z Małgorzatą zgodnie pokiwali głowami, natomiast Sylwia wykonała skrzywienie stosowne do jej wieku. Agnieszka odczytała je jako zgodę. Złożyła zamówienie, dodając jedną dodatkową porcję i dyskretnie spojrzała na zegarek. Kuba powinien już być.

Atmosfera przy stoliku nieco się rozluźniła. Marek rozparł się wygodnie na krześle, jego spięta twarz złagodniała i nawet pojawił się na niej

uśmiech. Sylwia wystukiwała esemesy i otaczający ją świat przestał dla niej istnieć. Małgosia obserwowała wchodzących z łagodnym uśmiechem i z ciekawością pytała Agnieszkę o szczegóły składające się na pracę kelnerki. W to wszystko wszedł Kuba, który zdążył na obiad, jeszcze zanim dania pojawiły się na stoliku, i dzięki temu Agnieszka nie musiała tłumaczyć się z dodatkowej porcji.

Podszedł do stolika bardzo niepewnie, ale na widok Agnieszki ubranej w sukienkę, w której ją poznał, uśmiech zajaśniał na jego twarzy. Ten uśmiech dostrzegła Małgorzata i jej serce drgnęło niespokojnie. Już wiedziała, że ten młody mężczyzna to ktoś ważny w życiu jej córki. To doświadczenie przyszło wcześniej, niż oczekiwała.

— Kochani, pozwoliłam sobie zaprosić na obiad jeszcze jedną osobę. To Kuba, chciałabym, żebyście go poznali.

— Kuba Samborski, miło mi państwa poznać — skłonił się najpierw przed Małgorzatą, składając na jej dłoni dżentelmeński pocałunek, a potem mocno i po przyjacielsku uścisnął dłoń Marka i Sylwii. Dla Agnieszki zatrzymał pocałunek w policzek. Niby nic, a jednak wymowny.

— Przyszedłeś w samą porę. Jeszcze chwila, a musiałabym zjeść dwie porcje halibuta. — Agnieszka wskazała na wolne miejsce obok siebie.

— Na pewno poradziłabyś sobie z tym wyzwaniem — zażartował, otrzymując bolesnego kuksańca w bok.

Dołączenie Kuby do zamkniętego grona wzajemnych pretensji i niedomówień było strzałem w dziesiątkę. Niewymuszone poczucie humoru chłopaka rozładowało resztki napięcia, jakie jeszcze wśród nich pozostały. Kuba był młody, spontaniczny, zabawny, a przy tym mądry. Od pierwszej wymiany zdań przekonał do siebie Marka. Sylwia przyglądała mu się spod blond grzywki z nonszalanckim i maskowanym zainteresowaniem, a Małgorzata pozostała w cieniu jako nieufny, lecz jednocześnie ważny

obserwator. Nie umknęło jej uwadze to, że Agnieszka przy nim promieniała takim naturalnym dziewczęcym blaskiem, jaki tylko bliski mężczyzna może wydobyć z kobiety. Małgorzata uważała Kubę za miłego, sympatycznego i dość przystojnego chłopaka, ale zastanawiała się, czy na pewno zdawał sobie sprawę z tego, ile Agnieszka przeszła. Czy był gotowy trwać przy niej i wspierać ją we wszystkim, czego doświadczyła? Czy był na tyle dojrzały, aby unieść razem z nią to, co dźwigała?

Serce matki traktowało Kubę z dystansem. Nie zaufało mu, pomimo spojrzenia, którym czule obejmował Agnieszkę.

Po płonących deserach lodowych Sylwia miała dość uziemienia w jednym miejscu i do tego z rodzicami, dlatego Agnieszka wykorzystała ten moment, aby pobyć przez chwilę sama z Małgorzatą i Markiem.

— Sylwia, jeśli chcesz zobaczyć, gdzie wkrótce zostanie otworzony najlepszy lokal w mieście, to zrób maślane oczy do Kuby, a może pokaże ci swoją Poetkę. — Mrugnęła do chłopaka porozumiewawczo i nieznacznie wskazała mu ruchem głowy wyjście. Zrozumiał bezbłędnie.

— Twoje niebieskie oczy są już wystarczająco fantastyczne, nie musisz nic z nimi robić. Chodź, pokażę ci, jak powstaje knajpa, której matką chrzestną jest Agnieszka. To niedaleko, dwie uliczki stąd — zwrócił się do Sylwii, która natychmiast wykorzystała możliwość ucieczki.

— Proszę się nie martwić, odprowadzę ją z powrotem i będę ją miał przez cały czas na oku. A jeśli państwo również mieliby ochotę obejrzeć Poetkę, zapraszam. Agnieszka zna drogę.

Pieszczotliwym gestem zmierzwił włosy Agnieszki i pocałował ją w czubek głowy, a potem wyszedł, przepuszczając przed sobą Sylwię.

— A ja proponuję jeszcze droгим paniom po lampce wina. — Marek poczuł się tak dobrze po tym obiedzie w miłym i ciekawym towarzystwie,

że przez chwilę uległ iluzji tego spotkania i zapomniał o urazie, jaką czuł do Małgorzaty.

— Wino po takim obiedzie to już rozpusta. — Małgorzata pomasaowała wzdęty brzuch, który wskazywał na nadmierną ilość jedzenia, na które sobie pozwoliła.

— A ja uważam, że to dobry pomysł. — Agnieszka przywołała uśmiechem Karolinę i poprosiła o kartę win. Podała ją Markowi i pozwoliła mu dokonać wyboru.

Leniwe niedzielne popołudnie splatało się z nitkami babiego lata, a słoneczny wrześniowy dzień przywoływał świeże jeszcze wspomnienie lata. Wokół restauracyjnego stolika również zrobiło się miło i leniwie. Przy lampce wina Agnieszka zdecydowała się poruszyć temat, który ją nurtował.

— Kochani, strasznie się cieszę, że udało mi się namówić was na to wspólne wyjście i pobycie razem. Było fajnie, ale teraz wybaczcie mi moją szczerość. — Agnieszka spojrzała na Marka. — Wiem, że moja obecność w waszym domu cię przerosła. Chciałeś dobrze, zresztą wiem, jak Małgosia umie przekonywać, ale... co tu dużo mówić, to wasz dom i jest tam o jedną osobę za dużo.

Małgorzata zbladła, a Marek wyglądał na całkowicie zaskoczonego.

— Wydawało mi się, że ustaliliśmy warunki wspólnego mieszkania, którym zresztą nie mam nic do zarzucenia, i naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz i dlaczego mówisz to do mnie. — Patrzył prosto w ciemne oczy Agnieszki, nie spuszczać głowy ani nie uciekając wzrokiem gdzieś na boki, a ona poczuła się tak zbita z tropu, że sama już nie wiedziała, czy sobie to wszystko wymyśliła, czy naprawdę czuła to napięcie, kiedy Marek i Małgorzata przebywali blisko siebie.

— Agnieszko, rozmawialiśmy przecież o tym... — Małgorzata czuła ogromną dławiącą kulę w gardle. — Czy ten chłopiec... Czy próbujesz nam

powiedzieć, że chcesz zamieszkać z nim?

Agnieszka spojrzała na nich bezradnie i pokręciła głową.

— Nie, Małgosiu, nie chcę zamieszkać z Kubą. Chciałam wam go przedstawić, bo jest dla mnie ważny, tak jak wy. Chciałam, abyście się wzajemnie poznali, ale nie chcę z nim zamieszkać ani za niego wychodzić. Tylko... — przerwała i znowu spojrzała na Marka. — Czuję, że coś jest między wami nie tak, i powód może być tylko jeden. Ja. Przez dwa miesiące bycia z wami patrzyłam na wasze małżeństwo i wzajemne relacje i czułam się jak w domu. A teraz widzę, jak się mrozicie spojrzeniami i omijacie z daleka i naprawdę nie chcę być powodem takiej sytuacji.

Małgorzata chciała coś powiedzieć, ale Marek powstrzymał ją uniesioną ręką.

— Jesteś mądrą i dojrzałą kobietą, więc nie będę wmawiał ci stresu w pracy, który Małgosia pewnie chciała ci zaserwować. Masz rację, coś jest nie tak, ale uwierz mi, Agnieszko, że to nie ma nic wspólnego z twoim mieszkaniem u nas. Dobrze nam z tobą i żadne z nas nie chce, abyś się wyprowadziła. W jakiś sposób oboje czujemy się za ciebie odpowiedzialni i jesteś dla nas naprawdę ważna. To, co się dzieje między mną a Małgosią, dotyczy naszego małżeństwa i twoja nieobecność na pewno niczego nie ułatwi ani nie naprawi. Może nawet pogorszyć to, co jeszcze jest — to ostatnie zdanie dodał nieco ciszej. — Musimy z Małgorzatą sami sobie to wszystko poukładać. Ale słusznie zwróciłaś mi uwagę na to, że zachowuję się jak przedszkolak uciekający przed problemem. Za to ci dziękuję. Postaram się, aby atmosfera w domu tak nie ciążyła.

Małgorzata spojrzała na męża pytająco, ale on tylko spuścił wzrok. Jeszcze nie był gotowy na jakąkolwiek rozmowę czy bliskość z żoną. Uciekł od problemu, chowając się w bezpieczny schron pracy. Tam mógł przynajmniej nie myśleć, nie analizować, nie czuć tego dotkliwego bólu

odrzućenia i braku zaufania. Wiedział, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie, ale w tej chwili nie dojrzał jeszcze do czegokolwiek innego.

— Nie bierz tego do siebie. — Poklepał Agnieszkę po dłoni, którą trzymała na stoliku. — Naprawdę dobrze nam z tobą. A Kuba jest w porzo. Lubię go.

Podziękowała mu uśmiechem i dopiła resztę wina. I nagle uświadomiła sobie, że Dobrowolscy stali się dla niej najbliżsi i najważniejsi ze wszystkich ludzi, jakich miała na tym świecie. Nie byli już przyjaciółmi znikąd. Byli jak... rodzina. Prawdziwa i własna.

Rozdział X

ZŁOTA JESIEŃ

1

— Jak chcesz zaimponować dziewczynie, to zabierasz ją na obiad do Kazimierza? — Agnieszka zdmuchnęła grzywkę wpadającą jej do oka i spojrzała wysoko na ruiny zamku majestatycznie stojące tuż nad nimi.

— Nie. Jak chcę wyrazić swoją wdzięczność, to zabieram dziewczynę do najbardziej malowniczego miasteczka w Polsce.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na Roberta z lekkim niedowierzaniem. Wytrzymał jej spojrzenie.

Agnieszka oparła się wygodnie w wiklinowym fotelu i rozejrzała ciekawie dookoła. Siedzieli w zacisznym ogródku hotelowej restauracji Dwa Księżyce. Tuż za nią, w małym oczku wodnym szemrała fontanna, a liczne drzewa, które otaczały to miejsce, przybierały złociste odcienie. Po chaosie i pośpiechu Warszawy Kazimierz w środku tygodniu wyciszał, a jesienne promienie słońca nadawały tej atmosferze uczucie beztroskiego zatrzymania. Pomimo całej swojej ironii Agnieszka musiała przyznać, że Robert jej zaimponował. Kazimierz miał swoją magię, którą ona również odczuła.

— Pomyślałem sobie, że Kazimierz to dobre miejsce na uczczenie sfinalizowania kupna nowego Staroszlacheckiego Dworu. Od przyszłego tygodnia ostro zabieram się do pracy i do wprowadzenia w życie twojego projektu. Nie wiedziałem, że studiujesz architekturę.

Uśmiechnęła się z lekką dumą.

— Ty w ogóle mało wiesz o swoich pracownikach, może z wyjątkiem tego, jak długie mają nogi i ewentualnie, jaki mają kolor oczu.

— Wybacz, ale panu Januszowi w oczy nie zaglądam — zachnął się — a i na nogi mu nie patrzę.

— Inaczej wygląda sprawa kelnerek — stwierdziła z przekąsem.

— Nic nie poradzę na to, że jestem estetą i cenię piękno. Co zamawiamy?

Otworzyła kartę dań i z zainteresowaniem przejrzała menu. Nie mogła się powstrzymać od porównywania kazimierskich potraw z tymi, które podawali we Dworze.

— Poproszę żurek i pstrąga w ziołach. Nie uważasz, że nazwy naszych dań są przesadzone? Zobacz, tu jest swojsko i domowo, ma się ochotę zostać na dłużej.

— Nie porównuj Kazimierza do Warszawy. Nie uważasz, że od stolicy wymaga się nieco więcej?

— Ciekawe. To dlaczego warszawianie tak tłumnie najeżdżają Kazimierz i tak dobrze się tutaj czują?

Założył ręce na piersi i popatrzył na nią przeciągle. Była dobrym przeciwnikiem w dyskusji, miała swoje zdanie i to coraz bardziej, obok świetnych nóg, zaczynało mu się w niej podobać.

— Bo Kazimierz, moja droga, to perła polskiego renesansu, którego siła przyciągania tkwi w pięknym krajobrazie, ciekawej architekturze i osobliwym klimacie.

Popatrzyła na widniejącą w oddali Górę Trzech Krzyży i na romantyczną Farę. W powietrzu czuć było już chłód jesieni, ale w godzinach południowych słońce wciąż jeszcze dopieszczało opaloną latem skórę. Wystawiła twarz do promieni słonecznych i przymknęła oczy.

Robert obserwował ją z rosnącym zainteresowaniem. Nie była pustą lalką, jakich wiele spotykał w swoim dość burzliwym emocjonalnie i bogatym towarzysko życiu. Była mądra i liryczna, a w jej ciemnych oczach, które go fascynowały, krył się smutek. Nie wiedział, skąd się ten smutek wziął, w ogóle niewiele o niej wiedział oprócz tego, co wyczytał w jej CV. Podobała mu się i chyba to podejrzewała, bo igrała z nim swoim ciętym języczkiem, a czasami nawet flirtowała. Nie była dziewczyną na jeden wieczór.

Bardzo miła i uprzejma kelnerka przyjęła ich zamówienie, a w oczekiwaniu na posiłek zaproponowała lampkę białego wina. Po kilku łykach Agnieszce zaszumiało w głowie z nadmiaru wrażeń i krążącego w jej żyłach alkoholu. Robert zaskoczył ją tą wycieczką. Zgodziła się zjeść z nim obiad, ale nie została uprzedzona, gdzie ją zamierza zabrać. Zorientowała się dopiero w samochodzie.

Teraz siedziała w bajecznym ogródku, zupełnie nieoczekiwanie wyrwana z tętniącego życiem miasta, i zastanawiała się, czy powinna powiedzieć o tym Kubie. Ich znajomość rozwijała się powoli, ale intensywnie. Tęskniła za nim, gdy go nie widziała dłużej niż dwanaście godzin, lubiła się z nim śmiać i być blisko. Lubiła dotyk jego dłoni, gdy trzymał ją za rękę albo obejmował w czasie wspólnych spacerów. Lubiła jego delikatne, jeszcze nieśmiałe pocałunki. Był bliski na tyle, że mogła mu powiedzieć dużo. Ale czy wszystko? Znajomość z Tomaszem nauczyła ją ostrożności i zostawiła w niej niepewność. Każdy związek rani prędzej czy później. Ona była już dość poraniona, nie uniosłaby w tym momencie więcej.

— Zabawnie marszczysz nos, jak o czymś intensywnie myślisz — słowa Roberta sprowadziły ją na ziemię.

— A ty nie masz już na co patrzeć, tylko na mój nos? Akurat to się Panu Bogu we mnie nie udało.

Uśmiechnął się.

— A ja sądzę, że wszystko w tobie wyszło mu idealnie. Łącznie z twoim nosem, którego nie lubisz.

Zarumieniła się, a on z przyjemnością zauważył to nawet pod pozostałością opalenizny.

Smakował im ten pstrąg w Kazimierzu, a potem kazimierskie lody w pobliskiej cukierni. Spacerując urokliwymi uliczkami miasteczka, Agnieszka przypomniała sobie swój pierwszy przyjazd tutaj z Maciejem. I nagle tak bardzo zatęskniła za jego ciepłem i mądrym spojrzeniem starych oczu, które potrafiły zrozumieć tak wiele. To przy nim zachwyciła się tym wszystkim, co Robert z taką dumą jej teraz pokazywał. Zapomniała się w tym warszawskim życiu, które rzeczywiście wciąga jak narkotyk. Od czasu powrotu do Warszawy niczego nie namalowała, zatraciła się w tym pędzie jak tysiące warszawian.

Patrząc na migoczącą w słońcu powierzchnię Wisły, obiecała sobie, że odwiedzi Magdalenę i Macieja jesienią i opowie im, jak wiele zawdzięcza temu pobytowi u nich, który był jak czas rekonwalescencji po długiej i ciężkiej chorobie.

Październik wkroczył majestatycznie, ciągnąc za sobą nić babiego lata i barwiąc świat na czerwono, pomarańczowo i żółto. W pogodne poranki podnosił leciutką mgłę, a w wieczory powiewał chłodem i nostalgią. Pootulał kobiece szyje i dekolty zwiewnymi apaszkami, a mężczyznom narzucił kurtki i włożył do rąk parasole. Cały świat obsypał kasztanami, z których dzieci robiły śmieszne ludziki i które starsi ludzie z siwymi niteczkami we włosach zamykali w dłoni na szczęście.

Agnieszka mogła obserwować ten zmieniający się świat godzinami. Najbardziej lubiła przedpołudniowe spacerowanie w Łazienkach, kiedy przed zajęciami wpadała tam, aby choć przez chwilę pokontemplować piękno jesieni, tak niedocenianej przez ludzi. Park był wtedy prawie pusty, spacerowali po nim emeryci, nianie z bobasami i wycieczki. Agnieszka lubiła szurać nogami w dywanie opadłych liści albo przysiąść na krótko na ławce w cieplejsze dni. Zbierała kolorowe liście i brązowe kasztany i próbowała tym zagłuszyć w sobie tęsknotę za Tatrami.

Powrót na studia był dla niej błogosławieństwem. Wypełnił jej czas i zajął myśli. Nie mogła pogodzić zajęć na uczelni z pracą we Dworze w takim wymiarze godzin jak dotąd, pracowała więc teraz od czwartku do niedzieli. Na razie godziła wszystko, a hojne weekendowe napiwki nie dawały jej zbyt odczuć ograniczenia godzin pracy. Nie zastanawiała się, co będzie bliżej sesji, w tej chwili żyła zasadą *carpe diem* i tak było jej dobrze.

Wracając z uczelni, zrobiła zakupy i postanowiła przygotować coś dobrego na obiad dla Małgosi. Weszła do domu naładowana dobrą energią i od razu została zaatakowana siłą psiej miłości. Potargała pieszczotliwie

aksamitny łeb i pozwoliła polizać się po policzku i nosie. Saba była przeszczęśliwa.

Pokój Sylwii jak zwykle był zamknięty, a szyba w drzwiach drżała lekko od głośnej muzyki. Agnieszka pomyślała, że nie ma nic dziwnego w tym, że młodzież jest dzisiaj tak pobudzona, bo jeśli słucha się takiej muzyki, trudno zachować spokój i równowagę. Zadudniła do pokoju Sylwii i usłyszała krótkie: „Proszę!”. Otworzyła drzwi i weszła do bezkrólewia i chaosu.

Sylwia leżała na kanapie wpatrzona w sufit i uderzała palcami spuszczonej ręki o podłogę w rytm muzyki. Jej szkolny plecak leżał niedbale przy biurku, którego blat był zbiorem rzeczy wszelakich.

Agnieszka przedarła się przez stos ubrań poniewierających się po podłodze i ściszyła muzykę.

— Czy ty tu czasami sprzątasz? — spytała Sylwię, która nie zmieniła swojej pozycji i wciąż spokojnie zalegała swoje ulubione miejsce w pokoju.

— Nie. Mnie bałagan nie przeszkadza — odpowiedziała lakonicznie.

— A ja w bałaganie nie potrafię się skupić.

— A mnie szkoda życia na sprzątanie.

— A nie szkoda ci życia na bezproduktywne leżenie? — Agnieszka pochyliła się nad kanapą i zajrzała w niebieskie oczy Sylwii.

— Nie jest bezproduktywne. Leżę i myślę.

Na taki argument trudno było znaleźć odpowiedź. Agnieszka oderwała się od kanapy i otworzyła okno, aby wpuścić trochę powietrza do dusznego i zatęchłego pomieszczenia, a potem pociągnęła Sylwię za rękę i zrzuciła jej nogi z kanapy.

— Chodź, jak przewietrzysz trochę głowę, będzie ci się lepiej myślało.

— Ja już się wietrzyłam, niedawno wróciłam ze szkoły. Zostaw mnie, ała, to boli.

Sylwia gniewnie wyrwała rękę i z powrotem opadła na wyleżane miejsce na kanapie.

— No chodź, przejdziemy się z Sabą i pogadamy — kusiła Agnieszka.

— A mamy o czym?

— Myślę, że tak. Czy widziałaś kiedykolwiek dwie kobiety, które nie mają o czym rozmawiać? Nawet jak mówią w różnych językach, to i tak gadają.

— No dobra. — Sylwia zmiękła i niechętnie wstała z łóżka. — Ale tylko małe kółeczko.

Pogodny dzień zachęcał do spacerów. Saba szalała ze szczęścia, szarpiąc zębami smycz, którą Agnieszka mocno trzymała. Wesołe oczy psa komunikowały: „To tylko zabawa. Warczę, bo się cieszę”. Sylwia szła obok z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w chodnikowe płytki. Od kilku dni była zgaszona i smutna. Agnieszka podświadomie czuła, że coś się dzieje z jej małą przyjaciółką, i chciała z nią o tym delikatnie porozmawiać. Wiedziała, że w obecnym stanie napięcia, jakie wciąż panowało w domu, Małgosia może przeoczyć coś ważnego, coś, czego później nie da się naprawić.

— No to mów, co się dzieje. — Agnieszka przerwała milczenie, jak tylko weszły na ulubiony skwerek.

Sylwia spojrzała na nią pytająco.

— Widzę, że coś jest nie tak, i chcę o tym pogadać, o ile zaufasz mi na tyle, że się otworzysz.

— Przynajmniej ktoś w tym domu zauważył, że coś jest nie tak, bo ostatnio mam wrażenie, że mieszkam w jakimś hotelu, gdzie wszyscy się mijają i są dla siebie anonimowi. Czy ty może wiesz, co się dzieje między rodzicami?

— Nie mam pojęcia — Agnieszka pokręciła bezradnie głową. — Próbowałam z nimi o tym porozmawiać, ale powiedzieli, że sami muszą to między sobą poukładać.

Sylwia ze złością kopnęła kamień, który leżał tuż przy trawniku.

— A jak któreś z nich kogoś ma? Jeśli im odbiło i przeżywają kryzys wieku średniego?

Agnieszka poluzowała smycz, a potem wolną ręką objęła Sylwię.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Dziewczyna odsunęła się od ciepłego uścisku Agnieszki.

— Tato pracuje ze studentkami. Są młode, chętne i często pozbawione skrupułów. Daleko nie musi szukać.

Agnieszka przez chwilę wstrzymała powietrze. Coś jej to przypomniało, a Sylwia dobrze to ujęła. Młode, chętne i pozbawione skrupułów. Czy żona Tomasza tak samo myślała o Agnieszce?

— Sedno tkwi w tym, czy tata chce szukać.

— Przestali ze sobą rozmawiać, mama wciąż chodzi jak wulkan, który w każdej chwili może wybuchnąć, taty w zasadzie wciąż nie ma w domu. To nie są moi rodzice, których znam.

Agnieszka w zamyśleniu pokiwała głową. Mieszkała z Dobrowolskimi od trzech miesięcy. Przez ten czas zdążyła ich poznać na tyle, że sama wiedziała, iż nie dzieje się dobrze. I była bezradna, podobnie jak Sylwia.

— Porozmawiaj z nimi i powiedz szczerze, co zauważyłaś. Ja już próbowałam, ale... ja jestem obca. Nie mogę się wtrącać. Ty jesteś ich córką.

— Ale mnie nie będą chcieli słuchać.

— Nieprawda. Oboje bardzo cię kochają. Przynajmniej cię wysłuchają i będą wiedzieli, że to już nie jest problem jedynie między nimi, ale że taka

sytuacja rani również ciebie.

Sylwia nie odpowiedziała. Szła teraz nieco przed Agnieszką i wyglądała tak, jakby zmagala się sama ze sobą. Zdecydowanie męczyło ją coś jeszcze, tylko nie wiedziała, czy Agnieszka jest odpowiednią osobą, której powinna o tym powiedzieć.

Agnieszka zaryzykowała:

— Zdjęcie Iana zniknęło z twojego pulpitu. To przypadek?

Sylwia stanęła, przekrzywiła głowę i odwróciła się przodem do Agnieszki.

— Jesteś wścibska, wiesz?

Agnieszka się uśmiechnęła. Już wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

— Zachowuję się tak, jak na starszą siostrę przystało. To co z tym Ianem?

Sylwia westchnęła teatralnie i spuściła głowę.

— Związek na odległość rzeczywiście się nie sprawdza. Potrzebuję chłopaka w realu, a nie uśmiechniętego zdjęcia w laptopie. On chyba czuł to samo, bo nawet się nie zmartwił za bardzo, jak mu powiedziałam, że dłużej już tak nie mogę. Piszemy do siebie, czasami jeszcze rozmawiamy, ale to już nie to samo. Odkochałam się.

— I...? — Agnieszka czuła, że to jeszcze nie koniec.

— A skąd wiesz, że jest jakieś „i”, ty wstrętna czarownico?

— Bo jestem kobietą i mam intuicję. No mów, bo nam się spacer kończy.

Sylwia podniosła rękę do ust i zagryzła zębami opuszkę kciuka.

— Jest taki jeden chłopak, z drugiej klasy liceum. Mamy podobny plan i prawie codziennie mijamy się na korytarzu. Raz nawet się do mnie

uśmiechnął, a ja kompletnie zgłupiałam i nie wiedziałam, co robić. Fajnie byłoby go poznać...

— Spytaj go, czy lubi kręgle, a potem umów się z nim na wspólną grę.

— Niby jak mam to zrobić?

— A niby tak: „Cześć, jestem Sylwia, brakuje nam jednej osoby do gry w kręgle, miałbyś ochotę się przyłączyć?”. I patrzysz na niego tymi swoimi dużymi błękitnymi oczami, od których nawet Kuba wymiękł. Zgodzi się jak nic.

Sylwia wzruszyła ramionami, a potem szturchnęła Agnieszkę łokciem w bok.

— Lubię tego twojego Kubę.

— On nie jest mój. — Agnieszka oddała Sylwii kuksańca. Saba przystanęła i przekrzywiła łeb, obserwując swoje dwie młode panie. Jej krótki ogonek zafalował lekko, a oczy przybrały taki wyraz, jakby zastanawiała się, czy to jeszcze fajna zabawa, czy też powinna już jakoś interweniować.

— Ale patrzy na ciebie jak cielę na malowane wrota. Ciekawe dlaczego.

— Ja też mu się dziwię.

Obie wybuchnęły śmiechem i Sylwia po raz kolejny poczuła, że obecność Agnieszki łagodzi tę napiętą atmosferę, która od kilku tygodni panowała w ich domu, i że dzięki obecności Agi ma sprzymierzeńca, który potrafi zrozumieć jej problemy lepiej niż rodzice czy przyjaciółki. Nie było w Agnieszce zawiści, zazdrości ani napuszonego tonu: „wiem, co mówię, bo jestem dużo starsza”. Traktowała Sylwię jak równą sobie, ale z miłą troską starszej siostry.

— Sylwia, nie miałabyś ochoty na weekendowy wypad do dziadków? Chętnie bym ich odwiedziła, ale samej nie wypada mi ich najeżdzać.

— Chcesz najechać ich ze mną? Tylko ty i ja?

Agnieszka pokiwała głową i wydała z siebie krótkie „uhm”.

— A co zrobisz z pracą? Przecież w weekendy pracujesz?

— Zrobię maślane oczy i postaram się wybłagać u szefa urlop. Powiem, że się wypaliłam i potrzebuję nabrać do wszystkiego dystansu. Poza tym ma u mnie mały dług wdzięczności, więc powinien się zgodzić.

Saba przykucnęła na ostatnie siusiu przy klombiku pod bramą. Agnieszka patrzyła na Sylwię pytająco.

— Dziadek oszaleje z radości. Jak byłam u nich ostatnio, cały czas o tobie gadał i wiecznie mnie z tobą porównywał. Sama nie wiem, czy powinnam tam jechać właśnie z tobą.

Agnieszka potargała z rozbawieniem jasne włosy Sylwii i pociągnęła smycz z Sabą do bramy.

— Będę tego żałowała, ale cieszę się, że jedziemy tam razem, mały potworze.

— Co to znaczy, że jutro nie przyjdiesz do pracy? — Robert siedział przy biurku i przeglądał rachunki i faktury ułożone w okazały stos tuż przed nim.

— Muszę załatwić pewne sprawy rodzinne. — Agnieszka stała przed nim z założonymi rękami. Podniósł głowę i popatrzył na nią z lekkim podejrzeniem.

— A czy te sprawy rodzinne mają coś wspólnego z przystojnym blondynem o uśmiechu od ucha do ucha, który tu czasem zagląda?

Prychnęła pogardliwie.

— Gdybym chciała umówić się z Kubą, nie prosiłabym ciebie o zgodę. Moje sprawy rodzinne to uroczy emerytowany adwokat i jego pełna energii żona, których bardzo zaniedbałam, choć na to nie zasłużyli. Ostatni raz odwiedziłam ich w lipcu, a teraz mamy październik.

— Trzeba było od razu powiedzieć, że chcesz odwiedzić dziadków. — Wrócił do pracy, lekko zaniepokojony ukłuciem zazdrości, które poczuł, gdy Agnieszka wspomniała o Kubie. — Ale za to jesteś w pracy od poniedziałku. Chcę cię widzieć o szesnastej.

— Nie wyrobię się, do szesnastej mam lektorat. Mogę być najwcześniej na siedemnastą.

— To jesteś o siedemnastej. Jedź i dopieść tych swoich staruszków. I już zbieraj siły, bo w przyszłą sobotę mamy duży bankiet i będzie się działo.

Wyszła z gabinetu Roberta i dopiero za drzwiami odetchnęła. Uff, udało się. Mogą jutro razem z Sylwią wskoczyć do wieczornego busa i pojechać do Nałęczowa.

Nie zaprzeczyła, że Maciej i Magdalena są jej dziadkami. Dla niej stali się tak bliscy, jak prawdziwi dziadkowie, bliscy tak jak Marek i Małgosia. Podobnie jak Dobrowolscy, Wojnarscy ofiarowali jej ciepło drugiego człowieka, zupełnie jej nie znając, bezinteresownie. Przyjęli ją do domu jak swoją i tak ją traktowali. To przy nich odważyła się wyjść z marazmu, w jakim tkwiła, i powrócić do swoich pasji. Byli lekiem na samotność i niepokój, którego tak wiele w niej było. Teraz wierzyła, że staną się lekiem na chorobę, która dopadła małżeństwo Marka i Małgosi i uciszą niepokój Sylwii, którą to wszystko przerosło.

— O matko, aleś mnie przestraszyła! — Karolina wpadła z pustą tacą na Agnieszkę, która wciąż stała pod drzwiami Roberta w ciemnym korytarzu. — Uprzedzaj, że tu stoisz, o mało mi serce nie stanęło.

— Już nie stoję, właśnie wychodziłam. — Agnieszka odeszła od drzwi i skierowała się w stronę baru. — Wybłagałam wolne na ten weekend.

Karolina jęknęła.

— O nie! Naraziłaś mnie na towarzystwo Eweliny przez całe trzy dni! Nie zapomnę ci tego!

— W zamian za to muszę się tu meldować od poniedziałku, co nie jest zbyt miłą perspektywą, bo będę musiała opuścić kilka wykładów.

— Nadrobisz. Ambitna jesteś. I zdolna. A do tego ładna, co doprowadza Ewelinę do szału. Ona jest tylko ładna. — Karolina odstawiła pustą tacę na ladę baru.

— Kara, powiedz mi, co jest między Eweliną a Wieniawskim? Syczała na mnie jak wściekła i nie pozwoliła się do niego zbliżyć. Czy oni są ze sobą?

Karolina pokręciła głową, przez cały czas uważnie obserwując salę.

— No coś ty, Wieniawski nie prowadzi się ze zwykłą kelnerką. On musi być trendy i na topie, gustuje w modelkach i aktorkach. A Ewelina,

owszem, podoba mu się, musiałby być ślepy, żeby mu się nie podobała. Przespał się z nią kilka razy i to wszystko. Ona ostrzy sobie na niego pazurki, a on ją traktuje jak miłą zachciankę, gdy nikogo lepszego nie ma pod ręką. Wieniawski to typ, który lubi ładne kobiety i szybkie samochody. Albo odwrotnie.

— No, no, no. — Agnieszka pokręciła głową. — Ale czego ona się mnie czepia? Przecież ja też jestem tylko zwykłą kelnerką.

— Wieniawski gapi się na ciebie jak sroka w gnat. Podobasz mu się, to widać. Wkroczyłaś na teren Eweliny i miej się na baczności. Ona stosuje chwytty poniżej pasa i nie wie, co to fair play. Na żartach też się nie zna. Masz gości przy szesnastce. — Karolina podała Agnieszce kartę i popchnęła ją lekko w stronę stolików. — Idź, zanim Januszek zarzuci nam babskie ploty w godzinach pracy.

Agnieszka wyprostowała się i ruszyła z firmowym uśmiechem w stronę nowo przybyłej pary. Rewelacje Karoliny zrobiły na niej niemałe wrażenie i musiała przyznać, że nie świadczyły dobrze o Robercie. Ale czasami plotka rośnie wraz z jej przekazywaniem i po pewnym czasie już nawet sami zainteresowani nie wiedzą, co było prawdą, a co dopowiedziała ludzka wyobraźnia. Agnieszka odsunęła więc od siebie osądy i domysły i skupiła się na zamówieniach i zachęcaniu klientów, aby zostawili w Staroszlacheckim Dworze jak najwięcej pieniędzy.

Maciej stał na ganku wpatrzony w las ciemniejący w oddali. Zapadał zmrok. Październikowe dni były jeszcze intensywne, ale już coraz krótsze i bardzo nostalgiczne, co Maciej odczuwał dotkliwie szczególnie wtedy, kiedy Magdalena była zajęta swoją pracą. Coraz częściej myślał o tym, aby przygarnąć jakiegoś psa. Umiliłby sobie samotność, miałby z kim porozmawiać albo przynajmniej do kogo mówić. Ech, starość. Uczył się sobie z nią radzić, ale był to żmudny proces.

Wieczorny chłód przeniknął Macieja zimnym dreszczem. Mężczyzna wiedział, że za chwilę na ganek wyjdzie Magda z ciepłą kamizelką i jak małego chłopca skarci go za to, że w ogóle o siebie nie dba. Kątem oka dostrzegł w oddali zamazane sylwetki. Wytężył wzrok, próbując przypatrzeć się dokładniej. Zmierały w stronę ich małego domku i z tej odległości mógł już odróżnić kobiece i dziewczęce kształty. W sercu pojawiła się nadzieja, ale jeszcze bał się w nią uwierzyć. Dopiero kiedy znajomo skrzypnęła furтка, oderwał się od drzwi, które podpierał, i powoli zszedł z ganku z wyciągniętymi ramionami i wzruszeniem, które maskował mrok.

Najpierw w te ramiona wpadły kościste kształty Sylwii, które prawie zmiądzzył niedźwiedzim uściskiem. Potem nieco nieśmiało wsunęła się w nie Agnieszka.

— Dziadku, uprzedzam, że to był pomysł Agi. — Sylwia otuliła się mocniej kurtką. Poza miastem chłód odczuwalny był dotkliwiej.

— Stęskniłam się — powiedziała cicho Agnieszka.

Był zbyt wzruszony, aby cokolwiek odpowiedzieć. Zgarnął je tylko ramionami i poprowadził w stronę drzwi, za którymi niczego nieświadoma

Magdalena krzątała się po kuchni.

Mała ciepła kuchnia od razu odżyła, kiedy wypełnił ją dziewczęcy śmiech i niecodzienny rozgardiasz związany z przybyciem gości. Ich nieoczekiwane pojawienie się tutaj dla Macieja było jak prezent gwiazdkowy. Sylwia i Agnieszka razem to jak symbol pojednania i zapis Małgosinej przeszłości i terażniejszości. Ich wzajemna relacja, taka naturalna i niewymuszona, nasuwała od razu skojarzenie jednego domu. Były jak siostry, bez zbytej słodyczy, z odrobiną sarkazmu, ale zjednoczone wspólnym przymierzem.

— Zakładam, że nie uciekłyście z domu i Małgosia wie o waszym przyjeździe. — Maciej, rozbawiony i rozgrzany rodzinnym ciepłem, popatrzył uważnie na swoje wnuczki.

— O właśnie! Mam zadzwonić do mamy i zameldować, że jesteśmy całe i zdrowe. Mama będzie chciała potwierdzenia babci, więc chodź, babciu, zawiadomimy, że wszystko jest OK i że już jesteśmy w twoich opiekuńczych ramionach.

Sylwia pociągnęła Magdalenę, przebiegle zakładając, że zachowa drogocenne minuty ze swojej karty na rozmowy ze znajomymi, o ile babcia, dzwoniąc do Małgorzaty, skorzysta ze swojego telefonu.

Agnieszka pozostała w jasnej kuchni sama z Maciejem. Za oknem odbywał się koncert na dwa świerszcze, w oddali zaszczekał pies. Ani jednego samochodu, który mógłby zagłuszyć tę błogą ciszę. Duży ścienny zegar nad drzwiami monotonnie odmierzał czas i równym rytmem przesuwiał wskazówki. Agnieszka nieświadomie uśmiechnęła się do swoich myśli. Mogłaby tu zostać na zawsze.

— Jesteś czarodziejką. Udało ci się sprawić, że Sylwia przyjechała tu dobrowolnie.

— Sylwia twierdzi, że jestem czarownicą. I do tego wstrętną — delikatny, zamyślony uśmiech pozostał na twarzy Agnieszki. — A dała się namówić na ten wyjazd, bo ma problem, który ją przerósł. Mnie zresztą też, ale ja nie powinnam się wtrącać.

Maciej podrapał się po całodniowym zaroście.

— Mówisz o Marku i Małgosi?

Agnieszka w milczeniu pokiwała głową. Nie wiedziała skąd, ale czuła, że Maciej wie.

— Taaa... to trochę skomplikowane. Miałem nadzieję, że jakoś się dotrą.

— Pan wie, co się między nimi wydarzyło? Co się teraz z nimi dzieje?

Popatrzył na nią ciepło swoimi mądrymi oczami.

— Marek odkrył odwieczną prawdę o kobietach, że żaden facet nie jest w ich życiu najważniejszy. Owszem, jest ważny, ale przed nim jest zawsze coś. Najczęściej dzieci, czasami pasje lub przeszłość, o której niełatwo rozmawiać z kimś, kto prawdopodobnie tego zupełnie nie zrozumie i wytłumaczy sobie po swojemu. Przetrywają to, Agnieszko, wierz mi — poklepał jej ciepłą rękę opartą na stole.

— Jest pan pewien, że nie ma tego trzeciego lub tej trzeciej? Sylwia bardzo się tym gryzie, a ja nie umiem jej pomóc. Nie znam Marka i Małgosi na tyle, aby umieć cokolwiek tej małej wytłumaczyć.

Maciej odwrócił się w stronę okna i zapatrzył w rozległą ciemność za nim. Nic nie mówił, Agnieszka też milczała. Cisza Nałęczowa koła.

— Jestem pewien uczuć Małgosi. — Maciej wyrwał Agnieszkę z zamyślenia. — Jej rodzina to skała, na której wyrosła. Czerpie z niej siłę i żyje dla niej i dzięki niej. A Marek... Wierzę w jego mądrość i dojrzałość. Ufam, że nie postąpi jak tchórz, kiedy pojawił się problem, z którym nie potrafi się zmierzyć. Znam go na tyle, aby spróbować mu zaufać. Jako

adwokat nigdy nie lubił łatwych spraw i prostych rozwiązań. Liczę na to, że obecną sytuację potraktuje podobnie. — Spojrzał na Agnieszkę. — Nie martw się, wszystko się poukłada. Takie jest życie. A z Sylwią porozmawiam. Liczę też na mały spacer w twoim towarzystwie.

Uśmiechnęła się.

— Byłabym rozczarowana, gdyby pan tego nie zaproponował.

Zauważyła, jaką przyjemność sprawiła mu ta odpowiedź.

— Idź już na górę. Jesteś zmęczona. Jutro pomęcę cię swoim towarzystwem.

Wstała od stołu, przysunęła krzesło i podeszła do niego. I nagle zupełnie nieoczekiwanie poczuł mokry i ciepły pocałunek na policzku.

— Już panu mówiłam, że pańskie towarzystwo jest dla mnie przyjemnością. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział krótko, bo wzruszenie, jakie poczuł, odebrało mu głos.

Został sam, w kuchni pachnącej jeszcze obecnością dziewcząt. Jego stare serce wybijało radosny rytm podekscytowania, które odczuł wraz z przyjazdem Agnieszki i Sylwii. Starał się być spokojny, ale rozmowa z Agnieszką wytrąciła go z równowagi i zasiała niepokój. Wierzył w uczucie, które połączyło Małgosię i Marka i w trwałość ich małżeństwa, ale wątpliwości Agnieszki udzieliły się również i jemu. Wiedział, że Marek poczuł się w pewien sposób zdradzony, a zraniona męska duma była niebezpieczna i dopuszczała głupotę i najgorsze rozwiązania ze wszystkich. Wystarczyło jedno zatroskane i pełne zrozumienia spojrzenie, leciutkie pogłaskanie i polectanie zranionego ego. Mógł to być każdy — studentka zapatrzona w swojego mentora, asystentka, koleżanka z palestry lub sądu. Marek od zawsze był w swojej pracy otoczony kobietami, nawet nie musiałyby daleko szukać czy zbytnio się starać. Wystarczyło jego

przyzwolenie, nawet nie do końca świadome, a niejedna kobieta dłoń wyciągnęłaby się, aby go pocieszyć i zapewnić, że rozumie. Tego obawiał się Maciej, ale niestety, nie miał na to wpływu. Mógł tylko ufać w mądrość zięcia i wierzyć w to, że Małgosia znajdzie jakiś sposób, aby ich z tego wyprowadzić. Oboje mieli silne charaktery i dlatego to starcie tak zabolowało.

Najgorsze jednak było to, że we wszystkim uczestniczyły dzieci. Sylwia była w takim wieku, że nie bardzo rozumiała, co się dzieje z nią samą, a tym bardziej nie potrafiła ogarnąć sytuacji rodzinnej, która zachwiała jej spokojnym domem, bezpieczeństwem i stabilizacją. A Agnieszka znalazła się w samym środku wydarzeń, które zupełnie nieświadomie spowodowała swoją obecnością i to nie tylko w domu Dobrowolskich, lecz także w ich życiu, w które została wpisana niezależnie od tego, czy byli na to gotowi, czy nie.

Maciej westchnął i podniósł się z miejsca. Czuł, że to będzie ciężka noc. Magda zniknęła gdzieś razem z Sylwią i za chwilę, jak tylko ułoży wnuczkę spać, zupełnie jak kiedyś, gdy Sylwia była jeszcze małym dzieckiem, zjawi się w ich wspólnej sypialni i do rana będzie analizować problem Małgosi i jej małżeństwo. Będzie snuła tysiące domysłów i znowu wyjdzie na to, że nic go nie obchodzi życie ich jedynej córki. Bo co Maciej będzie mógł jej powiedzieć? Magda nie znała całej prawdy, a bez tego nie da się zrozumieć problemu, jaki powstał w małżeństwie Małgosi. Maciej będzie robił dobrą minę do złej gry i będzie stosował uniki i wykręty, jakich niejednokrotnie używał w życiu i pracy. Będzie opierał się na półprawdzie i ćwierćprawdzie, aby uspokoić Magdalенę i wytłumaczyć jej, że pomimo ich najlepszych chęci i troski to jest wyłącznie sprawa między Małgosią i Markiem. A ich zadaniem jest czuwać, być blisko, ale nie wchodzić z butami.

Tylko czy Magda będzie w stanie to zrozumieć?

Agnieszka nie mogła się dobudzić w nałęczowskiej ciszy. Warszawa zdążyła już przyzwyczać ją do tego, że miasto żyje nawet nocą, dlatego w pierwszej chwili nie mogła skojarzyć radosnego ćwierkania ptaków i piania kogutów, które wdarły się do jej jeszcze sennej świadomości. Przez chwilę próbowała znaleźć wytłumaczenie dla tego dźwięku, ale jak tylko otworzyła oczy i zobaczyła malowaną na seledynowo ścianę, od razu przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i uśmiechnęła się szeroko. Miały z Sylwią całe półtora dnia na nacieszenie się Nałęczowem i ogrzanie w ciepłe domu Magdaleny i Macieja.

Przeciągnęła się i wystawiła jedną nogę spod kołdry. W pokoju było przyjemnie ciepło. Maciej już o to zadbał. Chciał, aby dziewczynki wygrzały się w błogim lenistwie i poczuły miłą atmosferę domu, który na nie czekał. Na boso pobiegła do łazienki, gdzie wzięła szybki prysznic, a potem ubrała się i zeszła na dół, do kuchni.

Magdalena już się po niej krzątała, przygotowując omlety, ulubione śniadanie Sylwii.

— Już wstałaś? Myślałam, że pośpicie sobie do jedenastej. — Magdalena roztrzepała żółtka i wymieszała je z prawdziwą wiejską śmietaną.

— Szkoda dnia na takie nicnierobienie. Pomogę. — Agnieszka wyciągnęła rękę w stronę miski, w której stały oddzielone białka.

— A, jeśli jesteś tak uprzejma, to ubij te białka, kochanie. Tutaj masz trzepaczkę.

Agnieszka przysunęła do siebie żółtą miskę i sięgnęła po trzepaczkę, którą podała jej Magdalena.

— Mama zawsze dodawała do białek szczyptę sody, lepiej i szybciej się ubijają.

— A mam sodę, o tam, nad tobą. — Magdalena wskazała Agnieszce wiszącą nad dziewczyną półeczkę, na której znajdowały się równiutko poustawiane przyprawy i dodatki. Agnieszka bez trudu odnalazła słoiczek z napisem: „Soda kuchenna” i dodała jej szczyptę do białek, a potem zaczęła energicznie trzepać białą, rozciągliwą masę.

Ten dźwięk przywrócił wspomnienie, jedno z wielu, które wymknęło się zza szczelnie zamkniętych drzwi niepamięci.

— Córcia, podaj sody.

— Będzie biszkopt?

Twarz Teresy, usiana drobną siateczką zmarszczek, rozświetla się w ciepłym uśmiechu.

— Twój ulubiony. Z malinami i kremem budyniowym.

— Mamo! Znowu przybędzie mi parę centymetrów w pasie.

— Przestań. Wciąż jeszcze masz talię. Ja swojej szukam od ponad dziesięciu lat. Poza tym lubię cię rozpieszczać, szczególnie jak wracasz z tego swojego Krakowa. Widać, że wcale tam o siebie nie dbasz.

— Dbam, mamuś, dbam.

Ciepła dłoń Teresy czule dotyka policzka córki, a zmęczone oczy patrzą na Agnieszkę z miłością i oddaniem.

— Słyszałaś, że Łukasz Galiców zaręczył się z Alicją Ślimakówną?

— Słyszałam. Sam mi o tym powiedział.

— Nie żałujesz, że dałaś mu kosza? To dobry chłopak, lubię go.

— To przyjaciel, mamo. Najlepszy, jaki może być, ale tylko przyjaciel. Nie on jest mi pisany.

Pamięta tę troskę w oczach matki.

Dlaczego wtedy była tak zaślepią miłością do Tomasza, że wszystko zlekceważyła? Gdyby była uważniejsza, mniej skupiona na sobie, być może wcześniej zauważyłaby przyczajonego wroga.

— Gdzie byłaś? — Agnieszka napotkała pytające spojrzenie Magdaleny. — Przez chwilę odpłynęłaś mi zupełnie.

— Byłam w Zakopanem, z mamą. Przypomniałam sobie, jak razem robiłyśmy biszkopt. Też ubijała białka taką trzepaczką.

— Dobrze sobie radzisz, Agnieszko. — Znajoma troska wyjrzała obcymi oczami.

— A czy mam jakieś wyjście? Załamać się mogą tylko ci, którzy mają odpowiednie fundusze.

Magda bez słowa skinęła głową. Lubiła tę dziewczynę, choć początkowo spierała się z Maciejem o to, że Małgosia postąpiła zbyt lekkomyślnie, biorąc do siebie nie wiadomo kogo.

— Agnieszka nie jest nie wiadomo kim. Jest już prawie jak nasza, a ty nawet nie wygaduj takich głupot przy Małgosi. — Maciej zaciętrzewiał się za każdym razem, kiedy Magdalena podejmowała ten temat.

— Jakbyś nie miał tylu lat, stałabym się zazdrosna i podejrzliwa. Walczysz o tę dziewczynę jak lew.

— Bo jest tego warta — uśmiechał się szelmowsko. — A moje lata nie mają nic do tego, jeszcze na wiele mnie stać.

Magdalena pukała się tylko palcem w czoło, machała lekceważąco ręką i wychodziła z pomieszczenia, w którym akurat oboje się znajdowali.

Dziś już wiedziała, że Maciej miał rację. Podczas wczorajszej rozmowy z Sylwią Magdalena dostrzegła, jak bardzo dziewczęta zżyły się ze sobą i jak łagodząca może być obecność Agnieszki w warszawskim domu Małgosi.

— Jakie masz plany na dzisiaj? — Spojrzała na Agnieszkę w przelocie, w drodze po patelnię ukrytą w piekarniku.

— Odpocząć, odreagować, powłóczyć się po Nałęczowie, zjeść lody u Pawłowskiego, porozmawiać z łabędziami i ogrzać się przy was.

Magdalena mimowolnie się uśmiechnęła. Nie można było jej nie lubić i zaczynała rozumieć tę słabość Macieja, która początkowo ją irytowała.

— Dobudzisz Sylwię? Chciałabym, aby zjadła ciepły omlet.

— Jasne. — Agnieszka wstała od stołu. — To może trochę potrwać, ale postaram się ją doprowadzić w dziesięć minut.

Wybiegła z kuchni, w której nagle zrobiło się jakoś pusto i cicho. Magdalena przelała puszystą masę na patelnię i, czuwając, aby omlet nie przyrumienił się za bardzo, złapała się na tym, że nuci coś cichutko. Przez dwa dni ich dom będzie wypełniony śmiechem, chichotem i pokrzykiwaniem. Pokoje ożyją, kuchnia się zapełni, a Maciek nabierze kolorów. Spojrzała w okno i uśmiechnęła się do złotego lasu w oddali. Radość życia powróciła wraz z młodością i zamierzała z tego zaczerpnąć, aby jakoś przetrwać nadchodzące zimowe dni.

Cisza pustego domu aż bolała. Małgorzata przyzwyczaiła się już do barbarzyńskich ryków dochodzących z pokoju Sylwii i do nieustannej obecności drugiego człowieka, która czasami aż irytowała, ale gdy jej zabrakło, nie mogła się w tej samotności odnaleźć.

Nie miała ochoty na telewizję, z głośnika wieży dobiegał jedynie kojący głos Sade.

*You think I'd leave your side baby
You know me better than that
You think I'd leave you down
When you're down on your knees
I wouldn't do that
I'll tell you you're right when you want
And if only you could see into me...*

Lubiła tę wokalistkę i jej spokojne kawałki przesycone życiową mądrością i głębią uczucia. Dźwięki muzyki wyciszały i pozwalały oderwać się choć przez chwilę od tego natłoku myśli, które krążyły po głowie Małgorzaty jak ćmy, niepokojąc i wzbudzając lęk.

Dziewczęta wyjechały, a ona dostała te kilkanaście godzin na drażnienie muru, jakim otoczył się Marek. Wiedziała, że nie zdoła go zburzyć, ale liczyła choć na rozmowę, której ostatnio w ich małżeństwie zabrakło. Pragnęła tej dawno nieodczuwanej bliskości, a jednocześnie bała się jej. Bała się lodowatego spojrzenia oczu Marka, w których kiedyś był ogrom miłości. Dziś widziała tam obojętność.

Zajęła dłonie sprzątaniami, aby nie oszaleć w tym oczekiwaniu i bezsilności. Marek wyszedł rano, tuż po pierwszym spacerze z Sabą. Nie spytała, dokąd idzie, ale on rzucił przez ramię, że ma trochę pracy na uczelni. Chciała mu wierzyć i ze wszystkich sił starała się nie dopuszczać do siebie lęku, że znalazł łatwą odskocznnię o długich nogach, wciętej talii i pełnych ustach. Ale ten lęk podpełzał jak czarny kosmaty pająk i czasami był tak blisko, że aż chciała krzyczeć.

Traciła go, dzień po dniu i kawałek po kawałeczku. Miał być oparciem w chwili, kiedy jej własne życie wymknęło się spod kontroli. Ufała mu i wierzyła w siłę jego uczucia tak bardzo, że teraz nie mogła się pozbierać, patrząc na to, jak godzina po godzinie ich związek kruszy się na małe kawałeczki, które z każdym tygodniem coraz trudniej będzie pozbierać w całość.

Love is stronger than pride...

Chciała uwierzyć Sade i jej zapewnieniom. Chciała uwierzyć, że to wszystko miało sens, że połączyło ich uczucie silniejsze niż duma, które nie było namiętnością młodości, tylko dojrzałą miłością, która potrafi przewyciężyć błędy i potknięcia i która potrafi wybaczać.

— Ach, jak mi brakowało tych spacerów! — Maciej popatrzył z łagodnością swoich jasnych oczu na Agnieszkę kroczącą wolno tuż przy jego boku, z ręką wsuniętą pod jego ramię.

— A jak mi brakowało — odpowiedziała rozbawiona. — Spacerów, powietrza, pana towarzystwa i spokoju Nałęczowa. Tutaj można się naprawdę zregenerować.

Spacerowali po ukochanym parku Macieja, o tej porze roku pełnym emerytów i kuracjuszy wzmacniających tutaj swoje serca. W sobotnie popołudnie park zapraszał na przechadzkę w cieniu kolorowych drzew, ubranych przepięknie przez panią jesień. Na trawnikach i alejkach leżały lśniące kasztany, dopiero co wyklute ze swoich kolczastych skorupki, a łabędzie dostojnie wyciągały swoje smukłe szyje, upominając się o bułkę i adorację. Maciej kochał to miejsce, a Agnieszka z każdą wizytą zostawiała tutaj kolejny kawałek siebie.

— Jak ci się żyje w Warszawie?

— Dobrze i ciekawie.

Przysiedli na białej ławeczce tuż przy pałacu Małachowskich. W oddali słyhać było dźwięki akordeonu i walca wypływającego spod palców muzyka. To była chwila, którą chciało się zatrzymać, a potem odtwarzać raz za razem w momentach, gdy życie dokopie.

— Małgosia mówiła, że dużo pracujesz. Pogodzisz to ze studiami? — W głosie Macieja była troska, która wzruszyła Agnieszkę. Już zapomniała, jak to jest, kiedy ktoś bliski się o nią troszczy.

— Na razie daję radę. Z czasem będę szukała czegoś innego.

— W zawodzie? — Spojrzał na nią, a Agnieszka poczuła się w tym spojrzeniu jak w domu.

— Chciałabym, ale ciężko się przebić w Warszawie, gdzie trzeba pokonać konkurencję z całej Polski. Zrobiłam ostatnio dwa projekty restauracji, a w zasadzie to restauracji i fajnej knajpy, ale to wyszło niespodziewanie i obawiam się, że to był epizod.

— Widziałem twoje obrazki, są ładne, mają to coś. Nie powinnaś się poddawać, tylko szukać i przeć do przodu. Nie znam się na projektowaniu ani architekturze, ale mam w Warszawie kolegę, który prowadzi biuro projektowe. Zadzwoń do niego, a ty pokażesz mu swoje prace. Może odkryje twój potencjał — uśmiechnął się do dziewczyny i poklepał jej zimną dłoń. — Zmarzłaś. Zapraszam cię na kawę i ciastko w Ewelinie.

— O nie! Wyjadę stąd kilogram grubsza!

— Przydałoby ci się. Strasznie wychudłaś w tej Warszawie. Idziemy.

Wiele razy Agnieszka zastanawiała się, czy ktokolwiek był w stanie przeciwstawić się Maciejowi. No, chyba tylko Sylwia. I Magdalena, rzecz jasna.

Ewelina urzekła Agnieszkę już przy pierwszym spotkaniu, jeszcze w lipcu, kiedy ogród sycił oczy intensywną zielenią i żył w bzyczeniu owadów przyciąganych tu słodkim zapachem. Przy szklanej gablocie z ciastami Agnieszka nieodmiennie czuła się jak mała dziewczynka, która z nosem przyciśniętym do szyby je oczami. Kolorowe ciasta z puszystym kremem, galaretką i sezonowymi owocami kusiły i nie można było im się oprzeć. Nic dziwnego, że w tej stylowej kawiarence było zawsze pełno amatorów słodkich delicji.

— Czy wiesz, że budynek, w którym mieści się Ewelina, to zabytkowa willa Pod Matką Boską, zbudowana około 1882 roku? W pierwszej dekadzie XX wieku mieszkał tu i tworzył Bolesław Prus. Tutaj powstały

liczne strony jego Lalki i Placówki. Restauracja słynie z potraw charakterystycznych dla Wołynia, skąd pochodzi pani Ewelina Bartosiewicz, założycielka kawiarni i galerii.

Agnieszka rozglądała się ciekawie po stylowym wnętrzu. To miejsce miało w sobie niepowtarzalny smak i zapach minionych epok. Chciałaby, aby Poetka mogła oddać to w podobny sposób jak Ewelina. Była pewna, że nawet w Warszawie, która jest zawsze trendy i cool, znajdą się tacy, którzy tęsknią za dawnym życiem polskiej bohemy z całym jej klimatem, odtworzonym w małej kawiarence.

— Taa... — Maciej rozsiadł się wygodnie na drewnianym krześle i zapatrzył na zdjęcia i obrazy zdobiące ścianę. — Są czasami w życiu takie sytuacje, które nas przerastają. Nagle wszystko wali się na głowę z głośnym hukiem, a człowiek czuje się obolały, przerażony i oszukany przez życie, które obiecywało przecież inny scenariusz. Ale ze wszystkiego można się podnieść, Agnieszko. — Przeniósł spojrzenie z obwieszonych ścian na dziewczynę. Siedziała jak zahipnotyzowana, zapatrzona i zasłuchana w słowa Macieja. Nie wiedziała, czy mówił o Małgosi, czy o niej, ale to, co mówił, miało ogromny sens i odniesienie do życia każdego człowieka. — Każdy z nas ma w sobie ogromną siłę wewnętrzną, dzięki której potrafi wstać na nogi nawet w najbardziej bolesnej i dramatycznej sytuacji. To tak jak instynkt rannego zwierzęcia, które za wszelką cenę chce żyć. Mamy wolę przetrwania mimo wszystko. Czasami sami nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele potrafimy unieść.

Poczuła dreszcz, który przebiegł jak mrówka po jej kręgosłupie, i jakiś nagły niepokój przyczajony głęboko. Przez tyle lat żyła w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa i bez troski dzieciństwa, nad którym czuwali rodzice. Aż do śmierci Romana nie wyobrażała sobie nawet, jak wyglądałoby jej życie bez jednego z nich. Życie bez obojga wydawało jej

się dramatem, po którym pogrążyłaby się w swojej rozpacz i niemocy i nie potrafiła już samodzielnie oddychać ani wykonać tak prostej czynności, jak zaparzenie kubka herbaty czy wykręcenie spalonej żarówki. Wtedy, gdy miała ich na wyciągnięcie ręki, nie zawsze potrafiła docenić prostą chwilę szczęścia, którą ofiarowywała jej codzienność. Dziś patrzyła na wszystko inaczej, chłonąc ten moment zatrzymania w Ewelinie i słowa Macieja. To prawda, nigdy nie podejrzewała siebie o taką siłę, którą w sobie odnalazła. Chciała żyć, mimo wszystko, i ta wola przetrwania na gruzach wszystkiego, z czym dorastała, okazała się silniejsza niż rozpacz. Tylko że była już dotknięta stratą i bezwzględny rozstaniem i nie chciała, a nawet nie potrafiłaby już przejść przez to ponownie. I to chyba dlatego tak naprawdę nie pozwalała Kubie zbliżyć się do siebie i wciąż trzymała go na dystans przyjaźni, że bała się kolejnej straty i rozczarowania. Bo to boli. Bardzo boli.

— Nie zamykaj się na życie, Agnieszko. I bądź pewna, że zawsze znajdziesz w sobie tę siłę, która cię podniesie.

— Powinien pan leczyć dusze, a nie bronić złoczyńców.

— Nie broniłem wyłącznie złoczyńców. Czasami pomagałem ludziom, którzy się po prostu pogubili. No, zabieramy się do nałęczowskich delicji, zanim ktoś nas zacznie poszukiwać.

Odgarnęła włosy i zawinęła niesforny kosmyk za ucho, a Maciej pomyślał, że robi to zupełnie jak Małgosia. Coraz więcej dostrzegał w nich podobieństw. Matka i córka. Poznały się tak późno, weszły w swoje życie głęboko. Czy dadzą sobie szansę na miłość? Czy Agnieszka pozwoli się pokochać Małgosi? Czy chociaż postara się ją zrozumieć?

Siedząc z nią w nałęczowskiej kawiarence, miał tylko cichą nadzieję, że Agnieszka zaufała mu na tyle, aby u niego kiedyś szukać odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. Wiedział, że prędzej czy później to pytanie padnie, i

czuł, że Agnieszka nie da szansy Małgosi na wyjaśnienia, przynajmniej dopóki się z tym nie oswoi. Liczył jednak na to, że wróci do Nałęczowa i pozwoli chociaż jemu opowiedzieć historię, która wpłynęła na życie tak wielu ludzi, w tym między innymi jego.

— Przywiozłaś ze sobą jesień — uśmiechnął się i wskazał za okno na czerwieniejące liście dostojnych drzew otaczających ogród.

Roześmiała się i wróciła do najlepszej na świecie delicii, której smak pozostanie z nią na długie zimowe wieczory w Warszawie. Smak ciepłego domu i otwartego serca.

Smak rodziny.

— Jesteś pijany — wraz z wejściem Marka Małgorzata poczuła zapach przetrawionego alkoholu.

Stanął w przedpokoju ze zwieszoną głową i na chwiejnych nogach. W ręce trzymał smętnie zwisający pęk kluczy, które z głośnym brzękiem opadły na podłogę na dźwięk głosu Małgorzaty.

— Mój Boże, coś ty z siebie zrobił?

Spojrzał na nią, próbując skupić rozbiegany wzrok.

— Miałem do wyboru upodlić się w ten sposób albo iść na dziwki.

Pokręciła z politowaniem głową i pomogła mu zdjąć marynarkę. Saba podbiegła radośnie, wspinając się na ukochanego pana, który zachwiał się niebezpiecznie i niezdarnie zsunął z siebie psie łapy.

— Przynajmniej ty jedna w tym domu cieszysz się z mojej obecności.

— Idź pod prysznic, zrobię ci coś do jedzenia. — Małgorzata odwiesiła marynarkę na wieszak, wachając ją podejrzliwie. Śmierdziała papierosami i tanim barem.

— Ale ja nie jestem głodny.

Delikatnie popchnęła go w stronę łazienki i uspokoiła psa.

— Saba, na miejsce!

Robiąc kanapki i mocną herbatę, słuchała szumu wody w łazience i odgłosów walki Marka z wiatrakami. Słyszała, jak z półki co jakiś czas spadają plastikowe butelki z szamponem i żelami pod prysznic tudzież kosmetyczne gadzety Sylwii, i miała tylko nadzieję, że jej ulubione perfumy stoją w na tyle bezpiecznym miejscu w łazience, że nie dosięgną ich długie ręce Marka szukające równowagi.

Wyszedł z łazienki odświeżony i z nieco mniej rozbieganym spojrzeniem. Podsunęła mu kanapki i usiadła naprzeciwko. Saba natychmiast ułożyła swój pysk na jej stopie i Małgorzata poczuła to znajome, przyjemne ciepło psiej miłości. Podparła brodę rękami i patrzyła na Marka w milczeniu. Ostatnie tygodnie ich wewnętrznego szamotania miał wypisane na zmęczonej twarzy. Bruzda na czole pogłębiła się, twarz poszarzała, a w oczach męża Małgorzata dostrzegła rezygnację. Byli ze sobą przez tyle lat, znali swoje słabości, wiedzieli, czym sobie sprawić radość, ale potrafili też się zranić bardziej, niż mógłby to zrobić ktokolwiek inny.

— Właśnie tego chciałem uniknąć — Marek upił łyk herbacianego wrzątku i spróbował skupić wzrok na twarzy żony. — Wiedziałem, że będziesz chciała wykorzystać ten czas bez dziewczyn i bałem się rozmowy z tobą. Dlatego się upiłem.

— Wiem — wciąż na niego patrzyła, a on skulił się w sobie i uciekł spojrzeniem w bok. W niebieskich oczach swojej żony zobaczył ból i chociaż tłumaczył sobie, że to ona ten ból zadała, nie potrafił zignorować niemego krzyku Małgorzaty. Bo wciąż ją kochał, pomimo że każdego dnia powtarzał sobie, iż nienawidzi jej za to, że był tylko marionetką, że wypełnił lukę po tamtym.

— Nie umiem już z tobą rozmawiać, Małgośka. Nie wiem, co mam ci powiedzieć, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

— Bądź dawnym Markiem, mężczyzną, dla którego oszalałam i za którego wyszłam — powiedziała cicho.

— Nigdy dla mnie nie oszalałaś. Ty mi tylko pozwoliłaś się kochać. To dla tamtego byłaś gotowa zrobić wszystko, ja byłem tylko... wypełniaczem. Gówniany Amerykanin, gnojek Savisky. Każda chciała wejść mu do łóżka i zobaczyć, jaki jest egzotyczny. I co, warto było?

Patrzył na nią z wyrzutem w rozbieganych oczach, a Małgorzata już wiedziała, że przegrała. Tu już nie chodziło o Agnieszkę, ale o pospolitą męską zazdrość i urażoną dumę samca, który dotąd stał na czele stada, a teraz poczuł się w pewien sposób wykorzystany.

— Nie chcę z tobą o tym rozmawiać, Marek. To już przeszłość. Daleka przeszłość. Kiedy z nim byłam, nawet ciebie nie znałam, więc nie ma sensu się o to spierać. To głupie.

— Nigdy nie przestaniesz o nim myśleć, bo on jest częścią jej. Patrzysz na nią i widzisz...

— Widzę Agnieszkę. Ona jest sobą, cudowną dziewczyną, ukształtowaną przez cudownych ludzi. Nie doszukuję się w niej podobieństw ani do siebie, ani do Davida.

— Ale zawsze już będzie cię z nim łączyła.

Pokręciła z rezygnacją głową i spojrzała w mrok studni za oknem.

— On nawet nie miał pojęcia, że jestem w ciąży. Po prostu któregoś dnia zniknął — powiedziała cicho.

— A sądzisz, że gdyby wiedział, coś by to zmieniło?

Znała odpowiedź. Popatrzyła na Marka i odpowiedziała wyraźnie.

— Nic by nie zmieniło. Wcześniej czy później i tak by mnie zostawił. Taki już był, choć wtedy tego nie wiedziałam. Wyszłam za ciebie, bo cię kochałam, i nigdy nie żałowałam tej decyzji. Wiedziałam, że nie znikniesz z mojego życia i że mogę na ciebie liczyć w każdej sytuacji. Byłeś i jesteś moją jedyną prawdziwą miłością, Marek. David był tylko zauroczeniem.

— Więc dlaczego mi nie powiedziałaś?

Poczuła ciepłą łzę spływającą powoli po policzku.

— Nie chciałam cię stracić. Nie sądziłam, że stanę kiedyś przed wyborem, którego nie pozostawiła mi Teresa. Wyparłam to zdarzenie ze

swojego życia tak skutecznie, że czasami sama wierzyłam w to, że go nigdy nie było, że sobie je tylko wymyśliłam. Jak miałam ci powiedzieć?

Niebieskie oczy zwilgotniały jak deszczowe niebo, a dwie strużki łez popłynęły, zostawiając mokry ślad na policzkach. Patrząc na nią, dziś tak zagubioną w tym wszystkim jak bezradne dziecko, nie mógł pozostać obojętny. Wstał i podszedł do niej powoli, lekko chwiejnym krokiem.

Skuliła się, gdy poczuła jego ciepłą dłoń na swoim karku. Marek podniósł delikatnie Małgorzatę i przyciągnął do siebie. Ręce mu drżały, gdy dotknął jej mokrej twarzy i gdy potem przesunął je wzdłuż ciała żony. Dotykał jej tak nieśmiało, jakby robił to po raz pierwszy. Małgorzata zapragnęła tej bliskości, a zapach ciała Marka tylko wzmógł pożądanie. Pociągnęła go za sobą do sypialni, w której już od dawna nie było nawet śladu ich wzajemnej namiętności.

Jak spragnieni młodzi kochankowie pośpiesznie zdzierali z siebie ubrania, zagarniając zachłannie ustami zapomniane rejony nagiego ciała. Dotyk Marka stawał się coraz bardziej spragniony i stanowczy, niemal zaborczy i Małgorzata nie mogła już dłużej opanować swojego pożądania. Pragnęła Marka. Pragnęła zamknąć go w sobie i nie pozwolić już więcej na obojętność i odrzucenie.

Wszedł w nią gwałtownie i pośpiesznie. Czuła w sobie jego mocne pchnięcia i nie mogła powstrzymać jęku. Marek był nienasycony jej ciałem i ich bliskością i mimo że ich wspólne łóżko wyglądało tym razem jak pole walki, Małgorzata poczuła się spełniona i szczęśliwa.

Tej nocy zasypiała wtulona w znajome ciepło ciała mężczyzny i pragnęła, aby ta noc nigdy się nie skończyła, bo nie wiedziała, co przyniesie poranek.

Miarowy szum silnika wyciszał rozbiegane myśli i usypiał swoim monotonnym rytmem. Sylwia spała z głową opartą o krawędź fotela i lekko otwartą buzią. W wypełnionym busie panował półmrok, rozpraszany jedynie punktowymi światełkami lampek nad siedzeniami pasażerów.

Agnieszka patrzyła w ciemność za oknem i przesuwane się migoczące światełka. Wraciała z Nałęczowa wypełniona spokojem. Godziny spędzone z Magdaleną i Maciejem dały jej niesamowite poczucie przynależności do rodziny, która tak naprawdę była jej zupełnie obca. A jednak Agnieszka czuła się tam jak u siebie. Otoczona troską i bliskością tych ludzi odnalazła się tu bardziej niż wśród rodziny Łukasza, którą przecież znała od dziecka.

Maciej był opoką, na której trwały wszystkie jego kobiety. Pomimo nadopiekuńczości Magdy to on dawał siłę jej i Małgorzacie. Był niezmiennością, z której wszystkie czerpały. Agnieszka przymknęła oczy i w tej ciemności pod powiekami zobaczyła inną twarz. Twarz ogorzałą od słońca i ostrego wiatru, poprzecinaną bruzdami delikatnych zmarszczek. W jej życiu taką opoką był Roman. To on wspierał Teresę i umacniał Agnieszkę w poczuciu własnej wartości. To dzięki niemu zawsze potrafiła wierzyć, że da radę.

— Pamiętaj, że świat należy do ciebie i możesz sięgnąć po wszystko, czego tylko zapragniesz. Ale nie sięgaj za wysoko, bądź zawsze wierna sobie i Chrystusowi i szanuj każde, nawet najmniejsze istnienie.

Brakowało jej ojca, jego mądrości i stanowczości. Tęskniła za nim tak bardzo, że aż bolało. I aby zagłuszyć to poczucie straty i tę tęsknotę, rzuciła się w chory związek z Tomaszem, zapominając o wierności sobie i

przykazaniach Romana. A teraz podobną mądrość odnajdywała w Macieju. I — tak jak jego kobiety — ona też poczuła się przy nim silna i wyjątkowa.

W ciszy wieczoru zatrzymanego w busie zawodzący dzwonek komórki był jak nieproszony gość. Spojrzała na wyświetlacz i szybko odebrała, aby telefon już więcej się nie odzywał.

— Halo?

— Cześć, Aga, gdzie jesteście? — Głos Małgosi emanował ciepłem i dawno niesłyszana radością.

— Na obwodnicy garwolińskiej. Już niedługo będziemy w Warszawie.

— Wyjadę po was. Jak było?

Agnieszka uśmiechnęła się sama do siebie.

— Pytasz, jakbyś nie wiedziała. Cudnie było. Obie wracamy wyciszone i naładowane dobrą energią. No i może nieco przekarmione.

Usłyszała śmiech Małgosi.

— Taaa, mama nie uznaje w kuchni kompromisów. Puść mi sygnał, jak będziecie na Zakręcie, dobrze?

— Dobrze.

— No to do zobaczenia.

— Do zobaczenia, Małgosi.

Czerwona słuchawka rozłączyła rozmowę, ale nie rozłączyła bliskości.

— To mama? — Sylwia podniosła potarganą głowę i spojrzała pytająco na Agnieszkę.

— Tak.

— Wyjedzie po nas?

— Wyjedzie. — Agnieszka uśmiechnęła się do Sylwii i poklepała ją po cieplej dłoni. — Będzie dobrze, zobaczysz.

Sylwia pokiwała głową i opadła z powrotem na oparcie fotela, a Agnieszka poczuła radosny dreszcz oczekiwania. Wracąca do siebie.

Rozdział XI

POWRÓT

1

— Ale tu pięknie! — Kuba siedział na zwałonym pniu przy schronisku Ornak i wpatrywał się w potęgę otaczających go gór.

Agnieszka ściągnęła włosy i uśmiechnęła się do swoich miejsc, które były tak głęboko wpisane w całe jej istnienie. Skaliste szczyty porośnięte zrudziałą kosodrzewiną wzbijały się majestatycznie w niebo, trwając od stuleci w zastygłym spokoju i niezmienności.

— Wiesz, że nigdy nie byłem w Tatrach jesienią? — Kuba aż pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Błąd. Jesień to najpiękniejsza pora na góry. Są tylko twoje; ciche, spokojne. Nie ma śmieci ani zgiełku i pośpiechu turystów. Możesz tak siedzieć i wsłuchiwać się w ciszę. I to jest piękne.

— Nie żał ci, że z tego zrezygnowałaś?

Popatrzyła na niego poważnie.

— Nie miałam wyboru, Kuba. Życie napisało dla mnie scenariusz w innej scenerii.

Wstał, podszedł do niej i objął ją od tyłu ramionami. Wtuliła się w niego bez słowa. Zauważył, jak zwilgotniały jej oczy. Przytulił policzek do jej głowy i wyszeptał prosto do ucha:

— Dla mnie ten scenariusz jest najlepszy. Nigdy bym cię nie poznał, gdybyś została w tych swoich Taterkach.

Nic nie odpowiedziała, ale chwila słabości minęła.

— Chodź, napijemy się gorącej herbaty, a potem odwiedzimy Smreczyński Staw, jedno z najbardziej romantycznych miejsc na świecie.

Gorący napój parzył wargi i rozgrzewał zziębnięte ciało. Pomimo nikłych promieni słońca ostre powietrze przenikało przez wszystkie warstwy ciepłych polarów i kurtek. Agnieszka chłonęła ukochane góry każdą cząsteczką swojego ciała. A jednak powrót tutaj był bolesny. Każde z tych miejsc było żywym wspomnieniem ludzi i życia, które już nie powróci, choćby nie wiadomo jak bardzo się starała.

Nad Smreczyński Staw przychodziła z Teresą pokontemplować piękno natury i po prostu pobyć ze sobą. Mroczny staw z delikatnie falującą wodą, otoczony przez urokliwy las i łagodne kopuły okolicznych szczytów tworzył niezwykle melancholijną, a jednocześnie piękną scenerię i sprzyjał rozmowom. Miały swoje babskie sprawy, które lubiły omawiać, wędrując. Z Romanem było inaczej. On uczył Agnieszkę chłonąć góry w ciszy i pokonywać słabości własnego ciała.

— Wszystko jest tutaj — palcem wskazującym pukał się w czoło — w twoim mózgu. Jeżeli przekonasz samą siebie, że dasz radę, twoje słabe ciało pójdzie za tobą mimo bólu i niemocy. Uwierz tylko, że dasz radę.

Wierzyła. Wierzyła w każde słowo ojca. Był mądrością jej życia, z której czerpała w chwilach słabości. Po jego odejściu nikt nie był w stanie wypełnić tej luki, która pozostała. Każde z tych miejsc było naznaczone śladami stóp Romana, każdy szczyt przywoływał kawałki wspomnień. Nie można było tego nie pamiętać, dlatego broniła się przed powrotem tutaj.

Dziś, idąc Doliną Kościeliską ramię w ramię z Kubą, wiedziała, że musi swoją historię tutaj napisać inaczej, na nowo, bo tylko wtedy będzie mogła tu spokojnie powracać i kochać Tatry tak, jak kochała je kiedyś, dorastając tutaj i wrastając w nie nierozdzielnie.

— Gdybyśmy mieli więcej czasu i wyszli w góry o świcie, moglibyśmy wejść na Czerwone Wierchy. Schronisko jest świetnym punktem wypadowym na całe Tatry Zachodnie, a zwłaszcza na grań Ornaku lub Starorobociański Wierch. Ale niedługo zacznie się robić ciemno, więc zostaje nam jedynie Smreczyński Staw.

— Wrócimy tu, Aga. I wtedy zabierzesz mnie na te wszystkie swoje szczyty i pokażesz mi swoje miejsca, w których dorastałaś. Tak mało jeszcze o tobie wiem... — dotknął jej zimnej dłoni i zamknął w ciepłe swojej ręki, ogrzanej gorącym kubkiem.

— Obawiam się, że wymiękniesz w połowie drogi. Do moich Tatr trzeba naprawdę dobrej kondycji — uśmiechnęła się filuternie.

Spojrzał na nią groźnie spod zmarszczonych brwi. — Wątpisz w moją kondycję? Zobaczysz, zaniosę cię nad ten Smreczyński Staw i nawet nie dostanę zadyszki.

Wstał żwawo od stołu, odniósł puste kubki do okienka ze zwrotem naczyń, a potem bez uprzedzenia podniósł Agnieszkę i wziął ją na rękę.

Roześmiała się i postukała palcem w czoło.

— Wariat!

— I do tego zakochany.

Wyniósł ją ze schroniska, zmierzając na czarny szlak, który kamiennym traktem miał ich doprowadzić nad jezioro.

— Puść mnie, wierzę już w twoją świetną kondycję, ale nie chcę, żebyś mnie roztrzaskał na tych śliskich kamieniach. Puść, wariacie!

— A wrócisz tu ze mną? — Przystanął i popatrzył na nią. Była tak blisko, że mógł dostrzec drobniutkie siateczki pajęczynek w okolicach jej oczu i delikatny puszek nad górną wargą.

— Wrócę — wciąż się uśmiechała.

— I pokażesz mi każde miejsce, które jest dla ciebie ważne?

— Pokażę — spoważniała nagle. — Jeszcze dziś pokażę — dodała ciszej. Spojrzał na nią pytająco i delikatnie postawił na ziemi.

Poprawiła nogawki spodni, które podciągnęły się nad łydkę, i na chwilę przymknęła oczy. Czowała chłodny wiatr na policzkach i zapach lasu. A potem poczuła bliskość i ciepło Kuby. Otworzyła oczy i wyszeptała:

— Pokażę ci, gdzie zostawiłam swoich rodziców.

Nie musiała mówić nic więcej, zrozumiał. Podszedł do niej i mocno do siebie przytulił.

— Cześć, mamó. Cześć, tato. Dawno mnie nie było, ale ty chyba to przewidziałaś, mamó, sprowadzając Małgosię. Nadal nie wiem, dlaczego właśnie ona, ale teraz to już nie ma znaczenia. Dałaś mi swojego anioła i tak po prostu miało być, chociaż... chciałabym z tobą o tym porozmawiać. Szkoda, że tak mało miałyśmy czasu... — Cisza zakopiańskiego cmentarza łagodziła ból i wyrzuty sumienia. Siwa, granitowa płyta była czyściutka, jedynie sąsiadujące z nagrobkiem drzewa pootulały go gdzieniegdzie swoimi kolorowymi liśćmi.

Przy tablicy, w ciemnym wazonie stały świeże kwiaty. Agnieszka wiedziała, że postawiła je tam pani Galicowa, mama Łukasza.

Po zaczerpnięciu siły ze swoich ukochanych gór Agnieszka była gotowa na to spotkanie. Przy boku Kuby czuła się silniejsza. Chciała, żeby przyszedł tu razem z nią. Stał teraz, oddalony, chcąc uszanować tę chwilę intymności Agnieszki i jej sam na sam z rodzicami. Obserwował jej przygarbione plecy, pochylone pod ciężarem, który przyszło jej dźwigać. Gdyby tylko mógł, zdjąłby choć część tego, co ze sobą dźwigała. Pojawiła się w jego życiu jak powiew lata, w zalotnej sukience i ze smutkiem w oczach. Nie planował tego, ona zresztą też nie. Dziś nie umiał już bez niej oddychać. I choć wciąż czuł ten narzucony przez nią dystans bezpieczeństwa, czekał cierpliwie i po prostu był blisko. Tak jak dziś.

Agnieszka pochyliła się i zapaliła duży biały znicz o chropowatej i popękanej tak jak jej serce fakturze. Postawiła go przy kilku innych światełkach, które migotliwym blaskiem zapewniały o pamięci.

— To Kuba. Spodobałby się wam. Lubi góry i nie boi się ciężkiej pracy. Fajny jest. Nawet ty, tato, musisz to przyznać. Lubię go. — Zapatrzyła się

na złote litery na tablicy, a potem nie mogła już opanować szlochu, który nią wstrząsnął, i łez, które zaczęły się wylewać jak wezbrany strumień z ciemnych i smutnych oczu.

Kuba podszedł bez słowa i objął jej wyziębione ciało, wstrząsane spazmem płaczu. Wtuliła się w niego, mocząc jego kurtkę mokrymi łzami.

— Tak bardzo mi ich brakuje, Kuba. Tak strasznie tęsknię.

Gładził jej potargane wiatrem włosy i kołysał w ramionach jak małą dziewczynkę.

— Ja chcę do mamy, Kuba. Chcę jej dotknąć, chcę się do niej przytulić. Chcę jej tyle powiedzieć... chcę do mamy...

— Ćśśś, maleńka, nie możesz się do niej przytulić, ale możesz jej wszystko powiedzieć. Ona cię słyszy i jest przy tobie, o tu. — Położył dłoń w okolicy jej serca i pocałował czubek głowy dziewczyny.

Powoli się uspokajała. Od czasu do czasu jeszcze wstrząsał ją szloch, ale łzy przestały płynąć. Podał jej chusteczkę, a sam przeżegnał się i zmówił modlitwę za dusze Teresy i Romana.

Nie wiedział, co znaczy stracić rodziców, mógł się tylko domyślać, co może czuć Agnieszka. Jego rodzice wciąż żyli i troszczyli się o niego tak samo jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem. Uciekał od tej ich troski, chcąc samodzielności, ale w każdej zamieci swojego życia mógł do nich wrócić, bo oni byli, czekali i zawsze będą się starali zrozumieć jego życie i jego wybory.

Wychodzili z cmentarza z jego ciszą i spokojem w sercu. Kuba objął przygarbione plecy Agnieszki i siedł tuż obok, grzejąc ją ciepłem swojego ciała. Czuł, że to oczyszczenie było jej potrzebne, że ten moment musiał nastąpić, aby wyrzucić z siebie tę rozpacz. Życie nie stanie się przez to łatwiejsze, ale emocje zbierane i ukrywane tygodniami musiały znaleźć swoje ujście.

Wiedział, że nikt nigdy nie będzie w stanie zastąpić Agnieszce zbyt wczesnie utraconych rodziców, ale obiecał sobie, że ze wszystkich sił będzie się starał choć w części zapełnić tę pustkę w życiu dziewczyny. Nie odpuści, nie usunie się w cień, będzie tuż obok, wspierając ją i budując na nowo jej poczucie bezpieczeństwa. Już przy nim. I z nim.

Duża jasna kuchnia Galiców nagrzana ciepłem prawdziwego pieca węglowego kipiała od przygotowań. Krzątające się tam kobiety pod czujnym okiem pani Galicowej dopieszczały ostatnie torty i serniki, doglądały pieczystego i uwijały się przy sałatkach, które miały się jutro pojawić na weselnym stole.

Włączona w ten szal przygotowań Agnieszka ocierała spocone czoło, ale z przyjemnością uczestniczyła w tym babskim celebrowaniu nadchodzącej uroczystości. W domu Łukasza zawsze czuła się dobrze. Galicowie byli szczerzy i życzliwi. Znali Agnieszkę wiele lat i traktowali ją z niemal rodzicielską pobłażliwością.

— Agusia, podaj no mi, dziecko, ten ostrzejszy nóż, tym tępakiem nic nie mogę pokroić.

Agnieszka sięgnęła po nóż leżący na desce do krojenia. Znała kuchnię Galiców jak własną kieszeń. To tutaj przybiegali z Łukaszem po całym dniu wałęsania się po dolinach, a w zimie odrabiali lekcje przy jednym ze stołów w przylegającej do kuchni jadalni.

— Jak ci tam, w tym wielkim świecie? Dbają o ciebie ci ludzie, co cię stąd wywieźli?

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Dbają, pani Heleno. Nie wiem dlaczego, ale dbają.

— Jakby ci się krzywda działa, Agusiu, wracaj do nas. Miejsca ci u nas dosyć, a robotę i tutaj znajdziesz.

— Dziękuję, ale i tak już dużo dla mnie zrobiliście. Moje rzeczy wciąż zawalają wasz strych.

— Będzie potrzeba, to je zabierzesz. Nam nie przeszkadzają, tak jak i ty nam nie przeszkadzasz. A łatwiej się żyje, jak wiesz, że masz w ludziach oparcie.

— Oj, żeby pani wiedziała, pani Heleno, że łatwiej.

Galicowa poprawiła osuwający się z czoła kuchenny czepek i spojrzała na Agnieszkę z nieukrywanym zaciekawieniem.

— A ten chłopiec, z którym przyjechałaś, to bliski? Agnieszka poczuła, że się rumieni.

— Bliski — przytaknęła.

— Dobrze mieć kogoś bliskiego przy sobie, szczególnie w obcym miejscu. Dobrze mu z oczu patrzy.

Pokaźny nóż zaśmigał w rękach pani Heleny.

— Byliście z Łukaszem taką dobraną parą. Wszyscy myśleliśmy, że to dla was będziemy przygotowywać to wesele. Miałybyś dom i rodzinę, nie musiałybyś się błąkać po obcych.

— To już nie są obcy, pani Heleno.

— Ale i nie swoi.

Agnieszka spojrzała na Galicową. W oczach kobiety było tyle matczynej troski, że aż zaboląło.

— Alicja będzie o niebo lepszą gaździną niż ja. Mnie wiecznie gdzieś gna. Zabrałabym wam Łukasza i tyle byście go widzieli.

— A tam, od razu byś zabrała — mruknęła Helena i pociągnęła nosem. — Tobie jakoś chętniej bym go oddała — dopowiedziała ciszej, nie patrząc na Agnieszkę, tylko na deskę do krojenia, na której rozprawiała się z wielkim kawałkiem schabu.

Agnieszka pokiwała głową ze zrozumieniem. Nie ona jedna nie przepadała za narzeczoną Łukasza.

— Pani Heleno, Alicja jest wpatrzona w Łukasza jak w obrazek. A i wy sobie na głowę wejść nie dacie, w końcu to wasza chałupa.

— Ale z tymi Ślimakami różnie bywało. I zazdrosna ona taka o Łukaszka, że to aż niezdrowo. Chłop musi mieć swoje sprawy, a i na gorzałkę z góralami też musi wyskoczyć od czasu do czasu, bo to nie chłop będzie, tylko pantoflarz. A myśmy Łukaszka na gospodarza pełną gębą chowali.

— Da sobie z nią radę, pani Heleno. — Agnieszka starała się to powiedzieć przekonująco, ale nie była wcale tego taka pewna. Alicja Ślimakówna miała charakterek, była rozkapryszona i samolubna. A Łukasz świata poza nią nie widział i to mogło go zgubić, dlatego niepokój pani Heleny nie był zupełnie nieuzasadniony.

— Chciałam pani podziękować za świeże kwiaty na cmentarzu. Łukasz mi powiedział, że pani tam często bywa.

— Daj spokój, nie ma za co dziękować. I tak tam zachodzę, a kwiaty mam z ogródka. Lubiłam twoją mamę, była zawsze taka cicha i skromna. I uczynna, zawsze pomagała dostać się do lekarza i na zastrzyki bez słowa, nawet zimą przychodziła. A tatę wszyscy tu pamiętamy, ile on ludzi uratował. I ta jego śmierć, głupia i niepotrzebna przez taką ludzką bezmyślność. Pamiętają, Agnisiu, dużo światełek się świeci na grobie twoich rodziców, szczególnie niedzielą.

Niebezpieczne łzy znów zaczęły się zbierać pod powiekami. Agnieszka zamrugła, aby je ukryć, jakoś zawrócić.

— Łukaszek, a ty co tu robisz? Tu rządzą baby, idźże stąd!

Łukasz wtargnął do kuchni wraz z zimnym powiewem jesiennego wiatru i od razu dostał ścierką od stojącej przy drzwiach Cachrowej, najbliższej sąsiadki Galiców.

— Już uciekam, chciałem wam tylko zabrać jedną babę, i tak was tu dużo. — Łukasz zrobił unik przed kolejnym zamachnięciem ścierką i podbiegł do Agnieszki, łapiąc ją za rękę.

— A ty co, Łukasz, pod okno do młodej nie idziesz? — Pani Helena spojrzała na syna z czułością, której nie potrafiła ukryć.

— Od jutra już będę ją miał przy boku przez całe życie. Dzisiaj jest moje kawalerskie — odpowiedział przez ramię i pociągnął Agnieszkę za sobą.

— Tylko nie zrób czego głupiego, bo ci ten miły chłopiec, co z nią przyjechał, nieco buzię obije i to przed samym ślubem.

Cała kuchnia zagrzmiała wesołym śmiechem kobiet.

— Niech się mama nie boi, Agnieszka i tak mnie nie chce. Chodź — wskazał na drzwi prowadzące na korytarz.

— Ale dokąd? — zapytała rozbawiona.

— Zobaczysz. Dziś nie możesz mi odmówić, to moje kawalerskie.

Agnieszka szła za Łukaszem ścieżkami, które wciąż jeszcze pamiętała. Kiedyś znała tu każdy kamień, dziś, w ciemności październikowego wieczoru musiała uważać, aby nieopatrnie nie postawić nogi niewłaściwie, narażając się na zwichnięcie lub skręcenie. Wędrowali po Gubałówce, rozgrzewając się szybkim marszem.

— Poprosiłem Stefana o stolik przy kominku. Zaraz się zagrzejesz przy ogniu i grzańcu.

— Czy nie uważasz, że kawalerski wieczór powinieneś spędzać raczej z chłopakami, a nie w moim towarzystwie? — Otuliła się szczelniej kurtką i schowała nos w ciepły szalik, którym się opatuliła.

— Z chłopakami to ja już spędzałem! Tydzień kaca leczyłem, tak zegnali moją kawalerkę. Dziś mam ostatnią okazję spokojnie nacieszyć się tobą. Od jutra się zaczniesz... — westchnął.

— Będzie się działo, oj będzie.

— Nie strasz mnie, Agnicha, bo od ołtarza ucieknę.

— Nie masz szans! Alicja na końcu świata cię znajdzie i zaciągnie z powrotem.

Łukasz przystanął i spojrział na Agnieszkę łagodnie.

— Dobrze, że jesteś. Bez ciebie ten dzień byłby...

— Przestań, bo się rozkleję — poklepała go po ramieniu i zmarznięta ruszyła przed siebie.

Stefanówka powitała ich ciepłem bijącym od rozpalonego kominka i zapachem kwaśnicy. Ten zapach przywołał wspomnienia beztroskich jesiennych i zimowych wieczorów spędzanych tutaj wraz z goprowcami. Stefanówka była jedną z ulubionych knajp ratowników i tutejszych górali.

Wielokrotnie zdarzały się takie wieczory, kiedy Agnieszka spędzała tu czas z Łukaszem i swoją bandą, a Roman biesiadował z grupą przyjaciół i kolegów po zejściu z gór i kolejnej akcji.

I to w Stefanówce spotkali się ratownicy, aby w ponurym milczeniu uczcić pamięć kolegi, który z akcji nie powrócił. To miejsce było świadkiem śmiechu i łez, radosnego świętowania i bolesnego żalu.

To wszystko wracało do Agnieszki w migawkach wspomnień, kiedy rozglądała się ciekawie dookoła w poszukiwaniu zmian.

— Agnicha! — Dziewczyna niemal utonęła w niedźwiedzim uścisku Stefana. Pachniał góralską kuchnią i piwem. — Wieki cię tutaj nie było. Witaj!

— Witaj! — Agnieszka wspięła się na palce i pocałowała nieogolony policzek kolegi.

— Naprawdę odpuścisz Łukasza? — Stefan żartobliwie puścił oko do Agnieszki.

— Narzeczonego przywiozła! Z samej Warszawy. Nie chce iść za górala. — Łukasz poczuł się w obowiązku wtrącić do rozmowy.

— Narzeczonego? — Stefan spojrzał z ciekawością na dziewczynę.

— Kuba za tydzień otwiera swoją knajpę. Poszedł na Krupówki szukać inspiracji. I to jeszcze nie narzeczonego. Przyjaciel.

Stefan pokiwał głową i wskazał na jeden z nielicznych wolnych stolików nakryty dla dwóch osób.

— Stolik przy kominku, tak jak lubiłaś dawniej — uśmiechnął się ciepło do Agnieszki.

— Ale mi tego brakuje w Warszawie — zarzuciła kurtkę na oparcie siedzenia i wymieniła grzecznościowe pozdrowienia ze znajomymi, których twarze nabierały wyrazistości w świetle jasnych lamp.

— To wracaj do nas. — Łukasz spojrział na nią z czułością. Zdawał sobie sprawę z tego, że to był wieczór wątpliwości i paniki przed wielkim dniem. Z Agnieszką był w stanie przejść przez to odważnie. Wiedział, że jej cięty język nie pozwoli mu na emocjonalne rozmemłanie i był jej wdzięczny za ten czas, który dla niego znalazła, przyjeżdżając tutaj.

— Ja już nie jestem stąd, Łukasz — spojrzała na niego smutno. — Nie potrafiłabym się tutaj odnaleźć. To już nie mój świat. Moja epoka tutaj się skończyła — spojrzała na zawieszoną na ścianie rozciągniętą skórę dzika i westchnęła cicho.

— Wiesz, że zawsze możesz...

— Wiem — ucięła krótko i uśmiechnęła się do niego. — Bardzo się denerwujesz?

— Bardzo. A zresztą... sama zobaczysz, jak przyjdzie czas na ciebie. A tak w ogóle to... fajny ten Kuba?

Agnieszka się roześmiała.

— Fajny — przytaknęła.

— Tylko tyle? — Łukasz pokręcił głową i założył ręce na piersiach.

— A co chciałbyś usłyszeć?

— Ano, że drugiego takiego jak ja to ze świecą szukać. I że owszem, fajny, ale... to nie ja.

— Pochlebiasz sobie, ale jest w tym trochę racji. Nikt ze mną nie przeżył tyle co ty.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo tuż obok pojawił się Stefan z parującą tacą w wielkich jak bochen chleba dłoniach.

— Specjalnie dla ciebie, księżniczko, grzaniec i żeberka po zbójnicku. Tak jak lubisz.

— Wrócę do Warszawy pięć kilo cięższa!

— Pozwól się porozpieszczać, tak dawno cię tutaj nie było. Mogę? — Stefan wskazał na wolne krzesło tuż przy Agnieszce.

— Pewnie. Siadaj i opowiadaj, co u ciebie. Drużbujesz Łukaszowi, a kiedy potańcujemy na twoim weselisku?

— A jak się taka znajdzie, co mi w oko wpadnie.

— Mało to pięknych dziewczyn tu zagląda?

— Ano zagląda, no i co z tego? Panny może i jak malowane, ale żadna nie ma tego czegoś, przy czym miękną kolana, a w głowie zamiast mózgu robi się sieczka. Widocznie ta, co mi pisana, jeszcze o Stefanówce nie słyszała — westchnął i zerknął na Łukasza. — Słyszałem, że Alicja jakiegoś DJ-a z Krakowa zamówiła. Nie chcecie na weselu góralskiej kapeli?

— Góralska kapela też będzie, ale jak się muzykanty popiją, to będzie grał DJ. Alicja wyszukała go gdzieś na forum, podobno jest bardzo dobry i wolnych terminów już nie miał, ale Ala go przekonała.

— Ba! — krzyknął gromko Stefan. — Ona każdego chłopca by przekonała z tą swoją anielską buzią. Jak tupnie nóżką, to chłopcy tańczą, jak im zagra!

— Ja tam tańcowałem przy niej nie będę — zaperzył się Łukasz. — Baba musi znać swoje miejsce w domu.

— Akurat! Za pół roku sobie pogadamy. — Stefan uśmiechnął się szczerze, pokazując rząd dużych, białych zębów.

Agnieszka słuchała tego przekomarzania kolegów z uśmiechem na twarzy. To był kiedyś jej świat. Ci ludzie i te miejsca tworzyły jej historię. W ciepłym ogniu Stefanówki dobre wspomnienia splatały się w warkocz po zostawionej przez nią przeszłości, do której drzwi powoli się zamykały. Wiedziała, że od jutra wszystko się zmieni, Łukasz już nie będzie jej Łukaszem, tylko mężem Alicji, która teraz stanie się nierozzerwalną częścią

jego życia. Dla Agnieszki nie było już tu miejsca. Ci, których kochała, odeszli. Pozostała po nich pamięć i miejsce na cmentarzu. Mogła zabrać ich ze sobą, zapisanych głęboko w sercu wszędzie, gdziekolwiek chciała. Przyjaciele z dzieciństwa wkraczali w dorosłość, mieli swoje światy, zakładali rodziny, a ich wspólny czas tutaj powoli zacierał się we wspomnieniach. Nie umiała już odnaleźć tu siebie.

Upiła łyk grzańca i poczuła przyjemne ciepło rozlewające się po przętyku. Ciepła łza przyczajona w kąciku oka wymknęła się niepostrzeżenie i spłynęła w dół po policzku dziewczyny. Agnieszka uświadomiła sobie, że jej powrót tutaj jest jednocześnie pożegnaniem z tym miejscem i ludźmi, z którymi dorastała, śmiała się i płakała. I mimo że zostawiała tu odłamek swojego serca, nie mogła już nazwać tego miejsca domem, gdyż zabrakło tych, którzy ten dom tworzyli. Teraz będzie już tylko przyjezdną. Będzie zwykłym ceprem. Kolorowym ptakiem, który porzucił własne gniazdo w poszukiwaniu swojej tożsamości.

*Czekam na tę jedną chwilę,
serce jak szalone bije,
zapomniałem, po co żyję.
Wiem, że czujesz to co ja.*

Wtulona w Kubę pozwoliła sobie na ten jeden jedyny taniec. Płynęła ukryta w jego ramionach, odgradzona od świata i ludzi, z zamkniętymi oczami, wdychając ten tak dobrze już znajomy zapach. Kuba pachniał wiatrem, wolnością i czymś jeszcze, co trudno jej było sprecyzować. Jego silne ręce trzymały ją jak kotwica statek i dawały poczucie bezpieczeństwa. Cieszyła się, że ma go dzisiaj przy sobie. Łukasz przepadł bezpowrotnie oszołomiony widokiem żony, która nie zachowała tradycji i zamiast obowiązującego od wielu pokoleń stroju góralskiego zażyczyła sobie białą suknię jak z marzeń. Białe, błyszczące koniki, przystrojone specjalnie na tę okazję, przywiozły młodą parę do kościoła na Kalatówkach, gdzie młodzi przyrzekli sobie przed Bogiem dożgonną miłość, wierność i trwanie przy sobie w dobrym i złym. Wypełniony po brzegi kościół był świadkiem ich sakramentalnego „tak”.

Agnieszka już wczoraj pożegnała przyjaciela, ale stojąc w kościele i słuchając słów Łukasza, skierowanych do Alicji, nie mogła powstrzymać wzruszenia. Ciepła dłoń Kuby, którą poczuła w tamtym momencie na swojej ręce, była siłą i przeświadczeniem, że jej życie toczy się teraz gdzie indziej.

Drewniane izby góralskiej chaty, w której odbywało się wesele, pomieściły dwustu pięćdziesięciu zaproszonych gości. Góralska kapela przygrywała ochoczo na zmianę z DJ-em, który starał się spełniać każde

muzyczne życzenie pani młodej. Stoły ugiwały się od aromatycznych dań, gorzałka lała się strumieniami, a rodzice młodych dbali o to, by nikomu niczego nie brakowało i żeby wszyscy dobrze się bawili na weselu, które miało być najwspanialsze i najhuczniejsze w okolicy.

W tym wszystkim schronienie w znajomych ramionach Kuby było dla Agnieszki wyciszeniem i dawało jej siłę na doczekanie do oczepin i przetrwanie tego bez łez, które wciąż czały się niebezpiecznie, gotowe wylać się z ciemnych oczu w najmniej odpowiednim momencie.

— Dziękuję, że jesteś tu ze mną. Bez ciebie nie dałabym rady.

Popatrzył na nią, taką bezbronną i zagubioną. Wzruszała go. Przyzwyczał się do innej Agnieszki, twardej i nieugiętej. Dziś chciał się nią zaopiekować, tym bardziej że pokazała także swą słabość.

— Wiesz, chcę zatrzymać tę chwilę. Chcę zatrzymać ciebie. Oszalałem dla ciebie, moja góralko, i czy ci się to podoba, czy nie, ja i tak się z tobą ożenię.

Podniosła głowę i spojrzała na niego zaskoczona. W jego oczach ujrzała czułość, której się przestraszyła. Nie była jeszcze na nią gotowa.

— Przejdzie ci. Mam podły charakter.

— Kłamiesz. Jesteś cudowna i łagodna, czasami nie do wytrzymania, ale jedyna i wyjątkowa. Nie odpuszczę, Agnieszka, choćbym miał cię zdobywać latami.

— Chodźmy stąd.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— A oczepiny?

— Do diabła z oczepinami. Zabierz mnie stąd jak najdalej.

Wymknęli się po cichu i w pośpiechu dotarli do opustoszałej chałupy Galiców. W całym domu panowała cisza, w której słyhać było jedynie

miarowe tykanie zegara i ich przyśpieszone oddechy, gdy wbiegali na górę do pokoju na poddaszu.

Kuba rozmasował dłonie, zanim dotknął Agnieszki osłoniętej jedynie kawałkiem błyszczącej sukienki. Z niecierpliwością poszukał palcami guzików, jednocześnie zachłannie całując usta i szyję dziewczyny. Poddawała się pieścizotom, miękąc w jego objęciach. Pragnęła go. Pragnęła tej bliskości i dopełnienia jej przez niego. Pragnęła dotyku jego rąk na swojej skórze i jego pocałunków na nagim ciele. Pragnęła namiętności, o jakiej już prawie zapomniała.

Kuba jej nie rozczarował. Był czułym, ale zachłannym kochankiem. Kochał się z nią z pasją, której zabrakło nawet Tomaszowi. Doprowadzał ją do szału pieścizotą języka, dotykiem dłoni i szorstkim policzkiem z kilkugodzinnym zarostem. Był wszędzie, gdzie tylko go zapragnęła. Silny i stanowczy, a jednocześnie delikatny i czuły. Spragniony jej ciała i uczucia.

Zegar w korytarzu wybijał północ, a Agnieszka leżała wyczerpana w ramionach Kuby. Słyszała głośne bim-bom zegara i przyśpieszone bicie serca chłopaka. Wiedziała, że dziś bije ono dla niej.

Kuba poruszył się i ułożył twarzą naprzeciwko twarzy Agnieszki. W ciemności jej oczy iskrzyły się jak dwa diamenty. Zamrugał i wyszeptał prosto w ten mrok przed sobą:

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham, Kuba.

Delikatnie dotknął jej włosów i przeczesał je palcami.

— I musiałś przyjechać aż tutaj, aby mi to powiedzieć? — szepnęła.

— Musiałam przyjechać aż tutaj, aby to zrozumieć.

Noc, która ich otuliła, przyniosła Agnieszce spokój i ukojenie. Wyjeżdżała z Zakopanego bez żalu, ale z pewną nostalgią. Wiedziała, że zostawia tu przyjaciół, do których zawsze będzie mogła na parę dni

powrócić, ale jej prawdziwe życie zaczęło już toczyć się gdzie indziej, wśród innych ludzi, równie jej bliskich, jak ci, których zostawiała. Powoli odnajdywała siebie w miejscu, które jeszcze tak niedawno było jej zupełnie obce, i jej historia zaczęła się pisać na nowo. Kuba pomógł przekroczyć tę granicę, której Agnieszka się obawiała. Był tuż obok, ze swoim szelmowskim uśmiechem i spojrzeniem, w którym się roztapiała. On był jej powrotem do miejsca, gdzie czekał na nią dom.

Bukiet czerwonych róż w sypialni zaskoczył Małgorzatę. Stały na szafce, tuż przy łóżku, po tej stronie, po której zawsze sypiała, i dumnie unosiły swoje pełne pąki ponad kryształowy wazon. Ich intensywna czerwień przemawiała do Małgorzaty tylko w jeden sposób. Marek na dobre do niej powrócił. Jej Marek. Mężczyzna, któremu oddała swoje życie i przy którym trwała od ponad osiemnastu lat. Mąż, kochanek, przyjaciel.

Ich wspólna noc nie naprawiła wszystkiego w popękany małżeństwie, ale była przełomem we wzajemnych relacjach i cementem, który stopniowo kładł na szczeliny, rysy i zadrapania swojego związku.

Usiadła na brzegu łóżka i zapatrzyła się w słoneczne refleksy odbijające się w kryształach. Pod ręką poczuła mokry nos Saby, która w ten sposób domagała się pieścizot. Małgorzata spojrzała na psa i uśmiechnęła się do wiernych brązowych oczu.

— Dla ciebie wszystko jest takie oczywiste. Nie przyjmujesz do wiadomości, że ktoś może cię nie kochać albo mieć cię dość. Po prostu bezczelnie przychodzisz i domagasz się głaskania i przytulania. To takie proste... A my, zamiast brać z ciebie przykład, wszystko komplikujemy.

Saba pomerdała króciutkim ogonkiem i przewróciła się na grzbiet z łapami podniesionymi do góry. Małgorzata roześmiała się i pogłaskała czułe miejsce psa.

— Pieścizoty po klacie i brzuchu lubisz najbardziej, co? Ty pieścizochu.

Pochylona nad Sabą nie zauważyła, że w drzwiach sypialni stanęła Sylwia.

— Gadasz z psem?

Małgorzata podniosła wzrok i spojrzała na córkę z uśmiechem.

— Tak. I czasami mam wrażenie, że ona więcej rozumie niż moja nastoletnia córka.

— Musisz być taka zgryźliwa? — Sylwia się skrzywiła.

— Przepraszam. — Małgorzata popatrzyła na córkę łagodniej. — Ostatnio tak często ze sobą walczymy. Zapominam, że można inaczej.

Sylwia weszła do sypialni i usiadła na podłodze, obok Saby.

— Te kwiaty są od taty, wiesz? — wskazała wzrokiem na róże.

— Wiem. — Małgorzata uśmiechnęła się do córki. Uśmiechnęły się jej usta i oczy, a twarz nabrała blasku i życia.

— To znaczy, że już będzie normalnie?

Małgorzata poczuła, jak niebezpiecznie wilgotnieją jej oczy.

— Chodź do mnie, córeczko. — Poklepała puste miejsce obok siebie na łóżku. Saba zastrzygła uszami i przekręciła się na brzuch w oczekiwaniu, czy jej ukochana pani ponowi zaproszenie, z którego zamierzała skorzystać. Sylwia podniosła się z podłogi z ociąganiem i powoli podeszła do łóżka, a potem niepewnie usiadła obok Małgorzaty.

Krępowąła je ta bliskość. Obie mniej lub bardziej świadomie pragnęły tego, ale tak dawno już nie było między nimi dotyku, czulej pieśczoćy czy zwykłego przytulenia, że obie obawiały się zepsucia tej chwili niepotrzebnym gestem czy słowem. Małgorzata najpierw niepewnie dotknęła drobnej dłoni córki, a potem już odważniej pogładziła jej białe policzki.

— Wiem, że ostatnio nie było w tym domu tak, jak być powinno, i przepraszam cię za to, że żadne z nas o tym z tobą nie porozmawiało. Ale widzisz... przez całe twoje życie staraliśmy się chronić cię przed wszystkim, co mogłoby ci zagrażać lub cię dotknąć, i wciąż nam się wydaje, że jesteś jeszcze dzieckiem, które potrzebuje tej ochrony.

— I które jest ślepe, głuche i niczego nie rozumie.

— Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w tym wszystkim uczestniczysz. Wydawało nam się, że to dotyczy jedynie nas, mnie i taty, a ciebie nie ma potrzeby w to włączać, że powinnaś żyć tak jak dotąd, obok, bo przecież to nie ma nic wspólnego z tobą. Ale zapomnieliśmy o najważniejszej rzeczy, że jesteśmy rodziną i że tu nie ma nikogo obok, że wszyscy biorą w tym udział, bez względu na to, czy to ich dotyczy, czy nie. Przepraszam cię, córeczko, za moją niedojrzałość i za to, że to ja byłam ślepa i głucha.

Słone łzy spływały po twarzy Małgorzaty, oczy Sylwii również zwilgotniały. Nie wstydziła się już tej bliskości, jak dawniej wtuliła się w matkę, stęskniona ciepła matczynej ręki, którego nic nie jest w stanie zastąpić.

— Ja też cię przepraszam, mamo.

Małgorzata odgarnęła jasne włosy córki i pocałowała ciepłe czoło swojej dziewczynki. Zdawała sobie sprawę z tego, że czas dojrzewania jest czasem okrutnym zarówno dla rodziców, jak i dla samych nastolatków i że chwile takie jak ta nieprędko się powtórzą. Tym bardziej chciała zatrzymać ten moment i nasycić się nim, aby mieć siłę na kolejne dni ironii i opryskliwości, które — co do tego nie miała wątpliwości — wkrótce nadejdą. Wiedziała, że ta mała jasnowłosa dziewczynka już nie powróci, że czas beztroskiego dzieciństwa, czułości i przytulania odchodzi bezpowrotnie.

— Masz ochotę na budyń? — Małgorzata pociągnęła nosem i spojrzała na córkę przez łzy.

— Waniliowy?

— Waniliowy. Z konfiturami babci.

— I ty się jeszcze pytasz? Pewnie, że mam.

— To chodź do kuchni, zaraz ci zrobię.

Małgorzata podniosła się i pociągnęła za sobą córkę. Sylwia wstała i ruszyła za matką, ale jeszcze w progu przystanęła.

— Mamo?

Małgorzata odwróciła się i spojrzała na córkę pytająco.

— Jesteś najlepszą mamą na świecie, wiesz? Nie chciałabym żadnej innej.

Uśmiechnęła się do córki i wytarła mokre oczy chusteczką. Dziś poczuła się tak, jakby wróciła do domu po długiej nieobecności.

Rozdział XII

ROZSYPANKA

1

— Sylwio, mam genialny pomysł. — Agnieszka siedziała na brzegu łóżka Sylwii i ściągając z niej kołdrę, próbowała dobudzić dziewczynę głośnym szeptem. Za oknem panował późnopaździernikowy poranny półmrok, ulica jeszcze drzemała, jedynie tramwaje rozpoczęły już swój codzienny rytm.

Sylwia, półprzytomna, starała się skupić wzrok na Agnieszce.

— Która godzina?

— Dochodzi szósta. Muszę dziś wcześniej wyjść, a nocą wpadłam na pewien pomysł i koniecznie muszę ci coś powiedzieć, jeszcze przed szkołą.

— Oszalałaś? I tylko dlatego budzisz mnie o szóstej jedyne go dnia, kiedy mam na jedenastą, aby powiedzieć mi, co ci się przyśniło?

Agnieszka popatrzyła na Sylwię przepraszająco, ale ta nawet tego nie dostrzegła w ciemności pokoju.

— Posłuchaj, mam dla ciebie podwójne zaproszenie na otwarcie Poetki w sobotę. Myślę, że taka okazja jest lepsza niż kręgle. Zaproś tego swojego z liceum.

Sylwia natychmiast oprzytomniała. Usiadła na łóżku i spojrzała na Agnieszkę spod jeszcze posklejanych snem powiek.

— Pogięło cię? A niby jak mam to zrobić? Podrzucić mu zaproszenie do plecaka?

— Nie. Po prostu zapytaj, czy nie miałyby ochoty spędzić wieczoru w najbardziej odjechanym lokalu w mieście.

— A jak odmówi? — Sylwia wydawała się nie do końca przekonana.

— To znaczy, że nie warto za nim wzdychać, bo albo jest zajęty, albo ślepy. Trudno się oprzeć twojemu anielskiemu spojrzeniu, zwłaszcza jak się nie zna twojego charakterku.

Sylwia zdmuchnęła z czoła potarganą grzywkę i opadła na poduszkę.

— Spróbuję — zdecydowała. — Ale teraz daj mi jeszcze pospać, dobra?

— OK, już się zmywam. — Agnieszka uśmiechnęła się i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Dobrze było wrócić do domu. Znajomy szum czajnika w kuchni sprawiał, że dzień zaczynał się od rutyny, która dawała poczucie bezpieczeństwa. Aromatyczna czarna herbata rozbudzała lepiej niż mocna kawa, a wczorajsza kajzerka z dżemem miała niepowtarzalny smak swojskości. Saba stała przy stole i, wesoło merdając ogonkiem, liczyła na jakieś smaczne kąski na śniadanie.

Agnieszka nasypała do miski psa suchej karmy, którą suczka tylko podejrzliwie obwąchała. Jej spojrzenie wyraźnie mówiło: „Sama sobie jedz te bobki. Ja poczekam na coś smaczniejszego”.

Agnieszka uśmiechnęła się tylko i wróciła do swojego śniadania. Wiedziała, że ma jeszcze chwilę tylko dla siebie. Niedługo wstanie Małgosia, a zaraz po niej Marek. W domu zacznie się codzienny rozgardiasz i pośpiech, zanim każdy rozejdzie się do swoich obowiązków. W Warszawie żyło się inaczej niż w Zakopanem. Tam czas niekiedy zwalniał, tutaj wciąż go poszukiwano.

Warszawa przygarnęła ją radośnie i niepostrzeżenie wchłonęła tak bardzo, że dziś już Agnieszka czuła się częścią tego miasta, oddychała wraz

z nim i żyła jego rytmem.

I był jeszcze Kuba. Kuba, Jakub, Kubuś. Kiedy tylko wymawiała to imię, czuła dreszcz. Ich wspólna noc była spełnieniem i magią, która skruszyła jej serce. Już nie bała się rozczarowania, zranienia czy kolejnej straty. Kuba stał się opoką, na której odbudowywała siebie. Zaryzykowała, bez rozważania, czy nie będzie tego żałować. Poddała się temu uczuciu, bo tak bardzo pragnęła w końcu być szczęśliwa. Zaczęła wierzyć, że z Kubą to się uda.

Dopiła herbatę i wstawiła pusty talerzyk i kubek do zlewu. Najwyższy czas, żeby wyjść swojej codzienności naprzeciw. Warszawa uchylała swoje drzwi i wesoło zapraszała na jesienne ulice. Jak co dzień.

W czwartkowe popołudnie w Staroszlacheckim Dworze wrzało. Przyciszona muzyka w tle, rozmowy, szcęk sztućców, donośny śmiech — wszystko to zlewało się w hałas typowy dla popularnej w mieście restauracji wypełnionej stałymi i przypadkowymi gośćmi. Jesienna aura za oknem, ze strugami deszczu i wiatrem wdzierającym się pod kurtki i płaszcze, zachęcała do szukania schronienia w ciepłym lokalu przy filiżance espresso czy daniu dnia. W taki dzień jak dziś kucharze pracowali ze zdwojoną energią, a kelnerzy uwijali się jak pracowite pszczoły w ulu.

Agnieszka biegała między stolikami, zbierając zamówienia i roznosząc talerze apetycznie wyglądających, pachnących dań i szklanki z napojami. Po godzinie pracy była już tak zmęczona, że marzyła o piętnastu minutach przerwy i kawie, którą mogłaby wypić w spokoju i na siedząco. Niestety, czujne oko kierownika sali wyłapywało każdą zwłokę w realizacji zamówienia, a zbyt długa nieobecność obsługi przy stoliku gościa kończyła się rozmową z panem Januszem, która nie należała do najprzyjemniejszych. Agnieszka wolała więc nie narażać się na dodatkową uwagę przełożonego, zwłaszcza że ostatnio jej nieobecność w pracy w związku z wydarzeniami rodzinno-towarzyskimi zdarzała się dość często, ku niezadowoleniu kolegów, pana Janusza i samego Roberta.

Dlatego telefon, który niespodziewanie zadzwonił w kieszeni jej fartuszka, początkowo chciała zignorować, postanowiła jednak spojrzeć na numer, który jednak nic jej nie powiedział. Odebrała ukryta za filarem, z ręką przyciśniętą do ucha, aby w ten sposób zminimalizować hałas i szum na sali.

— Słucham.

— Witaj, księżniczko. Obawiam się, że dzwonię nie w porę, ale mam ci do przekazania informację, która nie może czekać. — Spokojny głos Macieja przynosił ze sobą znajomą sielskość Nałęczowa i zapach lawendy, którą Magdalena rozkładała w pokojach.

— Telefon od pana jest zawsze w porę.

— Miła jesteś, zresztą jak zawsze. Powiem krótko, bo wiem, że jesteś zajęta. Rozmawiałem o tobie z moim kolegą, architektem. Wspominałem ci o nim ostatnio. Napomknąłem o twoich pracach i projektach, które realizujesz. Chciałby je zobaczyć i zaprasza cię jutro rano, na dziewiątą, do swojego biura. To niedaleko Małgosi. Biuro architektoniczne Antoni Kruszyński, Puławska dziewiętnaście. Będziesz mogła się wyrwać?

— Oczywiście. Nie mogę uwierzyć, że zrobił pan to dla mnie.

Maciej wyczuł w jej głosie wzruszenie.

— Ja jeszcze nic nie zrobiłem, niczego ci nie mogę obiecać, Antoni musi najpierw obejrzeć twoje prace. Ale wierzę w ciebie, bo naprawdę masz talent. Daj mi znać, jak się sprawy mają. Ten numer, z którego dzwonię, to moja osobista komórka.

— Zadzwoń natychmiast po rozmowie. Jest pan wielki.

— Nie, księżniczko, to ty jesteś wielka i niesamowita w tym wszystkim, co robisz. Odmieniłaś Sylwię, wspierasz Małgosię, nie mówiąc już, ile wniosłaś do naszego domu. Będę czekał na telefon. Do widzenia.

— Do widzenia.

Przez chwilę stała jeszcze jak oszołomiona. Maciej nie rzucał słów na wiatr i nie łamał obietnic. Rzadka cecha w XXI wieku.

Wróciła do pracy z nową energią. Podekscytowanie przed jutrzejszym spotkaniem dodało jej siłę, a ciepły uśmiech, który pozostał na jej twarzy po skończonej rozmowie, rozjaśniał ją blaskiem rzucającym się w oczy. Robert nie mógł przejść obok niego obojętnie.

— Wyglądasz dziś... — przez chwilę szukał słowa, wpatrzony w Agnieszkę z uwagą — olśniewająco.

— Ty również — uśmiechnęła się jeszcze pogodniej. Stojąc blisko niej, dostrzegł delikatne pajęczki wokół jej oczu.

— Zrobisz mi kawy?

Spojrzała na niego, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Nie widzisz, co się dzieje na sali? Pan Janusz zabije mnie spojrzeniem, jeśli nie pojawię się przy zamówieniach przez kolejne pięć minut.

— Powiedz mu, że to polecenie służbowe. Głowa mi pęka, a mam jeszcze tyle roboty z otwarciem Szlacheckiego Dworu w Wilanowie.

— Zamiast kawy dostaniesz zielonej herbaty. Rozbudzi cię znacznie lepiej. A na ból głowy lepiej weź pigułkę, samo nie przejdzie, zwłaszcza w taką pogodę, gdy wieje halny.

— Wiesz... — zawahał się przez chwilę — brakuje mi kobiety, która by o mnie zadbała.

— To się ożeń — rzuciła przez ramię i pobiegła do kuchni ze zleceniem zaparzenia zielonej herbaty z fusami dla szefa.

Gdy weszła do gabinetu z herbatą i kawałkiem ciepłego sernika, Robert siedział nad laptopem z włosami zmierzwionymi od ciągłego przeczesywania palcami i przekrwionymi od patrzenia w monitor oczami. Podziękował jej uśmiechem i skinieniem głowy.

— Jesteś aniołem.

— A może w związku z tym mogłabym liczyć na wolny wieczór w sobotę? — zagadnęła nieśmiało.

Uśmiechnął się do niej jednym ze swoich ujmujących i pokazowych uśmiechów.

— Zapomnij o tym.

Westchnęła tylko i wymknęła się z pokoju, bez słowa zamykając za sobą drzwi.

Mimo jesiennego chłodu przyjemnie było przemierzać warszawskie ulice w mglisty październikowy poranek. Po wczorajszym deszczu znacznie się oziębilo, na chodnikach zebrały się kałuże brudnej wody, przenikliwa wilgoć wciskała się za kołnierz, a wiatr odchyłał poły ciepłego płaszcza, zaglądając pod podszewkę. Nie zważając na tak niesprzyjającą aurę, Agnieszka cieszyła się każdą chwilą tego poranka, a z wizytą w biurze architektonicznym wiązała spore nadzieje. Była już zmęczona pracą we Dworze, coraz ciężej było jej godzić obowiązki w pracy ze studiami. Przez niedospane noce nie mogła się skupić na zajęciach, zawałiła jedno kolokwium, bo nie zdążyła się do niego przygotować, czas przeciekał jej między palcami, a najgorsze w tym wszystkim było to, że nie miała już serca do tej pracy. Wraz z powrotem na studia wróciła jej artystyczna pasja, której nie mogła realizować, biegając z tacą i sprzątając po gościach.

Dlatego była niezmiernie wdzięczna Maciejowi za umówienie tego spotkania i wiedziała, że ze wszystkich sił postara się przekonać Antoniego Kruszyńskiego, aby dał jej szansę i pozwolił się wykazać choćby przy małym projekcie.

Brzęczący dźwięk domofonu był zaproszeniem na korytarz starej, ale wyremontowanej niedawno klatki schodowej. Wysokie schody zaprowadziły Agnieszkę na drugie piętro, pod drzwi z mosiężną kołatką i przedwojennym przyciskiem dzwonka, który zabrzmiał zupełnie współczesnym dźwiękiem.

Drzwi otworzyła młoda kobieta z miłym uśmiechem, która gestem zaprosiła Agnieszkę do środka.

— Dzień dobry, byłam umówiona z panem Kruszyńskim na dziewiątą.

— Proszę wejść. Pan Antoni oczekuje pani. Proszę tutaj zostawić płaszcz — wskazała na wieszak stojący tuż przy drzwiach. — Czy napije się pani kawy lub herbaty?

— Poproszę o kawę. — Agnieszka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Zapraszam. Kawę zaraz przyniosę.

— Dziękuję.

Zapukała nieśmiało w białe masywne, dwuskrzydłowe drzwi, a po krótkim „proszę” nacisnęła klamkę i wśliznęła się do środka.

— Dzień dobry, Agnieszka Zarzycka, byłam dziś z panem umówiona.

— A witam, witam. Jest pani punktualna, co dobrze o pani świadczy, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy niemal wszyscy potrafią wymyślić tysiące powodów na usprawiedliwienie zwykłej niesumienności i braku zorganizowania.

— Staram się szanować czas innych.

— Doceniam to, pani Agnieszko. Mam także nadzieję, że równie mocno docenię pani talent, do którego opisania Maciejowi zabrakło słów. A więc proszę mnie przekonać, że moje biuro straci, jeśli pani nie przyjmę choćby na okres próbny.

Podobał jej się ten człowiek. Był prostolinijny i szczery, podszedł do jej prac z zawodową precyzją, wskazując na niedociągnięcia i chwalać za innowacyjne pomysły. Niczego nie udawał, nie starał się też być protekcyjny. Spędziła w jego towarzystwie prawie godzinę i wychodziła ze skrzydłami u ramion.

— Rozumie pani, że nie mogę podjąć tej decyzji samodzielnie, muszę do tego przekonać również moich współpracowników. Ale nie ukrywam, że jestem pod wrażeniem pani prac i osobowości. Odezwę się do pani po Święcie Zmarłych. Do tego czasu proszę się uzbroić w cierpliwość i być dobrej myśli.

Uściskał dłoń Agnieszki na pożegnanie i kurtuazyjnie odprowadził ją do drzwi.

Zbiegała po schodach lekka i przepełniona nadzieją, która poniosła ją w ten szary jesienny dzień.

— Marek, co ja mam na siebie włożyć? — Małgorzata od ponad pół godziny stała przed otwartą szafą i przeglądała garderobę, w której mogłaby się wybrać na otwarcie „najbardziej odjechanego lokalu w mieście”. Żadna z jej garsonek i eleganckich sukienek nie nadawała się na tego typu okazję, o czym z wyższością poinformowała ją Sylwia, dodając, że najlepsze byłyby džinsy i obcisły top.

— Ale ja nie chodzę w džinsach — jęknęła Małgosia.

— No to masz problem — podsumowała Sylwia i zajęła łazienkę, póki jeszcze mogła posiedzieć tam dłużej. Musiała wyglądać dziś wyjątkowo, ale miała to zrobić tak, aby Eryk z IIc nie zauważył, ile pracy w to włożyła.

Zachęcona przez Agnieszkę, zaryzykowała, podeszła do niego na przerwie i tak zupełnie od niechcienia zapytała, czy nie miałby ochoty na sprawdzenie nowego lokalu w mieście. Miał ochotę i oczy mu rozbłysły, gdy zawiadomiła go, że dotrzyma mu towarzystwa.

Teraz należało tylko zrobić wszystko, żeby wyglądać naturalnie i żeby nie domyślił się, jak wysoko skakała w toalecie dla dziewcząt z radości, że udało jej się namówić takie ciacho na w pewnym sensie randkę.

— Nie mam co na siebie włożyć. — Małgorzata z rezygnacją przysiadła na łóżku, tępo wpatrując się w zapełnione półki i wieszaki.

— Gosiu, nie denerwuj mnie. Nie wmówisz mi, że w tym wszystkim nie ma ani jednej rzeczy, której dziś wieczorem nie mogłabyś na siebie włożyć.

— Nie mam ani džinsów, ani obcisłego topu, a od córki nie pożyczę, bo na mnie nie wejdzie.

— Masz za to swoje ulubione beżowe spodnie, do których na pewno znajdziesz coś odpowiedniego w tym oto królestwie, w którym niepodzielnie rządysz. — Marek wskazał na szafę.

Małgorzata westchnęła, wstała z łóżka i odszukała spodnie, o których mówił Marek. Rzeczywiście, lubiła je i w gruncie rzeczy nadawały się na tego typu okazję. Pasowały do koronkowego swetra w kolorze kości słoniowej z dużym dekoltem, pod który włożyła złotą satynową bluzkę. Może i będzie wyglądała jak dinozaur, ale w tym momencie zupełnie się tym nie przejmowała. Była sobą, a najradośniejszą rzeczą w tym wszystkim był fakt, że pojawi się tam razem z Markiem. Ich pierwsze wspólne wyjście od lata. Zamierzała cieszyć się tym wieczorem i bliskością mężczyzny, którego jeszcze tak niedawno mogła stracić.

Tego wieczoru Poetka była wypełniona po brzegi. Kuba stał za barem i nie nadążał z podawaniem drinków i napełnianiem kufli piwem. Z uśmiechem powitał Małgosię i Marka, wskazując im dwuosobowy stolik w uroczym zaułku, z nastrojową świecą i tabliczką: „Rezerwacja”.

— Widzę, że wieść o otwarciu szybko się rozeszła. — Marek podał na przywitanie rękę Kubie, a potem wskazał na pełną salę.

— Liczba gości przekroczyła moje oczekiwania, a to dopiero początek. — Kuba otarł spocone czoło. — Cieszę się, że państwo przyszli, szkoda tylko, że Aga nie może się wyrwać wcześniej.

— Tak, ten jej szef to prawdziwy tyran — mruknął Marek. — Dwa kolorowe drinki poproszę i postaram się udawać, że nie znam tej małolaty i że w jej szklance jest naprawdę tylko coca-cola. — Marek wskazał na stolik, przy którym zebrała się spora grupa młodzieży, w tym jego własna córka w towarzystwie wysokiego blondyna o dość miłej powierzchowności.

Kuba puścił do niego oko.

— Czuwam nad wszystkim, sam nie chciałbym, aby cokolwiek wymknęło się spod kontroli. Zależy mi na dobrej reputacji Poetki.

— Taaa... — Marek rozejrzył się dookoła. W porównaniu z tym, co widział jeszcze kilka tygodni temu, dziś Poetka prezentowała się w całej swojej krasie. Stoliki i krzesła z ciemnego drewna, wyszukane gdzieś na targach staroci, w sklepach z antykami i na strychach u sąsiadów, sprawiały, że to miejsce od samego wejścia traktowało się z szacunkiem. Na każdym stoliku w przeróżnych świecznikach paliły się cynamonowe świece, na ścianach wisały stylizowane na lata dwudzieste ubiegłego wieku kinkiety, które rozjaśniały salę przyćmionym światłem na wskroś współczesnych energooszczędnych żarówek. Wzrok Marka zatrzymał się na ciepłych pejzażach Kazimierza, Nałęczowa i warszawskiej Starówki, pozawieszanych między kinkietami.

— Ładne — wskazał na obrazki.

Kuba się uśmiechnął.

— To Agnieszki. Jeśli się panu któryś spodoba, może go pan kupić dla siebie lub dla pani Małgosi.

— Ciekawe — Marek pokiwał głową. Ta dziewczyna naprawdę ma talent i chwala Małgosi za to, że skłoniła Agnieszkę do powrotu na studia.

— Drinki dla pana. — Kuba przesunął w stronę Marka dwie wysokie szklanki ze słomkami. — Mój szef kuchni szykuje specjalną niespodziankę dla państwa. Proszę cierpliwie poczekać, wkrótce podamy do stolika. Miłego wieczoru.

Marek uśmiechnął się w podziękowaniu i wrócił do Małgosi. Już wiedział, który obrazek najbardziej ją ucieszy, ale zamierzał zaskoczyć ją tym pod koniec wieczoru. Na razie musi skupić uwagę Małgosi wyłącznie na sobie, skutecznie odciągając ją od gwarne stolika pełnego młodzieży,

wśród której ich córka bawiła się w najlepsze, zupełnie ignorując obecność rodziców na tej samej sali.

Agnieszka padała z nóg. Wieczór był wyjątkowo męczący, a Staroszlachecki Dwór wypełniony po brzegi zupełnie tak, jakby wszyscy goście postanowili przeznaczyć dodatkową godzinę, jaka została im podarowana wskutek zmiany czasu, na dobrą zabawę przy kieliszku likieru i pianinie, przy którym młody wirtuoz umiłował czas sentymentalnymi kawałkami.

Do tego wszystkiego miała dziś dyżur z Ewelina, która za każdym razem, gdy pracowały na jednej zmianie, była coraz bardziej zjadliwa i Agnieszka musiała się bardzo pilnować, by za często nie wchodzić jej w drogę. Robert zniknął tuż przed dziewiątą, więc nie było szans na to, że wyrwie się wcześniej. Pan Janusz przetrzyma je do ostatniego gościa, tymczasem Poetka już dawno zaczęła czarować gości swoim klimatem, a Kubie na pewno przydałaby się pomoc.

Ciekawe, czy Małgosia i Marek dobrze się bawią. Agnieszka bezwiednie uśmiechnęła się sama do siebie. Ostatnio zauważyła diametralną zmianę w zachowaniu Marka. Wróciła jego dawna czułość w stosunku do Małgosi i ciepła atmosfera w domu Dobrowolskich. Sylwia nieco się wyciszyła, była zajęta nauką w szkole i próbnymi testami, którymi uszczęśliwiano młodzież średnio raz na miesiąc w celu nie do końca sprecyzowanym.

Maciej miał rację, potrzeba było czasu i cierpliwości. Czas. Powoli łagodził wszystkie rany, nawet te głębokie.

Agnieszka wiedziała, że nigdy do końca nie pogodzi się z przedwczesną śmiercią rodziców, ale ból, który wciąż czuła, już nie był tak dotkliwy. Już umiała z nim żyć.

— Agnieszka, stan toalet, za które dzisiaj odpowiadasz, jest wprost niewiarygodny! Jak mogłaś dopuścić do tego, żeby w damskiej toalecie zabrakło papieru? Nie wspominając już o mydle i ręczniku papierowym — syk kierownika sali wyrwał Agnieszkę z przyjemnego odrętwienia, w które zapadła. — Chcę ci przypomnieć, że Staroszlachecki Dwór to porządny, szanujący się lokal, który nie może stracić reputacji przez toaletę i zwykłe zaniedbanie!

Pan Janusz był wściekły, a Agnieszka nic z tego nie rozumiała.

— Sprawdzalam czystość toalet czterdzieści minut temu, wszystko było w należyтым porządku. Niemożliwe, żeby w tak krótkim czasie skończyły się papier, mydło i ręcznik.

— Idź i sama się przekonaj! — Pan Janusz był już purpurowy na twarzy.

Agnieszka nie chciała pogarszać sytuacji, jęknęła tylko żałośnie.

— A moje stoliki?

— Osobiście się nimi zajmę. Idź już i posprzątaj ten cały burdel na dole.

Agnieszka zbiegła na dół i już po chwili wiedziała, że czterdzieści minut to dosyć czasu, aby podłożyć świnię koleżance ze zmiany. Ewelina! To niewątpliwie była jej robota. Z przepaszającym uśmiechem wyminęła elegancką młodą kobietę, która balansowała w swoich złotych szpilkach, próbując przejść suchym kawałkiem podłogi od umywalki do drzwi. Pierwszą niezbędną rzeczą był suchy mop, którym Agnieszka próbowała zebrać nadmiar wody zalegający wielką kałużą na posadzce. Nie miała pojęcia, jak tej wrednej żmii udało się zrobić taki potop w tak krótkim czasie. Miała przecież swoje stoliki i klientów, a mimo to narozrabiała na konto Agnieszki. Ale Agnieszka nauczyła się już, że Ewelina była mistrzynią świństw. Przypomniała sobie tłustą plamę oliwy, drobniutką kropelkę na podłodze, tuż przy okienku, przy którym kelnerki odbierają

swoje zamówienia. Miała szczęście, że w pracy nie nosi butów na obcasie i że pojechała na tej plamie z pustą tacą. Ślad szminki na szklance do latte Agnieszka dostrzegła w ostatniej chwili, niosąc pełną tacę do stolika. Zawróciła przepaszająco i wymieniła naczynie, niczego jednak nie mogła Ewelinie udowodnić. Wredna żmija działała cicho i zwinnie jak kot.

Zdążyła osuszyć podłogę przed nadejściem kolejnej klientki. Dokładnie sprawdziła, czy w każdej kabinie jest papier i czy przypadkiem powódź nie zalała również ich, ale kabiny były suche. Na wszelki wypadek przetrąła podłogę w każdej z nich i użyła zapachu w aerozolu. Napełniła pojemniczek z mydłem i uzupełniła zapas ręczników papierowych. Gotowe. Sprawdziła jeszcze toaletę męską, ale tam już Ewelina nie zdążyła wtargnąć, Agnieszka przemyśla więc tylko podłogę i z ulgą odstawiła wiadro z mopem na miejsce. Teraz pozostało tylko mieć nadzieję, że stan czystości toalet zadowoli kierownika sali i że goście zaczną się wykruszać. Tak bardzo chciała już być w Poetce.

— A to dla ciebie, na zakończenie tak miłego wieczoru. — Marek położył przed Małgosią akwarelowy pejzaż, do którego Małgorzata natychmiast się uśmiechnęła.

— To dom rodziców. I ten ulubiony lasek taty na tyłach domu.

— I ta polna ścieżka, którą tak lubisz mnie włóczyć za każdym razem, kiedy tam jesteśmy.

— Jak pięknie to uchwyciła. — Małgorzata zamyśliła się nad kolorowym obrazkiem. — Skąd to masz?

— Kupiłem. — Marek dotknął dłoni żony i uniósł ją do swoich ust. — Te wszystkie prace są na sprzedaż, można je kupić, jeśli ci się któraś spodoba. Pomyślałem, że tę polubisz najbardziej.

Małgorzata uśmiechnęła się i dotknęła policzka męża z czułością.

— Tak bardzo mi ciebie brakowało.

— Byłem głupi, Gosiu, ale nie wracajmy już do tego.

Westchnęła. Cały Marek. Typowy mężczyzna. „Zwalczyłem problem, nie ma o czym mówić”. A ona chciała porozmawiać. Jak to kobieta. Miała jeszcze tyle wątpliwości, potrzebowała jego rady, chciała nadrobić te wszystkie lata milczenia, kiedy wykreśliła Agnieszkę ze swojego życia i skazała ją na nieistnienie. Teraz słowa wylewały się z niej i chciała z nim o tym rozmawiać, ale on nie chciał słuchać. Wolał do tego nie wracać. Bał się, że znów może okazać się słaby i ulec podłemu uczuciu zazdrości, że może go ogarnąć bezsilna złość, której doświadczył poprzednio. Porozmawia o tym z Małgosią kiedyś. Teraz dobrze było tak, jak jest.

— Zmęczona?

Pokiwała głową. Minęły już te czasy, kiedy mogli przesiedzieć przy butelce wina do białego rana. Teraz marzyła już tylko o swojej miękkiej poduszce i wygodnym łóżku.

— Robimy kaszanę i zabieramy Sylwię ze sobą, czy zaufamy temu młodemu chłopcu i pozwolimy mu ją odprowadzić?

— Pozwolimy, pod warunkiem że w ciągu godziny będzie w domu. Napiszę do niej esemesa. — Małgorzata wyjęła swoją małą czarną nokię i z pewną nieporadnością właściwą pokoleniu należącemu jeszcze do ubiegłego wieku napisała córce dwa zdania: „Wychodzimy. Za godzinę masz być w domu”.

— Nie uważasz, że to dość idiotyczne, żeby w jednym pomieszczeniu porozumiewać się za pomocą telefonu?

— A jak inaczej ją o tym zawiadomisz, nie zdradzając przed tym towarzystwem, że była na jednej imprezie z rodzicami? Wiesz, jaki to obciach?

Małgorzata obserwowała córkę kątem oka. Sylwia odczytała esemesa, obejrzała się niby mimochodem i nieznacznie skinęła głową. Jej oczy błyszczały, a policzki nieco się zaróżowiły. Wydawała się taka szczęśliwa i radosna. Małgorzata z żalem pomyślała, że jej mała dziewczynka zaczyna być już kobietą i że nadchodzi ten moment w ich życiu, kiedy to nie oni będą dla Sylwii najważniejsi i jeśli popełnią na początku choć jeden błąd, przez który zawiodą jej zaufanie, to mogą ją stracić na długo.

Dlatego niechętnie podniosła się, siłą powstrzymując siebie i Marka przed obwąchaniem podejrzanych szklanek stojących na stoliku młodzieży. Pożegnali się z Kubą, gratulując klimatu nie do powtórzenia oraz dań, które długo będą wspominać, i poprosili dyskretnie o czuwanie nad ich nieletnią córką i przypilnowanie, aby wyszła w towarzystwie tego młodzieńca, z

którym tu przyszła, lub ewentualne wsadzenie jej do taksówki i wysłanie na Marszałkowską.

Noc była chłodna, temperatura spadła niemal do zera. Z ich ust wydobywały się białe obłoczki pary. Małgorzata wsunęła rękę pod ramię męża i wtuliła się w ciepły rękaw jego płaszcza. Jesienne powietrze łagodziło ból głowy, a cisza uspionego miasta koła po kilku godzinach przebywania w hałasie. Szli obok siebie zupełnie jak kiedyś, w czasach studenckich, gdy po całonocnej imprezie wracali na stację Marka, marząc o własnym mieszkaniu, które będą mogli urządzić po swojemu i w którym codziennie będą mogli się budzić i zasypiać obok siebie.

Ich głośnie kroki odbijały się echem od zakręconych uliczek i ciemnych czeluści bram Starego Miasta. Milczeli, ale bliskość, która ich dzisiaj łączyła, nie potrzebowała słów.

— Nie zimno ci? — Marek z troską spojrzał na Małgorzatę.

Pokręciła głową.

— Nie. Przejdźmy się jeszcze kawałek.

Wyprostował rękę i objął żonę, przytulając ją mocno do siebie.

— Gośka, nawet sobie nie wyobrażasz, jak cię kocham — wyszeptał w jej jasne włosy. — Byłem idiotą i tak łatwo mogłem to wszystko stracić. Ale teraz już wiem, że to tobie było najtrudniej. I będę cię wspierał, cokolwiek postanowisz.

Nie odpowiedziała, wtuliła się tylko mocniej w mężczyznę, który od ponad osiemnastu lat był jedynym światem, jaki знаła i w jakim pragnęła żyć.

Dotarła do Poetki przed trzecią nad ranem. Nieliczni goście, którzy pozostali przy stolikach, kiwali się smętnie lub prowadzili dogasające dyskusje egzystencjalne. Kuba sprzątał stoliki i doprowadzał lokal do jako takiego porządku. Podeszła cicho i objęła go od tyłu.

— Aga — odwrócił się i mocno ją przytulił, a potem pocałował w głowę. — Ciężka noc?

— Żebyś wiedział, że ciężka. A jak było tutaj?

— Rewelacyjnie. Nie wiem, skąd wzięło się tylu ludzi, ale przychodzili przez cały wieczór. Reklama szeptana jest niezastąpiona. Tłumy przed Poetką walczyły o wolny stolik. Oby tak dalej i niczego nie zepsuć, a Poetka będzie najlepszym lokalem w tej części miasta. Zjesz coś?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie jestem głodna. Ale napiłabym się gorącej herbaty.

— A może zrobić ci drinka?

— Nie, dziękuję. Trochę za późno na drinka.

Usiadła przy okrągłym barze, a Kuba nastawił czajnik i przygotował dwa kamionkowe kubki. Nasypał do nich po łyżeczce herbacianych listków i usiadł naprzeciw Agnieszki, z brodą opartą na ułożonych na blacie dłoniach.

— Tak bardzo chciałam ci pomóc. — Pieszczotliwie zmierzwiła włosy chłopaka. — Gdyby był Wieniawski, jakoś bym się urwała, ale zostałam sama z kierownikiem, a to wyjątkowo zajadły służbista.

— Daliśmy sobie radę. Kumple z dzieciństwa dopisali, kelnerki też są całkiem niezłe i szybkie. Jeśli goście nie chcą wychodzić, to znaczy, że jest dobrze — wskazał na imprezowych niedobitków i puścił do Agnieszki oko.

— A jak Małgosia z Markiem? Podobało im się?

Skinął głową.

— Myślę, że mieli wieczór wspomnień, bo siedzieli wpatrzeni w siebie jak para zakochanych. Nawet młodej odpuścili.

— Bardzo poszalała?

— Chciała, ale trochę się wstydziła mnie, a trochę temperował ją ten chłopak, z którym przyszła.

— Fajny?

Kuba pokiwał z politowaniem głową.

— Aga, ja się na chłopakach nie znam. Spokojny i niepalący. Chyba mu się nasza mała podoba, bo przez cały wieczór gapił się na nią jak sroka w gnat.

— Też bym się gapiła, jakbym była chłopakiem.

— Ja tam wolę brunetki. — Pocałował czule nos Agnieszki i zalał herbatę parującą wodą. Przez chwilę patrzył na wirujące na powierzchni czarne listki, a potem zamieszał je łyżeczką i postawił oba kubki na barze.

Gorący napój rozkosznie rozgrzewał Agnieszkę od środka i rozluźniał zmęczone i napięte mięśnie. Rozmasowała obolałe łydki i się przeciągnęła. Była zmęczona i marzyła już tylko o ciepłej pościeli, w której będzie się mogła zakopać i zasnąć, nie myśląc o kolejnym dniu w pracy i kolejnej niedzieli, która przemknie niezauważona jak wiele poprzednich. Lubiła niedziele, ale przy takim trybie pracy, jaki obecnie prowadziła, nie mogła ich celebrować tak, jak by tego pragnęła.

— Za dwa dni pierwszy. — Kuba dotknął delikatnie dłoni Agnieszki. — Pojedziesz ze mną do Garwolina?

Dwa spojrzenia splotły się ze sobą w czułym uścisku i milczącym porozumieniu. To jasne patrzyło prosząco, ciemne z lekkim zaskoczeniem.

— Naprawdę chcesz mnie tam zabrać?

— Chcę być w tym dniu razem z tobą.

Palce dwóch różnych dłoni objęły się pieśczośliwie, wymieniły między sobą ciepłe pozdrowienia, miękkimi opuszkami musnęły cienką skórę.

— A twoi rodzice? Jak to odbiorą?

— W jedyny właściwy sposób. Oni już wiedzą, że jesteś kobietą mojego życia.

Uśmiechnęła się, unosząc jeden kącik ust.

— Pojadę z tobą. Też chcę ich poznać.

Podniósł dłoń dziewczyny do ust i delikatnie pocałował.

— Dziękuję za to, że jesteś, Aga.

Przymknęła oczy. Powoli się wyciszała. Wydarzenia dzisiejszego dnia zacierały się w niepamięci, jad Eweliny już nie działał. Był tylko cichy dźwięk saksofonu dobiegający z płyty i ciepło dłoni Kuby, które przekazywało nadzieję.

Garwolin przywitał Agnieszkę swoim powolnym rytmem i ciszą, która aż brzęczała w uszach po huczących dźwiękach Warszawy. Spokojne małe miasteczko, w którym ludzie częściej się uśmiechają i wymieniają między sobą drobne uprzejmości.

Rodzinny dom Kuby. Mały biały domek z dopieszczonym ogródkiem i ławeczką pod oknem. Ciemne winogrona oplatające zachodnią ścianę i koronkowe zazdrostki w oknach.

Agnieszkę krępowało to nieuniknione spotkanie z rodziną Kuby, ale została przez jego mamę powitana tak naturalnie i ciepło, że wszelkie mury i zasieki, którymi dziewczyna się otoczyła, pękły pod naporem tego szczerego przyjęcia.

Patrzyła zachłannie na twarze rodziców Kuby i szukała podobieństwa. Jasne włosy i zielone oczy odziedziczył po mamie, ale sylwetką przypominał ojca. Obserwowała, jak wylewnie się z nimi witał. Nie wstydził się uczuć, zwłaszcza wobec tych, których kochał.

— Siedzisz w tej Warszawie i nosa z niej nie wychylasz. Zmizerniałeś, synku. — Dłoń matki pieszczotliwie dotknęła policzka syna.

— Mama tak zawsze — uśmiechnął się do Agnieszki, aby dodać jej odwagi. — Dużo roboty miałem ostatnio, ale moja Poetka to arcydzieło. A ten oto anioł pomógł mi to wszystko dokończyć — wskazał z dumą na Agnieszkę.

Barbara Zagórska nie musiała o nic pytać. Jej matczyna intuicja wszystko wyczuwała, resztę było widać w pełnym uwielbienia spojrzeniu syna. Nigdy dotąd nie patrzył tak na żadną dziewczynę, nawet na Agatę z ogólniaka, która wyjechała z tym Tomkiem od Kulewiaków. Barbara

wiedziała, że teraz to jest ta jedna jedyna i że Kuba nie przywiózł jej przypadkowo.

— Cieszę się, że w końcu możemy cię poznać. Dotychczas tylko o tobie słyszeliśmy. — Mocny uścisk dłoni Jerzego Zagórskiego przywołał wspomnienie Romana.

— Mnie również jest bardzo miło, że mogę państwa poznać. Kuba tak ciepło o was opowiada — uśmiechnęła się nieśmiało.

— Ładna, miła i skromna.

— Nic dziwnego, tato, to góralka. — Kuba objął Agnieszkę i poprowadził do salonu, gdzie czekał już na nich odświętnie nakryty stół.

To był dobry czas. Czas zatrzymany przy nieśpiesznej rozmowie i wspomnieniu, które jeszcze bardziej przybliżyło Agnieszce Kubę i jego dzieciństwo tu, w Garwolinie. Brzęk noża w zetknięciu z talerzem i filiżanki z porcelanowym spodeczkiem. Cichy pomruk radia dobiegający z kuchni, wspomnienie tych, którzy odeszli tak niedawno temu. Celebracja chwili i cześć oddana tym, którzy nas wyprzedzili.

Agnieszka nie czuła się tutaj obco. To był dobry dzień, który dzięki Kubie przetrwała z jedną tylko łzą. Z ręką ukrytą w jego dłoni przespacerowała się po tutejszym cmentarzu i zapaliła światełko na czymś smutnym i opuszczonym grobie z nadzieją, że dobrzy ludzie zapalą takie samo światełko dla Teresy i Romana i ofiarują im swoją modlitwę.

Wyjeżdżała z Garwolina spokojna i naładowana prostą serdecznością i życzliwością ludzi, którzy przyjęli ją jak swoją. Kuba uratował dla niej ten dzień, który zamiast smutku przyniósł radość. Kuba... był tęczą w jej życiu. I zachował dla niej wszystkie barwy lata.

Czekała na ten telefon z dziecięcą niecierpliwością. Wiedziała, że Antoni Kruszyński dotrzyma słowa i zadzwoni, tak jak obiecał. Ludzie tacy jak on czy Maciej nie rzucają słów na wiatr i nie obiecują gruszek na wierzbie. Nie była tylko pewna, czy wiadomość, którą jej przekaże, będzie dla niej tą, którą chciała usłyszeć.

Na komórce wyświetlił się nieznany numer, kiedy Agnieszka pochylała się nad talerzem zupy. Tę krótką chwilę w ciągu dnia pomiędzy zajęciami na uczelni a pracą celebrowała przy samotnym obiedzie. Była druga po południu.

— Dzień dobry, Antoni Kruszyński. Czy rozmawiam z panią Agnieszką? — Ten sam dystyngowany głos z nienaganną dykcją, typowy dla ubiegłej epoki.

— Tak, przy telefonie. Dzień dobry, panie Antoni — mimowolnie uśmiechnęła się do telefonu.

— Miło panią słyszeć. Dzwonię zgodnie z umową. Rozmawiałem o pani z moimi współnikami i powiem krótko: chcemy panią w zespole.

Gdyby nie to, że prowadziła poważną rozmowę telefoniczną, skakałaby po mieszkaniu z radości wprost pod wysoki sufit ozdobiony plafonami.

— Nie wiem, co mam powiedzieć, bardzo się cieszę, nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo.

— Ja też się cieszę, bo naprawdę ma pani talent i dobrą rękę. Mam jeszcze tylko dwie prośby.

— Słucham. — Odsunęła od siebie talerz, wiedząc, że jest zbyt podekscytowana, aby dokończyć zupę.

— Mnie w zupełności wystarczyłyby pani prace, jestem człowiekiem starej daty, cenię punktualność, pracowitość i uczciwość, ale moi współpracownicy chcieliby tego obco brzmiącego CV. Czy mogłaby je pani dostarczyć w najbliższych dniach?

— Oczywiście. A druga prośba?

— No właśnie — pan Antoni chrząknął. — Niezręcznie mi o tym mówić, ale czy mogłaby pani przez pana Wieniawskiego, żeby wyraził zgodę na wykorzystanie jego powstającej restauracji jako naszej wizytówki? Wiem, wiem, że to pani zaprojektowała, ale... możemy już panią traktować jako członka zespołu, nieprawdaż?

Agnieszka powoli wciągnęła i wypuściła powietrze.

— Porozmawiam z panem Wieniawskim, ale nic nie mogę państwu obiecać. Rozumie pan, ja tylko zrobiłam projekt, otrzymałam za to wynagrodzenie i pan Wieniawski może to uznać za próbę wykorzystania. Tak czy inaczej, spróbuję.

— Dziękuję, będziemy zobowiązani. Szczegóły ustalimy wkrótce, a tymczasem życzę miłego dnia, pani Agnieszko, i do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Jednym przyciskiem rozmowa została zakończona. Agnieszka wylała zimną wodę do zlewu i umyła talerz. Postanowiła nie czekać, tylko od razu wydrukować CV, które miała w swoim laptopie, i podrzucić je do biura jeszcze przed pracą. W drukarce, która stała w dawnym gabinecie Małgosi, służącym obecnie za królestwo Agnieszki, nie było papieru. Agnieszka zajrzała więc do pokoju Sylwii, ale w panującym tam bałaganie trudno było dotrzeć do biurka, a co dopiero znaleźć cokolwiek. W domu nie było nikogo, kto mógłby jej podpowiedzieć, gdzie Dobrowolscy trzymają papier do drukarki, a zakładała, że gdzieś musi być. Małgosia i Marek wciąż coś

drukowali i donosili do domu kolejne ryzy papieru, które niejednokrotnie mogła dostrzec wśród robionych przez nich zakupów.

Nie chciała wyjść na wścibską lub nieuprzejmą, grzebiąc po szafkach, ale założyła, że Małgosia nie będzie miała pretensji o zajrzenie do biurka, w którym trzymała swoje dokumenty z pracy. Otworzyła drzwiczki powoli i ostrożnie, jakby parzyły. Dwie solidne dębowe półki były zavalone papierzyskami i teczkami z niezrozumiałymi dla Agnieszki oznaczeniami, ale na dolnej dziewczyna dostrzegła nieotwartą jeszcze ryzę białego papieru. Sięgnęła po nią i ostrożnie ją wysunęła, nie zauważyła jednak, że ryza zaczepiła o szarą papierową teczkę, która wypadła z biurka, rozsypując poupychane tam luzem kartki i koperty.

Poczuła się nagle jak intruz, który wtargnął nieproszony do czyjejś prywatności. Pochyliła się i zebrała rozrzucone kartki z zamiarem włożenia ich na miejsce. Zatrzymała się jednak, gdy jej wzrok padł na tak drogie i dobrze znajome pismo. Pismo mamy. Jej list do Małgosi. Pokusa i wzruszenie były zbyt silne. Było tak, jakby wtulała się w ciepłe ramiona matki. Teresa nagle stanęła obok niej, tak bliska, tak realna. Nie mogła się powstrzymać i otworzyła teczkę.

Nie było tego dużo. Pożółkłe koperty, na nich stare znaczki, luźne kartki wypełnione drobnym pismem Teresy. I zdjęcia. Zdjęcia Agnieszki. Najpierw jako rozkosznego bobasa, a potem coraz doroślejsze. Roześmiana Agnieszka bez jednego zęba na przodzie. Agnieszka z tornistrem. Agnieszka z Teresą na Gubałówce. Więc jednak coś łączyło Teresę z Małgosią pomimo nieobecności Małgorzaty w ich życiu.

Sięgnęła po pożółkły list.

Małgosiu,

ufam, że u Ciebie wszystko w porządku i że poukładałaś sobie swoje zwichrzone życie. Nie ma dnia, żebym nie pamiętała o Tobie w mojej wieczornej modlitwie. Mocno wierzę w to, że Pan Bóg pobłogosławi Ci za wszystko, co zrobiłaś, tak jak pobłogosławił nam.

Agnieszka rośnie jak na drożdżach. Z każdym dniem staje się rozkoszniejsza. Zupełnie okręciła sobie Romana wokół palca, niczego jej nie potrafi odmówić. Agnieszka gaworzy już po swojemu i próbuje wstawać przy szczebelkach łóżeczka. Gdy się uśmiecha, ma takie rozkoszne dołeczki, z którymi wygląda zupełnie jak mały aniołek. Ona jest naszym małym aniołkiem, zupełnie jak ty, Małgosiu...

Nic z tego nie rozumiała. Dlaczego mama wysyłała Małgorzacie zdjęcia swojej córki i tyle o niej pisała? Kim była Małgorzata dla Teresy, że ta dzieliła się tak intymnymi przeżyciami matki?

Sięgnęła po kopertę z pieczętką z czerwca. Ostatni list mamy. Drżącymi rękami wyjęła cienką, bezcenną kartkę pokrytą dużymi, nierównymi literami. Teresa cierpiała, ale mimo to coś skłoniło ją do napisania tych kilku zdań do Małgosi.

*Małgosiu,
ja umieram...*

Nie mogła czytać dalej. Słone łzy lały się strumieniami. W jednym krótkim zdaniu wróciły miesiące lęku i nadziei, walki i bezsilnego poddania; choroby, która podstępnie i po cichu odebrała jej matkę. Otarła potok, który wylewał się z jej oczu, i doczytała list do końca. „Ona zostanie zupełnie sama. (...) Masz wspaniałą córkę. (...) Zaopiekuj się nią, Małgosiu”.

Słowa wirowały i oplątywały Agnieszkę treścią, której nie rozumiała. Gubiła się w myślach, które przychodziły i odlatywały. Zdjęcia, listy i ona w tym wszystkim, rozsypane części jakiejś całości, której kompletnie nie potrafiła połączyć. Ze zdjęcia spojrzała na nią uśmiechnięta nastolatka o chudych jak patyki nogach i rękach. Agnieszka wpatrywała się w to zdjęcie aż do bólu zmęczonych spojówek. I nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

„Śliczną ma pani córkę”.

„Dlaczego to dla mnie robisz?”. „Bo są tysiące powodów, dla których chcę być blisko ciebie”.

„Zaopiekuj się nią, Małgosiu”.

„Fajnie jest mieć starszą siostrę”.

„Masz wspaniałą córkę”.

Słowa odnalazły swoją treść, a Agnieszka w krótkim ułamku chwili utraciła swoją tożsamość. Już nie wiedziała, kim tak naprawdę jest.

Siedziała w kuchni z rękami opartymi o stół. W dłoniach trzymała kolorowe zdjęcia dziewczynki, która została oszukana przez tych, których kochała najbardziej na świecie.

Małgorzata zamarła w progu. Niecierpliwym ruchem ręki odepchnęła Sabę i powoli usiadła naprzeciwko Agnieszki. Stare krzesło zaskrzypiało pod jej ciężarem. Pusty wzrok Agnieszki palił serce Małgorzaty. Wyciągnęła rękę, ale Agnieszka natychmiast cofnęła swoją.

— Jak mogłaś? Zaufałam ci, a ty... mnie oszukałaś. Tyle lat mnie oszukiwaliście — rzuciła przed siebie zdjęcia i ukryła wzburzoną twarz w dłoniach.

Małgorzata zadrzała, a jej serce po raz kolejny pękało.

— Agnieszko, to nie tak. To nie jest takie proste. Spójrz na mnie, proszę.

Opuchnięte od płaczu oczy i ślady zaschniętych łez na policzkach. Kupka nieszczęścia, którą tak bardzo chciała przytulić.

— Kim jesteś?! — wychrypiała przez zdarte od szlochu gardło.

— Jestem twoją matką. — Od tak dawna chciała wykrzyczeć te słowa, a dziś, kiedy mogła to w końcu zrobić, wyrwały się tylko bezradnym szeptem.

— Nie wierzę ci.

Wierzyła, choć nie chciała. Wiedziała, że Małgorzata mówi prawdę, wyczytała to z listów Teresy i czułych gestów Małgorzaty. Nie umiała sobie z tym poradzić.

— Agnieszko... — Dlaczego Małgorzata nie potrafiła wypowiedzieć prostego zdania? Dlaczego głos grzązł w gardle, a słowa gubiły się po

drodze?

— Dlaczego mnie nie chciałaś?! Dlaczego oddałaś mnie obcym ludziom jak niepotrzebny przedmiot?! Nie pasowałam ci do wystroju wnętrza?! Dlaczego?!

Pozwoliła jej krzyczeć. Wiedziała, że ból, jaki zadała Agnieszce, jest zbyt dotkliwy, aby mogła panować nad niezdrowymi emocjami.

Tylko co miała jej odpowiedzieć? Jak opisać to wszystko, co przeżyły razem z Teresą, w jednym krótkim zdaniu? Bo długiego Agnieszka nie będzie chciała słuchać.

— Zawsze byłaś częścią mnie. Nie mogłam...

— Czy Marek jest moim ojcem?

Pokręciła przecząco głową. Gorzkie łzy spływały wraz z ciemnym tuszem, skapując brudną kroplą na dłonie Małgorzaty.

— On też dowiedział się dopiero teraz, prawda? Wcześniej nie miałaś odwagi mu powiedzieć. Oszukałaś nas wszystkich. Oszukałaś samą siebie. Nienawidzę cię!

— Agnieszko... — Małgorzata jęknęła błagalnie.

Agnieszka wyminęła Małgorzatę i wybiegła z kuchni.

Oczy piekły, a serce bolało. Małgorzata wiedziała, że w tej chwili żadne słowa nie zadośćuczynią Agnieszce krzywdy, którą jej wyrządziła. Wierzyła tylko, że dostanie od Agnieszki szansę, aby jej o tym wszystkim opowiedzieć.

Przeraziła go swoim widokiem. Oczy miała rozbiegane, włosy potargane wiatrem i mokre od listopadowej mżawki. Weszła do sieni, wnosząc ze sobą chłód i ponurość listopadowego wieczoru. Boston rzucił się do niej z głośnym ujadaniem, ale Maciej uspokoił go i wyszedł Agnieszce naprzeciw. W smudze światła padającego z kuchni dostrzegł lży na jej policzkach.

— Wiedzieliście, prawda? Od samego początku wiedzieliście?

Magda wyrzała z kuchni na dźwięk głosu Agnieszki. Uśmiech, którym rozjaśniła się jej twarz, zamarł w połowie, gdy dostrzegła siedem nieszczęść, stojących w wyziębionej sieni, z oskarżycielskim spojrzeniem mrocznych jak listopadowa noc oczu. Stała więc tylko ze ścierką w dłoni i nic nie rozumiejąc, patrzyła to na Macieja, to na Agnieszkę.

— Magda nic nie wie. Ja wiedziałem od dnia, kiedy Małgosia cię tu przywiozła.

— Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

— Dobrze wiesz dlaczego. Tylko Małgosia mogła ci o tym opowiedzieć. Wejdz, przemarzniesz na kość.

Weszła i jak automat zrzuciła z siebie przemoczony płaszcz i buty. Nie miała już siły uciekać przed samą sobą. Pozwoliła więc swojemu zmęczonemu fizycznie ciału na krótki odpoczynek na kuchennej ławie, przy kubku gorącej herbaty, którą bez pytania zaparzyła Magdalena.

Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przyjechała do Nałęczowa. Dlaczego właśnie tu szukała odpowiedzi na pytania, które jak lawina zaczęły cisnąć się do jej głowy. Nie mogła ich powstrzymać, mnożyły się jak zainfekowane, jedno od drugiego. Liczyła na to, że ten dom

na nowo przywróci jej spokój i ukojenie, których raz już tu doświadczyła. Chciała w końcu z kimś porozmawiać, z kimś, kto nie był Małgorzatą.

— Macie psa — zauważyła, kiedy mokry nos wcisnął się w jej dłoń, szukając na niej zapachu Saby.

— W końcu do tego dojrzałem. Adoptowaliśmy go poprzez fundację Lubelski Animals. Boston to mieszanka labradora z Bóg wie czym. Jest młody, ma około dwóch lat. Dużo biedak przeszedł, ale jest ufny i nie żywi urazy do ludzi. Czasami myślę, że powinniśmy się od nich uczyć, od naszych braci pomniejszych... Taa, człowiek to straszne bydlę, a pies i tak obdarza go bezwarunkową miłością.

Gładziła aksamitny czarny łeb i patrzyła w smutne psie oczy. Rany, które kiedyś zadali mu ludzie, już na zawsze w nim pozostaną, ale mimo to jego wierne serce nadal potrafiło kochać.

— Dlaczego ona to zrobiła?

Magdalena krzątała się po kuchni, nastawiając ucha. Jej kobieca intuicja krzyczała, że stało się coś złego, nie mogła jednak zrozumieć nic ze zdań, którymi przerzucali się Agnieszka z Maciejem. Zajęła ręce omletem, który zawsze sprawdzał się w sytuacjach kryzysowych.

— Dlaczego cię oddała? Bo do końca chciała być posłuszną córką i nie zawieść naszego zaufania.

— Byłam nieślubnym dzieckiem. Głupią wpadką, niczym więcej.

— Nie. Byłaś największym skarbem swoich rodziców i zupełnie nie rozumiem, dlaczego biczujesz się w ten sposób. To cię do niczego nie doprowadzi, Agnieszko. Wiem, że masz żal do Małgosi, ale złość, nienawiść i uraza to źli doradcy.

— Pan nic nie rozumie — przestała głaskać psa i spojrzała na Macieja oczami, w których utonął smutek tego świata. — Ja już nie wiem, kim jestem — wyszeptała.

Wyciągnął rękę i ukrył jej drobną dłoń w swoich. Drżała, ale nie odrzuciła jego ciepła tak, jak odrzuciła Małgorzatę.

— Jesteś sobą, Agnieszko, nic się nie zmieniło, ale miałaś w życiu to szczęście, że masz dwie mamy.

Magdalena nie wytrzymała. Odstawiła miseczkę z roztrzepowanymi właśnie żółtkami, wytarła ręce w ścierkę, rzuciła ją na blat kuchenny i spojrzała na Macieja z wyrzutem.

— Czy ktoś może mi w końcu powiedzieć, o co tu chodzi?

Maciej wypuścił dłoń Agnieszki, która umknęła pod stół jak dziki ptak, i wskazał Magdalenie miejsce przy stole. Usiadła powoli, nie spuszczać oczu z męża.

— Chciałbym ci przedstawić, Madziu, naszą wnuczkę. Agnieszka jest córką Małgosi.

— Czyś ty rozum postradał?

Łapała powietrze otwartymi ustami i próbowała powstrzymać atak paniki. Słowa, które do niej dotarły, były jasnym komunikatem, dla niej jednak niezrozumiałym.

— Skrzywdziliśmy własne dziecko naszą nadopiekuńczością i chorymi ambicjami. Od małego we wszystkim musiała być najlepsza, najgrzeczniejsza, posłuszna. Wymyśliliśmy ją sobie, a ona ze wszystkich sił starała się sprostać temu wizerunkowi. A była tylko słabą dziewczyną. I miała uczucia, których nie wzięliśmy pod uwagę. Gdyby nie pomoc obcych ludzi, doszłoby do tragedii. Magdo, przez nasze zasady nasza własna córka nie powiedziała nam nic o swojej ciąży. Dzięki mądrości innych ludzi urodziła piękną i mądrą córkę. I podarowała ją im, bo bała się do nas wrócić z dzieckiem, którego byśmy nie zaakceptowali. I tylko Bóg jeden wie, co wtedy czuła, gdy udawała zwyczajne życie tutaj, podczas gdy jej

serce zostało brutalnie rozerwane i zostało tam, gdzie zostawiła dziewczynkę.

— W Pucku... — wyszeptała Agnieszka.

— To nas powinnaś winić za wszystko. Małgosia nie podjęłaby takiej decyzji, gdyby nam bardziej ufała, gdyby uwierzyła, że potrafimy to zrozumieć. Ona podjęła najśluszniejszą decyzję ze wszystkich, ty dostałaś w prezencie najlepszych rodziców, a my do końca życia pozostaniemy z tym wstydem i grzechem zaniedbania wobec własnej córki i wnuczki.

Magdalena siedziała ze spuszczonej ramionami i szarą twarzą. W ciągu kilku minut przybyło jej lat i opuściła ją cała chęć życia. Wciąż nie chciała uwierzyć w okrutne słowa Macieja, ale wszystko wewnątrz niej skręcało się z palącego wstydu. Ona, lekarz, niczego nie dostrzegła. Tak wiele z siebie dawała swoim pacjentom, tyle czasu im poświęcała, że zupełnie zapomniała o tym, że jej własna córka też potrzebuje jej czasu i opieki, bez względu na to, ile miała lat.

— Porozmawiaj z Małgosią, Agnieszko. Ona ci wszystko najlepiej wyjaśni. — Maciej poklepał dziewczynę po rozgrzanej kuchennym ciepłem ręce. — Twój pokój na górze czeka na ciebie. Prześpij się trochę, to był trudny dzień.

Podniósł się, żeby nie krępować jej swoją obecnością. Wychodząc z kuchni, zawrócił jednak i spojrzał na dziewczynę ze smutnym uśmiechem.

— Nie mów już do mnie per pan. Jestem twoim dziadkiem.

Rozdział XIII

PUSTKA

1

Pustka w tym wymarłym pokoju kłuła niemiłosiernie. Agnieszka zabrała swoje rzeczy i wyprowadziła się nie wiadomo dokąd, zostawiając po sobie nieskazitelny porządek. Wykorzystała czas, kiedy wszyscy rozeszli się do swoich obowiązków. Szkoła, praca, kancelaria. Małgorzata mocowała się z jakąś szemraną sprawą, którą emocjonował się Gordon, a w tym czasie jej córka cichutko spakowała swoje rzeczy i zniknęła z ich domu tak nagle, jak się pojawiła. Klucze przyniosła im sąsiadka.

Małgorzata nie chciała osaczać Agnieszki, nachodzić jej w pracy ani wypytywać Kuby. Wiedziała, że jej córka potrzebuje czasu, ale modliła się, żeby ten czas nie wytarł zupełnie wspomnień związanych z Małgorzatą.

Agnieszka miała prawo znieawidzić Małgorzatę, ale ona miała prawo do swojej mowy obronnej. I dla tego czekała na swoją szansę. Ale to bezsilne czekanie było niezmiernie trudne.

Siedziała na brzegu łóżka i wdychała delikatny zapach drzewa różanego. Bolało tak jak boli dół po zębie, którego już nie ma, ale żywa tkanka łącząca niteczkami nerwów usunięty korzeń wciąż o nim pamięta i pulsującym spazmem przypomina o obecności nieobecnego. Marek wsunął się cicho przez uchylone drzwi i usiadł obok Małgorzaty. Jego też uderzyła ta pustka i cisza w domu, który żył dotąd swoim zwykłym codziennym rozgardiaszem. Nawet to zabrała ze sobą Agnieszka.

— Jak mogę ci pomóc, Gosia?

Pokręciła bezradnie głową, wpatrzona tępo w martwy punkt przed sobą. Nieśmiało dotknął jej ramienia.

— Powiesz Sylwii?

Pokiwała głową i popatrzyła na niego. Niebo w jej oczach było tak smutne, jak ten listopadowy dzień za oknem.

— Nie chcę już żadnych tajemnic, zbyt wielu ludzi przez to ucierpiało.

— Będę przy tobie, Małgosiu. Teraz już będę.

Wtuliła się w niego mocno i pozwoliła płynąć łzom. Silne ramiona Marka były bezpieczną przystanią, w której szukała schronienia przed samą sobą i wyrzutami sumienia, z którymi nie umiała już sobie poradzić.

Robert Wieniawski pojawił się w restauracji wściekły jak osa. Prace w Wilanowie wlekły się niemiłosiernie. Ekipa, którą wynajął z polecenia, była może i dokładna, ale dopieszczając każdy najdrobniejszy szczegół, robiła to powoli. Zbyt wolno dla Roberta, który był człowiekiem czynu, a do tego rozesłał już zaproszenia na wielkie otwarcie Staroszlacheckiego Dworu w Wilanowie w wieczór andrzejkowy. Śmietanka towarzyska warszawskich artystów, celebrytów, polityków i prawników już szykowała kreacje i przygotowywała swoje wielkie wejście na salony, a tymczasem w lokalu wciąż trwał remont. Doprowadzało to Roberta do szewskiej pasji, którą wyładowywał na swoich pracownikach.

— Kto ma dzisiaj dyżur w toaletach? W męskiej syf, że wejść się nie da. W szatni trzeba umyć podłogę, czy wy tego nie widzicie? Wszystko wam trzeba palcem pokazywać? I co, kurwa, te manele robią w gospodarczym? Czy to jest jakiś burdel, czy porządna restauracja?

Pan Janusz zbladł i zabijał teraz swoich podwładnych ciężkim spojrzeniem. Karolina pobiegła do toalety, za którą była dzisiaj odpowiedzialna, a Agnieszka po prostu usiadła przy stoliku, przy którym polerowała sztukę, i wybuchnęła głośnym szlochem. Napięcie, które trzymało ją przez ostatnie dwa dni, puściło i wypływało teraz spazmami płaczu.

Robert patrzył na nią bezradnie. Nigdy nie umiał radzić sobie z babskimi łzami, a ta mu tutaj znowu szopkę odstawia. Chwycił Agnieszkę za rękę i pociągnął za sobą do gabinetu. Tam podał jej chusteczkę, nalał szklanek wody mineralnej i posadził na obrotowym fotelu. Sam stanął po drugiej stronie biurka, a dłonie oparł o blat.

— Przestań już się, kurwa, mazać. Nic więcej nie potrafisz, tylko ryczeć w kryzysowych sytuacjach?

— Przestań się przy mnie tak wyrażać. Nie toleruję przekleństw u nikogo.

— Przestań mi stawiać warunki, w końcu to ty pracujesz dla mnie, a nie odwrotnie.

Uspokoila się i spojrzała na niego z gniewnym błyskiem w oku.

— Wczoraj nie było cię w pracy i nikogo o tym nie poinformowałaś. Powinienem wyrzucić cię za to z pracy bez pytania.

— Przepraszam — spuściła głowę. — Sprawy rodzinne.

— Co się dzieje? Skąd te manele i co one tu właściwie robią?

— Nie mam gdzie mieszkać. Musiałam się wyprowadzić z dnia na dzień i nic sobie jeszcze nie znalazłam. Nie mam co zrobić z rzeczami, dlatego upchnęłam je w gospodarczym. Tak bardzo ci przeszkadzają?

— Agnieszka, zlituj się! To nie jest przechowalnia bagażu ani hotel. Spać też tutaj zamierzasz?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

— Przyznam, że rozważałam taką możliwość.

— Mowy nie ma! — krzyknął, aż podskoczyła przestraszona, a potem sięgnął do kieszeni i rzucił na biurko kluczyki do samochodu.

— Idź i włóż te klamoty do bagażnika. Przenocujesz dziś u mnie, a jutro coś wymyślimy.

Patrzyła na niego nieporuszona. Źle się czuł, gdy tak wbijała w niego to mroczne spojrzenie.

— Nie patrz tak na mnie, krępuję się.

— Dlaczego to robisz? — spytała cicho.

Zmrużył oczy i, patrząc w ten mrok przed sobą, odpowiedział:

— Bo nie chcę, żeby sanepid zamknął mi lokal, tylko dlatego, że moja kelnerka nie ma gdzie mieszkać.

Przeciągnęła się i przewróciła na bok, układając wygodnie na powleczonej satynie poduszce. Spała jak zabita. Zbawienny sen wyłączył jej świadomość na długie godziny, podczas których nic nie czuła, niczego nie analizowała, po prostu jej nie było. Ponury poranek oddał jej to wszystko, od czego chciała uciec. Nie miała gdzie mieszkać, nie wiedziała, kim jest, została sama, bo zawiedli ją ci, którym ufała.

Nie mogła zostać w Nałęczowie, chociaż Maciej ją do tego namawiał. Musiała nabrać dystansu do nich i do samej siebie. A przede wszystkim nie chciała spotkać Małgorzaty. Miała do niej tyle żalu i bezsilnej złości za to, że najpierw oswoiła ją jak dzikie zwierzątko, a potem zadała ból, którego nic nie będzie już w stanie zaleczyć. Agnieszka jej zaufała, odnalazła swoje miejsce w ich rodzinie, a potem została brutalnie wyrwana ze swojego życia jak młoda roślinka z korzeniami. Wszystko, w co dotąd wierzyła, straciło sens w tym jednym zdaniu: „Jestem twoją matką”.

Nie potrafiła spojrzeć na to oczami Kuby. Przybiegła do niego tuż po powrocie z Nałęczowa. Chciała go prosić, aby pomógł jej przenieść rzeczy. Była rozzalona i potrzebowała jego wsparcia i zrozumienia. Napotkała zimny racjonalizm i zdrowy rozsądek. Kuba był mężczyzną, nie myślał uczuciami, a ona potrzebowała w tej chwili sprzymierzeńca, który murem stanie za nią.

— Ty nic nie rozumiesz, Kuba — zaciskała zęby, żeby nie wybuchnąć i nie nawrzeszczyć na niego.

— Rozumiem, Aga. Oszukali cię, OK. Ale popatrz na to inaczej. Małgorzata miała tyle odwagi, żeby przyznać się do błędu. Dała ci dom, bo cię kocha. Jesteś dla niej ważna i chce cię odzyskać. Nie jesteś na świecie

sama, masz prawdziwą rodzinę. To nie są już obcy ludzie, którzy w potrzebie wyciągnęli do ciebie pomocną dłoń, to twoja rodzina. Rozumiem, że jesteś rozżalona i wściekła na Małgorzatę, ale nie załatwiaj tego w ten sposób.

— A jak według ciebie powinnam to załatwić?

— Ochłoń najpierw, a potem jej wysłuchaj. Wtedy ją osądzisz.

— Nie chcę jej więcej widzieć! — Była tak wściekła, że miała ochotę rzucić w niego glinianą misą z owocami stojącą na blacie baru.

— Pamiętaj, że krzywdzisz nie tylko Małgorzatę. Pomyślałaś o młodej? Zostawisz ją, ot tak, bez słowa i po prostu znikniesz?

— Potrzebuję czasu, Kuba.

— Więc daj go sobie, ale nie wyprowadzaj się od razu. Jeśli chcesz, możesz się zatrzymać u mnie. Co prawda ciasno w tej naszej dziupli, ale jakoś się z Piotrkim pomieścimy.

— Nie zostanę tam ani dnia dłużej. Szczerze mówiąc... liczyłam na twoją pomoc — przygryzła zębami koniuszek kciuka, aż zabolalo.

— Ale ja ci tej pomocy nie odmawiam. Tylko uważam, że działasz zbyt pochopnie. Masz — wyjął z kieszeni klucze i położył je na blacie. — Jedź do mnie i zobacz, czego będziesz potrzebowała. A potem wrócimy na Marszałkowską, zabierzemy niezbędne rzeczy i powiemy Małgorzacie, że potrzebujesz czasu i oddechu. Przecież ona będzie się o ciebie martwić.

— Nic mnie to nie obchodzi.

Popatrzył na nią z troską.

— Nie poznaję cię, Aga. To nie jesteś ty.

Skrzywiła się.

— Ja już sama nie wiem, kim jestem. Schowaj to — przesunęła w jego stronę klucze. — Poradzę sobie.

Teraz nie była już tego taka pewna. Nowy dzień przywrócił jej przytomność umysłu, ale nie podsunął rozwiązania. Najchętniej zostałaaby na tej poduszce na wieki. Miała ochotę zakopać się głęboko i odizolować od świata warstwą satyny i nieistnieniem. Nie miała siły kolejny raz udowodniać samej sobie, że jest silna i ze wszystkim sobie poradzi. Była słaba i chciała poddać się tej słabości i pozwolić, aby ktoś się nią zaopiekował.

— No, księżniczko, może byś już w końcu wstała?

Drgnęła przestraszona. Świadomość wróciła w pełni. Była w mieszkaniu Roberta, a za chwilę będzie musiała się zmierzyć z jego ironicznym spojrzeniem pełnym wyższości i ciętym dowcipem. A jej wcale nie było do śmiechu.

Weszła do kuchni otulona jego grubym szlafrokiem. Na wysokim blacie kusząco pachniały świeżo zrobione grzanki, z ekspresu wydobywał się aromat parzonej kawy. Robert krzątał się po pomieszczeniu z wprawą zadomowionego singla, od czasu do czasu rzucając jej swój filmowy uśmiech.

— Jeśli mogę pokaprysić, to wolałabym herbatę. Kawa tak rano mi nie wchodzi.

— Nie dość, że dałem ci dach nad głową, to jeszcze marudzisz.

— Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna za to, co zrobiłeś, i doceniam twój gest. Dzisiaj postaram się coś znaleźć i zabrać od ciebie rzeczy jak najprędzej.

Podszedł do niej blisko i uwięził, przyciskając do blatu rękami.

— A kto mówi, że masz się wyprowadzić? Dopiero co się wprowadziłaś, pomieszkaj tu trochę.

Czuła się niezręcznie z jego oddechem tuż nad sobą. Nie wiedziała, czy Robert jeszcze żartuje, czy już robi się poważnie. Spojrzała na niego,

próbując odepchnąć go mrokiem swoich źrenic.

— Nie mogę ci siedzieć na głowie.

— Moje mieszkanie jest duże, z łatwością możemy się tu mijać, nawet nie zauważając swojej obecności. Znajdziesz coś, to się wyniesiesz, a na razie możesz zostać tutaj. Pomożesz mi przy organizacji otwarcia Staroszlacheckiego Dworu w Wilanowie, przynajmniej nie będę ci musiał płacić za nadgodziny — uśmiechnął się i odsunął od niej. Z ulgą wypuściła powietrze.

— Dziękuję — wyszeptała.

Delikatnie podniósł jej brodę do góry i zmusił, żeby na niego spojrzała.

— Co się dzieje, Aga?

— Nie chcę o tym mówić. Moje życie zawało się jak domek z kart. A ja myślałam, że jak wyrastasz w rodzinie, to budujesz na skale. — To ostatnie zdanie dodała już ciszej, jakby do samej siebie.

— No, nie powiem, że dużo z tego zrozumiałem. Chcesz kilka dni urlopu?

Szybko pokręciła głową.

— Wykluczone. Muszę czymś zająć umysł i rękę. Moja mama zawsze mówiła, że jak nie ma roboty, to w głowie głupoty.

Dopiero jak wypowiedziała to zdanie, dotarł do niej jego sens. Moja mama. Tylko która? I czy znając prawdę, wciąż miała prawo nazywać Teresę mamą?

— I słusznie mówiła — głos Roberta doszedł do niej jakby z innego świata. — O której zaczynasz zmianę?

— O osiemnastej.

— A pojedziesz ze mną wybrać materiał na kotary? I tak miałem cię o to prosić, w końcu sama to zaprojektowałaś.

— Dasz mi chwilę? Ogarnę się tylko.

— Dam ci całą masę czasu, chociaż, nie powiem, bardzo apetycznie wyglądasz w tym szlafroku.

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem i pogroziła palcem.

— Pamiętaj, że to wyłącznie układ służbowy.

— Jasne — uśmiechnął się i oblizał łakomie.

Agnieszka popukała się palcem w czoło, odwróciła na pięcie i zniknęła w łazience na dobre pół godziny.

Małgorzata weszła do mieszkania, próbując uspokoić serce, które przyśpieszyło. Powtarzało się to z każdym powrotem do domu. To głupie serce żyło nadzieją i oczekiwaniem. Z każdym stopniem pokonywanych schodów podsuwało Małgorzacie obraz, którego pragnęła. Agnieszka krzątająca się po kuchni i przygotowująca te swoje popisowe placki po zbójnicku, którymi obłaskawiła Marka nie wiadomo kiedy. Agnieszka i Sylwia, roześmiane i przekomarzające się ze sobą. Agnieszka zbiegająca po schodach razem z Sabą śpieszącą na swój wyczekiwany spacer. Agnieszka z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach i rozmarzonym spojrzeniem, kiedy wpatrywała się w okno ciemnej kuchni nieświadoma tego, że Małgorzata ją obserwuje.

Widziała to wszystko, otwierając drzwi cichego mieszkania. I serce też to widziało, dlatego wyrywało się jak szalone, jakby chciało jeszcze przed Małgorzatą pobiec i sprawdzić wszystkie pokoje. A potem zakłuć boleśnie, znów rozczarowane nieobecnością Agnieszki. Takie już było to głupie serce, a Małgorzata nic na to nie mogła poradzić. Nie miała na nie wpływu.

Siatka z zakupami ciężko opadła na podłogę, ręka machinalnie pogłaskała psi łeb. Małgorzata z westchnieniem sięgnęła po smycz. Dźwięk kolczatki spowodował radosny taniec krótkiego ogonka. Saba przeciągnęła się leniwie, dając tym do zrozumienia, że jest gotowa na spacer. Jak zawsze.

— Mamo... — cichy głos Sylwii zatrzymał Małgorzatę w progu.

Spojrzała na córkę pytająco.

— Saba była na spacerze. Wróciłyśmy pół godziny temu.

Dławiąca kula w gardle Małgorzaty zacisnęła się niebezpiecznie. Zamrugała, aby nie wypuścić ani jednej wilgotnej kropli, i powoli zdjęła z siebie płaszcz.

— Dziękuję — jej głos zabrzmiał chropowato, zupełnie jakby nie był jej.

— No co ty, przecież to także mój pies, prawda? — Sylwia podeszła do Małgorzaty i na krótką chwilę przytuliła się do matki.

— Ktoś cię podmienił?

Odskoczyła od Małgorzaty jakby zawstydzona tą chwilą słabości.

— Nie, po prostu jestem głodna, a dobrze wiesz, że moja twórcza obecność w kuchni grozi katastrofą. Wolałam więc wyjść z psem, żebyś od razu mogła zająć się obiadem.

— Uff, naprawdę jesteś moją Sylwią. A już zaczynałam się martwić.

Sylwia wykonała swoją ulubioną minę typu: „Bardzo śmieszne”, odwróciła się i zniknęła w swoim pokoju, a Małgorzata wypchnęła nos Saby z siatki i skierowała się do kuchni.

Powoli wykladała zakupy na kuchenny stół. Ostatnio nie rejestrowała większości czynności. Wykonywała je z pamięci. Zupełnie nie mogła się skupić na tym, co robi. W sklepie błądziła między półkami, starając się wkładać do koszyka to, co zazwyczaj. Obojętnie mijała promocje i hostessy namawiające ją na reklamowane produkty. Jej świat stracił barwy i smutniał coraz bardziej, a ona sama nie potrafiła nic na to poradzić.

— Pomóc ci? — Za plecami usłyszała głos Sylwii.

Uśmiechnęła się do córki.

— Jeśli chcesz.

Dwie kobiety zjednoczone przy wspólnym przygotowywaniu posiłku. Czynności prozaicznej, ale zbliżającej ludzi do siebie.

Małgorzata czuła, że Sylwii również brakuje Agnieszki. Dostrzegła tę stopniową zmianę córki. Jej wyciszenie, częstsze zagadywanie Małgorzaty czy Marka, potrzebę bycia blisko. Z jej pokoju nie dobiegała już dudniąca muzyka, tylko znacznie spokojniejsze kawałki, którym Małgorzata czasami przysłuchiwała się z ciekawością. Rzeczy nie poniewierały się po podłodze, tylko znalazły swoje miejsce na półkach, w szafkach lub szufladach. Biurko mniej więcej nadawało się do pracy, chociaż lekcje Sylwia nadal odrabiała na łóżku, zazwyczaj niepoślanym.

Cicha i tak mało natrętna obecność Agnieszki odcisnęła swój ślad na każdym z nich i Małgorzata czuła, że nie jest jedyną osobą w tym domu, która tak strasznie tęskni i niczym nie potrafi wypełnić pustki po Agnieszce.

— Mamo... — Sylwia kroїła pomidora na sałatkę. Nie patrzyła na Małgorzatę. Całą uwagę skupiła na czynności krojenia, tak jakby od grubości plasterków zależało co najmniej to, czy obiad się uda, czy też nie będzie nadawał się do jedzenia. — Dlaczego Aga się wyprowadziła?

Małgorzata wiedziała, że to pytanie kiedyś padnie, ale mimo tej świadomości wcale nie była bardziej gotowa na odpowiedź. Nie mogła jednak dłużej okłamywać Sylwii. Już nie.

— Kochanie, odłóż to i usiądź — delikatnie wyjęła z ręki córki nóż i wskazała na krzesło obok siebie.

Jasny błękit przejrzystych oczu spojrzał na nią pytająco.

— Coś się stało, tak?

Małgorzata usiadła blisko córki i nakryła jej drobną dłoń swoją ręką.

— Agnieszka odeszła, bo ją okłamałam. Wszystkich was okłamałam. Ja... po prostu nie wiedziałam, jak mam wam to powiedzieć.

— O czym ty mówisz, mamo?

Zdobyła się na tyle odwagi, żeby popatrzeć córce prosto w jej ufne błękitne oczy.

— Agnieszka jest moją córką. Jest twoją siostrą. Nie wiedziała o tym. Nikt o tym nie wiedział, z wyjątkiem mnie i jej rodziców. — Zamilkła na chwilę, a potem dodała cicho. — Jej adopcyjnych rodziców.

Sylwia pokręciła głową z niedowierzaniem, a potem zdmuchnęła z czoła grzywkę, która ją drażniła.

— O ja cię — tyle tylko była w stanie powiedzieć. Patrzyła na Małgorzatę i próbowała jakoś zrozumieć to, co usłyszała.

— Więc o to pokłóciliście się z tatą, tak?

— Tak.

— Bo tato nie jest ojcem Agnieszki?

Małgorzata pokręciła przecząco głową.

— A kto jest?

Małgorzata mimowolnie się uśmiechnęła.

— A czy to takie ważne?

— Nie, pod warunkiem że ten człowiek nie jest dla ciebie ważny. W końcu łączy was wspólne dziecko.

— On nawet o tym dziecku nie wie. Nie zdążyłam mu powiedzieć, bo wyjechał i nigdy więcej go nie widziałam.

Sylwia zamilkła chwilę, a Małgorzata pomyślała, że ma naprawdę mądrą córkę. Reakcja Sylwii zaskoczyła Małgorzatę. Oczekiwała raczej histerycznego niedowierzania lub pełnego wyrzutów „jak mogłaś?”, a tymczasem dostała pełne ciekawości przesłuchanie.

— Lubię Agnieszkę. I wiesz... naprawdę chciałam mieć taką siostrę.

Małgorzata dotknęła ciepłego policzka córki i się uśmiechnęła.

— Bardzo cię kocham, wiesz?

Sylwia spojrzała na nią trochę zmieszana i lekko zawstydzona.

— Wiem — spuściła głowę i odkleiła zaschnięta skórkę pomidora od kuchennej ceraty. — A Agę też kochasz?

— Tak.

Sylwia pociągnęła nosem.

— Dlaczego nawet ze mną nie porozmawiała? Przecież ja jej nie okłamałam. Jest wściekła na ciebie, OK, rozumiem. Ale ja? Wydawało mi się... że mnie lubi — dokończyła cicho.

Małgorzata założyła jasne pasemko włosów Sylwii za ucho i popatrzyła na córkę z czułością, której nie potrafiła ukrywać.

— Lubi cię, kochanie. Bardzo cię lubi. Agnieszka... ona po prostu nie chciała cię zranić. O niczym nie wiedziałaś, więc jak mogłaby wytłumaczyć ci swoje nagłe odejście? Odezwie się do ciebie, na pewno się odezwie. Tylko dajmy jej czas.

— Dokąd ona poszła? Przecież oprócz nas nikogo tutaj nie ma. Myślisz, że jest u Kubby?

— Nie wiem, skarbie. I nie będę jej szukać, skoro ona tego nie chce. Wierzę tylko, że da mi szansę wytłumaczyć wszystko. I że, być może... zrozumie.

— Nie martw się, mamo, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Ciepłe i chude ramiona Sylwii objęły Małgorzatę. Już nie pamiętała, kiedy jej mała dziewczynka tak się do niej przytulała. Wzruszona mocno wtuliła się w córkę, wierząc, że nadejdzie dzień, kiedy znów zobaczy je obie razem. Swoje córki. Siostry.

Dzień po dniu plótł się ponurymi porankami z ciemnością za oknem, towarzysząc elektryzującemu dźwiękowi budzika w komórce, i równie ponurymi wieczorami, które Agnieszka znosiła coraz trudniej. Codziennie wracała do domu, w którym nikt na nią nie czekał. Jej życie wypełniła pustka, która wydrążyła ją ze wszystkich uczuć i emocji. Teraz działała jak automat. Rano zajęcia, wieczorem praca w restauracji. Dużo czasu poświęcała na wyszukiwanie drobiazgów mających złożyć się na całość przepychu wilanowskiego Dworu. Pomagała Robertowi, chcąc postawić kropkę nad i przy swoim pierwszym tak dużym projekcie, ale jednocześnie w ten sposób chciała odwdzińczyć się za to, że to właśnie on wyciągnął do niej rękę wtedy, gdy znalazła się w potrzasku własnej bezsilności.

Zadzwoiła do biura Antoniego Kruszyńskiego i wytłumaczyła, że pracę będzie mogła podjąć dopiero od nowego roku, gdyż jej bieżące sprawy nieco się skomplikowały. Zrozumiał, nie wnikał w szczegóły i o nic nie pytał. Zapewnił tylko, że zespół na nią czeka i że bardzo liczą na współpracę. To było miłe. Agnieszka miała poczucie, że jej umiejętności mają dla kogoś znaczenie, a przez to ona sama poczuła się ważna.

Nie mogła teraz zostawić Roberta i zawiadomić go, że odchodzi z pracy. Nie po tym, co dla niej zrobił. Czuła się wobec niego zobowiązana, zwłaszcza że wolnego pokoju w rozsądnej cenie wcale nie było tak łatwo zdobyć.

— Moja współlokatorka planuje przeprowadzkę do swojego chłopaka, ale już się wyprowadza od dwóch miesięcy. Tak czy inaczej, jeśli tylko zwolni się miejsce, dam ci znać. — Karolina trzymała rękę na pulsie, a Agnieszka żyła nadzieją.

Na uczelni też podpytywała, ale listopad to nie był najlepszy miesiąc na szukanie mieszkania do wynajęcia. Nie powiedziała Kubie, że mieszka u Roberta. Nie rozumiałby, tak jak nie rozumiał jej potrzeby wyprowadzenia się od Dobrowolskich. Widywali się przelotnie. Obowiązków i zajęć przybywało, a czas podejmowany codziennie z banku życia nie wystarczał na pokrycie wszystkich zamierzonych czynności. Kuba miał swoje studia i Poetkę; Agnieszka zajęcia, wykłady, restaurację i otwarcie lokalu w Wilanowie. Mijali się i tak było dobrze, przynajmniej na razie.

Co do jednego musiała przyznać mu rację. Opuściła Sylwię. Zostawiła ją bez słowa wyjaśnienia i w niczym nie okazała się pod tym względem lepsza od Małgorzaty. Sylwia zaufała Agnieszce, otworzyła się przed nią i wpuściła do swojego dobrze strzeżonego nastoletniego świata, a ona po prostu uciekła. Wiedziała, że musi to naprawić teraz, zanim będzie za późno.

Umówiły się u Bliklego na Nowym Świecie. Agnieszka przyszła wcześniej. Chciała przez dłuższą chwilę posiedzieć, przestać dokądś gnać i coś załatwić. Potrzebowała chwili wyciszenia, zapatrzenia w obojętnie mijających ją ludzi za oknem stylowej kawiarni. Popijała nieśpiesznie swoje ulubione latte i chłonęła ten moment błogiego „nicnierobienia”. Była zmęczona. Ostatnie trzy tygodnie nieźle dały jej w kość. Nie myślała o przyszłości. Żyła dniem dzisiejszym, wypełniając go zajęciami do granic swoich możliwości, ale powoli przestawała sobie radzić.

Dostrzegła Sylwię w tłumie płynących Nowym Światem przechodniów. Typowa nastolatka, przygarbiona, z rękami w kieszeniach dzinsów i iPodem w uszach. Przewieszona przez ramię czarna materiałowa torba obijała się o udo dziewczyny przy każdym jej kroku. Jasne kosmyki włosów wystawały spod czapki, której na szczęście Sylwia nie wstydziała się nosić.

Agnieszka uśmiechnęła się sama do siebie. Brakowało jej tej małej. Teraz dopiero uświadomiła to sobie tak bardzo wyraźnie.

— Cześć. — Sylwia wyjęła słuchawki z uszu i z głośnym klapnięciem opadła na krzesło.

— Cześć. Fajnie cię widzieć.

— Ciebie też — przez chwilę patrzyła na Agnieszkę spod opadającej na oczy grzywki. — Schudłaś.

— Może trochę. Nie mam czasu jeść.

— No to zamówmy coś kalorycznego i bardzo pysznego.

Agnieszka złożyła zamówienie, a potem z nieśmiałym uśmiechem spojrzała na Sylwię.

— Już wiesz?

Dziewczyna skinęła głową. Była bardzo poważna i Agnieszka uświadomiła sobie, że taką Sylwię widzi po raz pierwszy. Spotykała już Sylwię rozkapryszoną i nadąsaną; krzykliwą i opryskliwą; przejętą i zagubioną, ale takiej jak dziś jeszcze nie poznała. I nie wiedziała, czy to dobry znak.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Nie napisałaś nawet esemesa.

— Co miałam ci powiedzieć? Przecież ty też o niczym nie wiedziałaś.

Przez chwilę milczały, a potem Sylwia zaczęła mówić, szybko i chaotycznie, jakby się bała, że Agnieszka nie wysłucha jej do końca, tylko odejdzie i na nowo zniknie z jej życia.

— Najpierw byłam na ciebie wściekła. O tylu rzeczach ci mówiłam, przed nikim nie otworzyłam się tak bardzo, jak przed tobą. Obiecałam sobie, że nawet jak zadzwonisz, nie będę chciała z tobą rozmawiać. Zignoruję cię, tak jak ty zignorowałaś mnie. Ale potem... przypomniałam sobie te wszystkie dni, które spędziłyśmy razem. Nasze rozmowy, spacery z Sabą, wspólny wyjazd do dziadków. I spróbowałam wyobrazić sobie, co ja bym czuła, gdybym dowiedziała się, że mama nie jest tak naprawdę moją mamą, a rodzina, w której się wychowałam, była tylko takim bawieniem się w dom. Też nie mogłabym tam zostać i pewnie uciekłabym tak jak ty. Ale... brakuje nam ciebie, Aga. Mama już się nie uśmiecha, tato nie wie, jak jej pomóc. Saba łązi po kątach i węszy. Wszędzie szuka ciebie. A ja... powinnam być najszczęśliwszą piętnastolatką na świecie, bo jestem dziewczyną Eryka, wow, ale... to wcale nie cieszy, kiedy nie ma się tym z kim podzielić. Strasznie za tobą tęsknię. Tak strasznie, że jestem w stanie oddać ci pół mojego pokoju, żebyś tylko wróciła.

Agnieszka czuła, jak drży jej warga. Zamrugła oczami, aby odgonić napływające łzy, i spojrzała na Sylwię z wdzięcznością.

— Naprawdę chodzisz z Erykiem?

Sylwia pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Ja ci oddaję swój pokój, a ty mi tu o Eryku.

Agnieszka się uśmiechnęła.

— Pod jednym względem jestem szczęściarą. Mam mądrą i zupełnie fajną siostrę.

— A wiesz, to zupełnie tak jak ja. Wrócisz do domu?

Agnieszka dotknęła delikatnie dłoni Sylwii i nakryła ją swoją.

— Nie mogę. Nie umiem. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale... nie umiem się w tym odnaleźć. Czuję się tak, jakbym zgubiła samą siebie, i dopiero jak odnajdę tę Agnieszkę, którą byłam, którą jestem, będę wiedziała, co dalej. Na razie trwam. I szukam.

— Wybaczysz kiedyś mamie?

Agnieszka zapatrzyła się na listopadową szarość za oknem. Tutaj, w środku, łagodziły ją nastrojowe światła kawiarni, ale na zewnątrz panowały chłód i wilgoć.

— Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie. Może kiedyś. Gdy to wszystko nie będzie już tak boleć. Albo kiedy zdołam to zrozumieć — odpowiedziała cicho, wciąż zapatrzona na listopad we mgle.

— Zawsze chciałam mieć starszą siostrę. Kurczę! Gdybym wiedziała, że marzenia tak łatwo się spełniają, prosiłabym o Pattinsona, a nie o Eryka.

— Eryk jest w porzo. Tylko nie zawał nauki, miłość potrafi być jak narkotyk.

— Zupełnie jakbym słyszała matkę.

— Widocznie mamy ze sobą coś wspólnego. To przecież te same geny.
— Agnieszka żartowała, ale w środku piekło i bolało.

— Znowu znikniesz na tak długo?

Agnieszka spojrzała prosto w niebieskie oczy Sylwii.

— Nie zniknę. Obiecuję. Będę dzwonić, pisać i spotykać się z tobą na kalorycznym ciastku. Chcę być w twoim życiu, siostrzyczko.

— Nic już nie będzie takie jak przedtem, prawda? — spytała smutno Sylwia.

Agnieszka dotknęła żartobliwie czubka nosa dziewczyny.

— Przedtem nie wiedziałyśmy, że jesteśmy siostrami.

— Ale teraz już wiemy. I muszę przyznać, że to mi się całkiem podoba.

— Mnie też.

Zegar przeskoczył do przodu, za oknem panowała jesienna szarówka. W tej wyrwanej codzienności chwili bliskości Agnieszka pomyślała, że za to powinna być Panu Bogu wdzięczna. Nie była na tym świecie sama. Miała siostrę.

— Jestem padnięty. — Robert z ciężkim klapnięciem opadł na obity białą skórą fotel, położył głowę na oparciu i przymknął oczy. — Po cholere wymyśliłem otwarcie z taką pompą?

— Bo sam jesteś pompatyczny i zarozumiały, a poza tym chcesz zagrać konkurencji na nosie. To w końcu o tobie mówi teraz cały warszawski świat. I jeszcze długo po otwarciu będzie mówił. — Agnieszka siedziała na kanapie w salonie Roberta. Zwinęła się w kłębuszek i próbowała wykorzystać kradzione chwile i przygotować się do zaliczenia z historii fotografii.

— Musisz zawsze być taka szczerą?

— Pytasz, więc odpowiadam. Za dużo na siebie wzięłaś. Trzeba było zrobić otwarcie dopiero w Boże Narodzenie.

— W Boże Narodzenie o tym lokalu będzie głośno nie tylko w Warszawie. Zamieściłem na stronie Dworu ofertę sylwestrową, a po godzinie miałem już pierwsze rezerwacje. To będzie to, Aga. Czuję to.

— Zasłużyłaś na to — przeciągnęła się leniwie. — Zrobić ci coś do jedzenia?

Popatrzył na nią mile zaskoczony.

— Jak ja dotąd żyłem bez ciebie?

Roześmiała się.

— Nie przyzwyczajaj się. Cały czas szukam mieszkania. Pamiętaj, że to tylko tymczasowe.

Wstała z kanapy i wśliznęła się za bar w aneksie kuchennym.

— Tak ci źle ze mną?

— Nie, ale paraliżuję ci życie osobiste. — Wyjęła z lodówki masło, ser i wędliny i zabrała się do przygotowania kanapek.

— Nie mam teraz czasu na życie osobiste, a poza tym możemy połączyć jedno z drugim.

Popukała się palcem w czoło i rzuciła mu drwiące spojrzenie.

— Nie wytrzymałbyś ze mną. Mam podły charakter.

— A ja złote serce. Przygarniam nawet bezdomnych.

Agnieszka się uśmiechnęła. Robert umiał sprawić, że zapomniała o żalu i goryczy. Przy nim wszystko było takie proste, nieskomplikowane. Niewiele o niej wiedział i była mu wdzięczna za to, że nie pytał. Dzięki temu, że nie wiedział, nie udzielał jej rad, których nie chciała słuchać. Egzystowali obok siebie, dobrze się czując w swoim towarzystwie. Ten układ na razie odpowiadał im obojgu.

— Przywieźli próbki obrusów?

Pokręciła przecząco głową.

— Kurczę, człowiek chce wydać u nich swoje pieniądze, a oni nawet nie potrafią tego docenić. Co się dzieje z tym narodem?

— Kapitalizm poprzewracał mu w głowie. Tobie zresztą też. Po co ci takie duże mieszkanie? — Postawiła na barze talerz z kolorowymi kanapkami i nalała do szklanki świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Robert nie pijał herbaty, a ona nie potrafiła tego zrozumieć, bo sama była namiętą herbaciarą.

— Bo lubię przestrzeń i porządek. A w dużym mieszkaniu łatwiej nad nim zapanować.

— A ja lubię stare kamienice. Przynajmniej mają duszę. Te nowoczesne apartamentowce są pozbawione wszelkich emocji. Takie puste i bezbarwne. Bezosobowe.

— Jak ci źle, to spadaj.

— A kto ci wtedy zrobi kolację? — Postawiła szklanę z sokiem obok talerzyka i spojrzała na niego triumfalnie.

Robert przeciągnął się i zwłókł z fotela.

— Wiesz co, najpierw skoczę pod prysznic, a potem dopiero wrzucę w siebie te twoje piękne kanapeczki. Jesteś artystką nawet w kuchni.

To było miłe. Robert też był miły, choć czasami stawał się furiatem i tyranem, zwłaszcza w pracy.

Agnieszka nastawiła wodę na herbatę dla siebie i wsypała łyżeczkę czarnych listków do kubka. Monotonny szum czajnika przerwał dzwonek do drzwi. Jeden ding-dong, a po nim kolejny. Na boso podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko. Dwa spojrzenia skrzyżowały się jak ostre miecze. Uwadze Agnieszki nie umknęła niewiarygodnie krótka mini Eweliny i jej czarne kabaretki w środku listopada. Ewelina rozpoznała szlafrok Roberta, do którego Agnieszka bardzo się przywiązała. Stały bez słowa, mocując się spojrzeniem, kiedy zaparowane drzwi łazienki się otworzyły i wyjrzał z nich Robert, jeszcze wilgotny od kropelek wody i przepasany jedynie ręcznikiem.

— Aga, to pewnie te próbki... Cholera, Ewelina, przecież powiedziałem ci, że jestem zajęty.

— Właśnie widzę — warknęła z przekąsem zielonooka piękność i spojrzała na Agnieszkę z nieskrywaną odrazą.

— Zniszczę cię! — syknęła i szybko zbiegła po schodach, nie czekając na windę. Agnieszka z głośnym westchnieniem zamknęła za nią drzwi.

Kuba czekał na Agnieszkę przed Akademią. Pomimo chłodu i mżawki nie wszedł do budynku. Stał z rękami w kieszeniach i nasuniętym na głowę kapturem szarej kurtki. Agnieszka przestraszyła się tych zielonych oczu, które dziś ciskały gromy i błyskawice.

— Kuba! — Zaszedł jej drogę i spojrzał na nią tak, jak nigdy dotąd nie patrzył.

— Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz mi, że u niego nie mieszkasz.

Odetchnęła głęboko i spojrzała w niebo, jakby tam chciała znaleźć odpowiednie słowa. Cokolwiek powie, Kuba i tak tego nie zrozumie.

— Powiedziała ci, żmija jedna. A więc tak zabrała się do rujnowania mi życia. — Ewelina uderzyła najdotkliwiej, w Kubę, w jedyną osobę, która była jeszcze dla Agnieszki oparciem.

— Wymyśliła to czy powiedziała prawdę?

— Kuba, nie miałam dokąd pójść. Nie mieszkam z nim, po prostu się u niego zatrzymałam. Nic mnie z nim nie łączy.

— Akurat ci uwierzę — prychnął pogardliwie.

— Nie masz prawa mnie osądzać. Pamiętasz, najpierw przyszłam do ciebie. Ale ty odesłałeś mnie do Małgorzaty.

— O czym ty mówisz? Powiedziałem, że możesz zatrzymać się u nas.

— Tak, ale postawiłeś mi warunek. Nie potrafisz zrozumieć, że nie wrócę do Małgorzaty?

— Aga... Wyprowadź się od niego. Zabiorę cię na razie do siebie, znajdziemy jakieś rozwiązanie.

— Tak? I codziennie będziesz mi powtarzał, jaką jestem szczęściarą, że mam matkę? Poza tym moje rzeczy nie zmieszczą się w twojej dziupli.

Kuba, muszę ochłonąć i spojrzeć na to inaczej. Przy tobie mi się nie uda, nie potrafisz być bezstronny.

— Wieniawski potrafi? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

— On o niczym nie wie. Nie rozmawiam z nim o tym. Zaoferował mi pomoc i jestem mu za to wdzięczna.

— Ciekawe jak bardzo. — Nie patrzył na nią, tylko na czubki swoich butów. Z wściekłością kopnął kamień, który wypatrzył na mokrej kostce.

— Kuba, ranisz mnie takimi słowami.

— Ty też mnie zraniłaś, przyjmując jego propozycję. Nie poznaję cię, Aga. Zmieniłaś się. Nie wiem już, kim tak naprawdę jesteś. Przykro mi, że nie mogę zaoferować ci takich warunków jak Wieniawski. Nie mam tylu pieniędzy i dotychczas myślałem, że ci to nie przeszkadza. Pomyliłem się. Nawet tobie Warszawa zawróciła w głowie. Życzę szczęścia w odnajdywaniu siebie. Cześć. — Odwrócił się i odszedł, z przygarbionymi ramionami, jakby niósł na sobie ciężar ponad swoje siły.

— Kuba... — Chciała go zatrzymać, ale co miała mu powiedzieć. Nie słuchał jej, nawet nie próbował. Przyszedł tutaj, bo już ją osądził. Nie dał jej nawet szansy, tak zaślepiła go zazdrość.

Patrzyła za nim, jak zniknął z tłumem ludzi sunących Krakowskim Przedmieściem. Jego przygarbiona sylwetka malała i zacierała się w oddali w szarości listopadowego popołudnia. Agnieszka poczuła dotkliwe ukłucie w okolicy serca. Traciła go, ale nie potrafiła zrobić nic, żeby go zatrzymać.

Listopadowa mżawka mieszała się ze łzami, które zamarzały na smutnej twarzy. Agnieszka otarła je wierzchem dłoni i powoli ruszyła w stronę Starego Miasta. Wracała do jedyne go życia, jakie jej pozostało.

Agnieszka stała pod prysznicem i zmywała z siebie ślady męczącego dnia. Ciepłe strumienie wody masowały jej ociężałe nogi i opuchnięte od wysokich obcasów stopy. To była długa i ciężka noc, ale Robert mógł być dumny. Otwarcie Staroszlacheckiego Dworu w Wilanowie odbyło się tak, jak sobie wymarzył. Wszyscy zaproszeni goście dopisali, przed lokalem stały tłumy, w tym fotoreporterzy brukowców gotowi zrobić wszystko, aby choć na chwilę dostać się do środka. Szampan lał się strumieniami, hostessy, które zrekrutowała Ewelina, biegały z pełnymi tacami między gośćmi, a Agnieszka z Karoliną czuwały nad całością. Początkowo Robert zamierzał przydzielić tam Ewelinę, ale po ostatnich wydarzeniach i jej fochach, którymi nie zamierzał się przejmować, stwierdził, że bezpieczniej będzie skierować tu Karolinę. Agnieszka i Ewelina razem to była mieszanka wybuchowa, a w dniu otwarcia nie mógł pozwolić sobie na najdrobniejszy nawet błąd, a co dopiero na towarzyski skandal z jego własnymi kelnerkami w roli głównej.

Pomimo zmęczenia i ciężkiej pracy Agnieszka starała się zapamiętać każdy szczegół tego wieczoru. Nigdy jeszcze nie widziała na żywo aż tylu sławnych osób. Do tej pory ich twarze spoglądały na nią z ekranu telewizora, kolorowych stron czasopism lub plakatów wyborczych. Dziś miała je przed sobą jak na scenie w teatrze. Mogła przyjrzeć się z nieukrywanym zainteresowaniem, jak wyglądają poza światłami kamery i bez fotograficznego retuszu. Wielki świat się bawił, a cały szereg ludzi czuwał nad każdym szczegółem. Ale było warto i Agnieszka była pewna, że Robert to doceni i być może uda jej się wynegocjować prośbę Kruszyńskiego.

Zakręciła wodę i wytarła się nagrzanym na kaloryferze ręcznikiem. Usłyszała głośne trzaśnięcie drzwi. Domyśliła się, że Robert wrócił już do domu.

Przetarła jeszcze wilgotne pasma włosów, nałożyła koszulkę, w której sypiała, i narzuciła na siebie gruby szlafrok. Pachniała różanym żelem pod prysznic i świeżością. Rozgrzana ciepłem cera zarumieniła się, ciemne oczy błyszczały pomimo zmęczenia.

Robert aż jęknął, gdy ją zobaczył. Siedział rozwalony w swoim ulubionym fotelu. Na szklanym stoliku obok stała butelka whisky i do połowy napełniona szklanka z płynem koloru słomy.

— Pijesz za sukces? — Przysiadła na barowym stołku, otulając się szlafrokiem.

— Czy wiesz, że mam już pełną rezerwację na sylwestra? Widziałem miny zaproszonych restauratorów. Trzymali klasę, ale zazdrość wyłaziła im uszami. To był strzał w dziesiątkę, Aga. Miałem nosa z tym lokalem. Kupiłem za psie pieniądze, a zrobię z tego imperium Wieniawskich. I za to właśnie piję. — Podniósł do ust szklankę i pociągnął spory łyk.

Odwróciła się i ziewnęła dyskretnie. Była zmęczona i marzyła tylko o tym, aby położyć się do łóżka i pozwolić odpocząć zmęczonym mięśniom. Nie usłyszała, kiedy do niej podszedł, poczuła jedynie ostry odór alkoholu tuż za sobą.

— Jesteś strasznie seksowna w tym szlafroku — usłyszała tuż przy uchu jego chrapliwy głos i poczuła na karku gorący oddech. — Za każdym razem zastanawiam się, czy coś pod nim masz — ręka Roberta wsunęła się pod połę frotowego materiału i dotknęła ciepłego uda dziewczyny.

— Jesteś pijany, idź ochłonać. — Odepchnęła go delikatnie, ale stanowczo.

— Jestem nagrзany i mam na ciebie straszną ochotę. Przez cały wieczór na ciebie patrzyłem i wyobrażałem sobie, co zrobimy, jak wrócimy do domu. — Jego dotyk stawał się coraz bardziej niecierpliwy, a uścisk mocniejszy.

— Robert, nie wygłupiaj się. — Próbowala go odepchnąć, tym razem mocniej, ale złapał ją za ręce i rozbieganym wzrokiem spojrzal prosto w oczy.

Przestraszyła się. Zobaczyła tam mrok i pożądanie.

— Nie mów mi, że tego nie chcesz. Chcesz tego tak samo jak ja.

— Robert, proszę. — Spojrzała na niego błagalnie, ale on już nie był sobą. Był dzikim zwierzęciem, któremu instynkt podpowiadał tylko jedno.

— Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, chciałem cię mieć na tej skórze. — Podniósł ją ze stołka, do którego przywarła, i popchnął na kanapę. Próbowala złapać równowagę i wyrwać się z jego uścisku, ale trzymał mocno. Szarpała się, złapała go zębami za nadgarstek, ale nawet nie poczuł bólu. Był silny, znacznie silniejszy od Agnieszki i miał nad nią przewagę.

Potem pamiętała już tylko zimny dotyk skórzanego materiału i ciężar Roberta na sobie. Obumierała po kawałeczku, nie mając władzy nad własnym ciałem. Dotyk Roberta wdarł się we wszystkie te miejsca, które chciała ocalić dla miłości. Wyłączyła świadomość. Nie słyszała jego chrapliwych pojękiwań i swojego szlochu. Nie czuła łez, które jak górski potok spływały po jej twarzy. Pogrążyła się w nieistnieniu.

Rozdział XIV

CIEMNA STRONA MIŁOŚCI

1

Spokój Doliny Chochołowskiej otulił Agnieszkę swoją ciszą i bielą obsypanych białym puchem połaci. Owinięta ciasno szalikiem, z czapką nasuniętą głęboko na czoło i w butach, które już niejedną tatrzańską zimę widziały, szła szybkim marszem przed siebie, wydmuchując obłoczki białej pary.

Wróciła do korzeni. To tu wszystko się zaczęło, całe jej wymyślane życie. Stąd wyjechała, aby nauczyć się żyć bez tych, których uważała za jedyną rodzinę, jaką miała. Tam, dokąd przybyła, straciła tożsamość. Kim tak naprawdę była? Dlaczego Teresa i Roman nigdy nie powiedzieli jej prawdy? I czy wiedząc o wszystkim, kochałaby ich mniej?

Miała tak wiele pytań, na które nikt nie potrafił jej odpowiedzieć. Dlatego po raz kolejny wróciła do Zakopanego, aby odnaleźć tu odpowiedź na choćby jedno z nich. Niemożliwe, że Teresa zostawiła Agnieszkę bez słowa wyjaśnienia. Musiała zostawić choćby list.

Wróciła, aby przeszukać rzeczy i dowiedzieć się, dlaczego nikt jej tu nie powiedział prawdy.

Wróciła, aby się oczyścić.

Po tym, co zaszło tamtej nocy, nie umiała spojrzeć na siebie w lustrze. Nawet się nie spakowała. Ubrała się jedynie, zabrała swój ulubiony, skórzany plecak i wyszła, zostawiając za sobą tego człowieka i swoje upokorzenie.

Świtało, gdy zapukała do drzwi Karoliny. A potem długo siedziała skulona w kabinie prysznicowej, pozwalając, aby strugi wody spływały po ciele, które wciąż było dla niej brudne, nieczyste. Przeleżała w łóżku Kary cały dzień. Pomimo śpiwora, grubego koca i hektolitrów gorącej herbaty, którymi rozgrzewała ją przyjaciółka, trzęsa się jak w malarii. Powiedziała Karolinie o wszystkim. Wyrzuciła to z siebie spazmami szloch, prosząc, by nikt nigdy się o tym nie dowiedział. A zwłaszcza Kuba.

To Karolina pojechała po jej rzeczy. Pakowała Agnieszkę, nie patrząc na Roberta. Wpuścił ją bez słowa. Był wymięty, zgasły i wciąż włókł się za nim odór alkoholu.

— Chcę z nią porozmawiać.

Karolina pokręciła stanowczo głową.

— Ona nie chce pana widzieć. Proszę ją zostawić w spokoju.

Nie wróciła do pracy. Na kilka dni zajęła łóżko Karoliny, a potem nagle wstała i zdecydowała, że musi zacząć od samego początku. Od Zakopanego.

Za oknem leżał pierwszy śnieg. Białym puchem obsypał Warszawę i przykrył jej szarość i nijakość równym dywanem leciutkich płatków. Wyjeżdżała, zostawiając za sobą gorycz, ból i brud tego miasta. Uciekała od samej siebie, zmierzając tam, gdzie zdołała jeszcze ocalić coś czystego.

— Agnicha, nie wierzę w to, co mówisz.

— Łukasz, nie wymyśliłam sobie tego. Chciałabym, aby to był kiepski żart, ale to prawda. Twarda, brutalna prawda. Teresa i Roman nie byli moimi rodzicami. Moja matka wciąż żyje, ojca nie znam, mam siostrę i dziadków i powinnam skakać do nieba z radości i być wdzięczna za tyle szczęścia naraz, ale... jakoś nie potrafię. — Siedzieli w prawie pustej o tej porze Stefanówce przy dzbanie grzańca. Agnieszka wołała zejść z oczu Alicji, która i tak kręciła nosem na nagły i niespodziewany przyjazd Agnieszki i jej przedłużający się pobyt w domu Galiców.

— Przecież... powiedzieliby ci.

— No właśnie, o to chodzi, że nie powiedzieli. Dlatego muszę przeszukać rzeczy, może coś w nich znajdę. Poza tym... już dawno powinnam była zrobić z nimi porządek, nie możecie ich przecież trzymać w nieskończoność.

— No coś ty, Agnicha. Przecież na strychu to nikomu nie przeszkadza. Agnieszka się uśmiechnęła.

— Znam jedną osobę, która wołałaby, abym na zawsze się stąd wyniosła.

Łukasz wznosił oczy do nieba.

— Znowu zaczynasz?

— No przecież nic nie mówię.

— No właśnie, że mówisz. Alicja naprawdę... — zamilkł na chwilę — bardzo cię lubi — dokończył bez przekonania.

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz!

Łukasz podniósł ręce do góry w geście poddania się.

— OK, OK. Ja tego nigdy nie zrozumieć. To wasz babski świat, ale ze względu na mnie powinniście nauczyć się wzajemnie tolerować.

— No przecież ja toleruję Alicję. — Agnieszka się roześmiała. — Ona ma z tym większy problem.

Popatrzył na nią z czułością i troską.

— Co teraz zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie mam gdzie mieszkać, ale mam pracę, o jakiej marzyłam. Za kilka tygodni sesja, a ja po prostu zwagarowałam. Kuba... — zamilkła na chwilę. — Nasze sprawy się pokomplikowały. Okazał się mądrzejszy i przezorniejszy ode mnie. Nie chciałam go słuchać... — Kąciki oczu wypełniły się niebezpieczną wilgocią. — Znasz mnie, jestem uparta, ale tym razem powinnam była go posłuchać. — Otarła oczy wierzchem dłoni, a potem pochyliła się nad parującym grzańcem. — W moim życiu jest taki bałagan, że wcale nie mam ochoty tam wchodzić. Najchętniej bym od siebie uciekła...

Zauważyła przerażony wzrok Łukasza i uspokajająco dotknęła jego ręki.

— Nie bój się, nic sobie nie zrobię. Wiem, że nie mam innego wyjścia, niż wejść tam i posprzątać ten bałagan, bo dopóki tego nie zrobię, dopóty nie zaznam spokoju.

— Porozmawiaj z księdzem Tadeuszem.

— Najpierw muszę porozmawiać z mamą. Muszę się dowiedzieć dlaczego. Dlaczego Małgorzata mnie oddała, choć wciąż była blisko? Dlaczego mi nie powiedzieli? Dlaczego przez tyle lat byłam oszukiwana? Gdzieś musi być na to jakaś odpowiedź, Łukasz, i dopóki jej nie znajdę, nie pomoże mi nawet ksiądz Tadeusz.

Pokiwał głową. Rozumiał ją. Szukała własnej tożsamości. Była jak samotny statek na wzburzonym morzu, miotany uderzeniami wiatru i poddany żywiołowi wody. Wiedziała tylko, z jakiego portu wypłynęła, ale nie miała pojęcia, dokąd zawiedzie ją życie, w którym się zupełnie pogubiła.

Kolejny dzień przekopywała się przez stosy niepotrzebnych, zapomnianych rzeczy i nic. Zupełnie nic. Żadnej wskazówki, listu ani słowa wyjaśnienia. Przeszukała każdą kieszę i podszewki. Odłożyła do jednego worka rzeczy Teresy, a do drugiego te, które należały do Romana. To niesamowite, minęło już tyle lat od śmierci taty, a Teresa wciąż trzymała jego ubrania. Agnieszka domyślała się dlaczego. Ona też, nawet dziś, próbowała poczuć choć nikły cień jego zapachu. Wiedziała, że Teresa robiła to regularnie, wtulając twarz w gryzące wełniane swetry i otulając się ich rękawami.

Porzucone na strychu meble powoli pustoszały, ziejąc pustymi teraz półkami i szufladami. Agnieszka sukcesywnie zносиła do kuchennego pieca papiery, które jak w każdym domu poniewierały się w zakamarkach regału i biurka. Zeszyty szkolne Agnieszki, od tych najwcześniejszych, aż po maturalne. Teresa była zbieraczem. Agnieszka nie mogła uwierzyć, że to wszystko mieściło się w ich ciasnym mieszkaniu. Laurki rysowane dziecięcą ręką, z koślawymi sercami i kwiatami, które miały niebieskie płatki. Listy pisane do Teresy z Krakowa. Stare pamiętniki, w których młodziutka Agnieszka zwierzała się ze swojej nastoletniej miłości, a potem o pułapce, w jaką ta miłość ją zawiodła. Gazety ze wzmiankami o udanych akcjach ratowniczych, a potem te krzyczące czarnymi literami o głupocie, bezmyślności i stracie. Wszystkie zachowała. Roman był głęboko wpisany w jej życie. Był bohaterem małej dziewczynki, który w jej oczach nie bał się niczego. Nawet śmierci. Teczki z dyplomami Teresy i świadectwami Agnieszki. Pochwały i odznaczenia. Zakurzone albumy z pożółkłymi fotografiami. Całe ich życie upchnięte w kilka szafek.

Znalazła ją, kiedy sięgała po ostatnie pojedyncze kartki schowane w szufladzie. Szara koperta przyklejona szeroką taśmą do spodu szuflady. Pieczętki kancelarii prawnej w Gdyni i metryka urodzenia. Agnieszka Zarzycka, córka Teresy i Romana. I to suche pismo z paragrafami, w którym Małgorzata Wojnarska dobrowolnie zrzeka się swoich praw rodzicielskich na rzecz Teresy i Romana Zarzyckich. Data, miejscowość, podpisy. Sztywna kartka, która zaważyła na życiu małej dziewczynki i zadecydowała, kim będzie i przy kim zostanie.

To zazwyczaj odbywa się w innej kolejności. Najpierw znajduje się taki dokument, który burzy wszystko. Można patrzeć na niego z nienawiścią, można odmawiać mu wiarygodności, ale on jest i głęboko rani swoją treścią. A potem szuka się tej, która z jakiegoś powodu wyrzekła się macierzyństwa. Agnieszka nie musiała szukać. Poznała matkę, zanim jeszcze znalazła ten dokument, którego chyba tak naprawdę znaleźć nie chciała. Szukała czegoś innego. Czegoś bardziej osobistego, słów skierowanych tylko do niej, do Agnieszki. Musiały tu gdzieś być! Znała Teresę, nie zostawiłaby Agnieszki bez słowa. Ale gdzie są te słowa?

Wyciągnęła przed siebie zdrętwiałe nogi, na których dotąd klęczała. Sztywną stopą trąciła odrzuconą niedbale na bok kupkę kaset magnetofonowych. Mały palec stopy lekko zabolął, a w głowie zapaliła się czerwona lampka. Słowa. Teresa nie musiała zostawiać ich na papierze. Mogła po prostu do Agnieszki mówić. Mogła to potraktować jak... spowiedź.

Poderwała się i szybko zbiegła ze strychu na dół.

— Łukasz! Łukasz! Macie gdzieś jeszcze magnetofon? — Jak burza, bez pukania, wpadła na piętro zajmowane przez Łukasza i jego żonę i cofnęła się nieco zawstydzona ich namiętym pocałunkiem.

Przejrzyste jak górski potok spojrzenie Alicji zwróciło się z jadowitą wściekłością w stronę Agnieszki.

— Czy nawet we własnym domu nie mamy prawa do odrobiny intymności? W tej Warszawie to do drzwi nie pukacie, tylko tak wchodzicie nieproszeni?

— Przepraszam, ale nie przyszło mi do głowy, że możecie to robić na środku przedpokoju. — Agnieszka wycofała się dyskretnie, machając na Łukasza z błaganiem w oczach.

— Jesteśmy u siebie, możemy „to” robić tam, gdzie nam się podoba. — Zimny głos Alicji był jak kubeł lodowatej wody.

— Jasne, przepraszam, już mnie nie ma. Łukasz...

— Stary grundig stoi w kuchni, na parapecie. Mama słucha na nim Jedyńki.

— Dzięki! Już spadam, nie musisz mi pokazywać, gdzie są drzwi — rzuciła w stronę Alicji i zbiegła na dół do kuchni w poszukiwaniu magnetofonu.

Drżącymi rękami wkładała w kieszeń starego magnetofonu równie stare zakurzone kasety. Szumiący dźwięk przywołał wspomnienie lat dziewięćdziesiątych i prywatek przy starym grundigu. Anna Jantar, Czesław Niemen, Marek Grechuta i Anawa, którymi zasłuchiwała się Teresa; Demarczyk, „Czarny Anioł” Romana i Osiecka, na której wychowała się Agnieszka. Stare przeboje, z których każdy przywoływał zakamarków pamięci dobre lata dzieciństwa i wczesnej młodości.

Następna taśma i znowu nic. Po prostu stare piosenki z tekstem. To wszystko powoli traciło sens.

Czarna kasetka TDK. Najpierw głośny szum, a potem trzask włączanego magnetofonu. Serce Agnieszki przyspieszyło, a potem rozsypało się na kawałki, kiedy z głośnika popłynął głos Teresy.

Córeczko, nie miałam odwagi powiedzieć ci tego wprost, patrząc w twoje szczere, kochające oczy. Wybacz mi, kochanie, że robię to w ten sposób, ale... nie potrafię inaczej. Wiem, co teraz myślisz. Jest w tobie ogromny żal o to, że cię oszukaliśmy. Oskarżasz Małgosię o egoizm i bezdusność, a nas o kłamstwo. Tak bardzo chciałabym cię przytulić, córeczko, dotknąć twoich gęstych włosów i delikatnego policzka...

Głos Teresy załamał się na chwilę. Agnieszka słyszała wyraźnie, jak kobieta przełyka ślinę, a potem dzielnie brnie dalej.

Byłaś naszym największym skarbem, Agusiu. Wymarzyłam sobie ciebie tak doskonałą, mądrą i dobrą. Bóg mnie wysłuchał. Nie mogliśmy mieć dzieci. Było tyle bezskutecznych prób, nadziei i kolejnych rozczarowań.

Zaczynałam gorzknieć, po nocach wylałam z rozpacz, winałam siebie, Romana, a potem samego Boga. W pracy byłam jak automat pozbawiony uczuć. Było we mnie tyle nienawiści do tych szczęśliwych matek, które mogły trzymać w ramionach swoje maleństwa. Raniło mnie ich spojrzenie z ogromem macierzyńskiej miłości. Wiedziałam, że jeśli nie stanie się cud, to oszaleję. I stał się cud. Bóg postawił na naszej drodze Małgosię.

Teresa zamilkła na moment, a świat Agnieszki rozmazał się przed oczami. Łzy kapały na dębową podłogę, zostawiając na niej wilgotne smugi.

To nieprawda, że cię nie chciała. Do samego końca bałam się, że jednak nam ciebie zabierze. Nawet gdy wyjechała i wróciła do swojego świata, pozostał we mnie ten lęk, który towarzyszył mi przez kolejne lata. Wiem, że kiedyś będę musiała cię oddać Małgosi. Zrobię to z radością, bo odejdę, wiedząc, że nie jesteś sama. Nigdy nie spotkałam mądrzejszej i szlachetniejszej osoby. Jesteś do niej podobna, córeńko... Tak samo dobra, mądra i dzielna. Była taka młoda, a sama wszystko uniosła... Wysłuchaj jej, Agusiu. Ona ma ci dużo do powiedzenia. O tym, jak cię pokochała, odkąd pierwszy raz cię poczuła. O samotnych miesiącach, które spędziła z dala od bliskich, którzy o niczym nie wiedzieli. O rozdarciu, bo z jednej strony pragnęła ciebie, a z drugiej nie potrafiła zranić rodziców, decydując się na samotne macierzyństwo i skandal, którym wtedy było nieślubne dziecko. O tym, że nigdy nie złamała danego słowa, choć tylko my wiemy, ile ją to kosztowało. O tych łzach, które zostawiła nad twoim łóżeczkiem, żegnając się z tobą. O miłości, której nie dało się niczym zagłuszyć ani wyrwać z serca. I o ogromnej tęsknocie, która na zawsze w niej pozostała.

Uszczęśliwiła nas. Podarowała nam życie i radość. Nikt nie potrafiłby kochać cię mocniej od nas. Jesteś i zawsze byłaś naszym wymarzonym dzieckiem. Naszą córeczką.

Bez względu na to, kogo teraz szukasz, pamiętaj, kochanie, że zawsze odnajdziesz siebie. Tę samą Agnieszkę, która przybiegała do mnie z rozbitym kolanem. Tę samą, którą ręce Małgosi włożyły do naszego łóżeczka. Nie podzielisz siebie na Agnieszkę z tego czy tamtego życia. To cały czas ty, jedyna i prawdziwa.

Będę zawsze przy tobie, córeczko. Nie opuszczę cię ani na krok. Nawet gdy życie we mnie zgaśnie, nie odejdę daleko. Nigdy.

Trzask magnetofonu wyrwał Agnieszkę ze stanu otępienia, w którym trwała. Siedziała na podłodze, kiwając się w tył i w przód, ramionami obejmując kolana, na których wspierała brodę.

Słowa Teresy wypełniały każdy zakamarek jej świadomości, odbijając się głośnym echem w półkulach mózgowych. Głowa pulsowała w skroniach, a żołądek ścisnął się niebezpiecznie.

Otarła z oczu łzy i ponownie odtworzyła kasetę.

Łukasz obudził się w środku nocy z dziwnym niepokojem. Spojrzał na podświetlony ekran komórki. Trzecia. Alicja spała głęboko, delikatnie pochrapując. Z czułością popatrzył na rozsypane na poduszce długie jasne włosy swojej żony i jej zaróżowioną ciepłym twarz. Nie wiedział, co go zbudziło, i przez chwilę nasłuchiwał w nocnej ciszy odgłosów innych niż szczekanie psa czy tykanie zegara. I wtedy to usłyszał. Szloch, który dobiegał z oddali, na tyle jednak blisko, żeby przerwać sen.

Agnieszka!

Nie wiedział, co znalazła, nie zajrzał do niej wieczorem. Alicja skutecznie zajęła mu czas, nie dopuszczając do niego nawet myśli o przyjaciółce. Teraz, rozbudzony w środku długiej grudniowej nocy, był pewien, że popełnił błąd.

Wstał cicho, aby nie zbudzić Alicji, wciągnął na siebie rzucone niedbale dzinsy i bluzę z kapturem i na bosy wymknął się z pokoju.

Przeraził się, gdy ją zobaczył. Nawet się nie przebrała do snu. Leżała na łóżku w ubraniu, z twarzą przyciśniętą do poduszki i zanosila się spazmami płaczu, wobec którego był bezradny. Jediną rzeczą, jaką mógł zrobić, było chwycenie Agnieszki w ramiona i kołysanie jej tak długo, dopóki płacz nie ustał.

— Aga, jak mogę ci pomóc? — Zagubił się w jej bólu i rozpacz. Czuł się bezsilny.

— Chcę do domu, Łukasz — odpowiedziała cicho, zmienionym od płaczu głosem. — Chcę wreszcie wrócić do domu. Tylko nie wiem, gdzie on jest...

Warszawa wrzała przedświąteczną gorączką. Kolorowe od światełek wystawy sklepów zachęcały do czynienia spustoszeń w portfelach i hojnego płacenia kartami kredytowymi. Srebrzyste choinki wprowadzały nastrój radosnego oczekiwania, a świąteczne piosenki, emitowane w stacjach radiowych i centrach handlowych, sprzyjały zakupom i przynosiły w swoich dźwiękach wspomnienia minionych Bożych Narodzeń i bliskich, którzy ten magiczny czas współtworzyli.

Małgorzata patrzyła przez okno kancelarii na przejeżdżające tramwaje i samochody oraz na zabieganych i śpieszących dokądś lub skądś ludzi. Ich twarze żyły oczekiwaniem, ona powoli traciła nadzieję.

Agnieszka dotąd się nie odezwała. Nie dała żadnego znaku, nie wysłała nawet esemesa lub e-maila. Milczała, a Małgorzata każdego dnia smutniała coraz bardziej.

Zbliżały się święta, które tak bardzo kochała. Jak co roku wybierali się do Nałęczowa, aby tam, wraz z rodzicami, zasiąść do wigilijnej wieczerzy. Zazwyczaj czekała na te dni z niecierpliwością dziecka. Wraz z tłumem warszawian biegała po sklepach w poszukiwaniu prezentów i wyszukiwała dekoracje do ich mieszkania. W Internecie przeglądała przepisy i wybierała te najciekawsze, które mogła później z dumą postawić na stole u rodziców. Uwielbiała ten czas zatrzymania i dystansu do życia. Czas zagłębienia się w siebie i tajemnicę Bożego Narodzenia.

Tak było co roku, ale tym razem Małgorzata nie czekała na święta. Tęskniła. Przeżyła z dala od Agnieszki dwadzieścia trzy lata. Przez ten długi czas nauczyła się wstawać każdego dnia z łóżka i nie pamiętać o tej ranie w sercu, która choć zablizniona, wciąż rwała i przypominała o stracie

czegoś drogiego. A potem wystarczyło pięć miesięcy blisko Agnieszki, aby teraz tak dotkliwie odczuwać jej nieobecność.

Co przyniosą te święta? Czy będzie potrafiła w Wigilię zasiąść z najbliższymi do stołu, wiedząc, że gdzieś w obcym i anonimowym mieście jej córka jest zupełnie sama?

Weszła do wyziębionej sieni, wnosząc ze sobą wiatr i chłód. Roztarła zmarznięte ręce i odwinęła szalik szczelnie okrywający szyję. Marzyła o kubku gorącej malinowej herbaty, której nikt nie umiał parzyć tak jak pani Galicowa.

Od progu kuchni uderzyły ją zapach drożdżowego ciasta i ciepło wypełniające pomieszczenie.

Najpierw poczuła, jak jej zziębnięte policzki zaczynają tajać, a potem już tylko jego dłonie na swoich ramionach.

— Przepraszam. Przepraszam, że cię z tym wszystkim zostawiłem. Przepraszam za moją chorobliwą zazdrość i niezrozumienie. Przepraszam, że pozwoliłem ci odejść. Wybacz mi, proszę.

Patrzyła w jego zielone oczy i nie potrafiła zrozumieć.

— Kuba? Skąd się tu wziąłeś? Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Podniósł jej podbródek delikatnie do góry i zajrzał głęboko w ciemne, smutne oczy.

— Łukasz do mnie zadzwonił. Szukałem cię. Karolina powiedziała mi, że już u niego nie mieszkasz. Przepraszam, Aga. Nie umiałem ci zaufać. Jestem beznadziejny.

Pokręciła głową.

— Nie, Kuba. To ja przepraszam. Jestem uparta, mam to po góralach — uśmiechnęła się smutno. — Dobrze, że jesteś.

Zaprowadziła go na ulicę Kasprowicza. Tak jak niegdyś Małgorzata teraz Agnieszka stała pod oknami tego mieszkania i patrzyła tęsknie w okna, w których paliły się światełka. Ktoś już tam mieszkał i wypełniał tę przestrzeń, którą niegdyś oddychały Agnieszka i Teresa. Pod tym oknem

opowiedziała mu swoją historię. Historię małej dziewczynki przekazanej z miłością tęsknocie.

Potem zabrała go do Stefanówki. Przy ogniu kominka opisała swoją drogę do dojrzewania. Powoli zaczynała porządkować bałagan w głębi siebie. Zostało jeszcze kilka niezalutowanych spraw, ale z czasem i z tym sobie poradzi. Była tego pewna.

— Aga, chciałbym ci coś pokazać.

Spojrzała na niego pytająco.

— Zamknij oczy. — Wyciągnął rękę i zamknął jej zmarzniętą dłoń w swoich. — A teraz przenieś się do Warszawy. Plac Zbawiciela i twój ulubiony kościół, prawie na wyciągnięcie ręki. Aleja Wyzwolenia ze swoją promenadą, gdzie można pospacerować z psem, a latem schronić się w cieniu drzew stojących wzdłuż wyłożonego kostką chodnika. I ulica Natolińska. Ładnie odnowiona, sześciopiętrowa kamienica. Stara winda, która wciąż działa. Dwupokojowe mieszkanie, przytulne i z duszą. Jasne, z dużymi oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata. Skwerki i drzewa. Niby centrum Warszawy, ale tramwaje pozostały w oddali, a samochodów nie słyszeć. Cisza, spokój, a jednocześnie życie, którym tętni stolica.

— Po co mi to opowiadasz? — Otworzyła oczy i spojrzała na niego ostro, przenikliwie.

— Bo od marca będzie nasze. Na początku je wynajmiemy, a z czasem, kto wie, może uda nam się je kupić.

— Jak je znalazłeś?

— Dużo ciekawych ludzi zagląda teraz do Poetki. To naprawdę dobra knajpa. Ma fajny klimat. Powinnaś tam zajrzeć, jak będziesz w Warszawie.

Uśmiechnęła się.

— Na pewno zajrzę. Już kiedyś słyszałam tę nazwę. Poetka. Ładnie.

— Wymyśliła ją dziewczyna z góralskim warkoczem. Zachwyciła mnie swoją skromnością i kryształowym sercem, straciłem dla niej głowę. A potem pozwoliłem, aby ta dziewczyna wymknęła mi się z rąk. Jestem tu, aby to naprawić. Chcę ją odzyskać i powiedzieć jej, że zmądrzałem. Dorosłem. Już wiem, że być razem oznacza stać za sobą murem w każdej sytuacji. Odsunąć na bok własne ego i emocje, które aż dławią, i zaufać. Po prostu być, czasami jak cień, trwać wraz z osobą, którą kocha się najbardziej na świecie. Wrócisz ze mną do Warszawy, Aga?

Już tej nocy, kiedy nauczyła się słów Teresy na pamięć, wiedziała na pewno, że nie odzyska własnego ja w Zakopanem. To miejsce pozostanie na zawsze wpisane we wspomnienia dzieciństwa. Dobre wspomnienia. Agnieszka, której szukała, pozostała w Warszawie. Mimo rozdarcia, jakiego doświadczyła, oraz bólu i upokorzenia, jakie zadała jej stolica, chciała tam wrócić. Bo właśnie tam pogubiła siebie i tylko tam mogła pozbierać w całość te wszystkie kawałki Agnieszki, które rozprysły jak okruchy lodu Królowej Śniegu.

— Wrócę z tobą, Kuba.

Podniósł jej ciepłą dłoń do ust i pocałował delikatną skórę, a potem odwrócił powoli i wtulił się w pulsujący nadgarstek, zawierzając mu swoją nadzieję, radość i uczucie, które zmierzy się jeszcze z niejedną burzą w ich życiu, ale przetrwa. Był tego pewien, że przetrwa.

Ranek wstawał coraz później, a na zewnątrz robiło się coraz chłodniej. Urok miasta okrytego delikatnym puchem przybladł wraz z pierwszą odwilżą i resztkami śniegu wdeptanymi w brudne chodniki. Drzewa, jeszcze tak niedawno powiewające na wietrze rdzawymi listkami, dziś były tylko nagimi kikutami, wyciągającymi tęsknie swoje konary w niebo.

Warszawa posmutniała, i to pomimo zbliżających się świąt. Agnieszka pewnym krokiem weszła do restauracji i skierowała się prosto do gabinetu Roberta. Wiedziała, że tam jest. Dostała wiadomość od Karo liny. Zignorowała pytające spojrzenie pana Janusza i jadowitą zawiść w kocich oczach Eweliny. Nie zapukała nawet, po prostu nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Sądziła, że jest silna i że poradzi sobie z własną słabością i wewnętrznym rozdygotaniem. Widok Roberta zatrzymał ją jednak przy drzwiach i przyprawił o mdłości. Oddychała głęboko, patrząc na niego z dumnie podniesioną głową.

Gdy ją zobaczył, zapadł się w sobie, skurczył. Nieporadnie podniósł się zza biurka i chciał do niej podejść, ale powstrzymała go wyciągniętą dłonią.

— Aga... — zaczął, ale przerwała mu. Miała przewagę i on o tym wiedział. Musiała powiedzieć to, z czym przyszła, zanim dopuści go do głosu, zanim on swoimi słowami znowu ją złamie.

— Robert, nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy. Nie po to tu przyszłam. W zasadzie to... powinnam wnieść oskarżenie albo opublikować to w jakimś szmatławcu. Zarobiliby na tej historii duże pieniądze. — Skrzywiła się w cierpkim, ironicznym uśmiechu. — Przyszłam po świadectwo pracy i chcę rozwiązania umowy za porozumieniem stron. I — zawahała się lekko —

mam jeden warunek, ale możesz potraktować to jako prośbę. Chcę, aby restauracja w Wilanowie, którą dla ciebie zaprojektowałam, stała się wizytówką biura projektowego, z którym współpracuję. Wystarczy wzmianka o nas na stronie internetowej restauracji oraz mała tabliczka, którą powieszysz w lokalu, i zgoda na wykorzystanie wizerunku restauracji w naszej reklamie. Zgłosi się do ciebie przedstawiciel biura i powoła na mnie. Z nim ustalisz szczegóły. To wszystko.

Skończyła i odetchnęła głęboko. Dała radę. Zmierzyła się z własnym lękiem i pokonała traumę, jaką był dla niej widok Roberta.

— Dostaniesz wszystko, czego chcesz — usłyszała jego zachrypnięty głos. — Przepraszam, Agnieszka. Wiem, że nie ma nic na usprawiedliwienie tego...

— Proszę cię, przestań.

Popatrzył na nią błagalnie.

— Przepraszam — wyszeptał.

Odwróciła się i wyszła bez żadnego słowa, zostawiając go z poczuciem winy.

Wracała prawie pustymi o tej porze dnia ulicami. Wciąż pomieszkiwała u Karoliny, choć Kuba chciał ją zabrać do swojej dziupli, którą dzielił ze współlokatorem. Nie chciała. Zgodziła się zamieszkać z Kubą w mieszkaniu, które wspólnie wynajmą, ale teraz potrzebowała oddechu, aby w pełni się pozbierać. Karolina bardzo jej w tym pomogła. Przegadały razem niejedną noc. Stopniowo zawiązywała się między nimi coraz mocniejsza nić porozumienia i przyjaźni. Tylko Karolina wiedziała o Robercie i pomogła Agnieszce stanąć po tym na nogi, odzyskać wiarę w siebie i godność kobiety. To Karolina wspierała Agnieszkę w oczekiwaniu na okres, którego Agnieszka pragnęła jak zbawienia. To były ciężkie, przepełnione strachem dni i zapłakane noce. A potem ta radość, gdy

zwiastun czerwonych kropelek pojawił się na białej bieliźnie i pełne zrozumienia i ulgi spojrzenie przyjaciółki. Agnieszka opowiedziała Karolinie o swojej zagubionej tożsamości. Potrzebowała bezstronnego i do tego kobiecego spojrzenia na całą sprawę.

— Porozmawiaj z nią, Aga. Wysłuchałaś już jednej mamy, daj teraz szansę drugiej.

Agnieszka westchnęła. Łatwo było mówić, pozostając wobec tego emocjonalnie obojętnym. Znacznie trudniej było poradzić sobie z żalem, rozgoryczeniem i bólem zranienia, które jak toksyczny związek pozostawały pod skórą i choć uwierały, ciężko było się ich pozbyć, bo trzeba by naciąć żywą tkankę, aby wyrzucić to, co zalegało złością. A to bolało.

Stanęła przed tym bliskim sercu domkiem i z zachwytem patrzyła na kolorowe światełka, które zdobiły dom korowodem radości. Serce jej trzepotało jak schwytyany w dłonie ptak. Wiedziała, że tam, za progiem znajdzie ciepło i życzliwość, bała się jednak wykonać tego pierwszego kroku w stronę miłości i przebaczenia.

— Jedź ze mną do Torunia. Zobacysz, tam poczujesz się jak u siebie. Moi rodzice przyjmą cię z otwartymi ramionami jak zbłąkanego wędrowca. — Karolina pakowała się i patrzyła na Agnieszkę roziskrzonymi oczami.

Agnieszka tylko kręciła przecząco głową. Kuba też chciał ją zabrać ze sobą. Uparł się i tylko jeden argument mógł ten upór złamać.

— Spędzę święta tam, gdzie powinnam. To ostatnia sprawa, którą muszę w swoim życiu uporządkować, a chcę to zrobić jeszcze w tym roku. Pojedziesz ze mną do Arkadii? Zamierzam kupić jakieś prezenty.

Skinął głową i przytulił ją mocno do siebie.

— Mądra dziewczynka — wyszeptał wtulony w jej rozpuszczone włosy.

Teraz stała w ogrodzie, który pamiętała, gdy kwitło kolorami lata, i próbowała zmierzyć się sama ze sobą, odpędzając demony, które wciąż jeszcze były za blisko, pociągając ją wstecz, jak najdalej od ciepła, które było tuż na wyciągnięcie ręki.

Śnieg zaskrzypiał pod czyimiś stopami. Odwróciła się gwałtownie, jak przyłapana na gorącym uczynku. Jej nagły ruch przestraszył psa, który zaczął ujadać głośno tuż przy jej nogach.

— Boston, do nogi! Gościa nam wystraszysz.

Rozpoznała ten głos. Stanowczy, a jednocześnie radosny. Pies skulił uszy po sobie i tylko obwąchał Agnieszkę ostrożnie.

Maciej podszedł i wyciągnął do niej rękę.

— Witaj! Wyglądałem cię, ale przyszłaś z drugiej strony.

— Skąd pan... skąd wiedziałeś, że przyjadę?

Przytulił ją i ucałował w zimne policzki.

— Intuicja dziadka. Strasznie zmarzłaś, wejdź do środka. — Popatrzył na nią z nieukrywaną radością i się uśmiechnął. — Zdążyłaś w samą porę. Za chwilę siadamy do wieczerzy.

Weszli w ciepło pachnące smażonym karpem i marynowanym śledziem. Saba dobiegła pierwsza. Jej mokry nos był wszędzie, ogon kręcił się w kółko z radości, którą tak okazywać potrafi tylko pies. Jej skowyt sprowadził do sieni Magdalenę. Tuż za nią przybiegła Małgorzata przepasana fartuszkami i ze ścierką w ręce.

Patrzyły na siebie bez słowa. Oczy Małgorzaty powoli wzbierały wilgocią, Agnieszka nie mogła uspokoić serca. Łatwo było nienawidzić Małgorzaty, będąc daleko. Bliskość uświadomiła Agnieszce, jak bardzo tęskniła za matką. Jak białe płatki śniegu na płaszczu w zetknięciu z ciepłem, tak i ona roztapiała się w spojrzeniu pełnym czułości i macierzyńskiej troski. Potrzebowała tego. Tak bardzo pragnęła, aby ktoś się nią zaopiekował.

Magdalena przesunęła się na bok, przepuszczając córkę przodem. Nogi Małgorzaty zeszytywniały, każdy krok wymagał wysiłku i odwagi. A jeśli ją spłoszy? Jeśli jeden nieopatrzny gest spowoduje, że Agnieszka odwróci się i ucieknie, zostawiając jedynie tę nadzieję, która pozwoliła Małgorzacie przetrwać aż do dziś.

Powoli wyciągnęła ramiona tak, jak robiła to dawno temu, gdy małeńka Sylwia dopiero uczyła się chodzić. Tymi wyciągniętymi ramionami chciała

wtedy umocnić córkę w przekonaniu, że sobie poradzi i że cokolwiek się stanie, otwarte ramiona matki są tuż obok, gotowe ją schwycić i schować głęboko w sobie przed światem i całym jego złem.

Teraz tym gestem chciała zakomunikować Agnieszce: „Jestem tu. I zawsze będę, cokolwiek postanowisz z tym zrobić”.

Agnieszka też czuła ból każdego kroku. Właściwie odczytała treść komunikatu Małgorzaty. Nie miała już siły uciekać. Pozwoliła otoczyć się bezpieczną przystanią ramion, w których poczuła się jak w domu.

— Córeczko... jesteś. — Łzy Małgorzaty parzyły skórę Agnieszki. Nie odsunęła się jednak, tylko jeszcze mocniej przyłgnęła do kobiety. I nagle poczuła ogromną potrzebę wypowiedzenia tego słowa na głos.

— Jestem... mamó.

Stały tak, pozwalając tej chwili trwać. Wiedziały, że mają dla siebie dużo czasu i że to jeszcze nie koniec, bo będą kolejne łzy i słowa, które zranią. Wiedziały, że ich wspólna droga dopiero się zaczyna i od nich tylko zależy, czy będzie stroma i wyboista, czy też łagodna jak górski szlak dla początkujących wędrowców. Były pewne jednego: przejdą ją razem, ramię w ramię, ucząc się żyć obok siebie.

— Powiedz mi dlaczego. — Przez zamglone oczy Agnieszka patrzyła w twarz matki jak w lustro, szukając tam swojego odbicia. — Kim byłam? Ciemną stroną miłości? Wpadką? Pomyłką?

Małgorzata powoli pokręciła głową.

— Nie, kochanie. Byłaś Miłością. W najczystszej jej postaci. Byłaś dobrem, którym podzieliłam się z drugim człowiekiem. Bóg to dostrzegł. W nagrodę za to dostałam cię na nowo. Z powrotem. I już nigdy nikomu nie oddam.

Agnieszka uśmiechnęła się przez łzy.

— Oddasz Kubie, gdy o to poprosi.

Małgorzata westchnęła.

— Mam nadzieję, że jeszcze trochę z tym poczeka. Witaj w domu, córeczko.

W rozświetlonych domach działały się małe cuda wigilijnej nocy. Pocałunki, uśmiechy, wzruszenia. Słowa: „kocham”, „przepraszam”, „dziękuję”. Odbijały się o zamarzniete szyby i topiły kryształki lodu tkwiące głęboko w sercach. Trzask łamanego opłatka dopełniał tę noc cudów i nadawał zwykłemu wieczorowi zupełnie inne znaczenie.

Przebaczenie weszło cichutko do izby pełnej ludzi z roziskrzonymi szczęściem oczami. Usiadło przy pustym nakryciu obok wiary, nadziei i miłości.

Małgorzata poczuła ciepło policzka na swoim ramieniu. Rozpostarła szeroko ręce i przytuliła mocno obie swoje córki. A potem zamknęła oczy i wyszeptała jedno tylko słowo:

— Dziękuję.

Lublin–Dąbki

lipiec 2010 — luty 2012

*Ja też dziękuję, mamo.
Za to, że jesteś.
Za to, że zawsze byłaś.*

Autorka

Copyright © by Monika A. Oleksa, 2012
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Katarzyna Lajborek-Jarysz

Projekt okładki
Joanna Dąbrowska

Redaktor
Marta Dobrecka

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-920-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: blue, purple, pink, and orange respectively. Below the logo is the website address www.woblink.com in a smaller, lowercase, sans-serif font.

www.woblink.com